

ALMANACH LITERACKI ISKIER NR 4



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1986

W numerze:

Łukasz Szymański Od wydawcy	003
Lech Jęczmyk Na tropie całej prawdy	004
Janusz A. Zajdel Utopia	005
Marek Oramus Wyhamowanie	008
Maciej Parowski Niedopieczeni?	010
Jarosław J. Grzędowicz Twierdza Trzech Studni	013
Rafał A. Ziemkiewicz Pieśń koronacyjna	023
Jacek Piekara Smoki Haldoru	035
Mirosław Kowalski Magią i mieczem	050
Ryszard Holzer Wrzuć monetę	054
Józefiak story	057
Grzegorz Babula Ja, Pajtuś	058
Resocjalizacja	059
Rondo	068
Zawód: archanioł	091
Marcin Heryng Donosy na wuja Karola	101
Piotr Bratkowski Fantastyka dnia normalnego	105
Grzegorz Ciechowski Piosenki	107
Emma Popik Dziedzina	113
Ekstaza	
Rafał A. Ziemkiewicz Trzy sekundy	125
Jerzy Ignaciuk Ryba dzieciństwa	128
Jacek Krakowski Sodoma	133
W oczach krytyki	141

Od wydawcy

Niniejszy numer „Almanachu” poświęcamy współczesnej rodzimej literaturze fantastycznej. Uzasadnień dla tego wydarzenia jest wiele. Fantastyka naukowa, a ostatnio fantastyka mniej lub bardziej odnaukowiona lub wręcz *antynaukowa* (choć jak wynika z wywodów niektórych znawców przedmiotu, wyrastają one z jakiejś wyższej dialektycznej i dla mnie nie całkiem pojętej jedni) stała się ostatnio popularna i zgoła modna. Nie ma już bodaj wydawnictwa literackiego, które by jej nie wydawało w seriach czy poza seriami, pojawił się ruch *fanów* łączący — na podobieństwo wczesnego KKMP — czytelników, autorów i krytyków gatunku (gatunków?), posługujący się własnymi amatorskimi wydawnictwami, a także profesjonalnym organem pt. „Fantastyka”. Zjawiły się całe zastępy młodych pisarzy przypisujących się do tego nurtu lub próbujących za jego pomocą wpłynąć na czytelnicy rynek. Całość w oglądzie ogólnym rysuje się jako pewne zjawisko czytelnicze, socjologiczne, literackie wyrażające swoje racje i roszczenia do miejsca w życiu literackim poprzez swoich rzeczników.

Uzasadnienia są różne. Na przykład historyczno-literackie — że już Homer i Swift oraz magiczny realizm latynoamerykański zapowiadały obecnie wzbierającą falę lub zgoła ją zapoczątkowały; ambicjonalno-patriotyczne — że świat cały od Zachodu po Wschód ma w tym względzie osiągnięcia i że należy odrabiać zaległości i dotrzymywać kroku; moralne — że Dobro i Zło w swej nieskażonej formie dadzą się wyrazić jedynie poprzez figury fantastyczne, bo literatura niefantastyczna jest stłamszona przez skonwencjonalizowanie oraz utylitaryzm; społeczne — że ludzie się domagają, istnieje społeczne zapotrzebowanie.

Zjawisko, jakkolwiek by je mierzyć — liczbą tytułów i arkuszy wydawniczych, wysokością nakładów czy liczbą czytelników i autorów — jest znaczne. Ale równocześnie jakby zanadto osobne i skłonne do autonomii. Odrębni autorzy, serie wydawnicze, krytycy, zorganizowani *fanowie* (dlaczego nie miłośnicy, zwolennicy czy stronnicy?) przy jednoczesnej niepełnej klarowności i płynności granic gatunku oraz domaganiu się uznania jego pełnoprawnej wartości literackiej. Fakt czy mistyfikacja? A może fakt nieco zmistyfikowany lub mistyfikacja jedności faktów w istocie osobnych?

„Iskry” są najstarszym promotorem literatury fantastyczno-naukowej wśród polskich wydawnictw. Współcześnie mamy do czynienia z napływem do wydawnictwa licznych autorskich tekstów fantazjujących na różne sposoby. Wydało nam się zatem pożyteczne i potrzebne poddanie zjawiska krytycznemu oglądowi.

Rzecz jasna nie jesteśmy w stanie przedstawić PT Czytelnikom wszystkiego, co ważne, lub nawet tylko najistotniejsze. Jesteśmy świadomi, że ukazujemy jedynie pewien wycinek tego, co się w fantastyce aktualnie dzieje. Wydaje się jednak, że to wystarcza dla postawienia kilku pytań dotyczących istniejącego stanu rzeczy i przyszłości polskiej fantastyki.

Intencją naszą było ukazanie próbek tego, co proponuje młoda literatura (z wyjątkiem uczynionym dla nieodżałowanej pamięci Janusza Zajdla, naszego wypróbowanego przyjaciela i zasłużonego autora, który, niestety, już więcej niczego nie napisze). Reprezentują ją teksty Grzędowicza, Ziemkiewicza, Piekary, Holzera, Babuli, Herynga, Popik, Ignaciuka i Krakowskiego.

Rolę rzeczników gatunku spełniają: Marek Oramus, Maciej Parowski i nasz redakcyjny kolega — Mirosław Kowalski.

Z poezją mieliśmy spore kłopoty. Ostatecznie reprezentują ją jedynie teksty popularnych piosenek Grzegorza Ciechowskiego wsparte krytycznym esejem Piotra Bratkowskiego. Dla mnie to zestawienie w lekturze świadczy dowodnie, że Bratkowski jest krytykiem tęgim.

Do całości odnieśli się nasi krytycy i pisarze: Henryk Bereza, Wiesław Myśliwski, Stanisław Zieliński i Waław Sadkowski. Chodziło nam bowiem o to, aby przełamać występującą w fantastyce naukowej branzowość i spojrzeć na nią jak na literaturę po prostu. Co nam z tego wyszło, zechcą Czytelnicy osądzić sami, zestawiając zaprezentowane literackie fakty z opiniami i postulatami.

Lukasz Szymański

Lech Jęczmyk

Na tropie całej prawdy

W lipcu 1985 r. zmarł w wieku 47 lat Janusz Andrzej Zajdel. Trudno podsumować twórczość człowieka, który jako pisarz wciąż był jeszcze w fazie wznoszenia się i dojrzewania. Pracował jako fizyk, zajmował się ochroną przed promieniowaniem jądrowym i do końca łączył pracę naukową z twórczością literacką. Pisał artykuły popularnotechniczne oraz książki, broszury i poradniki naukowe.

Debiutował w 1961 r. opowiadaniem zamieszczonym w „Młodym Techniku”, jedynej wówczas trybunie rodzimych fantastów. Jako autor kipiał pomysłami, miał ich więcej niż czasu na pisanie. Wiele jego wczesnych opowiadań opartych było na tak nośnych pomysłach, że stanowiły jakby powieści w pigułce. Jego pierwsza powieść *Lalande 21185* została wydana w 1966 r. Prawie 10 lat później ukazało się *Prawo do powrotu*, potem *Cylinder van Troffa*, *Wyjście z cienia*, *Cała prawda o planecie Ksi*, *Limes inferior*, *Paradyzja*. Rok 1984 dla niewtajemniczonego historyka literatury będzie wyglądał jak jakiś niesamowity wybuch aktywności pisarskiej, jakaś tajemnicza inwazja Zajdla w wielu postaciach, ale to tylko lokalne zakrzywienie przestrzeni wydawniczej — powieści te napisał i złożył w różnych wydawnictwach w dużych odstępach czasu.

Czy powieści i opowiadania Janusza Zajdla mają jakieś centralne postanie, coś, co je łączy, bo wpływa z centrum osobowości pisarza i człowieka? Tak, myślę, że takim elementem centralnym jest poszukiwanie prawdy. Bohater Zajdla porusza się w rzeczywistości o podejrzanych parametrach i wrodzona dociekliwość plus zdyscyplinowane myślenie uczonego zmuszają go do odkrywania prawdy, całej prawdy, bez względu na grożące konsekwencje. Tak sformułowana centralna myśl twórczości Zajdla upodabnia go jakby do Philipa K. Dicka. Rzeczywiście, łączy ich poszukiwanie prawdy i podejrzenie, że ktoś nami manipuluje, że powierzchnia rzeczywistości jest tylko maską, pod którą kryje się mechanizm nieznany, ale poznawalny. U Dicka to podejrzenie rodzi się z bliskiej szaleństwu intuicji, u Zajdla zaś wynika z matematycznego równania, ze spokojnej analizy, z wykształcenia i zasadniczych cech osobowości pisarza. Poszukiwanie prawdy, które we wczesnych opowiadaniach miało często formę gry logicznej lub problemu technicznego, zmierzało w miarę rozwoju Zajdla jako pisarza w kierunku dojmującego, coraz bardziej metafizycznego głodu prawdy utożsamianej z najwyższym dobrem. To wielka szkoda, że nie zobaczymy dalszego ciągu tej ewolucji.

Lech Jęczmyk

Janusz A. Zajdel
Utopia

Kartka leżała na biurku od trzech dni. Thomas Q. Empty, pisarz, zasiadał nad nią codziennie i od rana do wieczora — z przerwami na posiłki — wpatrywał się w biel papieru nie skalaną jednym słowem.

Nie ma gorszej rzeczy na świecie — powtarzał sobie — niż pisanie na zamówienie.

Tydzień temu przystał lekkomyślnie na propozycję zaprzyjaźnionego redaktora, a dziś mijał ustalony termin. Nie wypadało się wycofywać. Tymczasem — jak na złość — żadnego pomysłu ani śladu jakiegokolwiek koncepcji.

Zawiodły skuteczne zazwyczaj sposoby — jak wertowanie cudzych utworów, wielogodzinne studiowanie płaszczyzny sufitu czy kontemplacja damskiego aktu wiszącego naprzeciw biurka. Tom rozpaczliwie wodził spojrzeniem po ścianach i sprzętach, próbując uczeplić się jakiegoś szczegółu, uchwycić jakieś wspomnienie, przywołać skojarzenie, które pozwoliłoby sklecić pierwsze zdanie.

Początek zawsze sprawiał mu największą trudność, dalej szło już lepiej. Kiedy już nabrał rozpędu, udawało mu się zwykle wykombinować mniej lub bardziej złożony świat wewnętrznych przeżyć, skonstruować ową tajemniczą „inner space”, którą następnie instalował w przestrzennym wnętrzu własnej jaźni.

Reszta była fraszką: podróżując po przepastnych głębiach wymyślonego kosmosu duszy, można było — bez ryzyka weryfikacji tych doniesień — raportować, na licznych stronach manuskryptu, o rzekomym bogactwie i złożoności sztucznego świata. Rzeczywistości zewnętrznej — banalnej i ze szczętem wyeksploatowanej przez piszących — Tom wolał nie oglądać zbyt często, nie mówiąc już o czerpaniu z niej inspiracji twórczej.

I teraz od paru dni głębinę intelektu pisarza ziały chłodną pustką. Pozostawało to w związku z pustką w barku, domowej lodówce i na koncie bankowym.

Wymienione okoliczności stwarzały z kolei istotne powody, dla których Tom tkwił jednak uparcie przy biurku. Nie znajdując w czterech ścianach pokoju żadnego ratunku dla swej wyobraźni, z westchnieniem podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Najpierw ostrożnie uchylił kłapkę judasza w stalowej okiennicy i zerknął jednym okiem, a po chwili z determinacją odryglował zamek i otworzył okiennice.

Zbliżywszy twarz do pancernej szyby, mógł objąć wzrokiem spory wycinek zewnętrznej przestrzeni obrysowany krawędzią głębokiej wnęki okiennej w grubej żelbetowej ścianie. Po lewej widać było prawie cały gmach hotelu „Extraterrestrial”, z wyjątkiem paru górnych pięter niknących za górną krawędzią pola widzenia. Po prawej wzrok sięgał aż do skrzyżowania z czteropiętrowym węzłem ażurowych wiaduktów i estakad.

Tom przysunął sobie krzesło i stanął na nim, by spojrzeć w dół, na ulicę. Tylko w ten sposób mógł zobaczyć Aleję Pomyślnych Perspektyw, a właściwie jej połowę, lecz to wystarczyło, by się przekonać, że sytuacja na mieście jest normalna.

Naprzeciw okna, przed frontonem gmachu przedstawicielstwa Federacji Planet Syriusza można było zobaczyć dwóch potężnych Syrianczyków spacerujących po specjalnie wydzielonym dla nich chodniku. Z uwagi na ich rozmiary Syrianczyki nie mogli korzystać ze zwykłego chodnika dla pieszych, zaś ich wędrówki po jezdni zagrażały bezpieczeństwu ruchu. Zdarzające się niekiedy kolizje kończyły się tragicznie dla pojazdów, co było oczywiste wobec masy i grubości pancerza Syrianczyka.

W pobliżu wejścia do hotelu dwa spychacze, jak każdego ranka, usuwały barykadę powstałą po wczorajszych zamieszkach ulicznych. Tom zaobserwował, że od pewnego czasu zaprzestano wywózki materiałów używanych do budowy barykad, pozostawiając je w postaci przyzmu na skwerze przed hotelem. Chodziło zapewne o to, by demonstranci na nowo nie roz-

bierali nawierzchni i nie znosili wszystkich okolicznych pojemników na śmieci.

Wczorajsze zamieszki musiały być niezbyt zaciekle, bo Tom naliczył zaledwie szesnaście szarych plastikowych worków ze zwłokami poukładanych równo na brzegu chodnika i oczekujących na kontener przedsiębiorstwa pogrzebowego.

Wśród kratownic wiaduktu na trzecim poziomie skrzyżowania, jakiś pojedynczy terrorysta ostrzeliwał z broni maszynowej rozpierchłą gromadkę dzieci ze szkolnej wycieczki. Jednakże — czy to terrorysta haniebnie pudłował, czy też dzieci miały skrupulatnie przeciwiczone na lekcjach wychowania obywatelskiego korzystanie z doraźnych ukryć — dość, że serie automatu nie czyniły im większej szkody.

Tom podniósł wzrok na kawałek jasnoszarego nieba, widoczny ponad dachem domu towarowego, pomiędzy hotelem i syriańską ambasadą. Przemykały po nim co chwila dyskowate lataadła Syrian, cygarowate pojazdy Aldebarańczyków, od czasu do czasu ukazywał się mały śmigłowiec policji kontrolującej ruch uliczny.

Spychacze zakończyły usuwanie barykady, ulica ożyła normalnym ruchem kołowym. Terrorysta spadł właśnie na jezdnię, trafiony kamieniem przez jednego z przechadzających się Syrian, któremu grzechot pocisków o pancerz przeszkadzał w pogawędce z rodakiem.

— Wciąż, w kółko to samo! — westchnął Tom, odchodząc od okna. — Żadnej inspiracji, banał i monotonia!

Za jego plecami łupnęło potężnie, detonacja wstrząsnęła ścianami budynku. Pancerne szyby wytrzymały wprawdzie, lecz Tom na wszelki wypadek zaryglował okiennice, sprawdzwszy uprzednio, że przyczyną huku była jak zwykle bomba w biurze Proxima Spacelines na parterze domu towarowego.

Zasiadł nad pustą kartką... i nagle, niespodziewanie spłynęło na niego natchnienie. Po dwóch godzinach mógł już przedyktować tekst automatycznej sekretarce.

Będę musiał sam to zanieść... — pomyślał z rezygnacją. Mógłby zatelefonować do redakcji, by kogoś przysłali, lecz od dwóch dni wideofony nie działały z powodu zalania kabli wodą z magistrali wodociągowej, uszkodzonej w wyniku upadku i wybuchu odrzutowca pasażerskiego, w którym terroryści podrzucili bombę.

Tom nie cierpiał chodzenia po mieście. Redakcyjny bunkier znajdował się na drugim końcu śródmieścia — na tyle blisko, że nie warto było ryzykować jazdy metrem, opanowanym przez bandy narkomanów, lecz zbyt daleko jak na pieszą wycieczkę. Ale nie było innego wyjścia. Tom wydobyl z szafy kuloodporną kamizelkę, hełm i nieprzemakalne, długie buty, wciągnął to na siebie i zabierając z wieszaka w przedpokoju torbę z maską przeciwgazową oraz ręczny paralizator, ostrożnie wyjrzał na klatkę schodową. Fiuuuu! — zbłąkana kula świsnęła mu koło ucha — zapewne dzieci sąsiadów bawiły się w napad na bank. Przywołał windę, lecz okazała się pełna gazu łzawiącego, poszedł więc schodami. Piętro niżej rozłożył się w poprzek schodów kompletnie zalany Procjanin. Tom wyminął go ostrożnie, trzymając się z dala od jego ostrych wyrostków i bez przeszkód dotarł na parter. Stał w drzwiach wyjściowych, gdy nagle coś ciężkiego plasnęło przed nim na chodnik. Uznał to za zły omen, cofnął się i nie sprawdzając, co to było, zszedł do piwnicy. Minął dwie rozwyrzone staruszeki, napastujące nieletniego w piwnicznym korytarzu, wyszedł na drugą klatkę schodową, a stamtąd na tyły budynku, gdzie znajdował się właz. Zdecydował się pójść kanałami, ryzykując tym samym spotkanie z Aldebarańczykami, dla których ziemski klimat był zbyt suchy. A nie lubił ich, bo byli dość agresywni i mało sympatyczni, uznał jednak, że tak będzie najbezpieczniej...

Redaktor przekartkował maszynopis i skrzywił się dwuznacznie.

— Co to jest? — spytał, jakby z wyrzutem patrząc na autora, a potem zaczął półgłosem odczytywać tekst.

Jack odsunął zastonę i szeroko otworzył okno. Miły zapach kwitnących lip wypełnił

pokój wraz z promieniami słońca. Po błękitnym niebie snuły się małe, śnieżnobiałe obłoczki. Skowronki świergotały wysoko w górze, roje pszczoł obsiadły kwitnące drzewa, pod którymi bawiły się dzieci. Rudy chłopiec szarpał za ogon wielkiego psa...

Redaktor przerwał i spojrzał na Toma.

— Ten pies nie przejdzie — powiedział ponuro.

— Dlaczego?

— To jasne. Mamy dobre stosunki z Syriuszem, a Syriusz leży w gwiazdozbiornie Wielkiego Psa... Więc z tym szarpaniem za ogon...

— Masz rację — uśmiechnął się Tom. — Trzeba to zmienić.

— To i tak nic nie pomoże. Całe twoje opowiadanie to czysta utopia. Brak ci poczucia realizmu.

— Kiedyś... ten rodzaj literatury był bardzo popularny.

— Wiem, wiem. Platon, Moore i tak dalej...

— Właśnie! — przytaknął Tom, choć nie znał facetów.

— Ale nawet w fantazjowaniu obowiązuje pewne minimum reguł elementarnej logiki — ciągnął redaktor. — No i, oczywiście, przede wszystkim nie można nikogo urazić.

— Skreślę o tym psie!

— Pies z nim... to znaczy chciałem powiedzieć, że nie o psa tu chodzi. Twoja utopia jest niespójna logicznie.

— To bardzo odległa przyszłość.

— No dobrze, powiedzmy, że przyszłe pokolenia poradzą sobie z terroryzmem, z moralnym rozpasaniem, z niepokojami społecznymi, środowiskiem, urbanizacją, komunikacją... Zgoda. Ale... W nakreślonym przez ciebie obrazie świata... brak mi pewnych elementów...

— Trudno, abym w jednej nowelce przedstawił pełny obraz. To tylko migawka, fragment tego nowego, lepszego świata — bronił się Tom.

— Hm... Ale skoro już nasze pokolenie nawiązało tak liczne kontakty międzyplanetarne... Jeśli tak wielu gości z innych układów gwiazdnych przybywa do nas teraz, pomimo naszych bieżących kłopotów... Czy nie sądzisz, że idealny świat, który sobie wyobraziłeś, będą oni... jeszcze liczniej odwiedzać? A w twoim opowiadaniu nie widać ani jednego z nich. W opisanym przez ciebie krajobrazie nie ma Procjan, Syrian, Aldebarańczyków...

— Chciałem przedstawić świat, który wyzbył się wszystkich kłopotów, ale jeśli sądzisz, że...

— Sądzę, sądzę — uśmiechnął się redaktor przesuwając maszynopis w stronę autora. — Tradycyjna ziemską gościnność nigdy nie pozwoliłaby nam wyprosić gości. Nie może ich nie być w przyszłym świecie, bo mógłby ktoś pomyśleć, że zamierzamy ich wygonić albo zrobić coś jeszcze gorszego.

— Szczerze mówiąc, nie próbowałem sobie wyobrazić szczegółowo, w jaki sposób można by osiągnąć tę utopię... A co do przybyszów... — zawahał się Tom. — Czy nie sądzisz, że z czasem mogliby... sami odlecieć?

— Z takiego idealnego świata, jak twój? — roześmiał się szczerze redaktor. — Fantasta, psia... hm... tego.

Janusz A. Zajdel

Opowiadanie pochodzi z opracowanej przez Macieja Parowskiego antologii „Bliskie spotkania”, która się ukaze nakładem „Iskier”.

Marek Oramus

Wyhamowanie

Jaka jest sytuacja polskiej fantastyki w połowie 1985 roku? Można odpowiedzieć banalnie — że złożona, i wymijająco — że niejasna. W obu przypadkach będzie to zgodne z prawdą. Na ocenie sytuacji, na jej rozeznaniu ważą względy materialne, głównie zaś ślamazarność procesu wydawniczego, co sprawia, że książki trafiające do księgarń aktualnie, odzwierciedlają w najlepszym razie stan sprzed lat kilku. Z kolei nie sposób czytać wszystkiego w maszynopisie; w Polsce działa ponad setka czynnych autorów fantastyki, a istnieje uzasadnione podejrzenie, że z każdym dniem lista wzbogaca się o nowe nazwiska. Jak odróżnić efemerydy od stałych dostawców? Ową funkcję kwalifikatora winien spełniać najpierw rynek czasopism, po nim — rynek księgarski. Ani jeden, ani drugi z tej roli się nie wywiązuje. Z konieczności zatem próby określenia, w jakiej kondycji znajduje się gatunek fantastyki, nie grzeszą obiektywizmem, są raczej impresją opartą na osobistym rozeznaniu niż wynikiem systematycznego śledzenia zjawiska.

Jedna generalna tendencja zdaje się określać sytuację obecną: narastająca sprzeczność między rosnącymi w liczbę szeregami autorów uprawiających fantastykę bądź zamierzających ją uprawiać, a zawężającymi się możliwościami publikowania utworów o tej tematyce. Brzmi to jak paradoks obliczony na zbulwersowanie czytelnika: każdy przecież wie, że ukazuje się u nas rocznie około stu tytułów szeroko rozumianej fantastyki, z reguły w wysokich nakładach, że istnieje specjalistyczne pismo poświęcone tej literaturze, a regularne rubryki bądź wkładki SF publikuje kilka innych pism. Które z literackich lobby ma tak dobrze?

Wszystko to prawda, tyle że — częściowa. Wskutek poślizgów wydawniczych liczba zaplanowanych tytułów nie odpowiada faktycznie wydanym książkom. Z tej puli część trzeba odliczyć na wznowienia, z reguły trzecie, czwarte i siódme (Lem!), a więc wszystkim doskonale znane, na ewidentne pomyłki, na próby lansowania nowych prądów, eksperymenty literackie, które prawie na pewno nie znajdą zrozumienia. Proszę zauważyć: tonem przygany wyrażam się o tej części repertuaru, której szanujący swoje zajęcie wydawca za nic się nie wyrzeknie. Działalność wydawnicza musi uwzględniać również (a może przede wszystkim) wznowienia tytułów sprawdzonych i pokupnych, musi ważyć się na element ryzyka i na proponowanie rzeczy nowych. W naszych warunkach określonych imadłem papierowo-poligraficznym redukcja zaszła tak daleko, że na serio zastanawiamy się nad naruszeniem tego świętego — wydawałoby się — kanonu. Ale zmierzam do wniosku: fantastyki wydaje się pozornie dużo. Jakieś 60—80 tytułów rocznie. Bywają książki, na które czeka się po lat pięć i więcej. W trakcie bicia rekordu wytrwałości autorskiej znajduje się Wiktor Żwikiewicz, którego dwutomowe *Imago* odpoczywa szósty rok w KAW-ie. Regułą są trzy-cztery lata oczekiwania.

Absolutnie za mało — i w stosunku do potrzeb, i do tendencji światowych — ukazuje się antologii opowiadań, zarówno zagranicznych, jak i rodzimych. Na Zachodzie jest to zauważalna część produkcji wydawniczej; zgromadzenie w jednym tomie kilku sławnych nazwisk jest tam traktowane jako punkt honoru i wyróżnik jakościowy zbioru. U nas po wspaniałym starcie tej formy w postaci *Kroków w nieznanie* Lecha Jęczmyka i dwóch tomów *Rakietowych szlaków* „Czytelnika” — nadal posucha. Wiadomo, że zachodnie opowiadania kosztują — cóż jednak stoi na przeszkodzie, by powołać wartościową cykliczną antologię polskich utworów krótkich? Przecież nie brak tekstów.

Co się tyczy rynku prasowego, to trzeba przyznać, że polscy redaktorzy o wiele chętniej drukują autorów zagranicznych niż rodzimych. Nawet przy równorzędnej jakości więcej szans ma nie znany nikomu Anglik czy Amerykanin, preferowany jakby z definicji. Być może chodzi o jakieś animozje środowiskowe, być może o to, co Maciej Parowski nazywa *kulturą tłumaczy* (kontrowersyjny sąd, czy myśl jest dla redaktora bezpieczniejsza do sprzedania, gdy firmuje ją nazwisko zagraniczne, a nie polskie) — nie podejmuję się rozstrzygnąć. W każdym razie ani polski wydawca, ani redaktor nie są sojusznikami polskiego autora, gdy chodzi o wprowadzenie go na rynek. Nie wszystkich stać na takie pchanie noża we własne bebechy; przypatrzmy się choćby, jak wygląda sytuacja w Związku Radzieckim. W USA czy Wielkiej Brytanii publikuje się przede wszystkim własnych autorów — ponieważ konkurencja zagraniczna mogłaby odebrać im dolary i funty potrzebne do życia na godziwym poziomie. Może ta akurat pretensja wypadła zbyt jaskrawo, ale mam wrażenie, że pewne elementy polskiego piekła są dolegliwie obecne na omawianej działce.

Rynek prasowo-wydawniczy wydaje się za ciasny przede wszystkim dlatego, że nadzieje były dużo większe. Na przełomie 1982 i 83 roku, kiedy wprost sypnęło książkami SF, wielu fanów, czytelników i autorów wyobrażało sobie, iż jest to dawno oczekiwana zapowiedź tłustych lat. Czekało cierpliwie na jej realizację materialną, która nie nastąpiła... wręcz należy mówić o poważnym regresie. Jakby na zamówienie, restrykcje dotknęły autorów ze strony czasopism: „Problemy” w ogóle wycofały się z drukowania autorów polskich, którą to decyzję uznać trzeba za głupią i asekurancką. „Przegląd Techniczny” przeżywa trudności egzystencjonalne, ścieniał i obniżył nakład, tnie więc fantastykę, która i tak gościła tam nieregularnie. „Młody Technik” bierze rzeczy dla odbiorcy bardzo młodego, nie lubi smutnych i problemowych, za to kocha wydzwięk pedagogizujący. „Odgłosy” w każdym numerze coś zamieszcza, jednak dość czarnoseciński prowincjonalizm pisma sprawia, że nie każdy ma ochotę tam publikować. I już koniec listy.

„Fantastyka”, nastawiona jakby programowo również na literaturę zagraniczną, spotyka się z zarzutami, że na doborze polskich opowiadań zbyt waży gust redaktora, że publikowane tam teksty nie są reprezentatywne dla całości polskiej fantastyki, tak w przekroju autorskim, jak problematycznym. Ale co to znaczy — reprezentatywne? Czy możliwe jest takie wywiązanie się z redaktorskiego obowiązku, by zadowolić wszystkich? Twierdzę, że tak sformułowane wymaganie pachnie absurdem; nigdzie na świecie nie jest to postulat traktowany poważnie. Rzecz jednak inaczej wygląda, gdy na rynku istnieje kilka równorzędnych pism tego typu — wtedy sprawę załatwia konkurencja i różnorodność. Czytelnik sam wybierze, trzeba mu to tylko umożliwić. W sytuacji „Fantastyki”, czyli monopolisty, forsowanie jakiejś jednej tendencji (gdyby taka była) może okazać się zgubne; trzeba dbać o różnorodność na łamach. Źle jednak, kiedy za burtą pozostają ewidentnie dobre teksty, ponieważ autorzy nie utrafili w redaktorski gust. Myślę także, że lansowanie na siłę *czwartych fal* w tej literaturze wchodzących do niej przez *trzecie bramy* (patrz „Fantastyka” nr 3/85) jest przykładem działalności pospiesznej i świadczy o prowincjonalizmie jeśli nie samej literatury, to przynajmniej jej krytyki.

Co wynika z faktu, że w ciągu dwóch lat trzydziestka młodych ludzi popełniła po jednym lub dwa teksty o tej tematyce? Tylko to, że zainteresowanie fantastyką utrzymuje się albo rośnie. Na całym świecie jest to zjawisko normalne, nie dostarczające powodów do ekscytacji. Z tej trzydziestki zostanie kilku godnych uwagi autorów, dwóch, może trzech, jak dobrze pójdzie. Czy ci, którzy nie zdążyli w tym czasie zadebiutować, już się nie liczą? A co będzie, kiedy pojawi się nowa trzydziestka — powiemy o piątej fali i czwartej bramie? Pewną szansą na przywrócenie spojrzeniu na te sprawy zdrowych proporcji jest zaistnienie dwóch nowych wydawnictw PSMF: „Sfery” i „Feniksa”. Zwłaszcza ten ostatni rokuje nadzieje, prezentując bardzo ciekawą najmłodszą literaturę polską. Co się tyczy wydawnictw, następuje powoływanie kolejnych serii SF: w „Śląsku” i Studenckiej Oficynie Wydawniczej „Alma-Press”. Po kilku latach prosperity kompletnie zszedł na psy „Czytelnik”, jednak czołowe miejsce wydawcy fantastyki zostało po nim nie obsadzone. Nadal nikt nie jest w stanie przeskoczyć mitycznej granicy jednej książki na miesiąc.

Mam nadzieję, że z zarysowanego stanu rzeczy wynika wyraźnie, iż rozbieżność między chęciami a możliwościami jest spora i ciągle narasta. Nie oszukujmy się: wielu młodych autorów wybiera fantastykę z prostej koniunktury. Z jednej strony gatunek ten wydaje się gwarantować swobodę wypowiedzi w większym stopniu niż np. literatura *głównego nurtu*, z drugiej — te wysokie nakłady, szybkie terminy, kolorowe okładki. Polska fantastyka, nabrzmiała autorsko, szuka ujścia. Wzrost konkurencji wśród autorów, owszem, cieszy, pewne teksty odpadną w przedbiegach — lecz gdzie gwarancja, że będą to właśnie te najgorsze? Zawsze uważałem i będę uważał, że od badania poziomu jest redaktor, a od wykrywania wartości — czytelnik. Polska fantastyka jawi mi się fenomenem na skalę światową — w swej odmianie socjologicznej przynajmniej. Na Zachodzie nikt tego nie robi, ponieważ te sprawy załatwiają inne rodzaje piśmiennictwa, w tym zwykłe dziennikarstwo; na Wschodzie na poważnie parają się tym tylko bracia Strugaccy. Nie zauważyłem, aby ta tendencja była szerzej obecna czy w samej fantastyce radzieckiej, czy krajów demokracji ludowej. Mamy więc coś wyjątkowego i od nas zależy, jak to spożytkujemy.

W grudniowym numerze krakowskiego „Pisma” z 1984 roku ukazał się krótki komentarz redakcji przy okazji publikacji utworów czterech krajowych autorów. Streszczając z grubsza: chodziło tam o to, że pewne tradycyjne środki wyrazu fantastyki przestały wystarczać, że autorzy poszukują nowych terenów i nowych sposobów kreacji, pomocnych w rozprawieniu się z ważnymi dla nich problemami. Podczas jednego ze spotkań zapytano mnie, czy należy przez to rozumieć, że fantastyka naukowa *mięknie* i w tym wydaniu zbliża się do młodej (?) literatury w wykonaniu np. Drzeżdżona? Absolu-

tnie nie. Komentarz „Pisma” zauważył pewną tendencję w fantastyce, nie jedyną i nie najbardziej ważną. Jej istnienie jest faktem, jednak w dalszym ciągu tzw. twarda fantastyka (hard science-fiction) cieszy się wielkim uznaniem czytelników i pisarzy, pojemność konwencji zaś, które oferuje, pozwala swobodnie gadać o wielu palących problemach współczesnego świata i osadzonego w nim człowieka.

Istnieją oczywiście próby pisania polskiej odmiany fantasy (Feliks Kres, Jacek Piekara, Krzysztof Kochański), jednak znowu nie ma mowy o całkowitym oddaniu się jednej konwencji. Młodzi pisarze jakby próbowali wszelkich dostępnych narzędzi i konwencji; podejrzewam, choć nie wiem, czy słusznie, że jest w tym i trochę chęci sprostania tendencjom światowym, które — jak wiadomo — w tej chwili polegają na dorównaniu przez fantasy pod względem popularności literaturze SF. Tam jednak taka sytuacja wynika z nasycenia, a nawet przesylenia rynku i nie jestem całkowicie pewny, czy w naszych kryzysowych warunkach należy bezkrytycznie powtarzać każdy krok obcych literatur. Należy się im przyglądać, śledzić ich ewolucję, próbować wykształtowanych przez nie narzędzi, ale nie ulegać bezkrytycznej fascynacji. I chyba młodzi autorzy tak właśnie postępują, widząc w konwencji środek, a nie cel.

Co jest zjawiskiem — mam wrażenie — absolutnie nowym, to odejście od kanonu łatwego optymizmu bądź intrygi czysto technicznej. Powie ktoś: cóż w tym dziwnego, wszak Zajdel i inni odeszli od tego już dawno. Zapewne; różnica jednak polega na tym, że starsi pisarze potrzebowali lat, aby dojść do nowej formuły, młodzi od niej zaczynają. Czy rzeczywiście w polskiej fantastyce ostatnich lat dokonał się przełom na taką skalę, jak tu próbuję — nie bez osobistego interesu — sugerować? Tak mi się zdaje. Sięgnąłem nie tak dawno po nie tak strasznie stary tom opowiadań Janusza Zajdla *Przejdźcie przez lustro* („Iskry” 1975) i czytałem fragmenty tekstów jak listy z zupełnie innej epoki. Powstaje kwestia, czym się skończy fantastyka i literatura rozpoczynana od takiego poziomu wiedzy i świadomości, jaki prezentuje wielu młodych autorów. Tego nie potrafię rozstrzygnąć. Sam chciałbym wiedzieć.

Tak więc znaleźliśmy się w sytuacji, kiedy impet młodych, skierowany ku wydawnictwom i czasopismom, został częściowo wyhamowany. Nikt, a zwłaszcza młodzi, nie pisze dla siebie ani dla przyszłych pokoleń; prawem pisarza jest na swe wątpliwości i wnioski uzyskać reakcję czytelnika. Będzie zabawnie obserwować zmagania niecierpliwości, młodzieńczej porywczokości — nie z barierami materialnymi, bo tego każdy z nas ma powyżej uszu, ale z problemami, z własnym widzeniem świata, swojej w nim obecności i swojego przeznaczenia. Wcale niewykluczone, że z takiego zderzenia narodzi się ponadprzeciętna literatura — niekoniecznie fantastyczna.

Marek Oramus

Maciej Parowski **Niedopieszczeni?**

Sytuację polskiej fantastyki określa dziś w dużej mierze nowa, czwarta generacja autorów. Z niezrozumiałych dla mnie powodów modne jest kwestionowanie jej istnienia. Czyni tak i Oramus, ale niekonsekwentnie. Pisze przecież o *zjawisku absolutnie nowym, tzn. o odejściu od kanonu łatwego optymizmu bądź intrygi czysto technicznej*, a dalej zauważa jeszcze, że *starsi pisarze potrzebowali lat, aby dojść do nowej formuły, młodzi od niej zaczynają (...) dokonał się przełom na taką skalę...* Jest to opisywanie, nieco tylko innymi słowami, czoła nowej literackiej fali, nowej generacji właśnie.

Wbrew pozorom zgadzamy się w kwestii podstawowej. Począwszy od roku 1982 wkracza na nasz rynek kolejne pokolenie twórców o wyraźnie zaznaczonych cechach. Nie twierdzę, że ci młodzi są definitywnie ukształtowani jako pisarze. Mówię tylko, że jest ich sporo, że inaczej myślą i wyglądają; startują ponadto w innej sytuacji literackiej i historycznej niż poprzednicy. I mają w dodatku wyraźne poczucie pokoleniowej wspólnoty i swoją, równieśną, fanowską publiczność. Na ich oczach i także za ich sprawą fantastyka polska zmieniła skórę. Są więc ci młodzi generacją i warto by pod tym kątem spojrzeć na to, co robią.

Fantastyka w wykonaniu czwartej generacji przesunęła się bliżej głównego nurtu literatury, wyraźniej dotknęła spraw ludzkich niż niegdysiejsze opowiadanka inspirowane rozwojem nauk ścisłych i

postępem techniki. Pisane dziś i wydawane pod fantastycznym szyldem opowiadania i powieści opowiadają o drastycznych przeżyciach jednostkowych i społecznych. A czytelnicy, fanowie wręcz, oczekują od autorów, że właśnie tym będą się zajmować. Rozpoznajemy więc w dzisiejszej fantastyce problemy, fascynacje, lęki, nadzieje i poszukiwania młodych. Dotyczy to bowiem głównie młodych — trzydziestolatków i dwudziestolatków, czyli autorów trzeciej i czwartej generacji. Starsi, z małymi wyjątkami (myślę głównie o Zajdlu), dalej bawią się w konwencjonalną science fiction kosmiczną, fantastykę hard mówiąc z angielska, czyli twardą, a może twardogłową. Bawią lub raczej bawili — wielu autorów z pokolenia pierwszej j. drugiej generacji po prostu zamilkło.

Młodzi zaś, głównie w opowiadaniach, konstruują zupełnie nowe światy, niewiele mające wspólnego z futurologicznym dociekaniem kształtu prawdopodobnej przyszłości. Wiele w tych młodzińskich próbach literackiego eksperymentu, groteski; wiele prób uprawiania literatury symbolicznej, lecz także kontestacji społecznej i politycznej. Sięga młoda fantastyka po wielkie metafory, wdaje się w mniej lub bardziej zakamufłowany spór z rzeczywistością. Raz są młodzi autorzy drastyczni, brzydzy, gniewni, kiedy indziej cikliwi, rozlewni i refleksyjni. Zawsze natomiast barwni, różnorodni — dają w swych juveniliach świadectwo rozległych i eklektycznych fascynacji.

Dziwny, żeby nie powiedzieć lekceważący, jest stosunek młodych fantastów do techniki, do nauki. W tej kwestii nie są i jakby nie chcieli być kompetentni. Chyba że potraktować serio zjawiającą się w młodej fantastyce fascynację czymś, co ogólnie można nazwać holizmem lub mieszaniną myśli Wschodu, a co niedawno, omawiając u nas w prasie nowe tendencje fizyki, nazwano *mistyfiką*. Znacznie więcej za to w tej prozie dowodów zainteresowania naukami humanistycznymi — filozofią, socjologią, historią.

To są te najciekawsze nowe cechy, widoczne zwłaszcza w prasie i w stosach maszynopisów oczekujących druku w redakcjach czasopism. Do wydawnictw dociera to wolniej i ujawnia się w nich oporniej, choć i tu mówi się o wielkiej zmianie gatunku. Zapewne, ilościowo nie jest tego jeszcze najwięcej. Fantastyka służy najambitniejszym do szukania i nazywania rzeczy ważnych, ale można także za pomocą fantastyki przychodzić na gotowe. To znaczy pisać schematyczne opowiadanka kosmiczne, powielać światową space operę czy fantasy, uprawiać staroświeckie ćwiczenia z wędrującymi wątkami science fiction. Wielu młodych kandydatów na autorów próbuje zadebiutować w ten właśnie sposób i bywa, że redaktorzy wyrzucają takie teksty za burzę.

Wróćmy zresztą do górnej części stosu maszynopisów i wydrukowanych tekstów, do śmietanki. Wcale nie zasługuje ona wyłącznie na superlatywy. Jest to głównie literatura młodych i ma zalety młodości, ale wady młodości wychodzą w niej także. Lubi tę prozę Oramus, lubię ją i ja, lecz im dłużej ją czytam, tym częściej dochodzę do wniosku, że horyzont młodej fantastyki, mimo jej wewnętrznej uczciwości, jest jednak ograniczony. Zwiedzeni urokiem młodości, zwiedzeni śmiałością w podejmowaniu problemów dawno w polskiej literaturze nie poruszanych, przeoczyliśmy chyba chłopiństwo tej prozy. Bo nie jest to proza męska — w intelektualnym oczywiście sensie.

Czwarta generacja pochowała i przyklepała łopatką wiele starych naukowo-technicznych złudzeń i stereotypów, lecz pojawiły się jej pod palcami stereotypy nowe. Jest to literatura pretensji i demaskacji raczej niż analizy. Mówię zwłaszcza o nurcie political-fiction, obficie reprezentowanym w maszynopisach niż na łamach prasy. Otóż z literackiego i intelektualnego punktu widzenia rewelacje nurtu są skromne. Jak to z młodymi bywa, autorzy zajmują się zewnętrżnością, a nie wnętrzem, dość hałaśliwie tropią diabła w świecie, nie w sobie. Na krótko jest to perspektywa kusząca, na dłużej razi monotonią i niewiele wyjaśnia. Świat jest podły — i owszem! — ale co dalej? Konstatacja dojrzała brzmi inaczej — świat składa się z ludzi takich samych jak ja, a mimo to bywa podły. W dodatku nie *mimo* to lecz właśnie *dlatego*. Od zrozumienia tej prawdy zaczyna się męska literatura. Większość autorów czwartej generacji jeszcze do tego nie doszła.

Lech Jęczmyk, życzliwy zresztą dla młodych i nowej poetyki, użył w redakcji „Fantastyki” określenia *fantastyka w stylu punk*. Sformułowanie jest trafne, odsyła nas do sfery kultury masowej, zawiera się w nim rozpoznanie konkretnych zalet i wad. Zasadniczą cechą punku jest przecież mętność i niezborność — przepraszam za wyrażenie — ideowa. I to by się zgadzało. Rekonstruuując na prywatny użytek światopogląd kryjący się za nową fantastyką, dostrzec w niej można luźny zlepek chrystianizmu, marksizmu, anarchizmu, ewolucjonizmu, kreacjonizmu i wiele innych izmów, wymieszanych, nawet w przypadku jednego autora, z każdym jego tekstem w innych proporcjach. Ujawniają to niekontrolowane związki frazeologiczne i zbitki sloganów, brane jak leci z różnych ideowo parafii. Ta literatura odzwierciedla chaos duchowy i intelektualny. To, że odzwierciedla, jest na pewno zaletą.

Fakt, że nie próbuje na razie porządkować chaosu — już nie.

Wszystko to jest nieskończenie bardziej uczciwe i adekwatne niż znana z minionego etapu literatura, także fantastyczna, opiewająca jedność moralnopolityczną Polaków. Można od tego, co jest, odbijać się ku rozwiązaniom ważniejszym, dojrzałszym — sądzę, że proces taki ma i mieć będzie miejsce. To ostatnie podkreślam, żeby mnie nie mylono z kim innym i nie przypisano intencji, których nie mam. Wyjaśniam swoje stanowisko i swoją sytuację. Zapewne nie tylko swoją. Tak się składa, że redaktorami w pismach i wydawnictwach są ludzie starsi od autorów czwartej generacji. Widzą oni zalety nowej fantastyki, ale też muszą widzieć wymienione grzechy i słabości. Styl punk jako ekspresja ma dużo wdzięku (choć zgódźmy się, że nie dla redaktorek w wieku postbalzakowskim), jako filozofia — znacznie mniej. Czasem, powiedzmy i to, zjawiają się względy lub antycypacje względów cenzuralnych. Także ten problem, jak sądzę, a raczej jak wiem, dotyka innych *ewidentnie dobrych tekstów*, o których wspomina Oramus. Są to zresztą za każdym razem kwestie dyskusyjne.

Pospierajmy się lepiej o fakty. Oramus twierdzi, że liczba wydawnictw, pism, biuletynów oddanych fantantom jest za mała, jak na obfitość fali. Uważam, że to przesada. Już teraz są kłopoty z utrzymaniem wyrównanego, wysokiego poziomu: to, co ukazuje się w fanzinach, budzi czasem litość i trwogę. To, co prezentujemy w „Fantastyce”, starając się pokazywać różnych autorów i różne zjawiska, według czytelniczki, a także i naszej opinii, nie zawsze jest satysfakcjonujące. Legendarny wśród fantastów rok 1982 rzeczywiście sypnął dobrymi książkami i opowiadaniem, ale stan obfitości wywołany był nagłym otworzeniem rezerwuaru, w którym zbierało się wszystko, co najlepsze, z końca lat siedemdziesiątych. Runęła wtedy na rynek seria powieściowych dystopii, między innymi znaczący *Limes inferior* Zajdla. Po 1982 roku ukazały się, przyhamowane dotąd, inne jego powieści. Teraz sytuacja się zmieniła. Zaczynają, nawet w KAW-ie, wychodzić książki złożone tam przed dwoma laty, np. *Głowa Kasandry* Marka Baranieckiego, i niedługo wydawnictwa zaczną pracować z ruchem na styk. Przy założeniu, że w pismach powinno ukazać się wszystko, co jest napisane, a potem wydawnictwa muszą kupić to, co wydrukowano w pismach, system rzeczywiście nie obsłuży ruchu. Ale uważam, że ruch nie zasługuje na taką kompletną obsługę. Czwarta generacja, mówią to nawet niektórzy jej przedstawiciele, powinna trochę odsapnąć i uporządkować myśli, a także podciągnąć się nieco w pisarskim rzemiośle. Dlatego wołanie Oramusa o cykliczną wieloautorską antologię wydaje się przytomne. Nie byłoby przymusu budowania tomików złożonych z dobrych i złych opowiadań jednego autora, byłaby konieczność wyłapywania z rynku wszystkich dobrych tekstów.

Nie sądzę natomiast, by słuszną była sugestia, iż mamy w kraju monocentryzm wymuszony przez redakcję „Fantastyki”. Przeczą temu fakty, które Oramus sam przytacza, mówiąc o istnieniu licznych fanzinów, o powstaniu nowych wydawnictw promujących gatunek („Alfa”, „Alma-Press”), wreszcie o istnieniu redakcji pism zainteresowanych różnymi typami science fiction. To raczej dobrze, że „Problemy” prezentowały odmienne teksty niż „Przegląd Techniczny” i „Młody Technik” i że niskonakładowe pisemka mogły pozwalać sobie na więcej niż „Fantastyka”. Także i w dziedzinie krytyki nie miał miesięcznik monopolu. Zaczęła baczniej obserwować fantastykę prasa literacka, choć — co prawda — nie zawsze najmądrzej. Bywały miesiące, w których Oramus — autor felietonu poświęconego science fiction w „Przeglądzie Technicznym”, zalecający, nawiasem mówiąc, wydawcom twardość i wybredność — odnotowywał więcej książek niż rzekomi monopolisci z „Fantastyki”. A fakt, że jedne oficyny schodzą na psy, inne zaś awansują, że w jednych pismach miejsce się kurczy, a w innych rozszerza — to normalna kolej rzeczy.

Jaka jest więc sytuacja? Według mnie podobna do tej z obrazu, jaki maluje Oramus, jeśli odeń odjąć pochwały i żądania na wyrost oraz niektóre pretensje. Jest nieźle, jest wysoka fala, ale raczej nie ma powodzi. Po roku 1982 pojawiło się na rynku bądź znacząco wybiło dwudziestu może autorów, z którymi można wiązać spore nadzieje. Do wymienionych przez Oramusa przedstawiciele czwartej generacji dorzuciłbym Rafała A. Ziemkiewicza (ur. 1964) i Grzegorza Drukarczyka (ur. 1959) — autorów o mocnej osobowości, piszących ciekawe opowiadania. Na pewno trzeba zwrócić uwagę na dojrzałe pisarstwo Emmy Popik (ur. 1949) i Marka Baranieckiego (ur. 1954), których nieco spóźnione debiuty, sprowokowane, jak przyznają, powstaniem „Fantastyki”, przyniosły od razu dobrą i oryginalną prozę. Dużych postępów dokonał Andrzej Zimniak (ur. 1946), tom jego opowiadań znacznie ciekawszych od debiutu w „Naszej Księgarni” przygotowuje Wydawnictwo Poznańskie. Na druk tomu opowiadań, jak słyszę z „Alma-Pressu”, oczekuje tam jeden z laureatów konkursu „Fantastyki”, Feliks W. Kres. Dobry okres, czego już pisać mu nie wypadało, przeżywa teraz Marek Oramus (ur. 1952) — kilka jego ciekawych opowiadań, złożonych w pismach i w Wydawnictwie „Śląsk” oraz powieść

Arsenał w „Iskrach”, powinny wkrótce dotrzeć do czytelników. Wymienione osoby tworzą w ramach szeroko, coraz szerzej rozumianego gatunku science fiction. Niejako z zewnątrz dołączają do grona fantastów dwaj autorzy, których do pisarzy stricte science fiction zaliczyć trudno. Są to: Jerzy Grudkowski (ur. 1953), z tomem opowiadań *Annopolis, miasto moich snów*, i Marek Pąckiński (ur. 1960) — autor *Ogrodu pamięci* — obaj uprawiający fantastykę bardzo literacką, paraeseistyczną, pozostającą wyraźnie pod wpływem Borgesa i Cortazara. Do grona autorów tworzących fantastykę nieortodoksyjną, literacką, nie pasującą do serii z charakterystycznymi emblematami, można by oprócz wspomnianego Drzeżdżona zaliczyć także Ernesta Dyczka, autora *Autosji*.

Wszystkich nazwisk nie da się wymienić. Powiedzmy ogólnie, że nowa jakość, różnorodność i autentyczność polskiej fantastyki zaczynają być dostrzegane na zewnątrz getta. Filmowcy zorientowali się wreszcie, że Lem jest dla kina zbyt filozoficzny, zbyt werbalny, i zwrócili uwagę na młodszych fantastów. I tak pracuje nasze kino nad prozą Baranieckiego, Drzewińskiego, Jabłońskiego, Torunia, Tuziaka; przymierza się do Snerga, do Wolskiego. Sądzę, że wcześniej czy później sięgnie kino po Filara, Kochańskiego, Oramusa czy Ziemkiewicza. Trwają rozmowy nad pokazaniem polskiej fantastyki w teatrze telewizji i nad uruchomieniem polskiego serialu science fiction na podstawie oryginalnego scenariusza paru autorów.

Fantastyka jest teraz na tapecie. Wynika to z możliwości wyrazowych kryjących się w gatunku poręcznym do badania przeróżnych spraw tabu, jak i do nazywania i odkrywania niepokojów, problemów i zjawisk czających się na horyzoncie współczesności. Fantastyka jako gatunek okazała się pojemna zarówno dla akcji parakryminalnej, westernowej, jak i dla gęstej problematyki filozoficznej czy uniesień mistycznych. Lecz boom na fantastykę w równej mierze jak wynikiem jej zalet, wydaje się konsekwencją rozlicznych ograniczeń dotyczących pozostałych gatunków literackich. Tę fantastyczną szansę zaczynają więc dostrzegać pisarze średniego pokolenia, uprawiający dotychczas literaturę głównego nurtu. Czytałem ostatnio parę takich prób fantastycznych, sporządzonych jak na razie bez zręczności i gatunkowego obycia. Ale może za jakiś czas przyjdzie do nas ktoś z zewnątrz i w gatunku science fiction powie nam nowe, ważne rzeczy.

Populacja fantastów rozmnożyła się tak bardzo, granice w dodatku zaczynają się zacierać, tak pełno fantastyki tu i tam, że mogą teraz zacząć się pojawiać ciekawe, a nie zaplanowane hybrydy.

Maciej Parowski

Jarosław J. Grzędowicz **Twierdza Trzech Studni**

Dokumentacja do wydania

W tym opowiadaniu jest wszystko — 1) **przyszłość**, gdyż rzecz dzieje się wówczas, gdy nasz rodzaj rozprzestrzenia się galaktycznie i podbija nowe a urocze planety; 2) **przeszłość**, albowiem planetarni tubylcy z fizjologii przypominają wilkołaków, posługują się mieczami, dzidami i czymś tam jeszcze; skupieni są w klany i plemiona, a poza tym, to dzikusy; 3) **teraźniejszość**, i tu sedno, kiedy okazuje się, iż nasi potomkowie w roli kosmicznych zdobywców nie różnią się wiele od bohaterów epoki konkwisty. Sprawa więc może nie w kanonie literatury przyszłościowej, tym bardziej że o naukowości hadko mówić w wypadku tekstu, który kończy się zwycięstwem mistycznej Mocy tkwiącej w plemiennym skarbie, a która to Moc tryumfuje nad kosmiczną techniką.

Rozwiązanie jedyne (a budzące mój odruchowy sprzeciw swoją prostotą) leży w BAJCE — konflikt Dobra ze Złem, zakończony zwycięstwem Dobra. Mówię o Bajce, nie zaś o Baśni, gdyż ta ostatnia żywi się fantastycznością opisywanego świata, podczas gdy w *Twierdzy* fantastyczności owej tyle, co kot napłakał. Powieści Słyka powinny być lekturą konieczną adeptów fantastyki. Bez języka bowiem jako obszaru nieustannego eksperymentu w sukcesy owego gatunku uwierzyć nie sposób. Ale też, o paradoksie, właśnie ze względu na łatwość gatunkowych kwalifikacji polecam *Twierdzę Trzech Studni* do numeru — niech świadczy przeciw tromtadracji wielbicieli.

G.

Twierdza Trzech Studni

Jarosław J. Grzędowicz (ur. 1965), student I roku biologii Uniwersytetu Warszawskiego. Debiutował w 1962 r. na łamach „Odgłosów”. Opowiadanie „Twierdza Trzech Studni” — pierwszy na krajowym rynku tekst z gatunku fantastyki — ukazało się w wydawnictwie wewnętrznym Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki i klubu SFAN.

Płaskowyż Imselv był jedną skalną płytą, do której nie miały dostępu niemal żadne rośliny. Otoczony górami Irgelhart, zdawał się wymarzone miejsce do obrony. Rozciągał się już ponad linią chmur i nocne niebo było prawie czyste. Pomimo że księżyc nie było widać, nie było wcale ciemno. Na równinę padał różowawy blask, precedzony między bezimiennymi szczytami Irgelhartu, blask, który nie był świtem.

Valhar zagłębił palce w miękkim futrze konia i jeszcze raz spojrzął za siebie, na wschód, na czerwoną lunę wstającą zza masywu. To Szakale — Harane. Harane, którzy spadli z nieba. Harane, którzy palą miasta, którzy zabijają kobiety i dzieci. Którzy strzelają w plecy. Harane, którzy trują ziemię. Harane, którzy niosą śmierć.

Wąwóz Esgel był na tle czerni gór po prostu czeluścią. Wypełzał z niego nieskończony, chrzęszczący korowód wojska wszystkich szczepów i państw. Vahnorczyków było rzecz jasna najwięcej.

— Valhar! — Sventhor przepchnął konia przez szereg muskularnych wojowników, porośniętych czarnym, gęstym włosiem i odzianych w skórzane stroje. Podpierali się grubymi włóczniami, które lśniły w blasku łuny, tylko dowódca miał lśniący, nowy smasher produkcji vahnorskiej, przewieszony przez pierś. Wyszczrzył kły i prychnął coś ostro w swoim języku. Zielonkawe oczy zalśniły spod głębokiego, czarnego hełmu. Sventhor warknął coś pogardliwie z wysokości swojego konia i podjechał wolno, ze stukotem kopyt.

— Szukałem cię — powiedział.

— Byłem w straży przedniej — rzekł Valhar. Nie odrywał wzroku od korowodu czarnych wojowników. W mroku wydawało się, że ich twarze składają się tylko z gorejących oczu i lśniących kłów.

— Nie wiesz, co to za jedni? — spytał Sventhor.

— A skąd mam wiedzieć? — wzruszył ramionami Valhar. — Jakiś północny lud. Wyglądają groźnie.

— A jednak, jak na nich, są dla nas uprzejmi. Gdybym był, dajmy na to, Koboldem, ten ich dowódca odgryzłby mi rękę.

— Ustąpili ci, i co z tego? Jeszcze jesteśmy najpotężniejsi, jeszcze mamy autorytet, ale cała potęga i sława Vahnoru już dziś niewiele znaczy.

— Ale oni nam wierzą — powiedział Sventhor. Machnął ręką w kierunku sunącej wolno kawalkady. — Rangellowie, Celverowie, Sverskjolowie, jakieś dzikie plemiona pustyni Kershan, Unkuri, czy jakoś tak, ludy północy, Koboldowie. Wszyscy walczyli u naszego boku, a teraz wszyscy dobrowolnie chcą się zamknąć w twierdzy Virgengaard, skąd nie będzie wyjścia. Nawet Nortekowie, z którymi od wieków toczyliśmy wojny i wyrósł między nami mur nienawiści, stanęli z nami ramię w ramię i chcą razem umrzeć.

— Wszyscy rozumieją, że to nie jest sprawa Vahnoru. W każdym razie nie tylko. Gdyby chodziło wyłącznie o nas, nie kiwnęliby palcem. To sprawa całego Verangenu. Harane nie chodzi wcale o nas. Chcą całej planety.

Byłem przy rozmowach z ich posłami. Bardzo trudno ich zrozumieć. Mają dziwne obyczaje. Na przykład chcieli, żebyśmy oddali broń i przestali walczyć. „Jak to?” — pytamy. — „Więc odejdziecie?”

„Wcale nie odejdziemy” — oni na to — „ale dalsza walka z nami nie ma sensu”. Oni

chcieli, żebyśmy oddali im się w niewolę. I wydawało im się to normalne.

— To zakrawa na obelgę — przyznał Sventhor. — Ale podobno Nortekowie kiedyś tak zrobili. To może po prostu taki obyczaj.

— Norteków zawsze podejrzewano o różne nieprawdopodobne podłości. Połowa z tego to bajki. Przynajmniej to były bajki do tej pory, bo Harane dorównali wszystkim mitom. Na Goora, dlaczego musimy zginąć? Przecież do tej pory zwyciężaliśmy! Przecież prawda jest po naszej stronie! — Valhar zamilkł, zachowując kamienny wyraz twarzy, wściekły, że dał wyraz uczuciom. Żadna klęska nie usprawiedliwiła tego rodzaju rozluźnienia wewnętrznej dyscypliny.

Myśl jednak nie dawała się zagłuszyć, więc zamilkł na wszelki wypadek. Dlaczego to wszystko ma ginąć? Bez troskie życie wśród szczęśliwego ludu na południu, rozrzucone rzadko skromne, jasne domy. Smukłe, piękne kobiety i widok, jaki miał za oknem. Stok niewielkiej góry, po którym spadał mały wodospad, rozpryskując się na kilku progach i karłowate, powykęcane drzewka, wyrastające niemal prostopadle do ściany. I odbłask słońca w tle.

Kamienne domy na północy. Srebrne miasta Rangellów, smukłe okręty Sverskjólów. Pieczary Koboldów. Tajemnicze i piękne krainy dookoła. Kultura i mądrość czterech tysięcy lat. Wszystko to ma zostać spalone? Zastąpione przez monotonną roślinność szarego, omotanego stałą pleśnią, które wyszło z lodowatej pustki sięgając zniszczenie?

— Dlaczego? — powtórzył Sventhor. — Przeminięły nasze czasy. Spełnia się przepowiednia: „Aerskjøll w ręce wroga wpadnie”. I miecz zaginał. Razem z nim przepadła szczęśliwa gwiazda Vahnoru. Pozostaje nam tylko godnie umrzeć.

Twój brat, Erik, nie był najlepszym powiernikiem Aerskjølla. W pierwszej potyczce utracił miecz i sam poległ. Był zbyt lekkomyślny, zarozumiały i pewny siebie. Wiedziałeś o tym. Powinieneś sam być przejąć powiernictwo.

Oskarżenie. A więc Sventhor go oskarża. A skoro on, to inni także. Przez niego Aerskjøll wpadł w ręce wrogów.

— Erik był moim starszym bratem. Był pełnoprawnym powiernikiem Aerskjølla. Nie mogłem po prostu odebrać mu...

— Mogłeś zwołać Radę. Ona zdecydowałaby, komu przyznać miecz, ale ty bałeś się odpowiedzialności. Mówię ci to dlatego, że jesteś moim przyjacielem.

— Co Aerskjøll mógłby sprawić wobec faktu, że Harane są silniejsi? Że mogą podróżować między światami? Że mają Krangkaary, które mogą zabijać z powietrza, niszczyć i palić z ogromnych odległości?

Że mogą roztopić skały, zapalać jeziora, zamieniać miasta w pogorzelniska, przesiąknięte zarazą, która ścina krew i sprawia, że ciało się rozpada? Czy mogłaby temu zaradzić moc jednego miecza? I czy ona w ogóle istniała?

— Coś takiego może powiedzieć tylko mieszkaniec Południa. Ale ja nocowałem w skałach pustyni Kershan. Byłem w pieczarach Koboldów Wysokich Gór. Przeszedłem bagna Moongar i widziałem takie rzeczy, że moc miecza jest dla mnie oczywista.

Zresztą już nic nie poradzimy. Za pół roku nie zostanie po nas już nawet pieśń. Chyba, że Virgengaard Tirien się utrzyma — to najsilniejsza twierdza.

— Nie, Sventhorze. To już nie jest twierdza. To kurhan. Nie łudź się. Idziemy umrzeć.

Od tej pory nie odzywali się obaj. Zalany blaskiem łuny korowód wojowników posuwał się w niemal zupełnym milczeniu. Poza cichym pomrukiem, kiedy ktoś mówił półgłosem, beładnym szuraniem tysięcy podeszew, szczękami broni i stukotem kopyt.

Valhar czuł, że bolało go ścięgna w udach obejmujących szeroki grzbiet konia, że hełm ciążył mu na głowie. Jego koń wyglądał nie lepiej: potykał się co chwila, a z pyska kapłała mu piana. Przystanąć, zejść z konia, rozprostować obolałe nogi, zdjąć hełm. Słabość, słabość. Nie ma o czym mówić, trzeba myśleć o czymś innym. Oczy piekły go od wpatrywania się w horyzont.

Monotonny stukot kopyt konia Sventhora zmienił nagle rytm, kiedy kłusem zjeżdżał ze szlaku i stanąwszy z boku zaczął wypatrywać czegoś w tyle. Valhar szarpnął cugle i uderzył konia nogami. Zmaltretowane zwierzę spojrzało z wyrzutem odwracając łeb i zrobiło dwa chwiejne kroki szybciej, a potem wróciło do normalnego tempa. Podjechał do Sventhora.

— Chcę zobaczyć, czy straż tylna wyszła już z wąwozu. Szkoda, że nie wolno zapalać pochodni. Nic nie widać — rzekł tamten.

— Natychmiast wypatrzyłyby nas Krankaary — odpowiedział Valhar.

— Póki twierdza Zegen Kjagee Tirien utrzymuje gardziel wąwozu, żaden Krankaar nie śmie pokalać nieba po tej stronie gór.

— Twierdza Złamanych Lanc nie wytrzyma ani jednego ataku. I oni wiedzą o tym. Mieli utrzymać gardziel wąwozu, dopóki nie dojdziemy do Virgengaardu, ale mogą przecież paść wcześniej. — Sventhor nie odpowiedział. Spojrzał wzdłuż szeregu. Ktoś jechał galopem od końca korowodu, odcinając się czarną plamą od zalanej krwawym blaskiem płyty płaskowyżu.

— To Haakon — rzekł Sventhor. — Żaden inny koń by tego nie wytrzymał.

— Szuka nas — zauważył Valhar. Haakon gwałtownie zawrócił konia i podjechał do nich. Spieszył się. Uniósł prawą dłoń w geście powitania. Sventhor i Valhar zaszalutowali do prawych ramion i skłonili się.

— Nie zatrzymujcie się przy kurhanie — rzekł Haakon. — Postoju nie będzie.

— Zwierzęta tego nie wytrzymają — powiedział Valhar. — Od trzech dni nie miały wypoczynku.

— Muszą wytrzymać. Twierdza Zegen Kjagee Tirien upadła. W tej chwili Harane mogą już wchodzić do wąwozu. — Oczy Haakona były po prostu wilgotnymi plamkami w szczelnie hełmu, lśnącymi w blasku nieba. Żadnych uczuć na zewnątrz, w żadnych okolicznościach.

— Spójrzcie — powiedział, wskazując na niebo. Gwiazd prawie nie było widać. Za blisko był świt i za blisko byli najeźdźcy. Jednak płonął tam pojedynczy świetlny punkt. Płonął ostrym, zielonym blaskiem, kreśląc z wolna gigantyczne kręgi i zygzaki, jak sęp albo skrzydlaty upiór, którego nazwę otrzymał — Krankaar.

Sventhor wyjął z kabury przy siodle smasher.

— Zostaw — machnął ręką Haakon. — Jest za wysoko. Zresztą on nie zaatakuje. A póki nie wejdzie w obręb dział Virgengaardu, nie pozbedziemy się go. Trudno, już wiedzą o nas. Pozostaje mieć nadzieję, że nie zdążą. Jeśli dogonią nas na płaskowyżu, nie będzie nawet jak się bronić. — Uniósł niedbale dłoń w rękawicy i odjechał. Sventhor patrzył przez chwilę za jego czarną, otuloną płaszczem sylwetką.

— Jest znacznie lepszym wodzem niż Sigurd — rzekł.

— Sigurd był stary, nie wiedział, co się wokół niego dzieje — odpowiedział Valhar bez zainteresowania.

Korowód posuwał się dalej, bez słowa. Valhar i Sventhor jechali obok czarnego szeregu północnego szczepu, który był przednią strażą. Nie odzywali się. Szli absolutnie płaską i dziką okolicą, na której czasem tylko, gdy gdzieś w szczelinach skały zachowało się trochę ziemi, wyrastały drobne, białe kwiatki.

Szereg wijąc się jak olbrzymi pancerny wąż, omijał głębokie szczeliny. Wzrok spadał w nich niepowstrzymanie w mroczną czeluść, w której można było czasem dojrzeć czerwone oczy smoków. Z czeluści buchały siarkowe wyziewy i wszyscy odskakiwali gwałtownie. Czasem mijali bulgocące, wrzące źródła i powietrze napełniało się gorącym wilgotnym oddechu pary. Zdawało się, że im bliżej do twierdzy, tym okolica bardziej dzika i wyjałowiona.

— To musi być potworne mieszkać tutaj na stałe — odezwał się Sventhor. — Żeby stąd dostać się do świata, człowiek musiałby samotnie przejść przez ten płaskowyż, gdyż może nocować tu, a potem przez trzy dni przedzierać się przez wąwóz Esgel, gdzie niebo jest tylko

jasną kreską w górze, a ze wszystkich stron wyciągają macki czeluści jaskiń i tuneli.

— Twierdza Trzech Studni wcale nie jest mniej ponurym miejscem — odparł Valhar. — Są przyzwyczajeni. — Mijali właśnie olbrzymie pęknięcie, które ziało w skalnej płycie piorunowym zygzakiem, długie na setki stóp, a szerokie co najmniej na pięć końskich długości. Przerzucona przez nią była linowa kładka, napięta między wbitymi w skałę metalowymi kołkami. Szereg stanął. Haakon już tam był. Na swoim czarnym koniu, otulony czarnym płaszczem. Zeskoczył z rozmachem na ziemię.

— Zawiązywać oczy koniom! — krzyknął. — Przeprowadzać je. Piechota, przechodzić jednym szeregiem. I na miłość Goora nie tupać, żeby nie rozchwiać pacholków! Nie marudzić! Szybciej! Nie patrzeć w dół! — Szereg ścieśnił się znacznie, aż przednia straż nie zaczęła przesączać się przez gardziel kładki.

Rozlegało się skrzywienie skóry, szcęk broni, dudnienie kopyt po belkach i krzyki oficerów. Valhar zeskoczył z siodła napinając mięśnie, aby nie ugiąć nóg. Owinął zwierzęciu głowę własnym płaszczem i ujął uzdę tuż przy pysku. Weszli na drgający pomost. Valhar nie wytrzymał i spojrział. Wzrok runął w dół, ześlizgując się po gładkich ścianach i spadając tak głęboko, że trudno było to sobie nawet wyobrazić. Zachwiał się i chwycił linę poręczy. Zwierzę parsknęło i potknęło się. Poprowadził drżącego konia ostrożnie, słuchając bezradnych, drobnych kroków jego kopyt i patrząc na swoją dłoń w czarnej rękawicy, sunącą po kosmatej, starej linie poręczy. Twarda skała pod nogami wydawała mu się niemal piękna w swojej pewności.

— Nie stawać za kładką! — uderzył go krzyk Haakona. Wepchnął nogę w strzemień i skoczył znów na siodło.

Był to jeden z tych marszy, które, wydaje się, trwają w nieskończoność. Toteż gdy Valhar zobaczył najpierw punkt na horyzoncie, a potem kanciastą bryłę twierdzy, nie mógł uwierzyć, że to jest właśnie cel podróży, który wydał mu się wręcz mityczny. Jednak od ujrzenia twierdzy do końca wędrówki było jeszcze daleko. Dalej był uporczywy ból mięśni brzucha i ud, zmęczenie i głód skręcający jelita. Jednakże to był dla Valhara chleb powszedni, więc trafił się tylko stanem swojego konia.

Kawałek dalej koń Sventhora potknął się i upadł na kolana, a potem zwałił się na bok. Sventhor wyleciał z siodła unikając zmiżdżenia nogi, przekoziółkował i legł bez ruchu. Valhar zeskoczył z konia i podbiegł do niego. Sventhor podciągnął nogi i wstał ciężko, pomagając sobie rękoma. Haakon był przy nich już po chwili. Koń zarżał cicho i żałośnie, usiłując dźwignąć swoje cielsko na udreżone nogi. Uniósł się trochę i znów padł.

— Nic z tego — rzekł ze współczuciem Haakon. — Musisz go dobić. Takie jest prawo. — Okuta hełmem, kanciasta twarz Sventhora nawet nie drgnęła, ale Valharowi wydało się, że gdzieś na dnie jego oczu zobaczył nikły błysk bólu. Sventhor miał tego konia od dziecka. Wierne zwierzę wyniosło go w niejednej bitwie i nieraz mu uratowało życie. Kucnął przy siodle i zaczął odpinać pasy juków. Szereg przesunął się koło nich, lśniąc i podzwaniając bojowym rymsztunkiem.

— Weź tylko to, co najpotrzebniejsze — rzekł Valhar. — Usiądziesz za mną.

— Tylko broń i koc — odpowiedział Sventhor. Wstał. W dłoni lśnił mu smasher. Zwierzę popatrzyło na niego z takim żalem i niedowierzaniem w oczach, że mogłoby się wydawać, że wie, o co chodzi. Valhar odszedł do swojego konia, nie chcąc przyjacielowi przeszkadzać w chwili, gdy musiał się skoncentrować. Rozległ się suchy trzask wyładowania i po kamieniach przemknął jaskrawy odblask błyskawicy. Wzdrygnął się. Śmierć od miecza byłaby o wiele bardziej honorowa, ale miecz podniesiony na przyjaciela musiał ściągnąć na właściciela kłatwę. Sventhor zbliżył się i zarzucił zwiniętą derkę na grzbiet ich wspólnego konia. Milczał. Valhar uszanował to milczenie.

Virgengaard Tirien był olbrzymią, kanciastą budowlą, murowaną z topornie ociosanych na płasko głazów. Mury były szare i wyjątkowo długie, ale największe wrażenie robiła ich

wysokość. Jakby stało się u stóp skalnej ściany wąwozu. Gdzieś za nimi bodła niebo okrągła, smukła baszta, widoczna dopiero z daleka, bo gdy stało się u podnóża samych murów, trzeba było dobrze zadrzeć głowę, żeby ujrzeć ich kraniec. Płaskowyż leżał za wysoko dla ptaków, lecz wokół szczytu baszty wirowało kilkanaście hodowanych przez załogę orłów. Z dołu były tylko ledwo widocznymi punktami, lecz docierało tu ich przytłaczające krakanie.

Wokół zamku biegły dwa potężne pęknięcia w skale, spotykające się po jego jednej stronie i połączone sztucznie wykutą przed wiekami szczeliną. Tak więc twierdza stała jakby na trójkątnej wyspie, otoczonej wąskimi przepaściami.

Przednia straż stanęła naprzeciw prostokątnej, kutej bramy, która przy ogromie murów wydawała się wręcz maleńka. Zamek był jak wymarły. Poza krakaniem orłów nie było tam żadnych oznak życia. Haakon zeskoczył z konia i stanął na krawędzi fosy. Przyłożył dłonie w rękawicach do ust i krzyknął:

— Ingareth! Ingareth Assatur!

— Co to znaczy? — spytał Sventhor. — Znasz starocelverski.

Valhar pokręcił znacząco głową. Zakłęb nie wolno wymawiać bez powodu.

Gdzieś wysoko, na czymś w rodzaju skalnej półki, pojawiła się sylwetka. Wyglądała podobnie, jak wojownicy Północy. Rycerz ów stanął w bezruchu na krótkich, krzywych nogach. Spojrzał na stojących, a potem daleko, na nieskończony wąż wojska, który wciąż marszerował, gdy czoło już stało. Zawołał coś chrapliwie przez ramię i z głębin czarnego hełmu błysnęły kły. Pojawił się drugi, postali chwilę, a potem obaj zniknęli. Rozległ się metaliczny zgrzyt i spod bramy zaczął wysuwać się szeroki, kuty ze stali i wybijany ogromnymi nitami pomost. Wysunął się na całą długość i stanął z głuchym dudnieniem, gdy pięć olbrzymich zębów na jego końcu wsunęło się w pięć olbrzymich otworów wykutych w skale i wyłożonych stalą. Coś szcęknęło i most znieruchomiał. Jednocześnie z turkotem i zgrzytem brama uniosła się, ukazując mroczną czeluść. Z ciemności wynurzył się siwobrody starzec, okryty płaszczem. Uniósł prawą dłoń do lewego barku i skłonił się.

— Witaj, Haakonie — rzekł.

Haakon uniósł dłoń.

— Witaj, Elmarze.

— To dla mnie wielki zaszczyt — ciągnął Elmar. — Mury Virgengaardu nie gościły jeszcze nikogo tak znamienitego. Przywiodłeś poza tym znaczne siły.

— To garstka, Elmarze. To garstka, bo to armia całego Verangenu. Cały świat, od Północy do kraju Rangellów na południu, jest tu z nami. Także Nortekowie. To wszyscy, których zdołaliśmy zebrać przeciw Najeźdźcom.

— Wejźmy więc — rzekł cicho Elmar i cofnął się. Haakon ujął swego konia za uzdę przy pysku i przeprowadził przez pomost. Z ciemności wynurzyło się jeszcze kilku wojowników z lśniącymi czerwono oczyma. Nareszcie można było im się przyjrzeć. Porośnięci sierścią, przypominali ludy Północy. Mieli krótkie pyski, lśniące szeregami białych kłów. Ubrani byli w długie kamizelki z czarnej skóry, z czerwonym smokiem na piersi, czarne opończe, obcisłe spodnie, długie podkute buty i hełmy. Z wojowników tych składała się prawie cała załoga twierdzy. Uzbrojeni byli zresztą bardzo różnie. Od mieczy i toporów, po nowoczesną broń cieplną.

Korowód znów ruszył, z chrzęstem wszedł w czarny tunel bramy. Szli przez nieskończenie grube mury, pogrążeni w zupełnej ciemności. Setki kroków odbijały się echem od sklepienia i gaśły. Setki par oczu, czerwonych i zielonych, zapalały się gdzieś w czeluści i też gaśły. Coś zaskrzypiało, potem z turkotem uchyliła się kolejna brama, wpuszczając błady półmrok świtu, który wydawał się blaskiem.

Wyszli na dość duży, wybrukowany kamieniami podwórzec, który był częścią wewnętrznego dziedzińca. Całe wnętrze muru podzielone było na kilka mniejszych części niższymi, wewnętrznymi murami, schodzącymi się do podstawy centralnej wieży. Dopiero tutaj można

było naprawdę docenić jej wysokość.

— Co to za lud? — spytał nieco głośniejsz Haakon, tak że Sventhor i Valhar idący z tyłu usłyszeli to z pomruku cichej rozmowy.

— Zallowie — odpowiedział Elmar. — Dzielny, górski lud, choć niepiękny.

Na dziedzińcu panowała gorączkowa krzątanina. Wewnętrzne ściany głównych murów pokryte były wnękami, krużgankami i galeryjkami. Czerniały na nich dziesiątki wysokich sylwetek. Najwyraźniej mieszkała tam załoga twierdzy. Słychać było rytmiczne szczekanie młotów, dochodzące ze zwykłej kuźni, a z wąskich okienek, których rząd widniał u nasady wieży, nad samą ziemią, sączyło się błękitne światło, świadczące o obecności nowoczesnego warsztatu.

— Nie stawać — zawołał Haakon. — Nie robić zatoru. Oddawać Zallom konie i przechodzić dalej. — W wewnętrznym murze otwarto ze skrzypem kute wrota i przednia straż zaczęła przesączać się przez nie. Valhar zdjął ekwipunek z konia i oddał zwierzę jednemu z Zallow, jak inni. Sventhor stał obok i patrzył za odprowadzanymi końmi.

— Valhar i Sventhor! — krzyknął przez ramię Haakon. — Chodźcie ze mną.

Ruszyli za nim i za zgarbioną sylwetką Elmara. Weszli po schodkach na wewnętrzny mur, przeszli po nim na okrągły taras i wyminawszy jeszcze jedne okute stałą drzwi, znaleźli się w mrocznym wnętrzu wieży. Elmar poprowadził ich po spiralnych kamiennych schodach, potem przez puste korytarze do okrągłej komnaty. Vahnorskim obyczajem był tam tylko długi, niski stół i honorowy tron pod ścianą. Sala była jasna i pogodna. Mimo surowych, prostych sprzętów, można było odczuć potęgę gospodarza. Broń wisząca na ścianach musiała przechodzić z pokolenia na pokolenie od wieków. Elmar stanął niezdecydowanie, po czym odwrócił się do stojących. Machnął ręką w kierunku tronu.

— Siadaj, Haakonie. Teraz to miejsce tobie się należy. — Haakon strzepnął ze zniecierpliwieniem dłonią i jednym ruchem zdjął z głowy hełm. Położył go z trzaskiem na stole i podszedł do wąskiego okna.

— Siadajcie, na miłość Goora, i nie zwracajcie uwagi, czy stoję, czy siedzę i czy jestem do was z przodu czy z boku. Dajcie mi trochę pomyśleć i zostawcie etykietę w spokoju. Starożytność zasady są mądrością, ale nie można przesadzać. — Oparł się o parapet i spojrzał na pustkowie. Popatrzyli po sobie niepewnie i przyklekli wokół stołu. Valhar i Sventhor zdjęli hełmy.

— Valharze — rzekł jakby z wahaniem Elmar. — Czy prawdą jest straszliwa wieść, jaka do mnie dotarła? Czy Aerskjøll dostał się w ręce wrogów?

— Brat mój, Erik — rzekł surowo Valhar — ostatni powiernik zaklętego miecza, godny syn rodu Gjærset, poległ bohaterską śmiercią. Aerskjøll był przy nim.

— W tym mieczu zaklęta była cała potęga Vahnoru. Stał na straży sprawiedliwości od czasów Galda Młota.

— Czy mamy wobec tego usiąść i płakać? — Haakon gwałtownie odwrócił się od okna. — Czy bez pomocy sił tajemnych nie potrafisz walczyć? Nie chcę więcej słyszeć o utracie tego miecza. A jeżeli któryś powie coś takiego przy żołnierzach, to sam rozplątam mu gardło.

Na korytarzu rozległ się tupot i wysoki Zall z dystynkcjami oficera wpadł do komnaty.

— Panie! — Zobaczył Haakona i zamarł w skłonie z ręką na lewym ramieniu.

— Mów — warknął Haakon.

— Panie. Krankaary nad pustkowie. Jest ich coraz więcej.

— A więc stało się — rzekł Haakon, podnosząc ze stołu i zakładając hełm. — Czy armia zdążyła wejść?

— Wszyscy na murach, panie. Musieliśmy otworzyć wszystkie bramy i część koni została na zewnątrz. Gród jest pełny.

— Więc na mury — rzekł Haakon.

Zielone punkty Krankaarów płonęły kilkoma szeregami w poprzek całego nieba.

Oprócz nich wróg się nie pojawił. Nie było żadnego ruchu, tylko ten zimny blask od kilku rzędów zielonkawych gwiazd. Kiedy stanęli na murach, owiewani ostrym wiatrem, płomienie Krankaarów na moment zmieniły barwę na różową. Rozległ się suchy grzmot rozpalonego nagle powietrza, kiedy artyleria Virgengaardu bluznęła strugami ognia, zalewając blaskiem okolicę. Ziemia drgnęła, ale Wrogowie byli za daleko.

Potem coś się stało. Najpierw spadł na wszystkich gigantyczny ciężar, przyduszając do ziemi, potem lekkość, a potem słabość. Valhar nagle stracił czucie. Broń wypadła mu z brzękiem na ziemię. Wyciągnął ramię, chcąc oprzeć się o flankę muru. Jakby poruszał ręką obcego człowieka. Ujrzał, jakby patrząc przez strzelnicę, jak ramię niezdarnie uderza w mur uginającymi się palcami. Opadł na kolana i resztą świadomości spojrzął w bok muru, a potem na dół. Mury wewnętrzne i główne, tarasy, odległe dziedzińce, wszystko zawalone było dziesiątkami tysięcy ciał, bezradnych i bezbronnych. Dlaczego nie mogli zginąć w walce? Do tego dążyli, nie było już innego wyjścia, ale tak... Przypomniał sobie srebrne miasta Rangellów stratowane nalotami, zatopione łodziami Sverskjolów, smukłe kobiety zastrzelone w progach domów, bo nie chciały wyjść witać najeźdźców, krater w miejscu domu. Śmierć zadawana z daleka. Zwalił się na ziemię, nie chcąc śmierci takiej, szamocąc się w rosnącym bezwładzie i bezsilności. Potem czarny hełm stuknął w nagłej ciszy, wsparty o głaz flanki. Niewidzącymi oczyma Valhar opatrywał się w rosnące sylwetki Krankaarów. Nad Twierdzą Trzech Studni wstawał świt.

*

Olej wyciekał bezpowrotnie z plastikowej butelki, bulgocąc i tworząc opalizujące kręgi na powierzchni płynu. Valhar zaklął i poderwał butelkę. To była jedna z trzech ostatnich w tym sezonie, a zmarnował prawie połowę. Jeszcze zimny płyn utrzymywał się bezkształtną białą plamą, zawieszoną w bursztynowej cieczy. Póki nie zagrzeje się i nie zmieni koloru na złotawy i przejrzysty, jest szansa. Złapał łyżkę i dalsze parę minut upłynęło na wyławianiu i odczadzaniu. Uratowany olej wlewał przez lejek, bo ręce trzęsły mu się bardziej niż zwykle. W ogóle dzień był nieudany. Klientów było mało, gruby sierżant policji Briggs znów był pijany, przewrócił dwa stoliki, wylał coca-colę i rozbił jedyny automat muzyczny. A potem stał i walił pięściami w falistą blachę ściany, zanim udało się nakłonić go do wyjścia. A na odchodnym jeszcze rzucił butelką w lampę oświetlającą sztyd. Straty wynosiły co najmniej z pięćdziesiąt sol. O skardze nie ma nawet co marzyć. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Vahnorczyk, a zwłaszcza właściciel nędznej, blaszanej budki snack-baru, wygrał sprawę z człowiekiem, a zwłaszcza policjantem. Nawet tak kiepskim, jak sierżant Briggs. Valhar westchnął.

Nagle przypomniał sobie, dlaczego omal nie wylał oleju. Coś w rodzaju snu na jawie, tylko snu mówiącego o czymś, co kiedyś było. Dlaczego po tylu latach, w środku dnia, nagle przeżył to jeszcze raz? Było to coś dziwnego. Te wspomnienia, odgródzone do tej pory jakąś przeszkodą, odpychane ze strachem (mówienie o takich rzeczach może tylko wciągnąć w paskudną aferę z agentami PSC: „Z kim rozmawialiście o tym? Jak się ustosunkowywał? Gdzie mieszka?”), te wspomnienia nagle znów powróciły i znów wróciły gorzkie pytania. Tylko teraz już wiedział. Już rozumiał, dlaczego nie zabili ich wtedy. Nie potrzebowali stosów bohaterskich trupów. Potrzebowali żywych i spokojnych sprzątaczek, śmieciarzy, kamerdynerów, górników, dokerów i barmanów. Zrobili coś gorszego niż zabicie ich. Po przebudzeniu nikt nie mógł już nigdy wziąć do ręki noża, zwykłej wiatrówki, popchnąć nikogo. Ba! Nawet podniesienie na kogokolwiek głosu przychodziło z trudem. Mogli tylko słuchać i potakiwać. Nienawidzić sobie mogli. W duszy.

Co jest, co mu się stało? Żeby ktoś przyszedł i przerwał tę samotność, wypełnioną przeszłością, wypełnioną bezsilnością, wypełnioną słabością.

Przetarł ścierką powierzchnię blatu i spojrzął przez okno koło drzwi na zachodzące nad

płaskowyżem Imselv słońce. Płaskowyżem Lonneya, do diabła.

Było beznadziejnie pusto. Spojrzał przez okno po lewej, w kierunku Spiderton, które zaczynało się na szczycie wzgórza i było beznadziejną miejsciną, z całymi kilometrami skleconych z blachy vahnorskich przedmieść.

Z dołu wyszedł jakiś Vahnorczyk w uniformie pomocnika na stacji benzynowej, niosąc w objęciach skrzynkę piwa. Poszedł w kierunku miasta, nawet nie spojrzawszy. Valhar popatrzył za nim bezmyślnie i dojrzał daleko na płaskowyżu sunący po drodze obłok kurzu. Samochód! Jeżeli jedzie tędy, to za kilka minut musi przejechać przed jego barem. To pierwsze miejsce na drodze do miasta, gdzie można coś zjeść, więc powinni tu stanąć. Wydobył spod szynkwasu stertę plastikowych kubków i zdał z nich foliowe opakowanie. Umocował je przy automacie z napojem pomarańczowym, kiedy; samochód pojawił się na wprost okna. Był to poobijany, farmerski pick-up z dwoma zapasowymi kołami na dachu szoferki i stalową kratownicą przed długą maską. Zwolnił i skręcił z szosy na betonowy podjazd. Trzasnęły drzwiczki. Z samochodu wysiedli dwaj mężczyźni i wymijając wystawione przed budką stoliki, weszli do środka. Pierwszy ubrany był w poplamione spodnie i rozchełstana na piersi koszulę. Valhar widywał go czasem. Był to Stanter — nadzorca Vahnorczyków w pobliskiej kopalni. Podszedł do szynkwasu, oparł się łokciami i spojrzął z obrzydzeniem na skwierczące w oleju frytki. Drugi wszedł po dłuższej chwili. Był to elegancki mężczyzna w średnim wieku. Musiał jechać z bardzo daleka. Ubrany był wytworniej niż mieszkańcy Spiderton. Nawet poruszał się jakoś dyskretniej.

— Nareszcie — rzekł do Stantera. — Od rana nic nie miałem w ustach. Gdyby mnie pan nie podwiózł, to nie wiem, co bym zrobił na tym pustkowiu.

— Drobiazg — mruknął tamten. — Co pan zje? Tu nie ma nic specjalnego, to vahnorska buda.

— Nie wiem... — rzekł przybysz, zaglądając do parujących niklowych niecek, w których bulgotały dziesięciocentowe vahnorskie potrawy. Jednemu tygielkowi przyjrzał się uważniej.

— To hevgas? — spojrzął na Valhara.

— Haevgas — poprawił Valhar. — Wymawiało się: haevgas, proszę pana. Ale ma pan rację, to właśnie ta słynna, vahnorska potrawa.

— Proszę jedną porcję.

— Proszę. Trzydzieści centów. — Tacka, szczypce, opakowanie sprawdzonych rządowo sterylnych sztućców, tu rozedrzeć, dziękuję, proszę, kasa, czek, szufladka, drobne, reszta. Wrzucił monety do przegródki, z przyjemnością słuchając ich obiecującego brzęku. Nadzorca patrzył na towarzysza ze zdziwieniem i ledwo maskowanym obrzydzeniem.

— Chyba nie będzie pan tego jadł?

Przybysz odniósł tackę do jednego ze stolików i zaczął jeść.

— Dlaczego? To bardzo smaczne. Z ryby. Może pan skosztuje?

— Piękne dzięki — odpowiedział Stanter. — Mam ich dość na co dzień, dzikusów. Z ich dziwactwami. Jeszcze bym jadł ich tysiącletnie paskudztwa. Diabli wiedzą, jak oni to przyrządzają. W to powinien wejść rząd. W te ich zwyczaje, barbarzyństwa.

— Chyba pan przesadza. Oni stworzyli wspaniałą kulturę. Bardzo ciekawą. Takie zwyczaje, potrawy, sposób życia, wszystko było logicznie urządzone. To bardzo ciekawy naród.

— Nie zna ich pan tak, jak ja. Swoje wiem na ich temat. Dla mnie parówki. Tylko żebyś ich nie brał łapami, brudasie.

— Tak, proszę pana. — Głupi, tępy prymityw. Obelgi przychodziły do głowy z trudem, tracąc po drodze znaczenie. Westchnął niedostrzegalnie, wziął do ręki idealnie czyste, srebrne szczypce i wyłowił z wody dwie jędrne, różowe parówki. Z tuby pociekła musztarda, pozostawiając jasnobrazy wężyk na każdej z nich. Smugi pary uniosły się w górę, wessane przez okap. Sterylne sztućce, świeża bułka szczypcami.

- I piwo.
- Przykro mi, ale nie mam koncesji na sprzedaż alkoholu, proszę pana.
- Nawet piwa?
- Niestety, takie są przepisy.
- Nawet jednego?
- Po prostu nie mam.

— Dzikus cholerny. — Stanter zgarnął tackę z lady i podszedł do stolika. Przez chwilę obaj ludzie pracowicie żuli w milczeniu.

- Pan jest archeologiem? — spytał Stanter.
- Kimś w tym rodzaju — odparł tamten. — A dlaczego?
- Tak myślałem, czego mógłby pan szukać w tej dziurze.
- Istotnie, interesuje mnie twierdza. Zboczyłem z drogi do Moonley, kiedy zepsuł mi się samochód.

— Z tego w ogóle można żyć? Z jakichś starych śmieci dzikusów?

— Coś panu pokażę. Wiozę to do Moonley. Chwileczkę — odłożył widelec i wyszedł. Wrócił dosłownie po dwudziestu sekundach, niosąc płaski, czarny neseser. Położył go na stole i zaczął manipulować szyfrowym zamkiem.

— W środku jest stare, jeszcze przedvahnerskie dzieło sztuki. To miecz, ma chyba z pięć tysięcy lat. Odnalazłem go z wielkim trudem. To właśnie mój zawód. Sprzedaż i kupno takich rzeczy. Pytał pan, czy z tego można żyć. Muzeum Astroarcheologii w Moonley zaoferoowało mi półtora tysiąca sol.

Stanter wypluł świeżo odgryziony kawałek parówki do talerza i wolno uniósł głowę. Żle ogolona, długa szczęka z wolna odchyliła się, jak obłuzowana pokrywa śmietnika. Oczy miał okrągłe jak guziki.

— Pół... tora tysiąca sol? — wyszeptał.

— O, to wcale nie jest najwyższa cena. W zeszłym miesiącu przewoziłem hełm i pierścień, warte okrągłe pięć tysięcy każdy.

— I tak to pan przewozi, w walizce? Bez obstawy, bez...

— Rany boskie, człowieku, przecież to nie sztaba złota. Przypuśćmy, że dałby mi pan teraz po głowie i zabrał to. Otóż złapałoby pana w pierwszym miejscu, w którym by pan się z tym pojawił i chciał to sprzedać. A żaden paser by tego nie wziął. Każda taka rzecz jest skatalogowana i ubezpieczona. I zapisane jest tam nazwisko właściciela. O każdej transakcji zawiadamia się ich na bieżąco i wypisuje akt własności. Ten miecz jest jakby przypisany do mnie, dopóki nie przejmie go muzeum w Moonley.

To zresztą bardzo ciekawy okaz. Na przykład świeci w ciemności na czerwono. To świecenie czasem przygasa, czasem się wzmaga, ale nie wiadomo, co je powoduje. Jest absolutnie nierdzewny, a niech pan pamięta, że wykuto go przed kilkoma tysiącami lat. Poza tym ma całą masę dziwnych właściwości. Fizycy muzeum mają się nim zająć na serio. Poza tym jest to absolutnie unikalne dzieło sztuki. Na klindze znajduje się napis, który nie został jeszcze odczytany.

Trzasnął szyfrowym zamkiem i otworzył neseser.

Valhar czuł się bardzo dziwnie. Miał dreszcze, czuł jakieś niesamowite zdenerwowanie i szumiało mu w głowie. Stanter żuł wolno parówkę i wpatrywał się w towarzysza, który jednym ruchem wyciągnął miecz na światło dzienne. Był długi na jakieś pół metra i szeroki na dłoń. Klinga lśniła różowawym blaskiem. Na rękojeści znajdował się wizerunek smoka Sallga, poniżej oplatały ją gałęzie świętego drzewa Gnärła, które sięgały aż do jelca. U nasady klingi wprawiony był Galjall — kamień ziemi Izell. Wzdłuż klingi biegnęły starocelverskie zakłęcia. O dwie szerokości kciuka od jelca, na ostrzu, znajdowała się jedyna szczerba, która powstała, kiedy Gald Młot uderzył mieczem w kamień na Srebrnej Górze, biorąc ją i okolicę w posiadanie. Był to Aerskjøll.

Valhar otworzył ruchomą część lady i wyszedł przed nią. Obaj mężczyźni pogrążeni byli w kontemplacji miecza.

— Proszę pana — odezwał się Valhar — słyszałem, że to pana interesuje, mnie uczono podobnego starożytnego pisma, kiedy byłem dzieckiem, więc może...

— Wynos się — ryknął Stanter. — Zielonoskóry bydlaku.

— Niech pan poczeka — uspokoił go tamten. — To naprawdę może się przydać. Oni mogą być bardzo pomocni w badaniach.

— Niech pan w to nie wierzy — burknął Stanter. — Gdyby nie to, że nie może dotknąć żadnej broni, to rąbnąłby go panu przy pierwszej okazji.

Valhar wyciągnął powoli rękę w kierunku miecza. Nie drżała, Była spokojna jak skała i zaskakująco silna. Ostrożnie — pomyślał z nienawiścią o Stanterze. Nienawiść była zimna i mocna. Jednym szybkim ruchem chwycił chłodną rękojeść i unióś miecz oburącz, ostrzem przed twarz. Stanter otworzył szeroko oczy, pełne bezbrzeżnego zdumienia. Valhar uderzył go otwartą dłonią w klatkę piersiową. Stanter wyleciał z taboretu, rozrzucając szeroko ramiona, odrzucił plecami drugi stolik i wyrznął w blaszaną ścianę. Zwalił się na podłogę i nie drgnął więcej. Drugi zerwał się na równe nogi i odskoczył w tył z twarzą błądą jak płótno. Wyszarpnął spod marynarki czarny rewolwer. Valhar jednym ruchem nadgarstka uderzył go końcem ostrza w szyję. Rewolwer upadł z trzaskiem na ziemię. Człowiek zwał się obok, obejmując szyję rękami.

Valhar wyprostował się. Po raz pierwszy od czterdziestu lat. Wyszedł przed bar i unióś miecz do góry. Ostrze bluznęło ostrym, czerwonym blaskiem.

— Ingareth Assatur! — krzyknął.

Tysiące sprzątaczek, śmieciarzy, kamerdynerów, górników, dokerów i barmanów stanęło w swoich domach, dokach, kopalniach i barach, przemieszanych z bezbronnymi, zaskoczonymi ludźmi, znieruchomiałych nagle i nienawidzących.

Po drugiej stronie ulicy jakiś Vahnorczyk klęczał na ziemi i zbierał rozsypany złom. Znieruchomiał, a potem sięgnął między śmieci po wyszczerbiony nóż myśliwski, patrząc w stronę ludzkiej dzielnicy. Jego dłoń miękko ujęła rękojeść. Zacisnęła się na niej pewnie i bez najmniejszego drżenia. Słońce już zaszło. Nad Virgengaardem zapadał ciepły, letni wieczór.

Jarosław J. Grzędowicz

Rafał A. Ziemkiewicz **Pieśń koronacyjna**

Rafał A. Ziemkiewicz (ur. 1964), student III roku polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutował w 1982 r. w „Odgłosach”. Swoje opowiadania drukował w „Młodym Techniku”, „Problemach”, „Fantastyce” i wydawnictwach klubowych. Jego tom opowiadań „Władca szczurów” ukaże się w najbliższym czasie nakładem Wydawnictw „Alfa”.

Chcecie pieśni, dostojni panowie i szlachetne damy? Jeśli wola wasza, zaśpiewam o dawnych czasach i o twoich, królu, przodkach. Zaśpiewam o ludziach z Estaronu i o ich czynach. Może dam wam łzy, może śmiech, a może święte zadumanie? Któż może powiedzieć, zanim pieśń przebrzmi, skoro tyle w niej prawdy, ile w nas samych?

Potężne było w tamtych latach królestwo. Od pół Bosztorny, nad świętymi wodami Toregu, w skałach Asthorgu strzelały pod niebo wieże wartowni. Czuwali tam rycerze mężni i szlachetni, wierni swemu słowu aż po śmierć. Oracz nie bał się wychodzić w pole, kupiec podróżował bezpiecznie, póki oni trwali na straży. O, nikt nie ważyłby się w tych czasach

wnieść miecza do naszej krainy, żaden fałszywy przyjaciel, żaden zły doradca nie zatrwał ludzkich serc...

Odeszli już dawno królowie z Askiburionu i ich rycerze. Proch pokrył zamki, legły w gruzach strzeliste wieże. Przetoczyły się przez Estaron obce armie, przeszedł głód i płacz... Ach, czemu tak się stało?

I

Dokąd śpieszysz, rycerzu? Wszędzie już noc zapadła, mroźny wicher gnie drzewa, rani szczyty gór. Zimno wdziera się pod płaszcz, pod futrzany kaptur, przenika kaftan i kolczugę. Okruchy lodu biją po twarzy. Czemu w taką noc przedzieraszą się, rycerzu, skalistą drogą do Ghostihargu, zamiast zostać w ciepłej gospodzie? U siodła przytroczony królewski buńczuk — snadź ważne przynosisz wieści. Przy buńczuku żałobna wstęga. Smutne to muszą być nowiny. Znikłeś już, rycerzu — tętent utonął w wyciu wiatru. Przekłęty to wiatr. Już cię nie mogę dostrzec, rycerzu. Wszędzie mrok, tylko góry jak miecze wymierzone w niebo. Każdy kształt niesie ból oczom, I budzi w sercu trwogę.

II

Mglista Przełęcz osłonięta jest przed wiatrem, słychać tylko jego szloch wśród splątanych konarów. Przez zasy py przedziera się czarno odziany jeździec. Spod płaszcza lśni złoty łańcuch, na koniu bogata uprząż. Cóż to za noc, że aż dwóch możliwych wędrowców, choć w różne strony, wybrało się w góry? Oto już człowiek w czerni staje przed błękitną mgłą u końca przełęczy. Od lat nikt nie postąpił dalej. Szeptem długo niezrozumiałe dla śmiertelnych słowa. Mgła kłębi się, wzdyma, powoli otwiera się w niej przejście. Czarny jeździec wstępuje w chmurę, znika w błękicie.

III

Potężna jest warownia nad przełęczą, zwana Ghostiharg — oko króla. Tu rycerze Huromira trzymają straż nad przejściem przez góry. Choć zło dawno już zostało pokonane, choć potężne zaklęcia arcymaga Ornofa zamknęło przełęcz, trzeba czuwać, by złe moce nie wyszły poza swą dziedzinę. Niełatwo znaleźć się w tej warowni. Potworne siły drzemią w krainie za górami, którą dziś z obca zwiemy Evillonem, a którą przodkowie nasi nazwali Grodem Nocy — Nokthgaardem. Wiatr zza gór wdziera się w serce, zatrzuwa duszę. Trzeba wielkiej woli i szlachetności, by nie dopuścić do siebie zła.

Dogasa płomień w krużach, blask migocze na kamiennych ścianach. Nad Królewskim Kryształem pochyla się w zamyśleniu rycerz Rohałt, dowódca warowni. Wielka burza rozpełtała się w jego sercu. Dotyka palcami lśniącego kamienia. Niegdyś klejnot ten podarował królowi Eronowi posłaniec samego Mirłana, potem mag Ornof na wieki związał go z Mglistą Przełęczą. Kryształ ostrzega. Jego toń zmętniała, kłębią się w niej mgły, krwisty blask potężnie na twarzy Rohałta. Nieszczęście zbliża się do królestwa. Rohałt chowa kamień do złotej szkatuły, siada załamawszy ręce na piersiach. Wtem słyszy tumult z dziedzińca: posłaniec przybył — wołają od bramy.

V

Młody rycerz wchodzi, skłania głowę, rzuca na ziemię żałobny proporzec. Włosy ma potargane, łzy w oczach — może od mroźnego wiatru, a może z żalu?

— Wielki mag królestwa i doradca króla odszedł w Niewiadome Strony. Trzy dni temu zabrała go śmierć pocieszycielka — mówi. Zła nowina. Już przed laty, gdy rodził się Ornof, przepowiadano, że z jego śmiercią zacznie się upadek królestwa.

— Lecz czyżbyś nie słyszał, waleczny Rohalcie, czyżbyś nie pojął? Nie widać po tobie żalu. Ty już myślisz o innych rzeczach, już wiesz, czemu rozjarzył się Królewski Kryształ, kto odważył się złamać odwieczny zakaz i wejść na przełęcz. Stary Ornof nie żyje — jakże wiele zmieniło się na świecie!

VI

Rohałt nie chce czekać nawet do świtu. Każe sobie podać zbroję. Zwołuje rycerzy. Przychodzą wszyscy, groźni i nieulekli, zbierają się w wielkiej sali. Tylko kilku zostało na wieżach. Rohałt patrzy po nich, wie, że go nie zawiodą.

— Ktoś wdarł się na przełęcz — mówi. — Moi przyjaciele, jeśli nie lękacie się zimna, wiatru ani zjaw z Nokthgaardu, pojedziemy go tropić. — Wszyscy chcą iść z Rohałtem. Ten wybiera Trzegoha, Skarbmira Siłacza, Howeda i Grotona. Każe sposobić się do długiej drogi.

VII

Włożyli kolczugi ze stalowej siatki i skórzane kaftany, na nie stalowe pancerze. Teraz okrywają się ciepłymi płaszczami podbitymi futrem, na głowy kładą błyszczące hełmy. Ciepłe rękawice i kaptury chronią ich przed zimnem. Do siodeł przytroczyli juki z żywnością i bukłaki z winem.

Rohałt założył srebrzystą zbroję i szkarłatny płaszcz. U pasał zawiesił miecz Rambitar, od wieków będący w jego rodzie. W rękę trzyma włócznię. Zachęca towarzyszy do pośpiechu. Zgrzyta rozsuwana brama. Przyjaciele podnoszą na pożegnanie dłonie. Czy będzie im dane powrócić?

VIII

Rycerze szybko jadą ośnieżoną drogą. Nie mówią nic, wicher tłumi słowa, wciska je z powrotem do ust. Nikt nie wyczyta ze stężonych twarzy, czy się boją, czy marzą o walce, czy przeczuwają swój los. Tylko oczy ich lśnią w ciemności. Żaden nie spyta Rohałta, dokąd ich wiedzie. Choćby i na śmierć, od tego jest królewskim wodzem, a oni królewskimi rycerzami. Żeby dziś jeszcze żyli tak mężni wojownicy, nie upokarzaliby nas wrogowie. Szybko jadą rycerze j ośnieżoną drogą.

IX

Wiatr wyje w nagich gałęziach drzew, sypie okruchami lodu. Groza przywarła w czarnych bryłach gór, czai się za plecami jeźdźców. Rohałt prowadzi. Zjeżdżają na przełęcz,

między kamienne ściany. Tu wiatr cichnie, tylko puszysty śnieg wiruje dokoła, osiada na labrach i kirysach. Rycerze prą naprzód — już zniknęli w głębi wąwozu. Tylko wiatr wyje na grzbietach gór.

X

Przed nimi błękitny blask. Zbliżyli się już do końca wąwozu. Pomiedzy ścianami kłębi się niezwykła mgła. Nikt tędy nie przejdzie, odkąd rozsnuł ją Ornof po zwycięstwie króla Haryana. Lecz teraz maga zabrakło, a nie pozostawił następcy.

Rohałt zsiada z konia, pochyla się nad śniegiem. Wprawne oko strażnika przełęczą dostrzeżę na wpół zasypane ślady. Wiodą w mgłę. Rohałt idzie za nimi, jest bardzo blisko — widzi, że mgła rozstępuje się przed nim pokazując drugą stronę gór. Fala ciepła przenika rycerza od stóp do głowy, serce bije mocno. Spieszno mu schwytać tego, kto zniweczył zakłęcie Ornofa. Na tę chwilę czekał całe życie.

XI

— Przeszedł! — krzyczy wskakując na siodło. — Przeszedł do Nokthgaardu! Trzeba go schwytać albo dać głowę!

Spina konia i rusza ku mgle.

— Stój, panie! — wołają jego woje. — Nie postępujemy pochopnie.

— Kto z was się boi, niech wraca do warowni.

XII

— Nie zadawaj nam tchórza! — krzyczy Skarbmir. — Choć nie wstyd najmężniejszemu wojowi bać się złamania królewskiego zakazu. Jakże, chcesz, byśmy weszli do Nokthgaardu? O tym nawet myśleć nie wolno!

XIII

— Ktoś złamał ten zakaz — rzecze Rohałt. — Nie może mu to ująć bezkarnie. Czy chcecie siedzieć tu i czekać, gdy on tam poszedł na naszą zgubę?

— Musi to być potężny mag, bo tylko taki mógł zniweczył zakłęcie Ornofa — mówi Trzegoh. — Czy mu sprostamy?

— Potężny mag, jeśli połączy swe siły ze złem dziedziny umarłych, stanie się potężniejszy niż ktokolwiek na świecie. Kto teraz, oprócz nas, może mu w tym przeszkodzić?

XIV

Rycerze zwiesili głowy. Są mężni, ale trwożą się na myśl o krainie zła. Od lat nie postawiła tam ludzka stopa. Straszne opowieści krążą o tych stronach.

Niebo już pojaśniało. Słońce nie przebija się zza chmur, ale wiatr przycichł. Rohałt powoli wchodzi w błękitną mgłę, za nimi Trzegoh i Skarbmir, potem Howed z Grotonem.

Lśniąca chmura okrywa ich, zasłania... Znikli w niej.

W warowni Ghostihargu, Królewski Kryształ rozjarza się purpurowym blaskiem.

.....

Wybaczcie starcowi, dostojni panowie i szlachetne damy, że przerywa opowieść. Niech tylko pokrzepię gardło łykiem wina — zbiorę siły i będę śpiewać dalej, bo pieśń ledwie się rozpoczęła.

XV

Mężny Rohałt i jego rycerze jadą wśród skalistych piargów Nokthgaardu. Cisza panuje wzdłuż drogi, którą jadą. Dawno las, który ich teraz otoczył, nie widział ludzi. Nie jest to zwykły las — lepiej było, rycerze, nie zapuszczać się do tej krainy. Zewsząd patrzą na was straszne oczy. Nie krzyknie ptak, nie zaszeleści zwierzę. W Nokthgaardzie nie ma już od dawna żywych istot. Rycerze nie ważą się odzywać do siebie. Czasem któryś zsiądzie z konia, pochyli się, sprawdzi trop. Potem znowu na koń i skinienie dłonią — jedźmy dalej.

XVI

Cisza jest potworna. Minęli piargi i czarną rzekę, śnieg tłumi stuk podków. Gdzieś za chmurami słońce bezlitośnie toczy się po niebie. Strzeżcie się nocy, rycerze, strzeżcie się!

Rohałt unosi głowę — nie, nikt nie wołał, tylko cisza tak dźwięczy w uszach. Oto już Sztormowe Pole, tu kiedyś walczył król Maor. Jeszcze leżą rozrzucone kolczugi, tarcze, hełmy... Spróchniałe szkielety jeszcze zaciskają miecze. Straszne to miejsce pamięta zdarzenia. Wiele czasu zajmuje rycerzom jego przejście. Wreszcie znowu wchodzi w las, lecz nie daje on schronienia. Już więcej niż pół dnia minęło.

XVII

Cisza jest przerażająca. Jak okiem sięgnąć żadnego ruchu. Nawet drzewa nie poruszają gałęziami. Rohałt wstrzymuje konia. Pora odpocząć. Zeskakuje na ziemię, rozciera zmarznięte dłonie. Głód doskwiera wszystkim. Howed podchodzi do jednego z drzew, wznosi topór — co czynisz, rycerzu! — i opuszcza zabójcze ostrze na gruby pień. Jakby syk rozlega się wokoło, czy tylko echo tak gra po lesie? Howed uderza raz po raz, lecz drzewo jest twarde jak kamień. Howed uderza z całych sił, odłupuje drzazgi, lecz drzewo nie ulega. Teraz topór przejmują Skarbmir. Ten bierze rozmach, wali z nadludzką siłą, zagłębia ostrze płytko pod korę. Uderza raz za razem. Przyjaciele pomagają mu. Wolno, wolno drzewo zaczyna się pochyłać. Wreszcie po długim czasie pada. Potworny trzask niesie się po lesie.

XVIII

Jeździec w czarnym płaszczu podąża do Baahgdu. Kaptur opada mu na oczy, nie widać twarzy, tylko po długiej brodzie i trzymanej w ręku różdżce można poznać maga. Któż to może być? Starego Ornofa nie żegnał żaden uczeń, a nikt nie słyszał o innym magu w tej części świata. Czarnoksiężnik rozgląda się, wie o rycerzach, którzy go tropią. Nic nie ukryje

się przed jego wzrokiem. Na wzgórzu zsiada z konia. Powoli obchodzi szczyt góry, kreśląc wokół niego wielkie koło. Pisze różdżką na śniegu zaklęcia. Straszna jest ich moc.

XIX

Groton krzesze ogień, podkłada go pod porąbany wreszcie pień. Ciepłe płomienie liżą złożone w stos kłody. Lecz ledwie rycerze okrążyli ogień, nagle płomienie strzelają wysoko, w niebo tryska snop iskier — z ognia słyhać przeraźliwy krzyk płonącego człowieka. Odsuwają się dalej. Krzyk długo, długo nie milknie, a oni słuchają go w skupieniu i grozie. Wreszcie drzewo dogasa. Rycerze wsiadają na konie, odjeżdżają śpiesznie.

XX

Cisza staje się nie do zniesienia. Dźwięczy w uszach, wdziera się do serc, z wolna budzi w sercach rycerzy trwożę. Próżno popędzają zdrożone konie, ściga ich strach szybszy od myśli. Próżno zaciskają pięści na mieczach — nikogo wkoło, by go ugodzić, a jednak ze wszystkich stron zaciska się groźny, niewidzialny pierścień.

Wreszcie Rohałt z trudem otwiera usta. Ledwie szept wydobywa się z nich, zanim głos jego nabierze mocy.

— Nie jedźmy tak w ciszy, przyjaciele. Jeśli chcecie, opowiem wam pewną historię z dawnych czasów. Kto wie, jak ważne są dla nas te wydarzenia.

Rycerze milczą długo, nim wreszcie Howed waży się wyszeptać:

— Opowiedz. — Opowiedz — powtarzają wszyscy głośniejsz. Zda się, że zły czar na chwilę prysnął. Rohałt nabiera w piersi mroźnego powietrza, patrzy na drogę przed sobą. Zaczyna opowieść.

XXI

Król Harian miał wśród swych licznych towarzyszy barona Turanu, potężnego grodu nad Toregiem, którego zwano Rohałtem. Siła by opowiadać o wszystkich ich wspólnych czynach, o bitwach i wyprawach, które razem odbyli. Młody Rohałt służył Harianowi radą i mieczem, nim jeszcze ten został, po śmierci swego stryja, Medora, wyniesiony na tron. Ciężkie to były czasy dla Estaronu. Odkąd dziad Medora, Maor, wziął koronę, nieszczęścia zaczęły spadać na królestwo jedno po drugim. Wielka zaraza spustoszyła Sleng, Skurgon spłonął, hordy Vorgsterny spustoszyły kraj, podchodząc aż do Toregu. Przez ćwierć wieku aż sześciu królów zasiadało na tronie. Lecz najgorsze wydarzenia przyszły za ostatniego z nich. Nim jeszcze Medor zmarł po wielu latach choroby, od której całe ciało mu zgniło, rozpętała się w królestwie wielka, nieustająca wojna, która doprowadziła je na skraj upadku. Baron walczył z baronem, rycerz z rycerzem, a każdy, kto mógł się poszczycić jakąkolwiek parantelą z domem królewskim, już żądał korony albo udzielnego księstwa. Niewielu wtedy mógł znaleźć ludzi Harian, którym mógłby zaufać. Wpierw tylko stary Ornof, co po śmierci Medora wrócił z wygnania, i ledwie kilkunastu baronowi stanęło przy nim. Ci wyrabali mu władztwo, a wielki król potrafił hojnie się odwdziaczyć. Rohałt, którego król za jego cnoty obdarzył zaszczytnym przydomkiem Rohałta Wiernego, towarzyszył mu najdłużej i najwierniej. Wreszcie powoli nadeszły spokojniejsze czasy. Po wielu bitwach nastął pokój, potężne warownie zamknęły granice, a dostatek wrócił do kraju.

Rohałt zatem wrócił do Turanu, do swej żony i bliskiego już pasowania syna Szaihana.

Nie dane mu było jednak cieszyć się spokojem.

Pewnego razu wyjechał z przyjaciółmi na polowanie i odłączył się od nich w pogoni za zwierzyną. Nie niepokojono się zbytnio, gdy rycerz nie wrócił wraz z innymi przed zmierzchem. Dopiero późno w noc rozległo się pod bramami grodu wołanie. Otwarto wrota: wjechał nimi Ornof. Wiózł na swym koniu rannego Rohałta. Rycerz oddychał jeszcze, ale dusza już z niego uszła. Próżno starano się mu pomóc. Zmarł, zanim nadszedł świt. Stary Ornof płakał po nim i długo żegnał się z martwym przyjacielem. W końcu wezwał do siebie Szaihana i kazał szczelnie zawrzeć drzwi komnaty.

— Pochowasz swego ojca, Szaihanie — rzeki. — Ja nie mogę zostać tu dłużej. Muszę znaleźć jego mordercę i wziąć pomstę.

— Pójdę z tobą, panie.

— Nie, Szaihanie. Zbyt słaby jesteś, by mierzyć się z tym przeciwnikiem. Czyż ojciec twój nie był największym wojownikiem Hariana? A spójrz, leży tu martwy, ledwie z jedną małą raną na ramieniu. Myślisz, że taka rana, zadana ręką zwykłego śmiertelnika, mogłaby zmóc tego rycerza? Nie, Szaihanie, nie tobie mierzyć się z magiem. Sam muszę go pokonać.

— Z magiem? Czyżby więc był jeszcze jakiś inny mag w tej części świata?

— Niestety. Co gorsza, jest prawie równie potężny jak ja, bo sam uczyłem go czarnoksięskiej sztuki. — Tu Ornof zwiesił smętnie głowę i zaczął szarpać brodę.

— Posłuchaj, Szaihanie, dlaczego omal nie upadło królestwo Estaronu, które z królem i twoim ojcem udało nam się uratować. Byś mógł to zrozumieć, musimy cofnąć się do dawnych, dawnych lat, kiedy to jeszcze Mirłan sam schodził z obłoków do swych dzieci, zanim jeszcze pokonał Nienazwanego i zesłał ludziom śmierć — pocieszycielkę.

— Słyszałem o tych czasach... Choć czasem nie bardzo wierzyłem, że naprawdę się to działo.

— Wiele wieków upłynęło od tych lat... słyszałeś więc pewnie, jak jeden z cesarzy Mozizu zebrał wszystkie swe siły na wyżynie Ręsnęghu, którą odtąd nazywano Nokthgaardem?

— Tak... mówiono mi też o tym, że Mirłan zepchnął tam całe zło świata i otoczył wyżynę nieprzebytymi górami, na których posiał cierniste lasy Usthorgu i Astrhorgu.

— Wtedy to właśnie ostatni pan Mozizu postawił w stolicy Nokthgaardu ogromny posąg ku czci Nienazwanego, poddając te ziemie po wiek wieków jego władzy. Posąg ten miał jedno oko. Był nim ogromny, lśniący kamień, który cesarze Mozizu otrzymali w darze od Nienazwanego, zanim Mirłan przepędził go do podziemi. W kamieniu tym jego stwórca zawarł część swej potwornej mocy, mocy czynienia zła. Chociaż więc sam Nienazwany zniknął ze świata, władza jego trwała przez ten klejnot. Nasi ojcowie nazwali go Baanghost — oko posągu.

Wiele lat trwało to przeklęte królestwo, zanim wreszcie stał się z jego potęgą i obrócił ją w perzynę król Eron. Obalono wtedy potężny posąg, zrównano z ziemią cały Nokthgaard. Lecz Baanghost zniknął. Szukano go wiele lat, ale nikt nie był w stanie powiedzieć, co się z nim stało. Niektórzy twierdzili, że ostatni pan Baaghdu rzucił go w szczelinę ziemi, oddając go z powrotem jego twórcy. Magowie nigdy w to nie uwierzyli.

Nokthgaard otoczony górami i pilnie strzeżoną przełęczą, wyludniał się powoli, zamieniając się w krainę zamieszkaną przez upiory, wiły i trasguny. Zdawało się, że przestał już być zagrożeniem. O Baanghoście powoli zapomniano.

Szukałem tego kamienia, tak jak szukał go mój mistrz, wiedząc, że to póki jest on na świecie, nie będzie w lasach między morzami pokoju. Toteż od razu nabrałem podejrzeń, gdy nagle zaczęły na królestwo spadać nieszczęścia, a królowie rozpoczęli rządy srogie i okrutne. Może wielu złych zdarzeń dałoby się uniknąć, gdybym mógł działać. Wygnano mnie jednak z dworu i z królestwa. Cóż mogłem robić? Byłem tu wiele razy, czasem jako wędrowiec, czasem jako gradowa chmura... Mogłem tylko obserwować narastające zło, niezgodę, wojny i intrygi.

Szczeńciem młody Harian miał więcej rozumu od swych poprzedników. Nie przyjął od stryja tego, co od kilku pokoleń stanowiło główne dziedzictwo korony. Czy zgadniesz?

Nikt już chyba nigdy się nie dowie, skąd Baanghost wziął się w rodzie królewskim. Strzeżono go pilnie i przekazywano dopiero na łożu śmierci. Musisz wiedzieć, że moc zawarta w tym kamieniu, potrafi pokonać każdego, jeśli tylko przez chwilę uzna go za swoją własność. Strach myśleć, co by było, gdyby Harian nie posłuchał mojej rady.

Tu Ornof zwiesił głowę, pogrążony w rozmyślaniach.

— I co stało się z tym kamieniem? Czy zniszczyliście go?

— Nie ma takiej mocy, która by zniszczyła dzieło własnych rąk Nienazwanego. Sam Mirłan mógłby to zrobić, ale on już nie mieszka na tym świecie. Pojechaliśmy do Nokthgaardu ukryć tam na wieki tę rzecz, której nikt ze śmiertelnych nie powinien oglądać. Wiele wycierpieliśmy, by to zrobić, wiele potworów i złych sił trzeba było pokonać. Z naszej drużyny wróciłem tylko ja i twój ojciec. Zamknąłem Mglistą Przełęcz całą swą mocą, jaką mi dano. Miałem nadzieję, że już nikt nigdy nie nawiedzi tych stron, prócz trasgunów i wilkołaków.

Niestety, popełniłem jeden błąd, dość wielki, by zniweczyć wszystkie owoce mego życia. Wybrałem złego ucznia. Garoth pożądał Baanghostu, wie, że pozwoliby mu on zyskać władzę nad światem! Gdy przejrzałem jego zamiary, uciekł, nim zdążyłem go zabić. Nie znam spokoju, póki on nie zginie. Ale jestem już słabszy niż dawniej, a on rośnie w siłę. Boję się pomyśleć, co będzie, jeśli umrę, nie rozprawiwszy się z Garothem.

— Więc to on zabił mego ojca?

— Chciał wiedzieć, gdzie ukryliśmy klejnot. Rohałt nie powiedział mi tego, choć niewiele już brakowało. Zdążył mnie wezwać, ale przybyłem za późno, aby uratować mu życie.

Przeżyłem już dziewięciu królów, a przecież nie jestem nieśmiertelny. Jeśli Garoth przedrze się do Nokthgaardu... jeśli odnajdzie oko posagu...

Tejże nocy stary Ornof odjechał szukać swego wroga. A młody Szaihan trzy dni i trzy noce siedział w komnacie, trzymając obnażony miecz w dłoniach. Wreszcie wbił go w młode drzewo i uroczyście zaprzysiągł, za siebie i synów swoich, czuwanie nad Mglistą Przełęczą i pomstę na zabójcy swego ojca, Rohałta Wiernego. Nie dane mu było jej dopełnić. Gdy urodził mu się pierworodny, nadzwyczaj podobny do swego dziada, dał mu jego imię. Tym bardziej, że nad brzemienną już matką przysiadł czarny ptak i padł martwy u jej stóp. Wielu wierzy, że w ten sposób dusza dziada wcieliła się we wnuka. I ja tak wierzę. I oto jestem tu i nie zawaham się wejść do samej stolicy Nokthgaardu, by dopełnić zemsty zaprzysiężonej przez mego ojca. I dopełnię jej, przyjaciele, z waszą pomocą.

XXII

O, w jakże niewczesną porę wypowiedziałaś, Rohalcie, te słowa. Ale zemsta cię zaślepiła, bardziej myślisz o niej niż o Estaronie. Gorzej jeszcze — choć sam się nigdy do tego nie przyznasz, ty chcesz tego samego co Garoth. Czy życie nad Mglistą Przełęczą, w złym wietrze z Nokthgaardu zatrało ci serce, czy pycha cię zaślepiła, czy znikczemniała w twych żyłach krew przodków? Oto już ciemność zapadła, konie z trudem przedzierają się przez zaspę. Tyle już czasu minęło, jakże już zdrożone są wierzchowce i jeźdźcy. Droga wspina się na wzgórze, rycerze wjeżdżają w nakreślony krąg — nikt nie dostrzegł magicznych znaków. Chyłą się ku końskim karkom senne głowy.

XXIII

— Stój, Rohalcie! — krzyczy Skarbmir, ledwie znaleźli się na szczycie wzgórza. Nagle

skończyła się potworna cisza. Czarna ściana lasu wzdyma się, szeleści, szumi, na koniec z trzasków powstaje jeden gniewny grzmot, przeciągły ryk, od którego truchleją serca rycerzy. Teraz dostrzegają setki lśniących oczu schowanych w ciemności. Te oczy wpatrują się w nich.

— Zda mi się, że las zbliża się do nas — mówi Trzegoh. Nikt mu nie zaprzeczy. Starzec w czarnym kapturze jedzie w swą stronę. Serce jego jest spokojne.

XXIV

Rycerze nie rzucają zbędnych słów. Ustawiają się szeregiem wokół szczytu góry. Zgrzytają dobywane miecze, Howed opiera o ziemię swój topór. Jeszcze trzasnęły opuszczane przyłbice. Stoją jak pięć posągów, ku którym zmierza fala przyboju. Oczy wpatrzone są w podchodzący las, usta zaciśnięte. Potężny ryk zagłusza wszystko, fala zamyka ich w swym uścisku. — Bij! — krzyczą wszyscy wznosząc broń do ciosu.

XXV

Rycerze stoją plecami do siebie, ramię przy ramieniu. Cienie są już przy nich, dalej powoli idą żywe drzewa. Noc jest porą, gdy zabici i nie pomszczeni, zakłęci w drzewa, ozywają, by dopełnić swej powinności na świecie.

Groton tnie z rozmachem przez trupa twarz, miecz przechodzi przez kark i barki, odrywa potworowi głowę i lewe ramię, lecz ten wznosi drugą rękę do ciosu. Groton osłania się, tnie jeszcze raz. Rohał przebija rycerza Nokthgaardu włócznią, odpycha go. Skarbmir i Trzegoh tną po twarzach, rozbijają głowy. Wszystko na nic, nie ubywa wrogów. Potężna moc ożywiła dawno poległych wojowników Moziżu, nic ich nie pokona. U stóp Grotona drga porąbane ciało, zrasta się i oto wróg znów wstaje i podnosi na niego miecz.

— Żywi stąd nie wyjdziemy — krzyczy z głuchą rozpaczą Howed.

XXVI

Rohał walczy zimno i spokojnie, szuka ratunku. Czuje, że za dnia potwory tracą swą moc. Ale czy wytrwają całą noc? Nadzieja gaśnie szybko. Rohał tnie przez trupa rękę. Widzi za umarłymi inne cienie — chyba wszystkie upiory Nokthgaardu zebrały się na ich zgubę. Ale Rohał nie pogodził się jeszcze ze śmiercią.

Słyszy po prawicy jęk i głuchy łoskot. Howed osuwa się na ziemię, dziesiątki zardzewiałych mieczy przeszywają leżącego. O, jakżeż nędzny los spotkał cię, rycerzu, jakżeż podła śmierć w przeklętym kraju. Nie zapłacze nikt nad tobą, nie zaopatrzy na ostatnią drogę, nie zapali na grobie płomienia. Źle ci los zapłacił za wierną służbę królowi.

XXVII

Ledwie zdążyli Trzegoh ze Skarbmirem stanąć nad ciałem druha. Przerzedził się ich żywy mur. Trzegoh uderza z góry, rozcina trupa aż po pas. Ten pada. Trzegoh z rozmachu postępuje jeszcze krok do przodu, silny cios trafia go w głowę, osuwa się po hełmie na zbroję rycerza. Trzegoh obraca się, bije z góry mieczem — nagle potworny ból rozrywa mu kark, miecz wypada z dłoni. Osuwając się, nie czuje już ciosów.

I ty, nieszczęsny rycerzu, nie wrócisz już do domu, przyszła po ciebie lodowa pani tu, do tej ciemnej krainy. Niebawem zabierze i następnych. Skarbmir ścina potężnym ciosem łeb sosuna, który zabił Trzegoha, aż przygina nogi od zamachu. Zdradzieckie ostrza przeszywają jego plecy. Obok osuwa się trup Grotona. Rohańt płacze po swej drużynie, tak nagle straconej, i obraca mieczem, głośno przyzywając śmierci.

XXVIII

Rohańt opadł z sił. Czuje, że śmierć jest blisko — nic go już nie uratuje. Lecz gdy już miecze zmarłych mają go przebić — cienie cofają się, niechają ofiary. Rohańt podnosi głowę. Widzi idące na niego drzewa Trashorgu. Żywe drzewa otaczają go kołem. Rohańt biega między nimi, uderza, ale miecz odbija się jak od kamienia. Chwytają go sękaty dłonie trasgunów, zaciskają się na gardle.

— Zemsty! Zemsty! — krzyczy Rohańt w rozpacz i traci dech. Ciemność zakrywa mu oczy. Pada bez czucia.

Starzec w czarnym kapturze stanął na ruinach stolicy Nokthgaardu.

.....

Widzę wśród was poruszenie, szlachetni moi słuchacze. I ty, królu, jak poznaję z twej twarzy, niezbyt jesteś kontent z mej pieśni. Racz wstrzymać się jeszcze z wyrokiem. Wszak obyczaj nakazuje, aby na koronacji poświęcony bard dokończył swej pieśni. Już uderzam ponownie w struny — słuchajcie dostojni, co dzieje się dalej.

XXIX

Oto już minęła noc i dzień od chwili, gdy drużyna Rohańta walczyła z upiorami. Sprawca ich klęski, mag Garoth, szpera wśród ruin świątyni Nienazwanego. Odgrzebał z kamieni wejście do lochu, zaraz zejdzie tam, skąd czuje przyzywającą go siłę.

Blisko jest celu. Tak wiele lat marzył o czarnym klejnocie. Tak długo musiał kryć się przed Ornofem, szukać metody na zamykające Mglistą Przełęcz zakłęcie... i wreszcie tak bliiski jest celu.

Ale Garoth nie wie, że nie wszystko stało się tak, jak chciał. Są tu w Nokthgaardzie moce starsze od wszystkiego, co istnieje, i nie podległe nikomu. One władają tą krainą.

XXX

— Więc dotarłeś tu, mój uczniu i mój wrogu? Obawiałem się tego przez wiele lat, aż do śmierci.

Garoth przez mgnienie oka czuje trwogę, poznając ten głos, zaraz jednak wraca mu dumna i odwaga. Ogląda się, dostrzega cię swego starego mistrza, stojący za nim, ledwie widoczny w półmroku dnia.

— Więc nawet na to się odważyłeś — rzecze — aby wrócić ze szczęśliwej krainy? Jakże wielka musiała być twoja nienawiść do mnie!

— Nie nienawiść, mój uczniu. Odszedłem z wyroku Mirłana i nie wolno mi się już mieszać w ludzkie sprawy, choć do niedawna było to moim powołaniem. Ale narażę się na gniew boski i straszną karę, bo chcę ci pomóc. Wysłuchaj mnie, nim będę musiał wrócić

pomiędzy umarłych.

Garoth śmieje się. Ornof chce mu pomóc — czyżby źle usłyszał? Drwi ze swego mistrza i obróciwszy się, wchodzi do lochu.

— Nic tam nie znajdziesz, choć nie mylisz się, sądząc, że tam jest ukryty ten przeklęty kamień, od którego zaczęły się wszystkie nieszczęścia królestwa. Trzeba jednak znać zaklęcie i wypowiedzieć je.

— Pokonałem już tyle przeszkód, więc poznam i zaklęcie, choćbym miał przez sto lat próbować wszystkich słów.

— Powiem ci to słowo — brzmi: Aimas.

Garoth dziwi się, aż przystanął i odwrócił się.

— Czemu zdradzasz mi tę tajemnicę, mistrzu? Czyż nie poświęciłeś całego życia na to, by ten kamień na wieki znikł ze świata?

— Widać ten klejnot należy do świata i nigdy go nie opuści. Prędzej czy później poznałbyś strzegące go słowo. Powiedz mi tylko, co uczynisz, gdy już będziesz trzymał klejnot w ręku?

— Wypowiem słowa, które są na nim wyryte i wezmę go w posiadanie.

Starzec milczy długo. Zwiesza głowę.

— Zbyt mało cię nauczyłem, zanim musieliśmy się rozstać. Nigdy nie obejmiesz w posiadanie tego, co stworzył sam Nienazwany. Tak mogli uważać królowie Estaronu, lecz ty, mędrzec? Nie łudź się! To Baanghost weźmie cię w posiadanie, odbierze ci wszystko, twój rozum, wiedzę, umiejętności. Będziesz potężniejszy, niż mógłby być zwykły śmiertelnik, wiedząc nawet, jak odczytać wyryte w klejnocie litery. Ale staniesz się kukłą, bezwolnym posągiem poruszającym przez złego boga. Pamiętaj o tym, mój uczniu, i nie łudź się, że Baanghost da ci władzę nad tym światem! Pamiętaj!

— Kłamiesz! To nieprawda, Ornofie, kłamiesz! — krzyczy Garoth, szuka widma wzrokiem, ale Ornofa nigdzie już nie widać. Garoth został sam z ukrytym klejnotem i swymi myślami.

XXXI

Wreszcie zbliżył się do końca lochu, dotyka dłońmi ścian. Aimas — mówi głośno. Natychmiast ściana otwiera się w blasku. Tkwi w niej czarny kamień, wielkości złożonych pięści, świecący ciemnym blaskiem. Garoth patrzy długo, aż wreszcie schwycił kamień, wychodzi z lochu. Siada na szczątkach murów i w zadumie obraca oko posągu w dłoniach. Zapomniał o całym świecie, o wszystkim, co się wokół dzieje.

XXXII

Spójrzcie! — wśród kamieni podnosi się okryty postrzępionym płaszczem rycerz. Patrzy uważnie na czarnoksiężnika i powoli, powoli podkrada się do niego, trzymając w dłoniach uniesiony miecz. Garoth nie widzi nic, toczy walkę z sobą. Rohańt pragnie podejść niepostrzeżenie i zniemacka przebić mu mieczem serce. Tylko tak można zabić maga. Rycerz idzie z trudem, nic nie jadł i nie pił od dawna, siarczasty mróz wdziera się pod podarty płaszcz, owiewa głowę. Gdzieś po drodze zgubił Rohańt futrzany kaptur i hełm, miecze upiorów poprzecinały skórzany kaftan okrywający koleczugę. Cały dzień szedł Rohańt tylko z pragnieniem zemsty, tylko z myślą, że wreszcie ujrzy Garotha, że zatopi miecz w jego ciele albo sam polegnie.

Lecz jak, pytacie, dostojni biesiadnicy, Rohańt wyrwał się z matni na zaklętym przez

Garotha wzgórzu? Pamiętajcie, że wskrzeszeni czarami Garotha wojownicy Mozizu rozstąpili się, gdy na plac boju przybyli okrutni mieszkańcy Nokthgaardu, co w dzień stawali się drzewami, a na noc ożywali. Już mieli go rozszarpać, już wielki trasgun zdusił go, zaciskając mu na gardle mocarną pięść, gdy dały się słyszeć słowa: Zemsty! Zemsty! Kto wzywa zemsty w ostatniej chwili życia, musi być bliski tym, co dla zemsty mocą czarów Nienazwanego zmienił się przed wiekami w drzewa i od wieków czekają, by pomścić się na potomkach swych zwycięzców. Wyczuwszy więc w rycerzu to święte dla siebie pragnienie zemsty, trasguny oszczędziły go. Gdy rankiem ocknął się pośród drzew, gonił Garotha nadal, nie tracąc czasu nawet na pochówek przyjaciół. Wreszcie dostrzegł go w ruinach. Skrada się teraz z mieczem nastawionym do ciosu.

XXXIII

Garoth długo waha się. Tak pragnie czarnego klejnotu. Starczy mu odczytać słowa wyryte na kamieniu, a będzie potężniejszy niż ktokolwiek na świecie. Ale Garoth wie, że Ornof powiedział prawdę. Czuje potęgę Baanghostu, wie, że nie potrafi nad nią zapanować, że ta siła go zniszczy...

Trzyma więc klejnot w zaciśniętych do bólu dłoniach. Ogień pali mu duszę. Oddycha z trudem. Tyle lat ucieczki, cierpień i wszystko na próżno? Mag zaciska zęby i powieki, nie zauważa, że Rohałt zbliża się o trzy kroki, o dwa, o jeden, unosi w górę miecz...

— Wygrałeś, Ornofie! — krzyczy Garoth odrzucając Baanghost. Zwyciężył. Zwalczył pokusę. I w tym momencie miecz Rohałta rozdziera mu plecy i przebija serce. Potworny krzyk i strumień ognia bije w złe niebo Nokthgaardu, a gdy dym się rozwiewa, nie ma już wśród kamieni ciała ostatniego maga Estaronu.

XXXIV

Rohałt długo jeszcze stoi bez ruchu. Dopełnił zemsty, którą ślubował jego ojciec. Może już wracać. Ale wzrok jego błądzi po skałach, zatrzymuje się na czarnym klejnocie. Rycerz odwraca głowę, ale żądza pali jego serce. Wie, co to za klejnot, wie, ilu nieszczęść jest przyczyną, ale nie ma siły maga, którego dopiero co zabił. Wyciąga dłoń...

— Należy mi się ten kamień, za ojca i dziada, za życie poświęcone Mglistej Przełęczy — krzyczy, by zagłuszyć własne sumienie. — Czyż nie mogę, pokonawszy wroga, wziąć na nim zdobyczy?!

Chwyta klejnot, chowa go pod płaszcz i wskoczywszy na konia czarnoksiężnika spina go ostrogami.

XXXV

Dokąd pędzisz, rycerzu? Zagłębiasz się w mrok nocy, ale noc ci teraz niestraszna. Ciemność stanie się twoją matką. Czemu kierujesz swe kroki do kraju, któryś zdradził? Stało się, w warowni Ghostiharg pękł Królewski Kryształ. Wielka cię czeka teraz przyszłość, skoro twe znikczemniałe serce opanował ciemny klejnot. Zbierzesz rycerzy, zrzucisz z tronu króla Huromira i będziesz przez wiele lat rządzić okrucieństwem i strachem, nim własny syn nie wrazi ci w plecy sztyletu. Domowe wojny pokryją pola trupami, pożogi ogarną miasta i wsie. Vorgsterna zaleje pola aż do Toregu, Maronar zabierze skaliste góry Asthorgu i Usthorgu. I nikt już nie obroni upadłego królestwa. Obejmą je wrogowie i na tym skrawku ziem dawnego

mocarstwa będą osadzać królewskie kukły niegodne korony przodków...

Chcecie znać, szlachetni panowie, koniec tej pieśni? Sam Mirłan dopisze kiedyś jej dobre zakończenie. Cóż ci, królu, zrywasz się z za stołu z posiniałą od gniewu twarzą? Nikt od dawna nie ośmielił się rzec prawdy w tym zamku. Wzywasz straż? Cóż możesz zrobić mnie, starcowi? Zabić? Strzaskać lutnię, którą przodkowie moi dostali od samego Mirłana? Tylko właściciele Baanghostu zdobywali się na takie czyny...

Jakże jesteś słaby, królu. Czyżbyś...

Rafał A. Ziemkiewicz

Jacek Piekara **Smoki Haldoru**

Dokumentacja do wydania

Jacek Piekara dał się już poznać jako zdolny pisarz, specjalizujący się na razie (miejmy nadzieję, że na razie) w imitowaniu różnych konwencji i gatunków literackich. To stwierdzenie nie jest w żadnym przypadku zarzutem. Niewątpliwe, duże czytanie i erudycja autora oraz brak własnej wypracowanej stylistyki powodują, że Piekara sprawnie pisze *borgesem*, *d'ormessonem*, *tolkienem* czy *le guin*, opowiadając swoje własne historie.

Tak też jest w przypadku omawianej noweli. Gdyby zastanowić się nad jej promotorami, wymieniałbym tu właśnie Ursulę K. Le Guin, J. R. R. Tolkiena i, co może się wydać trochę dziwne, właśnie Jeana d'Ormessona. Temat smoka, magia imion i wiele innych elementów wywodzi się od Le Guin i Tolkiena. Natomiast cała nowela wydaje się historical fiction o wyraźnie moralizatorskim charakterze, dlatego też wskazuję jej filiację z d'Ormessonem.

Gdzieś w wymyślonym świecie, na peryferiach prawdziwie wielkich imperiów trwa walka o przetrwanie niewielkich państw. Fatalizm historii, a może tylko prosta nieumiejętność polityczna niektórych protagonistów tej opowieści, powoduje upadek owych państw. Co więcej, dopiero w chwili upadku staje się jasne, że nie walczyły one o swój byt, że odegrały po prostu zaplanowaną przez kogoś potężniejszego rolę. Ironia historii? Ale walka była rycerska, choć nie była to tylko historia bitew, ale również zdrad. Na placu boju pozostaje prawdziwy bohater — graf Gardzek z Omeloru, potężnej marchii Imperium Gordoru. Po dwunastu latach wygnania powraca do ojczyzny, wioząc ze sobą jajo smoka. Ten dar dla władcy Gordoru ma mu zapewnić jego przychylność. Gardzek powraca do Omeloru dzięki pomocy ducha Ardina, najgroźniejszego swego wroga z okresu dwunastoletniego wygnania. W tym świecie rycerskość nie może przewyciężyć wrogości, lecz wrogość nie może przewyciężyć rycerskości.

Dalsze streszczanie utworu Piekary nie ma właściwie sensu. Gardzek znów uwikła się w największą politykę. Nastąpią tajne pakt, zdrady, bitwy i najazdy. Gardzek zginie, lecz z nadzieją na odkupienie win. On i smoki oraz wielu, wielu innych zmienią linie graniczne, zetrą z mapy imperia, zmienią obraz tego świata. Czy na lepsze? Chyba nie. Historia nie wie, co jest lepsze.

W noweli Piekary dzieje się bardzo dużo. Jednocześnie zaś jej fabuła sprawia wrażenie niezwykle statycznej. Sojusze i sprzysiężenia zawiązują się i rozwiązują. Bitwy i wojny trwają, zdrada i morderstwo towarzyszą bohaterom. Czyżby przy takim nagromadzeniu zdarzeń możliwy był niedosyt akcji? Tak. Nowela ta bowiem jest kroniką historyczną. I to nie plotkarską kroniką Swetoniusza, ale historiozoficzną kroniką Tukidydesa. Oczywiście to tylko pewna metafora. Nie wiem, czy historiozofia skrajnego determinizmu, niewiara w skuteczność czegokolwiek jest jedynym lub choćby wystarczającym wykładnikiem historii, nawet baśniowej historii baśniowego świata.

W tej historii nie wygrywają lepsi, nie wygrywają szlachetniejsi, nie wygrywają uczciwsi. Ta historia się dzieje i może ona nam służyć pewną nauką. To wszystko.

Postacie w *Smokach Haldoru* mają niekiedy przed sobą istic szekspirowskie wybory. Gardzek, monarchista legitymista, który swój legitymizm opłacił długoletnim wygnaniem, musi sprzeniewie-

rzyć się dynastii, bo uważa, że tylko tak może uratować imperium. Vallis, światły władca reformator, nie może uratować imperium, ponieważ jego reformy godzą w tradycję, jedyny historyczny spójnik Gordoru. Dumna królowa musi błagać wroga o łaskę, ten zaś w pełni rycerski wróg nie może wyświadczyć łaski kobiecie. Galeria takich postaci zapełnia karty *Smoków Haldoru*.

Raz jeszcze trzeba powtórzyć, że pisarstwo Piekary nie jest oryginalne w swoich pomysłach. Nie jest też jednorodne w swojej stylistyce. *Smoki Haldoru* bowiem nie są baśnią, ale opowieścią o tragedii polityki, władzy i walki. Są moralitetem, który moralności pozostawia nader wąski margines. Dlatego mogłoby tu z powodzeniem nie być smoków.

Autor ciekawie i konsekwentnie opowiedział jakiś fragment Historii. Jest ona jedną z wielu możliwych fikcji Historii. Dlatego też okraszenie jej baśniowością rodem z innej konwencji nie wydaje się konieczne. Tym bardziej, że baśniowość ta pełni wątpliwe funkcje dramaturgiczne. Otóż Gardzek przegrywa nie dlatego, że smoki przenikają jego plany, lecz dlatego, że sprzeniewierza się sobie. To wystarczy.

Smoki Haldoru czyta się jednym tchem. Konstrukcja dramaturgiczna i wynikające z niej środki formalne pozostają we wzajemnej zgodności. Warto by może zasugerować autorowi pewne odejście od taniej baśniowości na rzecz nasycenia utworu klimatem fikcji historycznej. Czytając nowelę nie mogę się oprzeć wrażeniu, że stanowi ona swoisty prolog do większej, pełniejszej historii świata Jacka Piekary.

Ł.

Smoki Haldoru

(fragment)

Jacek Piekara (ur. 1965), student II roku prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Debiutował w 1983 r. na łamach „Fantastyki”. Swoje opowiadania o tematyce fantastyczno-naukowej i fantasy zamieszczał w „Problemach”, „Przeglądzie Technicznym”, „Młodym Techniku”, „Fantastyce” i wydawnictwach klubowych. Jest także autorem scenariuszy słuchowisk radiowych. W najbliższym czasie ukaże się nakładem „Naszej Księgarni” jego wybór opowiadań „Rzeka czasu”, a nakładem Studenckiej Oficyny Wydawniczej „Alma-Press” — mikropowieść „Labirynt”. „Smoki Haldoru” to fragment powieści, którą przygotowują do druku „Iskry”.

Gardzek szedł obok lektyki królewskiej niesionej przez czterech smągłokórych niewoźników. Vallis leżał na puchowych poduszkach z dłońmi splecionymi na piersiach. Graf uważnie mu się przyglądał, ale nie mógł rozpoznać rysów królewskich spod maski różu, pudru i srebrnego pyłu. Zwrócił jedynie uwagę na wielkie, ciemne, niezwykle zmęczone i beznadziejnie smutne oczy króla.

Młody władca mówił cichym głosem, prawie szeptem, ale jednocześnie tak szybko, że czasem Gardzekowi ciężko było zrozumieć poszczególne słowa.

— Jestem ci niezwykle wdzięczny, grafie, za wspaniały dar, jaki przywiozłeś z tych dalekich krain. Postaram ci się odwdziżyć, jak tylko będę mógł. Twój dar jest doprawdy zachwycający.

Król przekręcił lekko głowę i spojrzał na Gardzeka, a ten pochylił się lekko.

— Jestem szczęśliwy mogąc przysłużyć ci się, królu. Wiozłem wiele pięknych rzeczy wytworzonych w tych dalekich krainach, z których wracam, ale cóż, wszystko potopiło się w bagnach.

— Będziesz musiał opowiedzieć dokładnie o swej podróży. Mój kartograf usiłuje stworzyć dokładną mapę znanych nam okolic. Myślę, że mógłbyś pomóc mu w pracy, zwłaszcza jeśli chodzi o ziemie na zachodzie.

Gardzek aż zatrząsł się. Wiedział, że kartograf jest Kagardczykiem.

— Jestem na twoje rozkazy, królu.

Vallis podniósł nagle dłoń i wskazał na stojącą w rogu komnaty marmurową rzeźbę.

— Cóż za piękno — powiedział. — Ilekroć jestem w tej części pałacu, nie mogę odmówić sobie przyjemności patrzenia na nią.

Gardzek, zamiast podziwiać rzeźbę, przyjrzał się uważnie dłoni króla. Białej, jakby przezroczystej, o długich, szczupłych, nerwowo poruszających się palcach.

Jak ten człowiek utrzymuje miecz w ręku? — pomyślał.

— Tak, to niezwykle — rzekł głośno. — Myślę, że to robota któregoś ze starych kholmieńskich mistrzów. Oni umieli wyczarować wszelkie kształty spod swego dłuta.

— Nie — odparł król — to dar Erd-omeredha, księcia Bellen-deir.

Gardzek sapnął głośno.

— Wiem, że nie jest on twoim przyjacielem, jednak wróciwszy do Omeloru musisz pamiętać, że podpisałem układ z cesarzem Kagardu, a i z księciem Bellen-deir także, i to osobno. Książę też nie ma powodów, aby żywić przyjaźń względem władców Omeloru, musisz więc pilnować się, aby nie rozpocząć nowej wojny.

Graf skłonił się.

— Pragnę pokoju, królu, ale zniszczę każdego, kto zechce napaść Omelor.

Vallis spojrział na niego zmęczonym wzrokiem.

— Nie sądzę, aby książę zaatakował pierwszy. Bellen-deir ciągle jeszcze podnosi się z ruin i zgłiszcz. I chyba długo jeszcze będzie się podnosić. Twój wuj na całe lata zostanie w pamięci tamtejszych mieszkańców.

Milczeli chwilę.

— A co sądzisz o tym? — spytał Vallis, wskazując dłonią niezwyklej piękności puklerz wiszący na ścianie.

— Omelor — odparł graf — kilka pokoleń przed Berdokiem Zdobywcą. Zrobiony przez płatnerzy z Essvire.

Król spojrział z uznaniem na Gardzeka.

— Tak. Powiedziałaś, jakbyś znał ten przedmiot.

Gardzek przełknął ślinę.

— To puklerz mojego ojca Mirmodha, królu. Musiał trafić w ręce króla Hejjeny po bitwie pod Birderem, gdzie ojciec mój stracił tycie.

W milczeniu przemierzyli jeszcze kilka korytarzy.

— Wybacz — rzekł Vallis — i przyjmij ten puklerz ode mnie jako symbol pojednania naszych narodów. Wiele krwi polało się w Gordorze i czas o tym zapomnieć.

— Dzięki ci, panie — odparł graf. — Powracając do Gordoru musiałem zapomnieć. Nie sposób żyć tylko pamięcią dawnych krzywd.

— Są tacy, którzy tak czynią — westchnął Vallis — dla których Gordor najlepszy jest jako pole bitwy.

Gardzek bystro spojrział w twarz króla.

— O kim myślisz, panie? — spytał.

Władca machnął ze znużeniem ręką.

— Wielu ich jeszcze jest. Wielu. Nie rozumieją, że handel i uprawa ziemi upadły jak nigdy dotąd. Ludzie po miastach i osadach umierają z głodu. Ostatnie susze zniszczyły plony. Później nadeszły powodzie. Zaczęły się bunty. Chłopi spalili kilka zamków. Przeszli jak burza przez Deonshee. Dopiero graf Ameldryg rozbił ich hordy.

— Chłopi zawsze się buntowali — zauważył graf.

— Tym razem było ich prawie dwakroć po sto tysięcy.

Gardzek przystanął.

— To bardzo... — urwał — to ogromna siła.

— A z każdym rokiem może być coraz gorzej, jeśli nie przestaniemy wciąż walczyć i

walczyć. Cóż z tego, że zwyciężaliśmy Pesterharred i Unię, skoro ich odwetowe wyprawy pustoszyły Gordor? A wojny grafów pomiędzy sobą? Gordor nigdy jeszcze nie był tak słaby jak teraz.

Graf miał ochotę siłą zamknąć usta temu zwiotczalnemu władcy, leżącemu bezwładnie z przymkniętymi oczyma w lektyce i monotonnym głosem mówiącemu rzeczy, za które dwanaście lat temu w Omelorze ukarano by go śmiercią. Zresztą jak on śmiał mówić o walkach pomiędzy marchiami, on, którego ojciec popchnął Gordor do krwawej wieloletniej wojny domowej.

Stał jednak spokojnie przy lektyce i uśmiechał się z wysiłkiem, a każde słowo króla budziło w nim coraz większy bunt i coraz większą nienawiść.

*

Pierwsze tygodnie spędzone w rodzinnym zamku Ottin były nad wyraz męczące i uciążliwe. Gardzek zmuszony był przyjmować ciągle wizyty możnowładców oraz samemu podróżować po całym Omelorze, odwiedzając siedziby starych rodów.

Wszędzie witany był z najwyższą czcią i oddaniem, a pod Ottin ściągaly wielkie zastępy rycerzy, którym Vallis odebrał jedyne źródło dochodów, jakim były łupieżcze wyprawy do Bellen-deir. Gardzek musiał powstrzymać zapal Omelorczyków, którzy przygotowani byli na to, że pod jego wodzą ruszą, aby ostatecznie zniszczyć Erd-Omeredha.

Wielokrotnie zastanawiał się nad tym, jak zmiennie toczy się koło fortuny — on, który jeszcze niedawno wychodził z nędznymi resztkami wojsk z barreńskich lasów, teraz mógł stanąć na czele najpotężniejszej armii w Gordorze. Ale czekał, cały czas czekał, hamując najbardziej zajadłych wrogów króla i księcia Bellen-deir. Udawał jeszcze stronnika królewskiego, łaskawie przyjął poselstwo Erd-omeredha, a jednocześnie stworzył kilka teonów pancernej jazdy, dobierając najwierniejszych i najsprawniejszych rycerzy. Zaczął budowę kilku granicznych warowni wysyłając w tym samym czasie posłów do Erd-omeredha i tłumacząc swe postępowanie jedynie dbałością o obronność kraju i chęcią skierowania wojennego zapalu Omelorczyków na inną drogę.

Pewnego wieczoru zupełnie niespodziewanie zajechał do Ottin stary Merfis, graf Mermondu i daleki krewniak Gardzeka, na czele wielkiego orszaku sług i rycerzy. Gardzek przyjął go natychmiast, mimo iż już szykował się do nocnego spoczynku. Graf Omeloru czule uściskał Merfisa, ale zauważył jednocześnie, że Mermondczyk bardzo posunął się już w latach i postarzał. Była to sprawa nie tylko wieku, ale i całych lat wypełnionych troskami. Całych lat starań o zdobycie tronu, lat walki i intryg.

— Cieszę się, że wróciłeś. Wierz mi, to najradośniejsze wydarzenie w Gordorze od wielu lat.

Gardzek pochylił głowę.

— Przyznam, że łaski, jakie spłynęły na mnie, przekroczyły me najśmielsze oczekiwania.

Merfis skrzywił blade wargi w lekkim uśmiechu.

— Jesteś potrzebny i królowi, i grafom. Mardhiw-Ardh, z którym niedawno spotkałem się w Weerdengardzie, opowiedział mi o rozmowach, jakie przeprowadziłeś z nim i jego synem. Mogę więc być całkowicie szczery.

— Możesz, Merfisie. Walka z Hejjeną pochłoneła pół mego życia, dam drugie pół, aby zniszczyć Vallisa.

Graf Mermondu pogładził się po siwej brodzie.

— I co potem?

— Potem? Żyją dzieci Permuza, któryś z jego synów obejmie tron.

— Żaden z nich nie ma nawet czternastu lat.

Gardzek spojrział bystro na Merfisa.

— Przyszedłeś do mnie z gotowym planem. Mów.

Gość uśmiechnął się lekko.

— Czekamy tylko na ciebie, Gardzek. Jesteś najpotężniejszym grafem w Gordorze. Jeżeli ty się zgodzisz, nic nie będzie mogło stanąć nam na przeszkodzie.

Umilkł na chwilę.

— Jestem już stary — ciągnął dalej — nie będę miał dzieci. Usynowię dzieci Permuza i zostanę królem Gordoru. Po mojej śmierci władza przejdzie na nich.

— Tak — rzekł po chwili Gardzek — ja nie będę twoim przeciwnikiem. Przyznam, że nigdy nie zgadzałem się z tym, abyś został królem, ale gdy usynowisz dzieci Permuza, po twojej śmierci znów prawowity władca zasiądzie na tronie Gordoru.

Twarz Merfisa rozjaśniła się.

— Cieszę się, że tak szybko udało nam się porozumieć.

Gardzek wznosił dłoń.

— To jeszcze nie wszystko, Merfisie.

Nagle do komnaty weszli służby wnosząc tace zastawione bakaliami, owocami i czarami z winem.

Merfis i Gardzek zaczekali, aż ustawią wszystko i opuszczą komnatę.

— Proszę — graf Omeloru wskazał dłonią na tace — zaraz zejdziemy na ucztę. Kucharze przygotowują potrawy godne twego podniebienia. Mam nadzieję, że kochasz się jeszcze w ucztach. Zwłaszcza tych w Otlinie. |

— O tak. Pamiętam jeszcze dawne, spokojne czasy, gdy na dworze twojego ojca spędzaliśmy całe tygodnie. Otin zawsze słynął z gościnności.

Milczeli chwilę.

— Cóż, mam nadzieję, że rozmawiam z przyszłym królem Gordoru — przerwał ciszę Gardzek — ale powiedz, co stanie się z Mermondem?

— Z Mermondem?

— Tak, Merfisie. Obejmując tron Gordoru stajesz się władcą Wedder. Chyba się nie myłę, prawda? Marchia Wedder to dziedziczna posiadłość królów Gordoru?

— Tak. Sam wiesz o tym najlepiej.

— Właśnie. Poza tym obejmujesz we władanie posiadłość Vallisa z Weerdengard. Mając jeszcze Mermond staniesz się potężnym władcą. Kto zapewni nas, że przejąwszy tron, nie będziesz chciał go oddać chociażby synowi swej siostry?

Merfis uśmiechnął się nerwowo.

— Wtedy nowa wojna spadłaby na Gordor.

— Zapewne, ale powtarzam: będziesz wtedy potężny, może zechcesz dochodzić swych praw siłą?

— Czego więc żadasz?

— Abyś oddał Mermond dzieciom Permuza. Grafowie wyznaczą namiestnika, a gdy synowie Permuza dorosną, jeden obejmie tron, a drugi zostanie grafem Mermondu.

Merfis zbladł.

— Mam oddać Mermond? To szaleństwo!

— Wybór należy do ciebie. Wolisz być królem Gordoru czy grafem Mermondu?

Stary władca ścisnął nerwowo dłonie w pięści.

— To szaleństwo — powtórzył.

— Pomyśl nad tym, Merfisie. To jest mój warunek. Inaczej nie poprę twoich planów i poczekam do czasu, aż jeden z synów Permuza będzie mógł samodzielnie zasiąść na tronie.

Merfis zmarszczył brwi.

— To twoje ostatnie słowo?

— Tak. I pomyśl jeszcze o tym, że Vallisa mogą poprzeć grafowie z Leutenree, Ohgadenu i Deonshee. Zastanów się, czy dasz mu wtedy radę bez mojej pomocy.

*

W niespełna miesiąc po wizycie Merfisa w Ottin Gardzek zebrał liczącą prawie pięćokroć po dziesięć tysięcy rycerzy armię i spiesznym marszem ruszył w stronę granicy księstwa Bellen-deir.

Erd-omeredh nie przygotowany na atak zebrał skromne siły i zagroził drogę omelorskim wojskom na przeprawie przez rzekę Olghad. W krwawej i długiej bitwie armię księcia Bellen-deir rozgromiono, a on sam, uratowawszy zaledwie kilkuset ludzi, uciekł, aby schronić się za murami swej stolicy. Wtedy jednak cesarz Kagardu przerażony klęską lennika zebrał armię i ruszył na pomoc Bellen-deir. Gardzek rozdzielił swe siły i stanąwszy na czele jednego z oddziałów, stoczył kilkudniową bitwę z cesarzem, po której obie strony wycofały się, niezdolne do dalszej walki.

Jednakże dwa pozostałe oddziały, z których jeden obległ Erd-omeredha w jego stolicy, a drugi ruszył pustoszyć włości cesarskie, odniosły świetne zwycięstwa i Gardzek zawarł z cesarzem pokój, na mocy którego Omelor odzyskał kilka dawno straconych prowincji i odebrał z Kagardu i Bellen-deir ogromną daninę.

Syty chwały, uwożąc bogate łupy, idąc na czele upojonej zwycięstwami armii, wrócił Gardzek do Omeloru, a wojska jego przez całą drogę witane były przez rozradowane tłumy.

W Ottin na grafa czekały dwie niespodzianki. Pierwszą z nich było przybycie grafów z Barren, Revgardhu, Khomindenu i Mermondu jakoby pod pozorem uczczenia wielkiego zwycięstwa nad Kagardem, a drugą obecność wysłannika królewskiego, który przywiózł smoka w podarunku od Vallisa.

Zaraz pierwszego wieczoru Gardzek przyjął posła w swej prywatnej komnacie.

— Pozdrowienia od Vallisa, króla Gordoru i grafa Wedder dla Gardzeka, grafa Omeloru przez Irhena, tana Hallis. Mój pan poczytawszy za szczęśliwy omen narodzenie się z przywiezionego przez ciebie jaja dwóch bliźniaczych smoków, postanowił nagrodzić cię jako wiernego sługę tronu. Jednocześnie mój pan ufa, że, rozpoczynając wojnę z księciem Bellen-deir i cesarzem Kagardu, kierowałaś się szlachetnymi porywami serca, chcąc pomścić pamięć zabitego wuja, a nie nieposłuszeństwem wobec króla Gordoru — posłaniec zawiesił głos.

— Powtórz swemu panu — powiedział graf — że pozostanę, tak jak zawsze, wiernym sługą korony i że przybędę osobiście do Weerdengardu prosić o wybaczenie nieposłuszeństwa. Błogosławiona Matka pozwoliła mi odnieść wspaniałe zwycięstwo i uwieźć wielką ilość łupów. Znając miłość, jaką Vallis żywi do rzeczy pięknych, pozwolę sobie przywieźć do jego kolekcji kilka dzieł stworzonych przez najbogiejszych mistrzów.

Wysłannik pochylił głowę.

— Król będzie zadowolony widząc na swym dworze również szlachetnych grafów, których tu zastałem. W tych smutnych chwilach, jakie nadeszły, mój pan pragnie choć krótki czas cieszyć się tak wspaniałymi gośćmi.

— Przekaż królowi moje najgorętsze podziękowania za wyświadczoną nam łaskę. Pewny jestem, że obecni tu grafowie przyjmą królewskie zaproszenie z radością w sercu. Ale o jakich to smutnych chwilach mówiłeś?

— Czyżbyś nie wiedział, grafie, dlaczego królewski dwór okrył się żałobą?

— Nie — odparł Gardzek, pochylając się nieco w fotelu.

— Zmarł Merfis, graf Mermondu i stryjeczny dziad naszego króla...

— Niech Błogosławiona Matka przyjmie go na swe łono — powiedział wstrząśnięty Omelorczyk. — Wielka to strata dla Gordoru.

— Lecz to nie koniec żałobnych wieści, grafie. Merfis był człowiekiem starym, pochy-

lonym nad grobem, ale cóż powiedzieć, gdy giną istoty młode i pełne życia...

— O kim mówisz?! — krzyknął Gardzek.

Poseł pochylił nisko głowę.

— O dzieciach Permuza, grafie. Berhor i Idelgind zmarli na nieznaną chorobę. Żaden z lekarzy nie mógł im pomóc.

Gardzek milczał.

— Mój pan, dowiedziawszy się o tym, zachorował ze smutku i zgryzoty, bolejąc nad śmiercią drogich mu ludzi i nad tym, że plugawe języki wrogów nie omieszkały obwinić go o tę śmierć.

Graf ukrył twarz w dłoniach. Po chwili, gdy odjął już palce od twarzy, wychylił jednym tchem czarę wina.

— Powiedz królowi Gordoru — rzekł — że każę obciąć język każdemu Omelorczykowi, który zhańbi jego imię niecznymi posądzeniami.

Milczeli chwilę.

— A teraz odejdz już. Pragnę widzieć cię jutro i nacieszyć oczy darem, jaki przesłał mi król. Wybacz, ale teraz nie mogę dłużej rozmawiać.

Poseł skłonił się nisko.

— Niech Błogosławiona Matka pocieszy twe serce, grafie.

Po wyjściu królewskiego wysłannika Gardzek oparł się na fotelu i przymknął oczy. A więc koniec marzeń o zmianie władcy, teraz Vallis był już najprawowitszym panem Gordoru i sprzeciwiać się mu, znaczyło sprzeciwiać się woli bogów. Graf Omeloru był pewien, że królewski dwór nie był winien śmierci Merfisa i synów Permuza. Gdyby istniały choć najbliższe podejrzenia, grafowie nie omieszkaliby wykorzystać sytuację i wzniecić bunt. Tak, ale co wtedy? Któż może zostać władcą Gordoru, gdy umarli wszyscy potomkowie Berdoka Zdobywcy? Gardzek opróżnił następną czarę wina i westchnął głęboko. Ciężki los zgotowali bogowie Gordorowi, nie w najgorszym wypadku Vallis będzie nadal królem, a grafowie postarają się niepostrzeżenie przejąć władzę. Tak — graf Omeloru odetchnął — nie wolno stanąć przeciwko Vallisowi, ale i nie wolno pozwolić mu rządzić. Tylko stalowe ręce grafów potrafią naprowadzić Gordor na drogę dobrobytu i chwały. Vallis, gdy pozwoli mu się rządzić w Wedder, rozbudowywać Weerdengard, sprowadzać obcych uczonych i kolekcjonować dzieła starożytnych mistrzów, nie powinien stanowić poważniejszej przeszkody. Tak, najistotniejsze jest to, aby zająć jego myśli sprawami błahymi, a potem, gdy umrze, a sądząc ze słabości niedługo trzeba będzie czekać na jego śmierć, grafowie wybiorą spośród siebie nowego króla. I jeśli Błogosławiona Matka pozwoli, może będzie nim wtedy on — Gardzek, graf Omeloru.

*

Poseł królewski odwiedził władcę Omeloru nazajutrz późnym wieczorem. Usiedli przy trzaskającym na kominku ogniu i Gardzek odesłał służących, tak że zostali sami w komnacie.

— Smok czeka, grafie, abys raczył go zobaczyć — rzekł Irhen.

— Zaczekaj — Gardzek uniósł dłoń. — Opowiedz mi najpierw o nim.

Tan Hallis skinął głową.

— Dobrze.

Zastanawiał się przez chwilę.

— Jajo pękło — zaczął — gdy ty, grafie, odnosiłeś świetno zwycięstwa w Bellen-deir. Opiekował się nim sam mistrz Elkind, on też poprowadził całą ceremonię narodzin. Kiedy ujrzeliśmy, bo i ja byłem wraz z królem w komnacie Elkinda, że z jaja wychodzą dwa smoki, ogarnęło nas ogromne zdumienie. Nawet sam mistrz cofnął się o krok i nie mógł przemówić ani słowa, przyglądając się pełznącym poczwárom. Na szczęście jednak, nim smoki zdążyły przyjść do siebie, wy dobył od nich imiona i nazwę krainy, gdzie smoczyca złożyła jajo.

Smok, którego przysłał ci pan, nazywa się Alghar, drugi, który pozostał na dworze, nosi imię Aldhir, a oba pochodzą z Haldoru.

— A magiczne zaklęcie?

— Mistrz Elkind odnalazł je w starych księgach i zniszczył. Jedyne król i on sam wiedzą, jak pokonać smoka. Mistrz Elkind przekaze to swemu uczniowi, tak więc zawsze będziemy umieli zniszczyć smoki, gdyby wystąpiły przeciw koronie.

Wysłannik utkwiał wzrok w grafie.

— I zawsze dzięki nim będziemy umieli powstrzymać tych, którzy zechcą wystąpić przeciw prawowitemu władcy.

Gardzek lekko uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

— Niech Błogosławiona Matka broni kogokolwiek przed tak bezbożną myślą. Przyznam ci szczerze, tanie, że prędzej czy później doszłoby do walki między mną a Vallisem, gdyż święte prawa krwi wyznaczały na władców dzieci Permuza, lecz teraz jedynie Vallis jest prawowitym i uświęconym wołą bogów władcą Gordoru. Dlatego też zamierzam wiernie mu służyć, tak jak mój ojciec Mirmodh Kashoodze Wielkiemu.

Irhen pochylił nisko głowę.

— Król Gordoru wdzięcznie przyjmie twe słowa.

— Wprowadź teraz smoka.

Tan Hallis powstał, podszedł do drzwi, otworzył je i krzyknął coś w stronę sług, którzy zaraz weszli, prowadząc ze sobą smoka. Gardzek uważnie przyglądał się zielonemu jaszczurowi kilkustopowej długości z błoniastymi skrzydłami wyrastającymi ze środka grzbietu.

Smok przystanął na środku komnaty, rozpostarł skrzydła i również obserwował uważnie grafę. Gardzek zwrócił uwagę na jego wielkie, ciemne oczy przesłonięte cienką jasną błoną oraz potężne szczęki pozbawione jeszcze kłów.

— Witaj, grafie Omeloru — rzekł smok niskim, mocnym głosem. — Cieszę się, że będę mógł przebywać na twym dworze.

— Podoba ci się Ottin?

— Tak. Zwłaszcza zamkowe lochy. Tam jest to, co lubię: chłód, wilgoć, ciemność. Smoki mają inne upodobania niż ludzie, grafie.

Gardzek roześmiał się.

— Nie żal ci było opuszczać Weerdengardu?

— Nie. Myślisz zapewne o Aldhirze, grafie. My, smoki, nie znamy czegoś takiego jak więzy krwi, więzy rodzinne. Zawsze żyjemy samotnie, łącząc się jedynie w stadła dla spłodzenia potomstwa. Później smoczyca zostawia jajo w bezpiecznym miejscu i odchodzi. Nim jajo dojrzeje, mija prawie sto lat.

— Nie dziwię się więc, że smoki wyginęły.

— Nie, grafie. Nie wyginęły.

— Właśnie — wtrącił Irhen. — Alghar opowiadał nam na dworze ciekawe rzeczy. Podobno gdzieś istnieje kraina zamieszkała przez smoki...

— Tak, grafie — przerwał mu smok — w każdym razie istniała, gdy matka mojej matki wykluła się z jaja.

— Jak dawno to było?

— Siedemset, prawie siedemset lat temu.

— Dlaczego nikt z ludzi o tym nie słyszał? Dlaczego nikt nie widział tej krainy?

— Smoki są ciepłiwe, grafie — rzekł Alghar. — Ludzie tępili je bezlitośnie przez całe wieki. Jedyne mój ród małych smoków zdołał ocaleć i dlatego niedobitki skryły się gdzieś daleko w górskich ostępach.

— Umiąłbyś tam trafić?

— Nie, grafie. Matka mojej matki jedynie wiedziała, że gdzieś istnieje kraina zamieszkała przez smoki, ale nie znała drogi tam prowadzącej.

Gardzek machnął ręką.

— Baśnie.

Smok przypełznął blisko niego.

— Nasz ród jest cierpliwy, grafie. Czekamy na chwilę, gdy zapomnicie o zaklęciach, gdy zginą starodawne księgi, gdy umrą czarnoksiężnicy, a wraz z nimi magia, gdy rycerze wybiją się nawzajem w wojnach. Wtedy wrócimy, grafie.

Gardzek zaśmiał się.

— Niech Błogosławiona Matka broni nas od tego. Dość już mamy kłopotów z samymi sobą, żeby jeszcze zajmować się smokami.

Wstał z fotela i wygładził szaty na sobie.

— Wybacz, Irhenie — zwrócił się w stronę posła — czas już na mnie. Grafowie czekają. Mam nadzieję, że będziesz gościł jeszcze w Ottin choć kilka dni?

— Mam rozkaz towarzyszyć ci w podróży do Weerdengardu.

— Hm — Gardzek zastanowił się chwilę — to może potrwać kilka tygodni, nim ruszę z Ottin.

Przyjrzał się uważnie Irhenowi.

— Ale z miłą chęcią będę gościł cię nawet przez cały rok. Słudzy odprowadzą cię do twej komnaty. A ty, Algharze — zwrócił się w stronę smoka — również jesteś drogim gościem w Ottin. Zamek jest do twej dyspozycji.

— Dziękuję, grafie.

Gardzek lekko skinął głową Irhenowi i wyszedł z komnaty. Przemierzył długi wąski korytarz, w którym mrok rozpraszały zamocowane u stropu pochodnie. Zatrzymał się na moment przed wysokim progiem odgradzającym boczną odnogę korytarza i przesunął dłońmi po chropawej, kamiennej ścianie. Wreszcie szybkim krokiem ruszył naprzód, zszedł na niższy poziom krętymi, stromymi schodami i już po chwili stanął przy drzwiach komnaty, gdzie straż pełnili dwaj rycerze z obnażonymi mieczami w dłoniach. Obaj skłonili się przed grafem i rozwarli na oścież drzwi.

Gardzek wszedł do wielkiego pomieszczenia, w którym przy stojącym na środku dębowym stole siedziało czterech grafów. Stół zastawiony był jadłem i napojami, wokół gości kręciło się kilkunastu niewolników, wciąż napełniających misy i puchary. W kątach pomieszczenia płonęły beczki ze smołą, rzucając setki kolorowych refleksów i napełniając komnatę wonnym zapachem palonych w środku kadzideł.

Widząc wchodzącego grafa Omeloru goście powstali.

— Witaj, nasz drogi gospodarzu — rzekł Mardhiw-Ardh, graf Barren. — Niech Błogosławiona Matka napełni twe życie samymi szczęśliwymi chwilami, tak jak te w Bellen-deir.

— Witaj, witaj — odezwali się pozostali grafowie.

— I ja was przyjmuję z radością, bo czasy nadeszły smutne i pocieszyć się można chociaż obecnością przyjaciół przy stole w Ottin — powiedział Gardzek siadając.

Odprawił gestem służących, którzy odeszli, zamykając cicho drzwi.

— Tak, tak — mruknął Alfeez z Khomindenu. — Gordor gnije, a my patrzymy na to bezsilnie.

— Przyjąłeś Irhena? — zagadnął Mardhiw-Ardh.

— Tak. Nie podoba mi się ten człowiek.

— To jeden z zaufanych Vallisa — powiedział Lerri, graf Revgardhu. — Nie ludź się, że nie masz szpiegów królewskich na swym dworze. Zapewne Irhen ma odebrać ich meldunki.

— Bardzo możliwe — skinął głową Gardzek — ale znam każdy jego krok. W Ottin nie ukryje się przed moim wzrokiem.

— Uważaj też na smoka — powiedział Alfeez. — Na twoim miejscu kazałbym go wrzucić do dobrze zamkniętego lochu. To prawda, że nie można go zabić ogniem czy żelaz-

zem, ale zdechnie z głodu.

— Smoka? — zdziwił się Gardzek. — Po co miałbym to robić?

— Nie zapominaj, że on zawsze będzie służył królowi — rzekł Alfeez. — Vallis ma nad nim władzę życia i śmierci.

— To nieważne — mruknął Mardhiw-Ardh — wszystko to nieważne. — Smoki jeszcze przez dobrych parę lat nie będą groźne, a jeśli wykonamy to, co ustaliliśmy... — urwał.

Nastała chwila milczenia.

— Cóż takiego ustaliliście? — spytał Gardzek.

Mardhiw-Ardh uniósł w górę puchar.

— Za śmierć wrogów Gordoru!

Wszyscy spełnili toast.

— Pytasz, co ustaliliśmy, Gardzek — powiedział, ocierając wąsy graf Barren. — Cóż ci mogę odpowiedzieć? Wiesz przecież, że bez ciebie nasze ustalenia na nic się nie przydadzą. Władasz najpotężniejszą marchią w Gordorze i tylko za twoją zgodą i z twoją pomocą mogą się spełnić nasze marzenia.

Graf Omeloru uważnie przyglądał się Mardhiw-Ardhowi.

— Odgaduję, że sprawa, z którą przybyliście, nie jest błaża. Mów.

— Książę Bellen-deir, Erd-omeredh, po klęsce, jakiej doznał z twej ręki, liczył na pomoc cesarza Kagardu, ale ty rozgromiłeś również wojska cesarskie. Erd-omeredh poczuł się zagrożony jako wasal słabego władcy. Natychmiast wysłał poselstwo do Weerdengardu deklarując się, że złoży hołd lenny Vallisowi i proponując mu przekształcenie Bellen-deir w jedną z marchii Gordoru.

— To niemożliwe! — krzyknął podnosząc się Gardzek. — Co na to Vallis?

— Nic — odparł graf Barren. — Poselstwo do niego nie dotarło i nigdy już nie dotrze.

Gardzek usiadł z powrotem i odetchnął z ulgą.

— Niech będą dzięki Błogosławionej Matce, że ocaliła nas od tej hańby.

— Hańba hańbą — zauważył Alfeez — ale jakże wzmocniłby się Vallis, a twoi rycerze, Gardzek, przecież głównie dzięki najazdom na Bellen-deir zgromadzili swe fortuny.

— Bellen-deir jest słabe, ale za silne, aby przemocą włączyć je do Gordoru jako zdobywcę, a nigdy nie zgodzimy się, by Erd-omeredh został równym nam w prawach grafem — rzekł Mardhiw-Ardh.

— Cóż więc należy robić? — spytał Gardzek.

Verhor, siostrzeniec zmarłego Merfisa i nowy graf Mermondu, pochylił się nad stołem.

— Jest jedna droga, którą idąc wyciągniemy Gordor z otchłani.

Alfeez uniósł dzban, chcąc nalać sobie wina, ale naczynie było już puste. Gardzek zauważył to i klasnął w dłonie. Do komnaty weszli słudzy.

— Przynieście wina.

Gdy wynosili puste dzbany i ustawiali na stole pełne, do środka wypełznął smok i ułożył się w ciemnym miejscu pod ścianą. Zwinął się w kłęb opierając łeb na ogonie i przymknął oczy.

— Jaka to droga? — spytał Gardzek, gdy słudzy wyszli.

— Potrzeba nam silnego króla — rzekł Mardhiw-Ardh. — My, grafowie, wiemy dobrze, że Gordor upada. Skierowaliśmy swój wzrok na Kagard i Bellen-deir, a tymczasem na północy wyrosła nowa potęga — Pesterharred. Jego władca to mądry polityk i dyplomata, kiedyś same siły grafów Ohgadenu i Deonshee wystarczyły, aby walczyć z Pesterharredem. Teraz potęga całego Gordoru to za mało.

— Nie — powiedział ostro Gardzek — to nieprawda. Pesterharred ma dość kłopotów na swoich północnych i wschodnich granicach, aby wplątywać się w wojnę z nami.

— Na razie — rzekł Mardhiw-Ardh. — Kto uzbraja i wspomaga chłopskie bunty w Gordorze? Pesterharred. Kto stara się zjednać sobie grafów z Ohgadenu i Deonshee? Pester-

harred. Te dwie marchie są na razie wierne Vallisowi, ale tylko dlatego, że jego polityka odpowiada im. Kto próbuje skłócić ze sobą pozostałych grafów? Pesterharred. Potrzeba nam króla na miarę Kashoogi Wielkiego, króla, który znów scaliłby Gordor. Wiemy, że nasza potęga jako grafów jest niczym, gdy staniemy przeciwko sobie. Modliliśmy się o władcę wojownika, a jednocześnie przebiegłego i mądrego polityka, człowieka prawego i uczciwego, który zyskałby poparcie większości marchii i starych rodów. Wtedy, gdy będzie panował taki król, Gordor znów stanie się potężny...

— Lecz teraz rządzi Vallis — przerwał mu Gardzek — i jest prawowitym władcą.

— Śmierć Vallisowi! — ryknął powstając i wbijając ostrze sztyletu w stół Verhor.

— Śmierć Vallisowi!

Gardzek patrzył na stojących nad nim grafów trzymających dłonie na rękojeściach wbitych w stół sztyletów. Wstał.

— Wola grafów jest wolą Gordoru — rzekł poważnie — i chętnie krzyknąłbym wraz z wami: „Śmierć Vallisowi”, ale gdzie szukać następcy tronu? Łatwo podeptać święte prawa, ale co potem?

— Mamy nowego króla Gordoru — powiedział Alfeez.

— Kto nim jest?

— Ty.

Gardzek pobladł i zacisnął dłonie na krawędziach stołu. Spojrzał z pytaniem w oczach w stronę Mardhiw-Ardha.

— Tak, grafie — rzekł stary władca — jesteś potomkiem Merfisa. Pierwszego założyciela dynastii. Gdy Vallis umrze, ty będziesz prawowitym następcą tronu.

Omelorczyk opuścił głowę, a grafowie stali nad nim czekając, co powie.

— Nie — Gardzek uniósł się z krzesła — nie zgodzę się na to. Jak myślicie, dlaczego walczyłem z Hejjeną po stronie Permuza? Czy Permuz był lepszym rycerzem, lepszym władcą? Nie! Stokroć gorszym od Hejjeny, ale skazałem się na wieloletnią tułaczkę, gdyż święte były dla mnie prawa krwi. Permuz był prawowitym władcą i powinien panować, a nie jego młodszy brat. Teraz tron Vallisa jest święty. Vallis jest królem i będę bronił jego praw, tak jak broniłem praw Permuza.

Verhor wyrwał swój sztylet ze stołu.

— Zdrajco!

— Stój! — powstrzymał go Mardhiw-Ardh. — Wypiłeś za dużo wina. Jak śmiesz obrażać naszego gospodarza i przyszłego króla? Milcz i siadaj.

Verhor posłusznie opadł na krzesło.

— Wybacz — powiedział w stronę Gardzeka. — Te słowa nigdy nie powinny paść z moich ust.

Mardhiw-Ardh zastanawiał się chwilę gładząc rękojeść sztyletu. Nagle podszedł do grafy Omeloru i oparł dłoń na jego ramieniu.

— Masz przed sobą dwie drogi, mój przyjacielu — rzekł. — Możesz wziąć na swe barki ciężar tak wielki wiedząc, że tylko ty jeden w Gordorze jesteś zdolny mu sprostać, i możesz plunąć na szczęście królestwa i dalej pozostawać sławnym i bogatym grafem Omeloru. Ale tylko grafem. Twa marchia jest potężna i inne mogą upaść, zawalić się, a Omelor będzie trwał, ale czy znajdziesz dość siły, aby patrzeć, jak umiera Gordor? Czy będziesz miał spokojny sen, widząc, że reszta kraju ginie rozdarta wojną, buntami, nędzą?

— Tak, Gardzek — Mardhiw-Ardh mocniej ścisnął go za ramię — lepiej byłoby, abyś umarł, jeżeli zrezygnujesz z korony, gdyż inaczej zabije cię zgryzota i wyrzuty sumienia.

Milczeli długą chwilę.

— Czy pamiętasz — odezwał się znów graf Barren — co powiedziałem ci w Nimelgen?

Gardzek spojrział na niego.

— Że kiedyś ty będziesz bardziej potrzebny grafowi Barren niż on tobie?

— Tak — odparł cicho Omelorczyk.

— Teraz nadeszła ta chwila. Ale nie tylko mnie jesteś potrzebny. Twa sława, przewagi wojenne zaskarbiły ci przychylność rycerstwa, hojność, przecież wszyscy wiedzą, dzięki komu chłopci w Omelorze nie głodują, dała ci miłość ludu, budowa świątyni Błogosławionej Matki, których w twojej marchii jest dwakroć więcej niż w reszcie Gordoru, sprawiła, że wdzięczni ci są kapłani. Cały Gordor wzywa cię, grafie! Daje ci to, co ma najlepszego: koronę. Przyjmij ją.

Stary graf uklęknął, a za nim trzej pozostali.

— Przyjmij koronę!

Gardzek wstał. Blady, z zaciśniętymi ustami, opierając drżące dłonie na blacie stołu.

— Niech Błogosławiona Matka przebaczy mi w swej nieskończonej dobroci — rzekł chrapliwie, stłumionym głosem. — Przyjmuję!

Mardhiw-Ardh klęcząc uniósł głowę.

— Bądź błogosławiony, królu. Mój miecz jest na twoje rozkazy.

— Bądź błogosławiony, królu — powiedział Verhor — i wybacz me nieopatrne słowa. Mój miecz jest na twoje rozkazy.

Ostatni podniósł głowę sędziwy Alfeez z Khomindenu.

— Bądź błogosławiony, królu. Mój miecz jest na twoje rozkazy.

Gardzek usiadł ciężko na swym miejscu.

— Wstańcie — rzekł — i radźcie, jak pozbyć się Vallisa.

Grafowie zasiedli na swoich miejscach i milczeli długą chwilę.

— Radźcie — powtórzył Gardzek.

— Na zamku w Weerdengardzie odbędzie się huczna uczta na cześć twego zwycięstwa. Trzeba, abyśmy jak najprędzej znaleźli się na dworze Vallisa.

— Pośpiech? — spytał Omelorczyk. — Po co? Trzeba wszystko dokładnie zaplanować, przygotować wojska. Nie wolno nam popełnić błędu.

— Nie — rzekł Alfeez — musimy się spieszyć. Moi szpiedzy w Weerdengardzie donieśli, że królowa jest brzemienna.

Gardzek stuknął lekko pięścią w stół.

— Brzemienna?

— Tak. Vallis musi zginąć co najmniej dwa miesiące przed rozwiązaniem. Gdy zostaniesz namaszczony i ukoronowany, wtedy narodziny syna nic nie będą mogły zmienić.

— To prawda — powiedział Mardhiw-Ardh. — Vallis musi umrzeć jak najszybciej. Zostanie otruty na uczcie w Weerdengardzie.

Gardzek pokręcił głową.

— Trucizna to sposób, w jaki postępują płatni mordercy, a nie rycerze.

— Dobro Gordoru wymaga ofiar. Nawet honor musimy złożyć u stóp tronu. Jeden z moich ludzi jest podczaszym królewskim. Próbuje wina z każdego podawanego Vallisowi pucharu. Słynny medyk z Barren, mistrz Leggun, przygotował truciznę, która rozpuszcza się jedynie w winie. Podczaszy będzie trzymał ją w ustach, upije łyk wina z pucharu Vallisa i szybko wypluje ją do środka. Trucizna ta zaczyna działać dopiero po kilkunastu godzinach i nawet królewski medyk nie potrafi uratować Vallisa. My w tym czasie cofniemy się z Weerdengardu i staniemy na czele wojsk idących z Mermondu i Omeloru. Korzystając z paniki zdobędziemy Weerdengard i zostaniesz koronowany w Złotej Świątyni i namaszczony przez Arcykapłana. W ciągu kilku dni Gordor będzie nasz.

— A co z tym dzieckiem, które urodzi królowa? — spytał Gardzek.

— Zawsze to królewska krew — mruknął Lerri.

— Gdy osiągnie wiek męski, jeśli to będzie chłopiec, może otrzymać posiadłość Vallisa — rzekł Alfeez. — Jednocześnie — mówił dalej — rycerze ode mnie z Khomindenu i Barreńczycy pod wodzą syna Mardhiw-Ardha uderzą na Ohgaden i Leutenree, aby zmusić gra-

fów tych marchii do posłuszeństwa.

— A władca Pesterharredu? — spytał Gardzek. — Sądzę, że możemy spodziewać się napaści.

— Tak — odparł Alfeez. — Też tak myślimy. Ale wojska Pesterharredu walczą teraz na północnych i wschodnich granicach, na granicy z Gordorem stoją jedynie małe strażnicze oddziały. Nim zostaną ściągnięte wojska z północy i wschodu, będzie po wszystkim.

Gardzek uśmiechnął się.

— Wypada tylko chwalić waszą przenikliwość, grafowie. Przewidzieliście wszystko.

— Miejmy nadzieję — westchnął Lerri — że wszystko. W Weerdengardzie jest mało wojska. Powinno paść po pierwszym szturmie. Zresztą, aby tylko z całej stolicy ocalała Złota Świątynia. To wystarczy — roześmiał się.

— Przed szturmem obiecamy żołnierzom, że miasto jest ich — rzekł Gardzek. — Mogą je spustoszyć i uwięzić bogate łupy.

— Dobrze! — powiedział Alfeez. — Będą walczyli z wściekłością, jaką przywołuje żądza bogactwa.

— Lecz wara komukolwiek od pałacu Vallisa, ogłosicie wśród swych wojsk, że kto tknie choć jedną rzecz stamtąd, zapłaci głową. Vallis zgromadził cenne rzeczy, w tym wiele kosztowności i pamiątek zrabowanych w Omelorze.

— I w Barren — dodał Mardhiw-Ardh.

Alfeez uśmiechnął się gorzko.

— Pół zamku w Khominden przeniesiono do Weerdengardu.

Milczeli przez chwilę. Gardzek podniósł puchar, opróżnił jednym łykiem jego zawartość.

— Za tydzień ruszamy. Roześlijcie gońców do swych marchii. Niech wszystko będzie gotowe. A teraz — klasnął w dłonie — wina! wina! — krzyknął do nadbiegających sług.

Wśród bieganiny i hałasu nikt nie dostrzegł wpełzającego z komnaty smoka.

*

Odpędziwszy niewolników, którzy chcieli odprowadzić go do sypialnej komnaty, zataczając się lekko zszedł schodami, idącymi po zewnętrznej stronie murów, aż na sam taras, zawieszony na skraju przepaści nad okiem skalnego jeziora.

Oparł się o kamienne bariery, wpatrując się w lustro wody z odbitą w nim złotą tarczą księżycy. Chmury wolno przesuwały się po niebie, ale nie przesłaniały silnego blasku. Ta noc wywołała z zakamarków pamięci odległe wspomnienia. Przed wyprawą w obronie Permuza, dwanaście lat temu też stał na tym tarasie i wtedy też księżyc był tak wielki i tak złoty jak teraz.

Otrząsnął się. Nie był to dobry czas na wspomnianie odległych czasów. Tamto przedsięwzięcie zakończyło się klęską, a więc źle zrobił połączywszy obie chwile: tę sprzed dwunastu lat i terażniejszą.

Zaczął modlić się cicho, prosząc Błogosławioną Matkę o łaskę.

— Nie dla mnie, Matko — szeptał — nie dla mnie, ale dla potęgi i chwały Gordoru. Zlituj się nad mym krajem. Jestem gotów umrzeć, jeżeli przysporzy to szczęścia Gordorowi.

Nagle poczuł lekki dotyk na swym ramieniu. Odwrócił się i ujrzał stojącą tuż obok szarą, zakapturzoną postać.

— Witaj, samozwańczy królu Gordoru — powiedział przybysz.

— Kim jesteś? — spytał wzdrygnąwszy się Gardzek.

— Nie poznajesz? — odchylił lekko kaptur i blask księżycy padł na odsłoniętą twarz.

— Ardin?

— Tak, to ja.

— Czego chcesz?

— Odwieść cię od szaleńczych planów, grafie. Zrezygnuj z wielkości, sławy, zwycięż swą pychę.

— Głupcze — rzekł twardo Gardzek — ja poświęcam się dla Gordoru.

Ardin zaśmiał się cicho.

— Jakżeś biedny, grafie. Musisz zostać królem. Czy uważać cię należy za męczennika?

Gardzek zrzucił dłoń Ardina ze swego ramienia.

— Dość tego! Wracaj, skąd przybyłeś.

Odwrocił się, ale dłoń gościa zatrzymała go w pół ruchu.

— Nie przyszedłem spierać się z tobą. Patrz tam.

Nachylił głowę grafa i zmusił go do spojrzenia w toń jeziora. Z ust Omelorczyka wydarł się cichy okrzyk zdumienia. Powierzchnia wody zbliżyła się gwałtownie do jego oczu, ale nie była to już spokojna i czysta granatowa toń, lecz feeria krwawych i złotych błysków, które zniknęły nagle, ukazując obraz zrujnowanego miasta. Wśród gruzów białeły na słońcu ludzkie kości i najmniejszy nawet ruch nie zakłócał martwego spokoju. Ani jeden ptak nie przelatował nad ruinami, żaden dźwięk nie zakłócał ciszy. Bezruch. Obumieranie.

— Oto twoje dzieło, grafie.

— To Ottin — wyszeptał Gardzek poznając wzgórze, o które niegdyś opierała się twierdza, a obecnie otaczały je jedynie szczątki murów.

— To Ottin — odparł jak echo Ardin — za sto lat.

Gardzek zasłonił twarz dłońmi, ale upiór oderwał mu palce od ciała i mocno przytrzymał ręce.

— Patrz — szepnął.

Graf próbował wyrwać się z krepującego go uścisku, ale nagle poczuł straszną słabość i oparł się o balustradę, wpijając wzrok w przedziwny obraz.

— Któż to uczyni? — spytał słabym głosem.

— W twej mocy jest jeszcze powstrzymać zły los.

Gardzek szarpnął się potężnie i odwrócił od jeziora. Zatoczył się i upadł twarzą na kamienie.

— Precz stąd! — krzyknął. — Odejdź! Zostaw mnie w spokoju!

— Powstrzymaj się, grafie. Rutteh natchnął cię złą myślą. Złam swą pychę. Pokonaj samego siebie!

Gardzek uniósł ciężko ciało z kamiennych płyt. Przed oczyma tańczyły mu kolorowe plamy. Przetarł dłonią powieki.

— Nie wierzę twoim słowom — rzekł. — Zresztą już za późno.

Ardin przypadł do niego.

— Nieprawda! Jeszcze nie jest za późno. Błagam cię, grafie. Śmierć zbliża się wielkimi krokami do Vallisa. Możesz zostać prawowitym królem. Ocal siebie i Gordor.

— A dziecko?

— To może być córka.

Gardzek oparł rozpalone czoło na chłodnym kamieniu.

— Nie mam już więcej sił — rzekł. — Poruszyłem jeden kamień, więc lawina musi spaść. Mogę tylko modlić się do Błogosławionej Matki, abym sam nie został zmiażdżony.

— Ty, grafie? — spytał drwiąco Ardin. — A więc nie Gordor?

Gardzek podniósł głowę.

— Szczęście kraju jest w moich rękach. Teraz moja śmierć będzie śmiercią Gordoru.

Twarz Ardina zaczęła rozmywać się przed jego oczyma.

— Rutteh cię opętał. Niech Błogosławiona Matka zlituje się nad tobą.

Gardzek poczuł chłodny powiew na swej twarzy.

— Ardin! — krzyknął, ale wiatr wduślił mu słowa z powrotem do ust.

— Panie, cóż się stało? Panie?
Uniół głowę i zobaczył stojącego nad sobą sługę.
— Wstań, panie. Poprowadzę cię do komnaty.
Oparty na ramieniu sługi stanął, chwiejąc się na nogach.
— Widziałeś tu kogoś? — spytał.
— Nie, panie — usłyszał strach w głosie niewolnika.
— Nikogo tu nie było?
— Nie, panie.
— Czy mówiłem coś?
— Tak, panie.
— Co?
— Wzywałeś kogoś, panie. Ale nikt tędy nie przechodził. Jedynie, gdy zbliżałem się, czarny ptak poderwał się ze skały i pofrunął w stronę jeziora.
— Czarny ptak, mówisz?
— Tak, panie.
— Dobrze — graf zaczerpnął głęboko powietrza — przywołaj do mnie szlachetnego Hirdana i szlachetnego Merrila. Niech przyjdą natychmiast.
— Stanie się, jak rozkazałeś, panie — rzekł sługa, cofając się w głębokim ukłonie.
Ciężko oddychając, z trudem łapiąc powietrze czekał na swych rycerzy. Serce tłukło się jak oszalałe pod kolczugą i musiał usiąść opierając się o ścianę, aby opanować drżenie nóg. Po chwili dojrzał zbliżające się sylwetki.
— Jesteśmy na twój rozkaz, grafie — rzekł Merril.
Gardzek uniósł się z trudem, czepiając się dłońmi ściany.
— Źle się czujesz, panie? Czyżby...
— Nie, nie — graf machnął dłonią. — To słabość, chwila tylko. Przez chwilę byłem tak znużony — umilkł.
— Za kilka dni wyruszę z Omeloru — rzekł. — Mam stawić się na zaproszenie króla w Weerdengardzie. Dzień lub dwa po moim odjeździe staniecie na czele oddziałów i ruszycie w stronę granicy Wedder.
Merril i Hirdan wymienili szybkie, krótkie spojrzenia.
— Stanie się, jak rozkazałeś grafie — powiedział Hirdan, przykładając dłoń do piersi i pochylając lekko głowę.
— Musicie skradać się jak wilki. Nikt nie ma prawa wiedzieć, że wyruszyliście z zamku w stronę starego Wedder. Przypadniecie w lasach Lajjal niedaleko dworu Toshena i tam będziecie czekać na mych posłańców.
— Będziemy jak wilki, grafie — rzekł Merril. — Mam nadzieję, że usłyszą w Weerdengardzie nasz bojowy zew.
Gardzek uśmiechnął się.
— Tak, Merrilu, mój drogi krewniaku, ręczę cię, że usłyszą. Gdy tylko przyjdą rozkazy, ode mnie lub... — zawiesił głos — tak, lub od Mardhiw-Ardha, ruszycie skokiem w stronę stolicy. Sądzę, że spotkamy się w połowie drogi, ale jeśli nie, to uderzajcie sami. Ty, Hirdanie — zwrócił się do starego rycerza — będziesz dowodzić moimi oddziałami, a ty, Merrilu, ucz się od niego sztuki wojennej, gdyż, kiedy umrę, właśnie ty będziesz grafem Omeloru.
Merril pochylił się nisko.
— Żyj wiecznie, grafie. Wszyscy mówią, że tylko w tobie leży zbawienie Gordoru.
Gardzek poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się lekko.
— Duży ciężar położyliście na me barki. Najtrudniej jest udźwignąć zaufanie, lecz jeśli was zawiodę, niech Rutteh pożre mą duszę!
Rycerze pochylili głowy.
— Oddać życie za ciebie, grafie, to jeszcze byłoby mało.

Gardzek przesunął wzrokiem po twarzach swych doradców. Jakże są szczęśliwi — pomyślał — ufają mi i wykonują rozkazy. Kiedy będzie trzeba, oddadzą za mnie życie. A kto mnie potrafi wskazać drogę? Jak straszna jest samotność.

Otrząsnął się z ponurych myśli.

— Niech Błogosławiona Matka czuwa nad każdym waszym krokiem, szlachetni — rzekł, kładąc im dłonie na ramionach.

— I nad twoim, grafie — odparł Hirdan.

— I nad twoim — jak echo powtórzył Merrill i urwał na chwilę. — Władco Gordoru — dokończył.

Jacek Piekara

Mirosław Kowalski **Magią i mieczem**

...Otoczeni są zewsząd. Już runął z konia Nagodziec. Ubit Ludbor Oświęta. Bluzgając krwią chyli się na kark koński gadatliwy Nowina Tarchała. Nie miną i dwa pacierze, a zginie podobnie reszta...

...Trzeba, by wrócił choć jeden... — myśli Głowacz, odpierając nadjeżdżającego nań napastnika o czarnej diabelskiej gębie.

...Żeby powrócił choć jeden... Więc cóż?... Chyba wołać... Ją?...

Na samą myśl mróz chodzi po kościach... — Wołać ją? Tajemniczą opiekunkę rodu? Ojciec zwierzył mu przedśmiertnie, że trzeba ją wzywać, gdy grozi rodowi zagłada, jeno, który woła — ginie.

...Trzeba — myśli Głowacz — chwila jest taka, że trzeba...

I przeraźliwym, nieswoim głosem, zadartszy głowę ku niebu, krzyczy po trzykroć:

— Strzyga! Strzyga! Strzyga!...

...Nadleciała. Z gwizdem sunąc przez powietrze, spadła z nagłą. Wśród pustyni azjatyckiej ujrzeni ją, upiorzycę słowiańską... Podwójny rząd zębów w licu trupim, szponiaste palce, nieśmiertelne szare radno, łysy czerep... Już siada na kark najbliższego poganina, wpija się zębami w ciało poprzez stal. Już na drugim, trzecim, czwartym... Już się mości wolna droga... Dokoła walczących pustka... Ich zimny pot spływa z czoła. Ułomkami mieczów tłuką bez opamiętania, nie bacząc, że biją w próżnię. Jedna myśl: nie podnieść głowy, nie spojrzeć, nie zobaczyć jej ponownie...

Nie zobaczą. Już zniknęła. Może jej wcale nie było?

Ta książka winna być dla każdego miłośnika fantazy lekturą obowiązuącą. Niewiele w niej wprawdzie ingerującej w rzeczywistość magii, a rolę smoków pełnią nie znane krzyżowcom wielbłądy i słonie, ale dzieją się rzeczy, które trudno racjonalnie wytłumaczyć, są opisy magicznych zaklęć i obrzędów, są religijne uniesienia jednostek i całych wielotysięcznych zbiorowości. Dobro walczy ze Złem, rycerze dążą do swojego mistycznego celu — Grobu Odkupiciela, po zdobyciu którego w świecie zapanuje powszechna szczęśliwość, a porywająca batalistyka przeplata się z opowieścią o mrocznej średniowiecznej codzienności. Dzieje pierwszej krucjaty stają się pod piórem Zofii Kossak *straszliwym skrótem ogólnych dziejów ludzkości.*

Krzyżowcy powstałi w latach 1930—35, a więc wtedy, kiedy istniał już barbarzyńca Conan i pokrewni mu John Carter Burroughsa i Kai Lung Smitha, ale na długo przedtem, nim na literackie wyżyny wzniesli gatunek fantazy Tolkien i Ursula K. Le Guin. Oczywiście, książka ta nie ma nic wspólnego z najszerzej rozumianą fantastyką, jest po prostu bardzo dobrą powieścią historyczną (i katolicką z ducha, jak podkreślają niektórzy krytycy), której akcja toczy się tu, na Ziemi, w dość dobrze opisanym kronikarskim i naukowym piórem przedziale czasowym, a nie na innej planecie lub na którymś ze światów równoległych, domniemane zaś czarownice i wilkołak — których autorka nie demaskuje, pozostawiając to czytelnikowi — pełnią jedynie dekoracyjną rolę, obrazując stan ówczesnej świadomości i nie ingerują w rzeczywistość, jak to się dzieje w fantazy. Polecam tę książkę dlatego, że z niej uczyć się warto warsztatu — operowania językiem i metaforą, sztuki budowania nastroju,

prowadzenia narracji i mówienia jedną sceną więcej o naturze ludzkiej niż inni tomami filozoficznych traktatów i metrami publicystyki.

Zofia Kossak nie pisała fantasy, co np. robił z dobrym skutkiem ogarnięty podobną żarliwością religijną profesor Oksfordu. C. S. Lewis, także i z tego względu, że fantasy — mimo odwołań do pradawnych mitów i ewidentnych zapożyczeń z XIX-wiecznej powieści historycznej i przygodowej — jest rodzajem literackim na wskroś współczesnym. Próba dorobienia temu gatunkowi — określanemu w języku polskim jako *baśń fantastyczna*, *baśń współczesna* lub korzystając z nazwy najpopularniejszego podgatunku, jako literatura *magii i miecza* — jakiegoś rodowodu wiedzie na manowce. To tak, jakby w zanotowanych na egipskich papirusach opowieściach o rabusiach doszukiwać się prapoczątków powieści kryminalnej. I tak, jakby brać poważnie deklaracje teoretyków literatury SF uszlachetniające ten gatunek Gilgameszem, Campanellą i Baconem.

Owszem, baśń fantastyczna czerpie pełnymi garściami z mitów celtyckich i germańskich, ze skandynawskich sag, z opowieści o królu Arturze i Nibelungach, z legend chińskich, arabskich i literatury ludowej wszystkich ras i narodów, ale to nie oznacza, że każdą wyprawę po Graala, każdą dobrą wrózkę i każde puszczenie wodzy fantazji należy zaszufładować jako fantasy. Prawdziwa fantasy powstała i rozkwitła w dwudziestoleciu międzywojennym jako literatura drugiej kategorii, użytkowa, wypełniacz tzw. pulp magazines. Jako błyskotka dla niewyrobionego czytelnika i tandeta świadoma wrodzonej ułomności. Ale z czasem i ją spotkał los, jaki stał się udziałem bodaj wszystkich gatunków literatury popularnej — nobilitacja najmądrzejszych dzieci. Do skarbnicy światowej kultury weszły bowiem zarówno opowiadania grozy Poego i Lovecrafta, kryminały Conan Doyle'a i Chandlera, powieść sensacyjna Forsytha, jak i bratnia SF w wykonaniu takich tuzów, jak Wells, Aldiss, Strugaccy czy Lem. Baśń fantastyczną wprowadzili na literackie salony Tolkien i Le Guin i dziś ma ten gatunek swoją ostro zaznaczoną stylistykę, swoją rekwizytornię, swoich mistrzów, swoich grafomanów i tych, których zawsze najwięcej — szarych rzemieślników pióra.

Fantasy to wyobraźnia, umiejętność kondensacji losów człowieka, zbiorowości, ba, świata całego w dziele literackim — w noweli i w wieloodcinkowym cyklu. Gra toczy się tu, na Ziemi, współcześnie lub przed milionami lat, bądź poza nią — w scenerii światów-cieni, światów równoległych i na innych planetach, a figurami są dorośli i dzieci, rycerze, czarownice, elfy, hobbity, trolle, smoki, upiory i rozumne zwierzęta. Wspiera baśń fantastyczną cała supernowoczesna technika: film, kasetą wideo i mikrokomputer, uciekają w nią dotychczasowi zwolennicy twardej science fiction, bawią się heroiczno-fantastycznymi przygodami dorośli i nastolatki, ludzie o różnym wykształceniu i różnych gustach literackich.

Przyczyny popularności współczesnych baśni są znane. Z tych górnolotnych: kryzys wartości, rozczarowanie cywilizacją techniczną i brak wiary w jej linearny postęp i uzdrawiającą moc, coraz większy rozdział między poziomem nauki a możliwościami percepcyjnymi przeciętnego człowieka, nawrót irracjonalizmu i wzrost zainteresowania różnymi przejawami życia *pozaumysłowego*. Z tych bardziej przyziemnych: chęć oderwania się od szarości życia codziennego i szukanie w literaturze jedynie rozrywki, barwnej sekwencji cudownych zdarzeń, niespodziewanych obrotów sytuacji, przygód. Fantasy oferuje pewną stabilizację, tak jak western, tylko z większą liczbą wewnątrzgatunkowych kombinacji: tradycyjną narrację, stały zestaw rekwizytów i jasny system wartości (Dobro kontra Zło). W królestwie magii nikt nie jest samotny — znając tolkienowskie Śródziemie i reguły w nim obowiązujące nie sposób zagubić się nawet w światach tak odmiennych, jak Ziemiomorze Le Guin czy światy-cienie *jedynego prawdziwego* Amber Żelazny'ego — i tu, i tam chodzi w końcu o danie odporu złym mocom.

Fantasy — jak każda literatura podlegała gatunkowym ograniczeniom — ma swoje mielizny; dość łatwo używając kilku obco brzmiących słów sugerować, że się stworzyło własną rzeczywistość. Trudniej natomiast dać tej rzeczywistości oryginalną florę i faunę, zaludnić postaciami z krwi i kości i związać te postacie w plemiona i narody, obdarzyć historią, wskazać sens życia. Model, jeśli ma być przekonujący, musi być eklektyczny, czerpać z wielu legend i wielu historii. Odwoływanie się do jednej tylko tradycji weksluje uwagę czytelnika na boczne tory, zmusza do doszukiwania się aluzji, rozszyfrowywania literackich kodów, zmienia baśń w realistyczną powieść, której zabrakło środków wyrazu, więc się odwołuje do mocy nadprzyrodzonych. Siłą żyjącego w czasach przedpotopowych barbarzyńcy Conana — dziś postaci nr 1 światowej kultury masowej — jest jego uniwersalność; filmowy heros jest skrzyżowaniem Winnetou, samuraja, muszkietera z opowieści *ptaszcza i szpady* i totrzyka z filmu o korsarzach. Gdyby przebrać go w skóry i ucharakteryzować na neandertalczyka, to

wnet historycy podnieśliby raban, a i widzowie poczuliby się urażeni, że zamiast baśni wciska się im jakąś pseudohistoryczną ramotę. Fantasy nie musi być prawdopodobna, istotą fantasy jest ruch, działanie się, magia. Gdy frapującej akcji towarzyszy historiograficzno-filozoficzna refleksja, a wykreowany świat jest spójny i logicznie zbudowany, to mamy literaturę szczebla wyższego niż wagonowa. Literaturę, którą warto zauważyć i na temat której jest sens dyskutować.

Ta dobrze skonstruowana rzeczywistość fantasy — skondensowany w literackiej pigułce model świata, który istnieje, istniał lub będzie istniał w przyszłości — przypomina teatr lalek. Choć liczba rekwizytów w nim ograniczona, to można zagrać różne sztuki: od błażej burleski po Szekspira. Najuboższa, najbardziej nawet ograniczona dekoracja nie przeszkadza w stawianiu odwiecznych pytań — o wolność, prawdę, moralność i sens życia. Mógł Witkacy proponować Czystą Formę w teatrze: *Wchodzą trzy osoby czerwono ubrane i kłaniają się nie wiadomo komu. Jedna z nich deklamuje jakiś poemat (...) Wchodzi łagodny staruszek z kotem na sznurku. Dotąd wszystko było na tle czarnej zastony. Zastona się rozsuwa i widać włoski pejzaż. Słychać muzykę organów. Staruszek mówi coś z postaciami, coś, co musi dawać odpowiedni do wszystkiego poprzedniego nastrój. Ze stolika spada szklanka. Wszyscy rzucają się na kolana i płaczą. Staruszek zmienia się z łagodnego człowieka w rozjuszonego „pochronia” i morduje małą dziewczynkę, która tylko co wpęta z lewej strony. Na to wbiega piękny młodzieniec i dziękuje staruszkowi za to morderstwo, przy czym postacie czerwone śpiewają i tańczą. Po czym młodzieniec płacze nad trupem dziewczynki i mówi rzeczy niezmiernie wesole, na co staruszek znów zmienia się w łagodnego i dobrego i śmieje się w kącie, wypowiadając zdania wzniosłe i przejrzyste...; twierdząc, że tą metodą można, pisząc sztukę na serio i wystawiając ją odpowiednio, stworzyć rzeczy niebywalej dotąd piękności, mogą następcy Tolkiena na wiele różnych sposobów żonglować świętymi mieczami, pierścieniami zła i przynoszącymi zgubę kamieniami. Rzecz, powtarzam, nie w rekwizytach, ale w sile i poetyckości wyobraźni, w oryginalności historiozoficznego przesłania i w odwadze w przełamaniu gatunkowych stereotypów.*

A polska fantasy? Czy już istnieje? Ile w niej oryginalności, ile wyobraźni?

Na pierwsze pytanie odpowiedź brzmi: tak. Bo jeszcze nie zdarzyło się, by którakolwiek z zachodnich mód literackich czy obyczajowych nie przywędrowała do Polski. Przykładem — punk, do którego tak chętnie porównuje się ostatnio młodą krajową fantastykę. Specjaliści ds. młodzieży mówili w drugiej połowie lat siedemdziesiątych: punku u nas nie będzie, bo nie ma ani kryzysu, ani bezrobocia. A tymczasem punk jest.

Podobnie z fantasy. Teoretycznie nie powinna w ogóle istnieć — nie ma u nas ani brukowej prasy, która by nakręcała koniunkturę, ani przesytu gadżetami rewolucji naukowo-technicznej. Ta pierwsza bariera nie powstrzymała jednak rozwoju fantastyki naukowej, która po latach zastoju, zważając ostatnio dogania SF światową, ta druga nie wydaje się wysoka. I jeśli przejść do porządku dziennego nad kilkoma (kilkunastoma?) utworami, które powstały wcześniej i które przy dużym nasileniu dobrej woli można by podciągnąć pod szyld fantastycznej baśni, za właściwy początek polskiej fantasy uznać należy lata 1982-83. Debiutowali wtedy na łamach prasy trzej uczniowie warszawskich szkół średnich, współtwórcy grupy literackiej TRUST — Jarosław Grzędowicz, Jacek Piekara i Rafał Ziemkiewicz. Dwaj pierwsi wybrali fantasy z pełną świadomością jej ograniczeń i możliwości, i — jak sądzę — zamierzają się zająć smokami w sposób poważny; trzeci tylko czasem sięga po baśniowy rekwizyt, na co dzień tworząc SF spod znaku social fiction. Reklamą gatunku zajął się nowo powstały miesięcznik „Fantastyka” — tu pojawiły się przekłady kilku znaczących opowiadań i powieści, a także szkice krytyczne, tu debiutowali dwaj kolejni twórcy fantasy: Feliks Kres i Krzysztof Kochański.

Jeśli już koniecznie trzymać się chronologii, to trzeba przyjąć, że pierwszym polskim opowiadaniem, w pełni podporządkowanym obowiązującym baśń fantastyczną regułom jest *Twierdza Trzech Studni* Grzędowicza. Po niej następuje cykl drukowanych przede wszystkim w „Fantastyce” i „Problemach” opowiadań Piekary (*Wszystkie twarze szatana, Smok, Miasto dwunastu wież, Powrót Białych Jeźdźców, Loteria, Czarodziejskie miasto, Spotkania na końcu wszechświata*), teksty Kresa (*Mag*), Kochańskiego (*Zabójca czarownicy*) i Drzewińskiego (*Postaniec*). Do szeroko rozumianej fantasy można by też zaliczyć utrzymane w borgesowskiej konwencji opowiadania Jerzego Grundkowskiego z tomu *Annapolis, miasto moich snów* (WL 1983). Dodawszy do tego kilkadziesiąt (w większości miernych) utworów nadesłanych na ogłoszony przez „Sferę” konkurs „Zostań polskim Tolkienem lub Burroughsem”, kilka nie znanych jeszcze mikropowieści i nowel Jacka Piekary (z przygotowywanych do druku tomików „Naszej Księgarni”, „Iskier” i „Alma-Pressu”), złożoną w „Iskrach” krótką powieść Henryka Wiatrowskiego i napisaną już powieść Feliksa Kresa, otrzymamy w miarę pełny obraz stanu posiada-

nia polskiej fantasy AD 1985 — jego dość reprezentatywną próbkę publikujemy powyżej.

Cienki, jak na razie, ten strumyk krajowej baśni fantastycznej, cienki. Także pod względem artystycznym. Naiwne, jednowymiarowe przesłanie współgra najczęściej z nieporadnością warsztatową, jawnym zapożyczeniem u klasyków (co gorsza bywa, że piętrowym — od Grzędowicza czy Piekary) towarzyszy pustka myślowa i brak elementarnej wiedzy o mechanizmach społeczno-politycznych. Krzyk zastępuje chłodną analizę faktów, a czarodziejskie rekwizyty mają podeprzeć kulejącą intrygę. Najciekawszy z czytanych przeze mnie tekstów — *Smoki Haldoru Piekary* — choć nieobarczony wymienionymi wyżej wadami, jest właściwie przymiarką, szkicem czegoś większego, a nie dziełem literackim w pełnym tego słowa znaczeniu. Szkicem zresztą pod wieloma względami doskonałym i skończonym — o historii, o ludzkich powinnościach, i o fatum. Piekara sprawnie splata poszczególne wątki, demaskuje mechanizmy zdrady i manipulacji, umiejętnie dozjuje napięcie, a zastosowane przez niego rekwizyty fantasy ubarwiają jedynie akcję, nie determinując jej. W *Smokach Haldoru* aż gęsto od wydarzeń, brak jednak epickiego rozmachu, jakiegoś szerszego oddechu, scen batalistycznych, które by przekonywająco pulsowały krwią, zmęczeniem i strachem. Piekara jakby się zatrzymał w połowie drogi — pomiędzy pełnym rozmachu d'Ormessonem a oszczędnym Borgesem, który najważniejsze nawet treści potrafi sprzedać na kilku stronach maszynopisu. Akcja *Smoków Haldoru* dzieje się w dialogach bądź w suchych niczym komunikaty odautorskich komentarzach, tak jakby Piekara nie czuł się jeszcze pewny swojego pióra, bał się wielosłowa, a co za tym idzie — śmieszności i posądzenia o grafomanię. Zręczne, utrzymane w stylistyce średniowiecznej kroniki zakończenie sugeruje, że forma powieści ma być właśnie taka — gęsta od znaczeń, lecz przejrzysta i lakoniczna, ja jednak sądzę, że książce przydałoby się rozgęszczenie narracji — jakąś dłuższą relacją z pola bitwy, sceną miłosną czy nawet opisem przyrody. A Piekarę na taki plastyczny, wielowymiarowy opis już chyba stać.

Czy innych stać na to również? Ziemkiewicza — na pewno tak. Kochańskiego, Kresa i Wiatrowskiego chyba też. Polska fantasy dopiero się rodzi, dopiero szuka swojej szansy — każdy z tworzących ją autorów ma takie same możliwości awansu z grupy amatorów do węższego klanu zawodowców. Nawet nieufność wydawców i redaktorów, którzy zatrzymali się w rozwoju na poziomie tradycyjnej fantastyki naukowo-technicznej, i wybrzydzenia krytyki nie są w stanie zahamować tego naturalnego procesu. Gdyby na nasze ekrany dotarło kilka podstawowych dla rozwoju fantasy filmów (*Conan barbarzyńca*, *Nie kończąca się historia*, *Excalibur*, animowany *Władca pierścieni*), gatunek miałby powodzenie zapewnione.

Szansy na oryginalną polską baśń fantastyczną upatruję w dwóch czynnikach: w istnieniu obiecującej grupy młodych autorów, którzy chcą się zajmować właśnie fantasy, i w solidnej bazie literackiej, jaką posiadamy.

Nie ma co ukrywać, że zawsze, w każdej sytuacji istnieje kategoria twórców, którzy świadomie stawiają na literaturę popularną — sensacyjną i obyczajową — i oni właśnie, na normalnie funkcjonującym rynku, tworzą ogromny literacki ład pomiędzy antypodami awangardy i kiczu. O ten ład już przed kilkunastoma laty dopominali się autorzy *Świata nie przedstawionego*. Bez skutku. Nadal nie ma u nas ani dziejącej się tu i teraz powieści społeczno-obyczajowej, ani kryminału, ani politycznego dreszczowca. Ci autorzy, którzy chcą zachować uczciwość, a których mierzą — tak ukochane przez część krytyków — eksperymenty na języku, pseudofilozoficzny bełkot i strumień nieświadomości, którzy nie chcą, by ich dzieła znalazły się na tej samej półce odrzuconych, co ambitne nowatorskie tomy literatury przez duże „I”, ci autorzy są skazani na boczne furtki. Powieść historyczna taką furtką już właściwie nie jest. Raz, że się nieco przeżyła, dwa — że trudno przeskoczyć poziom, na jaki wprowadził ją choćby Królikowski, nie mówiąc o Kossak, Sienkiewiczu czy Parnickim. I trzy — że wymaga głębokiej wiedzy. Ten sam problem z tradycyjną fantastyką naukową — nie każdy zna się biegle na technice raketowej czy komputerowej. Socjologiczno-polityczna odmiana SF wydaje się wyczerpana: cóż więcej można powiedzieć po Zajdlu, można pisać lepiej literacko, ale czy na szlifowaniu frazy polega literatura?

Pozostaje twórczość dla dzieci. I współczesna baśń dla dorosłych. Co zresztą na jedno wychodzi.

Wspomnianą przeze mnie bazą literacką, na której może się oprzeć polska fantasy, jest powieść historyczna — jedna z niewielu dziedzin, w której osiągnęliśmy światowy poziom. Historia jest przebogata kopalnią archetypów, symboli i całych literackich wątków. Najciekawiej zawsze na styku kultury, a my stykaliśmy się — że wymienię tylko kontakty mnie frapujące — z Rzymem, Gotami (w

czasie ich wędrówki od ujścia Wisły nad Morze Czarne), wikingami (twierdza Jomsborg na Wolinie), plemionami pomorskimi i bałtyckimi, Krzyżakami (świeżo przybyłymi z Ziemi Świętej), Tatarami... Na naszej ziemi współzawodniczyli bogowie słowiańscy, skandynawscy, pruscy, walczyły z sobą strzygi, koboldy i diabły, a chrześcijaństwo ogniem wypalało pradawne kultury.

Nie namawiam, oczywiście, do pisania fantazy o Piaście i Rzepisze. Efekt byłby komiczny, a już na pewno niezrozumiały w innej strefie kulturowej. Namawiam natomiast, by wplatać do eklektycznej fantazy także i rodzime wątki. Jest to jedyny sposób gwarantujący literacki (i finansowy) sukces, jedyna szansa, by nie być tylko skarłałym cieniem Tolkiena.

Miroslaw Kowalski

Ryszard Holzer **Wrzuć monetę**

Ryszard Holzer (ur. 1955) ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, pracował w redakcji Tygodnika „Solidarność”, poeta i autor opowiadań dla dzieci. Debiutował w 1977 r., w 1982 r. Wydawnictwo Literackie opublikowało jego tom wierszy „Życiorys”, a w 1985 r. Wydawnictwo „Pomorze” - zbiór opowiadań: „O króliku, który chciał być królem”. „Wrzuć monetę” i „Józefiak story” to jego debiut na niwie fantastyki.

Na ekranie były tylko gwiazdy — szczątki nieprzyjacielskiego statku pochłonał kosmos. Duke z westchnieniem ulgi opadł na fotel, myśląc o tym niezwykłym splocie okoliczności, który sprawił, że on, kondotier Siedmiu Planet, uratował ambasadora Imperium Solarnego z podziemnych korytarzy Tadoo. Swoją drogą ciekaw był, kto zabił komandora Vortressa. Oblat? Czy może ktoś inny spośród Rady Pionierów? Ale oczywiście wszystko zwał na niego, Duke'a Morrisona, nikomu nie znanego awanturnika, wmieszanego w jakieś ciemne sprawy na peryferiach Galaktyki... W każdym razie na Siedem Planet nie miał po co wracać. Na pograniczu posiadłości tej niewielkiej wspólnoty i dynamicznej Republiki Pionierów Tadoo potyczki trwały od pokoleń, niemniej Siedem Planet — chcąc uniknąć otwartej wojny — będzie musiało wydać go Pionierom. Życie Duke'a Morrisona nie będzie zbyt wysoką ceną za kilka lat pokoju.

W całej Galaktyce tylko Ziemia może go uratować przed zemstą Tadoo. A Ziemia ma zobowiązania wobec Duke'a za uratowanie jej ambasadora. I jest wciąż na tyle potężna, by nie obawiać się ataku... Ale jak długo jeszcze trwać będzie jej potęga? Na Tadoo Duke zorientował się, jak potężną flotę budują Pionierzy. Te ogromne zbrojenia mogły mieć tylko jeden cel. Miał nadzieję, że dokumentacja, którą zdobył, przekona władze Imperium Solarnego o zagrożeniu.

Spojrzał na sąsiedni fotel. Ambasador Specjalny i Pełnomocny Imperium Solarnego, Lisa Van Neel nie odzyskała jeszcze przytomności. Bransoleta stymulatora bioprądów seledynowym blaskiem pulsowała na jej przegubie. Kosmyki krótko obciętych włosów opadły na czoło. Wyglądała jak piękna kobieta, a nie jak urzędnik wysokiego szczebla. Duke poczuł nierozsądną chętkę, by dotknąć jej gładkiej szyi. Przybliżył dłoń, aż poczuł ciepło ciała. W tym momencie melodyjnie zagwizdał komputer. „Koordynaty wyzerowane — przeczytał Duke na ekranie. — 51-7 ARTa3, IV Sektor. Układ nie zamieszkały, słabo zbadany, formalnie własność Imperium Solarnego. Druga planeta 0,87 MZ, fauna i flora nie skatalogowana”. Zażądał zdalnego pobrania próbek atmosfery. Wyniki nadeszły po kilku minutach. Powietrze nadawało się do oddychania — rzadkość w Kosmosie. Tak, to właśnie o tej planecie opowiadał mu na Delcie jednooki handlarz narkotykami.

Ładowanie przebiegło bez niespodzianek. Duke zdjął ręce z pulpitu i po raz pierwszy od

kilku dni pozwolił sobie na odpoczynek. Wcisnął czerwony klawisz systemu zabezpieczenia planetarnego i przymknął oczy, pozostawiając komputerowi troskę o rozlokowanie automatów obronnych i wystrzelenie zwiadu bliskiego zasięgu.

Obudziła go pogodna, nieco monotonna muzyka. Słuchał jej z zamkniętymi powiekami, wypoczęty i odprężony. Jednak kiedy otworzył oczy, dobry nastrój ulotnił się. „Poszłam w stronę rzeki. Będę o drugiej czasu pokładowego. Proszę przygotować coś do zjedzenia” — przeczytał pozostawioną na ekranie wiadomość. I jeszcze ten podpis: „Pani Lisa Van Neel”! A kto inny mógłby bawić się w arystokratkę ponad 20 parseków od Układu Słonecznego!

Idiotka! — pomyślał z narastającą furją. — Wyobraża sobie, że jest na pikniku! I oczywiście nie wzięła broni ani nawet komunikatora!

W kamerach zwiadu widać było rzekę, z rosnącymi na obu jej brzegach gęstymi krzakami. Płynęła prosto, bez zakrętów, poprzez równy step. Prawdę mówiąc płynęła zbyt prosto. Wyglądała bardziej jak kanał, nie jak rzeka. I step też był zbyt równy. Jakby przejechał po nim gigantyczny walec. Duke widział w swoim życiu wiele rozmaitych planet i lakoniczna informacja komputera o „braku stwierdzonych zagrożeń”, nie mogła mu wystarczyć. Wypadł na ciemnoniebieski mech, którym porośnięta była powierzchnia planety, w biegu dopinając oporządzenie.

Nadrzeczne zarośla z bliska okazały się czymś w rodzaju wysokiego, gęstego żywopłotu. Mimo braku wiatru zbite w kłęby, cienkie, pomarańczowe gałązki łagodnie falowały. Gdy podszedł bliżej, zeszywniały, wyciągając w jego stronę długie, ostre kolce. Duke mógłby przysiąc, że jeszcze przed chwilą nie było żadnych kolców, a tylko podłużne, sztywne listki. Wyrwał płat mchu i rzucił przed siebie. Pomarańczowe witki drapieżnie rzuciły się na zdobywcę. Potem wraz z ciemnoniebieskimi pasemkami owiniętymi na kolcach zapadły w głąb roślinnego muru. To wszystko trwało zaledwie sekundy i budziło respekt.

Lisa Van Neel nie miała miotacza. Jeśli przedostała się przez ten drapieżny żywopłot, to przejście musiało być w pobliżu. Duke znalazł je bez trudu. Szeroka przerwa wśród gąszczu nie wyglądała na twór natury. Grunt był tutaj taki sam jak wokół, a jednak gałązki zatrzymały się na jakiejś niewidocznej granicy. Gdy wkroczył w przejście, odchyliły się, jakby z obawą uciekając od niego.

Lisa brodziła na przybrzeżnej płyciźnie. Nie spostrzegła go. Gdy zawołał, kucnęła w wodzie, osłaniając się dłońmi i z gniewem kazała mu się odwrócić. Miał zamiar to uczynić, z mieszaniną rozbawienia i irytacji myśląc o ziemskiej pruderii, gdy nagle za plecami dziewczyny dostrzegł poruszenie. Coś, co wyglądało jak skała, wynurzało się z ciemnogrnatowej toni, nie powodując tym najmniejszej zmarszczki na jej powierzchni. To coś z całą pewnością nie było skałą. Szary, bezkształtny ogrom rósł i zbliżał się do brzegu. Lisa dostrzegła to wreszcie i z wrzaskiem rzuciła się do ucieczki.

Zatrzymali się dopiero w pobliżu rakiety. Lisa padła na ziemię, z jękiem próbując złapać oddech, a Duke obrócił się, szukając lufą miotacza tamtego kształtu. Ale ujrzał tylko step i pas zarośli.

Ze wściekłością spojrział na dziewczynę.

— Kiedy już znajdziemy się poza orbitą Plutona, wysadzę cię na pierwszy napotkany patrolowiec — warknął. — A do tej chwili nie będzie ci wolno zrobić kroku bez mojego zezwolenia! Jasne?!

Podniosła się z mchu i stała przed nim z bezradnie opuszczonymi ramionami. WRZUĆ MONETĘ. Drżała z lęku i z zimna.

— Nic ci się nie stało? — spytał Duke łagodniejszym tonem. WRZUĆ MONETĘ. Zaprzeczyła ruchem głowy, a potem przytuliła się do niego i zaczęła szlochać niczym przestraszone dziecko. Objął ją niezręcznie i pogładził po ramieniu. WRZUĆ MONETĘ. Miętko poddała się pieścizocie. WRZUĆ MONETĘ. WRZUĆ MONETĘ. WRZUĆ MONETĘ. WRZUĆ

*

— No co?... Długo będziesz tak siedział?... Ej ty, do ciebie mówię!...

Mrugał oślepiionymi oczami, czując narastający ból w skroniach. Czyjeś ręce ściągnęły mu z głowy hełm projektora. Ktoś pomógł mu wstać. Chwiał się na nogach, nie mógł złapać powietrza. Rozejrzał się. Wokół niewielkiej salki rozmieszczonych było kilkanaście nisz z fotelami podobnymi do tego, jaki przed chwilą opuścił. Siedzący w fotelach mieli zapadnięte powieki, wyostrome rysy i blade twarze narkomanów pod masywnymi hełmami. Obok niego stali dwaj mężczyźni w rozchełstanych koszulach. Spoglądali nań ze znużeniem.

— No co?... Masz jeszcze szmal? To wrzuc blaszkę i możesz sobie dalej przeżywać. A jak nie, to zmiataj po pieniążki. Tu nie hotel, kolego! — niższy, z cienkim wąsikiem zaśmiał się, jakby powiedział dobry dowcip. Wyższy zawtórował mu z opóźnieniem.

— Nie mam pieniędzy — powiedział niepewnie Duke. — Czy nie mógłbym... Jutro przyniosę.

— Jutro przyniesiesz, jutro przeżyjesz! — sentencjonalnie przerwał mu niższy z mężczyzn. — Nie mamy czasu na puste gadki. Cał, pożegnaj klienta.

Potężny Cał łagodnie, lecz stanowczo wziął Duke'a za ramię i wypchnął go na zawalony jakimis skrzynkami korytarz. — Nie próbuj żadnych numerów — powiedział piskliwym głosem. — Takich łepków jak ty załatwiam lewą ręką.

Przez jakieś podwórko, a potem przez śmierdzącą moczem bramę Duke wyszedł na ulicę. Na oblażących z tynku murach wisiały strzepy jaskrawych plakatów. Dobijając amortyzatorami na dziurawym asfalcie przejechał samochód policyjny. Zatrzymał się na rogu. Kierowca w milczeniu spoglądał na Duke'a. Jego towarzysz dłuwał w zębach zapalką. Wydawał się pochłonięty tą czynnością. Gdy Duke ruszył chodnikiem, samochód odjechał. Wiatr przegnał przez jezdnię brudną gazetę. Duży czerwony tytuł był jeszcze czytelny — „Czy jest życie w Kosmosie?”

Duke mijał wejścia do barów i zalegalizowanych kinoweritów. Naganiacze spoglądali na niego, a potem obojętnie odwracali wzrok. Dotarł do dzielnicy handlowej. Barwny tłum mijał go w pośpiechu, zajęty własnymi sprawami.

Dziesiątka. Albo jeszcze lepiej trzy dychy. Trzy seanse pod rząd. To by mnie wykończyło. Tam — pomyślał z nadzieją i rozpaczą, sadowiac się wprost na ziemi, w załomie jakiegoś muru. — Tam, byle nie tutaj, nie tak!

Ktoś nachylił się nad nim. Duke poznał granatowy mundur Armii Zbawienia i usłyszał pełen namaszczenia głos:

— Cóż czynisz, bracie? Albowiem powiedziane jest — jeden istnieje Raj. W niebieskich, w nagrodę dla sprawiedliwych. A ci, którzy na Ziemi szukają rajskich rozkoszy, na wieki płonąć będą w ogniu piekielnym!

Duke czekał w milczeniu, aż natręt oddali się. Lisa! Trzy dychy! Boże, zlituj się! Tylko trzy dychy! Byle nie tak, nie tu! — starał się nie myśleć o tym, że żaden właściciel kinoweritu nie pozwoli mu na trzy seanse. Położył przed sobą, na chodniku, wytłuszczoną czapkę. — Tylko trzy dychy. Ogień piekielny. Lisa.

*

Maks odłożył trzymany w ręku kryształek zapisu i spojrział na mnie.

— Dwanaście lat lotu — powiedział. — Z tego dwa na nasz dyżur. I dwa lata z powrotem. Trochę się jeszcze pokręcimy na miejscu, z towarem, między zamieszkanymi planetami, może wtedy również znajdziesz czas na pisanie. Próbuje, próbuj... Bo to — Maks potrząsnął kryształkiem — nie nadaje się do niczego!

— Ale czemu? — ledwie zdołałem wyjąkać pytanie, wstrząśnięty jego opinią.

— Czy ty wiesz, o czym piszesz! Dycha?! Bracie — inflacja szalała, wszystko liczone na setki tysięcy! Seans kinoweritu kosztował przynajmniej kilkanaście milionów! — Maks potępiająco kiwał głową. — No nic, trzymaj się, idę do roboty.

Patrzyłem za nim, gdy oddalał się korytarzem. Oczywiście, znowu będzie malował te swoje idiotyczne obrazy laserowe. Jeszcze na Ziemi ostrzegał mnie wuj, że teraz wszyscy nieudacznicy pracują w handlu. Każdy sądzi, że kilka lat spokoju to właśnie to, czego potrzebuje, by zostać geniuszem.

Poprosiłem komputer o wszystkie opracowania dotyczące epoki Kryzysu. Nie jest łatwo pisać powieści historyczne — na liście było prawie tysiąc tytułów.

Chyba wezmę się za fantastykę.

Ryszard Holzer

Józefiak story

marcia gomez silva wyrwała się z rąk; poprawiającej jej makijaż charakteryzatorki i dziękując skinieniem głowy uśmiechniętemu dyrektorowi la scali znów wybiegła na scenę oklaski wzmogły się są tak potężne pomyślała że mogłyby unieść obwieszony żyrandolami sufit sali i cisnąć go w mroczne usiane gwiazdami niebo wreszcie im pokazałam a nie wierzyli tylko matka zawsze mówiła ach czemu nie doczekała tej chwili marcia postąpiła krok do przodu i uniosła ramiona prosząc o ciszę publiczność uspo

za oknem było

już jasno koła pociągu stukały na zwrotnicach za piętnaście minut na dworze w Osace będą na niego czekali przedstawiciele koncernu i jeśli wszystko dobrze pójdzie to może jeszcze dziś umowa zostanie podpisana matsuo otworzył teczkę niczego nie brakuje sam sprawdzał dokumenty nie był specjalnie zadowolony z tego kontraktu ale to im od razu zapewni wejście na rynek amerykański dla takiej małej firmy to jest najlepsza droga związać się z wielkim przedsiębiorstwem właściwie bardzo dużo udało im się osiągnąć przez te półtora roku żeby odpedzić senność sięgnął po papierosa i

ach ten ted

wieczny marzyciel roześmiał się sam do siebie odkładając list poznali się chyba w osiemdziesiątym w oenzecie w którymś z tych barów gęsto zapchanych różnobarwnym dziennikarskim ptactwem z całego świata a tamten nie był chyba nawet akredytowany to tylko on peter był wtedy korespondentem to jednak były nudne czasy pomyślał podkładając pod głowę wilgotne od potu ramiona podniecający ale zarazem nudny i jałowy rytm wielkiego miasta ciągnące się godzinami przemówienia i uporczywie tłukący w skronie młoteczek kaca co rano a tutaj za płótnem namiotu cykają wielkie jak dłoń świerszcze i czuć zapach pomarańczy lubił takie życie to tu to tam ale najbardziej ciągnął go ten błogosławiony i przeklęty przez boga zakątek świata kotłowanina emocji zdrad intryg ci wszyscy dożywotni prezydenci i szejkwowie którzy

pomogę ci tylko pospiesz

się muszę niedługo wracać

józefiak poprawił się na pryczy i przeciągnął ręką po oczach ki diabeł chyba mu jeszcze nie wyparowało od wczoraj żeby tak; się urządzić raz tylko przyłożył styliskiem co nie wiedzieć jak samo w rękę wlało a tamtemu coś chrupło i już a przecież spory był chłop nawet dużo nie wypili o co właściwie poszło jakby tej paskudzie styliskiem przyłożyć toby się pewnie rozchlapała brr obrzydliwa poczwara spał już a tu nagle coś gada ale o co właściwie chodzi jak to tak kto on józefiak co go popodlesnym wołają a tu jakaś śpiewaczka cudzoziemska

potem ten żółty i jeszcze tamten w namocie to niby kto też on jak tak to kto on gdzie on jak tak to niby jak
muszę niedługo wracać więc pospiesz się pomogę ci się stąd wydostać nie wolno więzić istotny rozumnej ale zdecyduj się wreszcie kim chcesz być może wolisz żebyśmy cię zabrali naszym statkiem na jakąś inną planetę zapytała trzymetrowa zielona gąsienica i sypiąc iskrami zwinęła się w kłębek na suficie celi

Ryszard Holzer

Grzegorz Babuła

Ja, Pajtuś

Dokumentacja do wydania

Zbiór opowiadań Babuli, szczególnie w porównaniu z wieloma innymi debiutami, jest niezmiernie miłym zaskoczeniem. Bo oto *deus ex machina* (autor był mi dotąd zupełnie nie znany) pojawia się utalentowany pisarz (sic!) SF.

Oczywiście, jego inwencja i poetyka nie są być może w pełni samodzielne i oryginalne. Wśród inspiratorów jego pisarstwa wymienilibym i B. Aldissa, i K. Bułyczowa, i A. Wolskiego, i wielu innych, nie sądzę jednak, aby można było Babulę nazwać naśladowcą. Prezentowany przez jego inspiratorów oraz przez niego samego sposób patrzenia na świat jest nie tylko konwencją literacką, ale także darem. Darem tym bogatszym, że towarzyszy mu umiejętność zwerbalizowania owego spojrzenia.

Babuła widzi otaczającą go codzienną rzeczywistość podobnie jak wszyscy, postrzegający ją w miejscu pracy, zatłoczonym autobusie, w kolejce po coś tam, w zaciszu domowym już w kapciach przed ekranem telewizora, czytając jednocześnie „Express Wieczorny”. Jednocześnie jednak widzi ją inaczej, z większą dozą poetyczności, bardziej groteskową, bogatszą, niecodzienną, obiecującą, że zdarzy się coś fantastycznego, coś nieoczekiwanego. Podczas gdy my, siedząc popołudniem w domu i słysząc dzwonek do drzwi, spodziewamy się hydraulika, Babuła otwiera drzwi kosmitom. (...)

Te właśnie opowiadania, mocno osadzone w codzienności, a wybiegające nie w przyszłość, ale w fantastyczność, uważam za najlepsze (...). Są bardzo uniwersalne — są opowiadaniem, a mogłyby z równym powodzeniem być słuchowiskami radiowymi lub scenariuszami filmowymi. Autor zasługuje na wysoką ocenę z inwentyki, potrafi poprawnie, często nawet dobrze zwerbalizować swój koncept, jednakże nie umie jeszcze w pełni odcisnąć na nim pieczęci swojego własnego stylu literackiego.

Nie przeczę, jestem po lekturze zbioru entuzjastą Babuli (...). Jednakże głównym problemem Babuli musi stać się prędzej czy później znalezienie własnej konwencji, własnej formy i własnej stylistyki literackiej. Im wcześniej, tym lepiej.

Nie ma w jego pisaniu głębi myśli, wyżyn intelektu, niepowtarzalnego języka. Jest natomiast wiele ciepła, humoru, ironii i autoironii, refleksji nad problemami zwykłego życia. Nie jest to wielka literatura, ale może to być dobra, popularna literatura rozrywkowa. (...)

Ł.

(...) Autor tych utworów wie lub działa tak, jakby wiedział, że jedyną literacką szansą fantastyki naukowej jest symbioza z gatunkami i formami beletrystyki popularnej, czyli w lwiej części z gatunkami i formami beletrystyki satyrycznej i humorystycznej.

Motywy fantastyczno-naukowe występują u niego albo pretekstowo, albo dla żartu, albo — to jest wariant najambitniejszy — dla celów parodystycznych, nie mają one nic wspólnego z technologiczną futurologią, podporządkowuje się je satyryczno-humorystycznym potrzebom i celom narracyjnym, kształtuje według literackich wymogów gatunkowych gawędy, humoreski, opowiadania lub słuchowiska. (...)

Brak jakiegokolwiek nabożności wobec wszelkich futurologicznych duractw cechuje wszystkie

(także i te słabe) narracje Grzegorza Babuli, można by dopatrywać się w tym intelektualnego i literackiego programu, myślę jednak, że o jakichkolwiek programach u tego autora mówić za wcześnie. Wie on, co jest lub może być śmieszne, nie zna artystycznych dystynkcji śmieszności, raz poprzestając na śmieszności łatwej (komizm sytuacyjny), raz pretendując do jej wyższych rodzajów (humor językowy na przykład), nie decydując się na wyraźny wybór między pisaniem popularnym i pisaniem o wyższych ambicjach. Wybór taki nie jest, oczywiście, żadną koniecznością, co innego jednak odmowa wyboru, co innego chwiejność niezdecydowania i nieokreśloność możliwości.

W niektórych utworach Grzegorza Babuli uchwytnie są źródła literackiej inspiracji, czytał on *Skrzek* Janusza Głowackiego, zna opowiadania Borgesa, obydwaj inspiratorzy mogą być uznani za patronów jego ambicji parodystycznej w narracji, jest to ambicja chwalebna, czasem daje ona niezłe rezultaty, często jednak ambicje nie idą w parze z możliwościami. (...) Od autora debiutanckich utworów trudno jednak oczekiwać orientacji w możliwościach swoich i w możliwościach literatury, tego nie ma się często i na końcu literackiej drogi.

Wniosek: Interesująca propozycja literacka.

A.

Resocjalizacja

Grzegorz Babula (ur. 1957), z zawodu grawer. Obecnie pracuje w Centralnej Bibliotece Reper-tuarowej dla Dzieci i Młodzieży przy Teatrze „Lalka”. Żonaty, jedno dziecko. Debiutował w 1985 r. w „Twórczości Robotników”. Oprócz opowiadań fantastyczno-naukowych napisał kilka słuchowisk radiowych i sztukę dla teatru lalkowego. „Resocjalizacja”, „Rondo” i „Zawód: archanioł” pochodzą z tomu opowiadań „Ja, Pajtuś” złożonego w „Iskrach”.

I

„Niniejszym zapodaję, że wnoszę słuszną skargę na obywatela nazwiskiem Pajtuś Antoni, któren, gdzie mieszka, to wszyscy wiedzą. Wyżej wymieniony Pajtuś zakłóca spokój wszystkim rolnikom po całej okolicy i swoim zachowaniem wywołuje oburzenie, że nawet ksiądz w niedzielę na mszy wypominał. Jego maszyny hałasują przez cały boży dzień, a i w nocy też je słychać, tak że ludzie strudzeni ciężką pracą dla naszej, Ludowej Ojczyzny nie mogą wcale spać, a odpoczynek im się należy, co jest napisane w Konstytucji. Cuda u niego się dzieją, że nie wypowiedzieć, dziwne zjawy się pokazują i typy różne podejrzone, że porządny człowiek wzrok ze zgrozy odwraca. Czarami się też zajmuje, smrody okropne w niebo puszcza takie, że kury przestają się nieść, a krowom mleko w wymionach kwaśnieje. Żyje taki nie wiadomo z czego, z dostaw się nie wywiązuje i niczego się nie boi. Jak już nasza kochana Milicja sobie z nim nie poradzi, to przyjdzie chyba tylko u Boga pomocy szukać. Dlatego upraszamy szanowną instancję o szybką i skuteczną interwencję, bo jak nie, to skarga wyżej pójdzie.

Oburzone społeczeństwo”.

Plutonowy przeczytał list dwa razy, zmiął go i rzucił do odległego o dwa metry kosza. Oczywiście nie trafił, co przyprawiło go o atak melancholii. Nic mu się ostatnio nie udawało. W dodatku denerwowały go te listy, dzień w dzień przychodzące z poranną pocztą. Wszystkie ze skargami na Pajtusia. Pisała je stara Skrobiszewska, wiedział o tym doskonale. Baba była kłótniwa i jędzowata, cała wieś bała się jej ostrego języka, jednak trochę racji miała. Inni też skarżyli się na hałasy, dobiegające z obejścia Pajtusia. Miał też do niego plutonowy sprawę urzędową, rzeczywiście leżącą w kompetencjach milicji. Nie wiedział tylko, jak się zabrać do

rzeczy. Prawdę mówiąc bał się do Pajtusia iść. Był kiedyś u niego, jeszcze jako mały szkrab, i napatrzył się takich strasznych rzeczy, że przeraził się śmiertelnie i do tej pory został mu uraz. Więcej jego stopa tam nie pozostała. Do dziś pozostało mu tylko niejasne wspomnienie ciemnego pokoju, pełnego dziwacznych konstrukcji, w którym u powały drzemały rzędem nietoperze, a z mrocznych zakamarków wypełzały niesamowite stwory.

Do tego jeszcze Pajtuś był jego ojcem chrzestnym i niezręcznie było iść do niego z oficjalną, urzędową interwencją. Głupia sprawa. Plutonowy westchnął ciężko. Oparł łokcie na biurku i ukrył twarz w dłoniach. Z głębokiej zadumy wyrwał go dzwonek telefonu. Ociężałym ruchem sięgnął po słuchawkę.

— Posterunek Milicji Obywatelskiej w Litwie. Słucham, o co chodzi? — powiedział pełnym przejmującego smutku głosem.

— To wy, Pomyłka? — poznał porucznika Piechonia z Komendy Wojewódzkiej.

— Obywatelu poruczniku — jęknął żałośnie — prosiłem, żeby pan mnie tak nie nazywał.

— A jak, u diabła? Wszyscy was tak nazywają!

Była to jedna z jego licznych życiowych tragedii. Plutonowy nazywał się bowiem Słowacki. Przez pomyłkę. Cała historia zaczęła się od jego pradziadka, powstańca 1863 roku. Pradziadek był ratajem u miejscowego dziedzica. Młody ksiądz, prowadzący szkołkę dla folwarcznych dzieci, wyuczył go pisać i czytać, a przy okazji zaraził ideami narodowyzwoleńczymi. Gdy wybuchło powstanie styczniowe, pradziadek przyłączył się do pierwszego oddziału powstańców przejeżdżających przez wieś. Podczas jednej z długich, spędzanych przy ognisku nocy, wpadła mu w ręce książka, krążąca z rąk do rąk po całym oddziale. Była powycierana i wystrzępiona, a do tego brakowało jej karty tytułowej. Książka, jak mawiał potem pradziadek, który po powstaniu zwiedził parę krajów, była „fein”. Przeczytał ją jednym tchem. Głęboko w serce zapadła mu ta wierszowana opowieść o młodzieńcu, wracającym po długiej niebytności do rodzinnego domu; młodzieńcu, którym interesują się piękne kobiety, potem pojawia się ksiądz Robak ze swymi dramatycznymi dziejami, a na końcu sam generał Dąbrowski. Od kolegów dowiedział się, że książkę tę napisał największy polski poeta. Pradziadek powziął niezłomne postanowienie zmiany nazwiska na takie, jakie nosił narodowy wieszcz. Jego własne, po ojcach, było powodem licznych drwin ze strony towarzyszy. Piecuch. Na pamiątkę przodka — zduna.

Kiedy po upadku powstania oddział poszedł w rozsypkę, dziadek krył się po lasach z młodym dowódcą — studentem z Warszawy. Tłumiąc nieśmiałość spytał go, jak to też nazywał się największy polski poeta. Student, będący świeżo pod wrażeniem lektury „Kordiana” i „Króla-Ducha” odparł z głębokim przekonaniem — Słowacki! I stało się. Pradziadek powróciwszy po wielu perypetiach do rodzinnej wioski, nazywającej się notabene Litwa, spoił pisarza z cyrkułu i kazał mu we wszystkich papierach zmienić Piecucha na Słowackiego. Tak już zostało. Dramat zaczęli przeżywać dopiero jego potomkowie, a wśród nich plutonowy. Kiedy przy różnych okazjach musiał podawać swe personalia, zdarzało się ciągle to samo. Słowacki? — pytano. Może krewny? Nie, nie krewny. Miejsce urodzenia? Litwa. Słowacki z Litwy? Na pewno nie Mickiewicz? Nie, nie, bo to przez pomyłkę — odpowiadał plutonowy i drżącym ze zdenerwowania głosem wyjaśniał całą skomplikowaną historię własnego nazwiska. Dlatego też znajomi ochrzcili go Pomyłką. Dalsze zdziwione pytania padały, gdy podawał imię ojca — Julian. Julian? A dlaczego nie Juliusz? Znękany plutonowy opowiadał, jak to jego dziadek chciał dać synowi imię Juliusz, ale niekompetentna urzędniczka niesłusznie powołała się na zarządzenie, zabraniające nazywać się tak, jak postaci historyczne. Przystała na Juliana. Ojciec plutonowego — Julian, też miał już dosyć pytań o swoje imię i swego syna postanowił nazwać zwyczajnie — Józek. Zapomniał tylko o inicjałach. Dlatego też plutonowy wystrzegał się jak mógł, by przez zapomnienie nie podpisać się „J. Słowacki”. Powodowało to kolejne pytania i żarty. Długo w uszach dźwięczały mu ironiczne słowa polonistki ze szko-

ły podstawowej: „Niby Słowacki, a z wypracowania dwa”.

Przełknął gorzką ślinę żalu i powiedział z wyrzutem do mikrofonu:

— Tak jest, to ja, obywatelu poruczniku — starał się, by w tym zdaniu zabrzmiała cała gama uczuć jego urażonej do żywego godności.

— Co wy ciągle tacy markotni, Pomyłka? Więcej życia!

— Tak jest, obywatelu poruczniku.

— Słuchajcie no, przychodzą tu do mnie donosy. Na niejakiego Pajtusia. Że hałasuje, powietrze zatrzuwa, duchy wywołuje. Na was też. Że się ociągacie z interwencją, bo to wasz krewny i że ochraniać go przez kumoterstwo. Piszą tutaj, zaraz, zaraz... o mam! — „uprawia politykę protekcjonizmu”. To o was. Musieli to chyba w dzienniku telewizyjnym usłyszeć, co? Powiedzcie mi, czy to prawda?

Plutonowy zamruczał do siebie pod nosem: A więc skarga już poszła wyżej.

— Co wy tam mamroczecie?

Józef Słowacki drgnął, jak obudzony ze snu.

— Tak, tak, prawda, w dzienniku.

— Co wy wygadujecie? Pytam się, czy to rzeczywiście wasz krewny? — zirytował się porucznik.

— Niezupełnie, to tylko mój ojciec chrzestny.

— Oj, nie podobacie mi się, Pomyłka. Pamiętajcie, że walczymy z nepotyzmem.

— Z czym?

— No właśnie z kumoterstwem, co wy, śpicie, czy co? Jak pięcioletnie dziecko zupełnie. Co to za jeden, ten Pajtuś?

— Taki jeden wioskowy wynalazca i zielarz. Spokojny człowiek. Nigdy ze wsi nie wyjeżdżał. Samotnie żyje, gazet nie czyta, nie karany. Ale rzeczywiście trochę hałasuje i jeszcze...

— Dobra, dobra, nie opowiadajcie mi tu całej epopei. Załatwcie tę sprawę jak najszybciej, żebym o tym więcej nie słyszał. Mówię serio: jak najszybciej, bo po okolicy kręci się ekipa telewizyjna z kamerami i tylko patrzą, kogo by obsmarować. Jak was potem zobaczę w telewizji, to następna nasza rozmowa odbędzie się na dywaniku u starego. No, to powodzenia! — trzask odkładanej słuchawki.

— Tak jest, obywatelu poruczniku — powiedział mechanicznie plutonowy i też odłożył słuchawkę. Siedział chwilę w bezruchu. Dojrzewała w nim decyzja. Teraz albo nigdy. Pójdzie do Pajtusia i załatwi sprawę od ręki. Jest przecież mężczyzną. Wstał, obciągnął mundur, założył czapkę i twardym krokiem ruszył do wyjścia.

Na dworze panował upał. Był właśnie sam środek letniego dnia i słońce stało w zenicie. Na zachodzie jednak zbierały się chmury i pewne było, że przed wieczorem rozpęta się burza. Plutonowy z trudem wciągał w płuca duszne, zapyłone powietrze. Już po kilku krokach poczuł, jak koszula klei mu się do pleców. Szedł poboczem pełnej wybojów, piaszczystej drogi, która po deszczu zamieni się w nieprzejezdne bajoro. Czekał go długi marsz. Pajtuś mieszkał na skraju wsi. Właściwie nawet za wsią, pod samym lasem. Drzewa otaczały z trzech stron jego obejście, a część zabudowań niknęła w zaroślach. Odpowiadało mu takie osamotnienie i chociaż ludzi traktował życzliwie, to z nikim nie utrzymywał bliskich stosunków. Po wsi się nie kręcił, wołał swój własny świat. O jego chałupie krążyły legendy, lecz ludzie woleli ich nie sprawdzać.

Plutonowy co chwila unosił palec do czapki, salutowaniem odpowiadając na padające ze wszystkich stron pozdrowienia. Przechodził właśnie przez samo centrum wsi i ludzie stojący w kolejce do geesu machali do niego życzliwie. Przyspieszył kroku, by nie ulec pokusie zajrzenia na pocztę. Tam w okienku siedziała Marysia. Krótkie zajrzenie mogło się więc zakończyć późnym wieczorem. Marysia mogła poczekać do jutra, urzędowa sprawa już nie. Nagle usłyszał dobiegający gdzieś z tyłu warkot. Obejrzał się. To jechał Pajtuś na swym osła-

wionym pojeździe. Plutonowy ucieszył się. Część drogi zostanie mu oszczędzona. Pogada z nim tutaj, na miejscu. Pajtuś zbliżał się szybko. Siedząc wysoko na chybottliwym krzeselku pokrzykiwał coś wesoło do stojących przy geesie ludzi, a ci odpowiadali mu uśmiechami. Plutonowy zaczął krzyżeć do niego, żeby się zatrzymał, ale przeraźliwy huk motoru zagłuszył słowa. Pajtuś ujrawszy milicjanta zerwał czapkę, pomachał nią nad głową i pojechał dalej. Plutonowego owionął odurzający zapach bimbru i sfermentowanych drożdży dobywających się z rury wydechowej. Gdy opadł wzniesiony przez koła kurz, pojazd Pajtusia był już tylko drobną plamką koło ostatniej stojącej przy drodze chałupy. Z piersi plutonowego wydarł się jęk zawodu. Nie było rady, trzeba iść dalej.

Gdy doszedł do dużego domu, malowanego na niebiesko farbą no do bielizny, dostrzegł starą Skrobiszewską, czatującą za płotem. Uśmiechnęła się szeroko na jego widok i zagadała:

— A dokąd to, panie posterunkowy?

— Nie jestem żaden posterunkowy — wymamrotał pod nosem, a głośniej dorzucił: — Tajemnica służbowa!

— A idźcie do niego, idźcie. Dawno trzeba, zrobić porządek z tym ancykrystem. Kary na niego nie ma, bezbożnika. Ale chyba władza ludowa sobie z nim poradzi. Zamkniecie go pod celą? — zajazgotała stara.

Plutonowy, zły, że go tak łatwo rozszyfrowała, udał, że nie słyszy ostatnich słów i odwróciwszy głowę skrecił z głównej drogi w połą ścieżynkę prowadzącą do zagrody Pajtusia. Przez dłuższą chwilę dobiegały go jeszcze pomstowania Skrobiszewskiej. Przekłete babsko — mówił do siebie w duchu — zatrajkotałaby człowieka na śmierć. Zgrabnie przeskoczył wyschlą kałużę i wydłużył krok. Cel był blisko. Słyszał już dziwny hałas dobiegający spod lasu. Ale nie był to warkot motoru. Raczej jakby odgłosy z kuźni. Rytmiczne, metalowe kucie. Nie zastanawiał się nad tym. Się przyjdzie, się zobaczy — powiedział sobie. Żwawo pokonał ostatnie metry i minawszy rozwarne na oścież spróchniałe wrota, znalazł się na podwórku.

Dom Pajtusia był chylącą się ku upadkowi rudera, pełną przybudówek niedbale podklejanych do krzywych ścian, drewnianych schodków, które prowadziły nie wiadomo dokąd, oraz byle jak skleconych daszków. Pod daszkami wały się sterty złomu tajemniczego przeznaczenia. Przynajmniej plutonowy nie potrafiłby wytłumaczyć, do czego miały służyć zębate kółka, połączone drewnianymi przekładniami, posplatane misternie w geometryczne wzory zwoje mosiężnych drutów, długie pręty z kulką na końcu, powiązane w gwiazdę konopnym sznurkiem.

Zza węgła dobiegał głośny śpiew, przebijający się z trudem przez dolatujące z budynku dźwięczne kucie. To chyba naprawdę młot i kowadło — pomyślał plutonowy i wzięwszy głęboki oddech ruszył w kierunku głosu Pajtusia.

*Na wysokim drzewie
ćwiczyły się w śpiewie
żółtodziobe szpaki
oraz inne ptaki!
Oj dana!*

Pajtuś wydzierał się wniebogłosy — zgięty wpół majstrował coś przy swoim samochodzie. Przypominał on raczej bryczkę z uwieszonym z tyłu kulistym kotłem. Z kotła buchały kłęby pary, napełniając powietrze wonią spirytusu. Plutonowy postąpił dwa kroki do przodu i zawołał przekrzykując hałas:

— Dzień dobry, obywatelu!

— A dobry, dobry — powiedział Pajtuś i odwróciwszy głowę zawołał. — A, to ty,

Józek. Witaj, kochany. Do mnie szedłeś? Wybacz, nie pomyślałem, bym cię zabrał. Tyle lat cię tu nie było, popatrz. A co tam u ojca?

— Ojciec nie żyje od trzech lat — oziębło wyjaśnił Józek.

— A no tak, przepomniałem. Przecież był u mnie wczoraj w nocy.

— Co wy mówicie, obywatelu? — plutonowy wytrzeszczył oczy.

— Nic, nic. Do siebie gadam. A co ty tak mnie „obywatelem” częstujesz? Mów jak zawsze: chrzestny. Przecie od małego cię znam.

— Jestem tu służbowo, z urzędową sprawą — sucho powiedział plutonowy. Postanowił być twardy i oschły, ale familiarny ton chrzestnego zbijał go z pantałyku.

— A to już jak wolisz, kochany — mówił prostując się Pajtuś. — Ja tam będę do ciebie mówił po dawnemu: Józek. — Podszedł do plutonowego i objawszy go ramieniem spytał: — No, to mów, z czym przychodzisz? A może najpierw naleweczki?

— Nie, wolałbym nie. To nie są żarty. Ludzie się na was skarżą, Pajtuś — stękał plutonowy, niezręcznie usiłując się uwolnić od oplatającego go uścisku. — Strasznie hałasujecie, pół wsi przez was nie śpi. Możecie mi wyjaśnić, skąd się bierze ten stukot?

— Pewnie, że mogę — rozpromienił się Pajtuś. — Chodź do środka. — Nie wypuszczając chrześniaka z uścisku pociągnął go ku otwartym drzwiom chałupy.

Weszli do chłodnego wnętrza. Plutonowy po krótkiej chwili potrzebnej oczom, aby przyzwyczały się do panującego w pomieszczeniu półmroku, zaczął ciekawie rozglądać się wokół. Panował tu nieprawdopodobny rozgardiasz. Pod ścianami, na licznych półkach, stały rozmaite dziwaczne urządzenia wymyślnych kształtów, a po podłodze walały się szklane kolby. Wszystko pokryte grubą warstwą kurzu. Jedynie środek pokoju był jako tako ogarnięty z zaścielających glinianą podłogę śmieci. Centralne miejsce zajmowała konstrukcja, zbudowana częściowo z metalu, a częściowo z drewna. Urządzenie działało. Drewniane koło od furmanki wirowało, oplecione skórzanym pasem używanym w młockarniach. Koło zamontowane było na grubej osi opartej na dwóch widlastych podpórkach. Koniec pasa ginął w mroku. Na metalowym rusztowaniu skonstruowanym z części od kombajnu, zamontowanych było mnóstwo dźwigni, poruszających się w rytmicznych podrygach. Przyspawany do największej ogromny młot walił bezustannie w metrowej wysokości kowadło.

— Co to takiego? — zdziwił się plutonowy.

— A co, robi wrażenie? — Pajtuś wyprostował się z dumą. — Nie chciało mi się w kółko samemu klepać kosi, to zrobiłem se maszynkę. Wyszła trochę większa, niż myślałem, ale nie szkodzi.

— A gdzie silnik?

— O to właśnie chodzi! — krzyknął radośnie Pajtuś i pociągnął plutonowego bliżej do kowadła. — To jest, synku, perpetuum mobile! Samo chodzi! Nie trzeba napędu!

— A nie można by tego wyłączyć? — niepewnie spytał Józek. Nie bardzo orientował się w zagadnieniu. Mechanika i fizyka zawsze stanowiły dla niego zagadkę. Nie umiał nawet naprawić roweru.

— Ale co ty! — Pajtuś spojrział z wyrzutem na chrześniaka. — Przecież to nie ma wyłącznika. Jak raz ruszyło, to już się nigdy nie zatrzyma!

— No to może usunąć to kowadło? — padła nieśmiała propozycja.

— Żeby mi młotek podłogę rozwalił? — oburzył się Pajtuś.

— No to może coś miękkiego podłożyć, żeby tak nie stukało — nie rezygnował plutonowy.

— Oj Józek, Józek, aleś wymyślił — Pajtuś popatrzył na milicjanta z rozczuleniem, jak na małe dziecko, gdy powie coś niedorzecznego i śmiesznego zarazem. — Niby co? Szmaty? Przecie nie strzymają i kwadransa. Nie ma rady, musi hałasować. Ja przywykłem, to i ludzie przyzwyczajają się. Do sztucznych nawozów się przyzwyczaili, więc i to strzymają. No, ale zachodź dalej, pogadamy sobie.

— Nie na pogawędki tu przyszedłem — plutonowy dalej usiłował być pryncypialny. Opierał się z lekka, gdy Pajtuś popychał go do drugiego pomieszczenia. Obawiał się trochę, powróciły lęki z ciągle niedawnego dzieciństwa. Pajtuś zatrzasnął ciężkie, dębowe drzwi, kiedy weszli do środka, i harmider ucichł odrobinę. Pokój do złudzenia przypominał poprzedni. Ten sam bałagan, podobne sprzęty. Jedyłą różnicę stanowił brak perpetuum mobile. Jego miejsce zajmował masywny stół, zarzucony papierami i zakurzonymi książkami.

— Siednij se, Józus — życzliwie zachęcał gospodarz, rozpierając się sam na jednym z dwóch stojących przy stole krzesel. Plutonowy przysiadł ostrożnie, bojąc się, by wyglądające na zabytek siedzisko nie rozpadło się nagle pod jego ciężarem. Z ukosa zerknął na leżące nie opodal książki. Stanowiły zbiór zupełnie nieprawdopodobny, będący odzwierciedleniem umysłu ich właściciela, człowieka skomplikowanego i bardzo prostego jednocześnie.

Obok rozwartego na początkowych stronach elementarza leżał „Faust” Goethego w dziewiętnastowiecznym wydaniu, Biblia w białych okładkach, opatrzona pieczęcią „Ocenzurowano — nadaje się do rozpowszechniania”, Talmud, opasłe tomisko „O przeznaczeniu Dziewicy”, broszurka „Samouczek traktorzysty racjonalizatora”, postrzępiony na brzegach foliał z wydrukowanym gotyckim pismem tytułem „Natura Dyabła y Ziomków yego, oraz Pożytki z nich płynące, ku Potrzebie Maluczkich przez Xiędza Lubina skrzętnie spisane”, słownik szwedzko-portugalski i wiele innych. Resztę powierzchni stołu pokrywały papiery, w większości stronicy wydarte z gazet.

— No co tam, Józus, gadaj, co masz na sercu. Coś cię chyba trapi, bo mizernie mi wyglądasz. Mów jak do ojca, kiedy ci rodzzonego zabrakło — zagadywał Pajtuś.

— Słuchajcie, Pajtuś — powiedział zachrypniętym głosem plutonowy. Zdjął czapkę i machinalnie miał ją w dłoniach. Gospodarz dostrzegłszy to, łagodnie wyjął mu ją z rąk i położył na papierach. Jego ciepły, łagodny wzrok wyrażał chęć ulżenia wszelkim kłopotom urzędowego gościa.

Józek odchrząknął i zdetonowany nieco mówił dalej:

— Sprawa jest poważna. Wasz, że tak powiem, „samochód” nie był dopuszczony do ruchu przez kontrolę techniczną. Nie jest zalegalizowany i poruszanie się na nim bez prawa jazdy. Ma nie sprawdzone parametry i może być niebezpieczny dla otoczenia.

— Co ty, Józus! — Pajtuś był najwyraźniej dotknięty. — Ja miałbym krzywdę komu zrobić?

Pojazd był jednym z najsłynniejszych wynalazków Pajtusia. Jego paliwem były obierki, używane dla oszczędności zamiast kartofli. Wsypane do głównego kotła ulegały tajemniczym procesom chemicznym, znanym tylko konstruktorowi, w wyniku czego powstawał spirytus. Spirytus spalał się w konwencjonalnym silniku samochodowym, poddanym nieznaczonej przeróbce i pojazd jechał. Tajemnicę chemicznej obróbki obierek wielokrotnie usiłowali od Pajtusia wyłudzić wsiowi pijaczkowie, on jednak był nieugięty i nie puścił pary z ust. Nie można go było niczym przekupić. Nie ulegał też licznym próbom zastraszenia. Po obierki jeździł codziennie do stołówki pobliskiego tartaku. Kiedy w stołówce przez tydzień podawano ryż, bo worki zamokły i kucharka bała się, by nie zapleśniał, widziano Pajtusia, jak nakładał do baku siano i samochód też jechał. Pijaczkowie aż zębami zgrzytali, patrząc z zazdrością na cudowną aparaturę, której wynalazca za nic pożyczyć nie chciał.

— Posłuchaj, Józus — Pajtuś gestykulował z przejęciem. — Toć ja wiem o onej kontroli. Stary Łopuch mi powiedział, że jak chcę jeździć, to muszę maszynę w mieście komisji pokazać. Ja się ze wsi nie ruszam, to poprosiłem Łopucha: „Jedź ty, komisji się pokłoń i o przyzwolenie pięknie prosz”. Poduczyłem go, jak prowadzić, wsiadł i pojechał. Za dwa dni patrzę — piechotą wraca. A owóz co się stało, posłuchaj tylko. Stanął Łopuch przed komisją, maszynę pokazał. Panowie obejrzeni, podumali i mówią, że to zwyczajnie bimbrownia, a w kotle się zaciera gotuje. Łopuch na to, że skąd, że to za furmankę robi i że ja tym zboże do skupu wożę, bo mi koń ze starości łońskiego roku padł. Na to oni, że bimbrownia na kółkach

pozostaje bimbrownią i że muszą to zarekwirować. Łopucha krew zalała, od żandarmów im nawymyślał, za drzwi go wyciepli i piechotą do dom powrócił, bo na pekaes nie miał. No to ja se drugą samojezdkę zrobiłem i nie patrzę na żadne komisje. Po wsi ino jeżdżę, a uważam mocno, coby jaka niezgara pod koła nie wlażała. Kontrol sama tutaj nie przyjedzie, to bać się nie ma czego. A ja nikogo jazdą nie ukrzywdzę, przejechać nikogo nie przejadę, polegaj na mnie, Józus, przecie mnie znasz...

— Panie Pajtuś — powiedział plutonowy prostując się na krześle dla nadania sobie powagi — muszę dbać o bezpieczeństwo i spokój wsi i przyszedłem tu z obywatelskiego obowiązku...

— Łże jak z nut — zapiszczało coś przy podłodze. — Skrobiszewska go nasłała, służbistę jednego.

Milicjant zeszywniał cały i poczuł przebiegający po grzbiecie mroźny dreszcz. To, co widział w dzieciństwie, okazywało się prawdą. Spod stołu wygramolił się mały, kudłaty stwór, przyodziany w sukienną kapotkę, pełną dziur i łat. Stworzonko przeciągnęło się, ziewnęło i nagłym susem skoczyło na parapet jedyne w pokoju okienka. Przycupnęło tam, oparłszy się o matową szybę z rybiego pęcherza i bystrymi oczkami wpatrzyło się w plutonowego.

— Coś się tak wystraszył? — Pajtuś roześmiał się serdecznie. — To przecie płaetnik. Chmury z deszczem przyciągnął, umordował się, to i odpocząć przyszedł do mnie!

Milicjant siedział sztywno, bojąc się poruszyć. Poblądłe wargi przez dłuższą chwilę otwierały i zamykały się bezdźwięcznie. Nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Gdy to wreszcie uczynił, dźwięki wydobyte z jego suchego jak pieprz gardła przypominały bardziej skrzeczenie zdychającej żaby niż głos młodego mężczyzny.

— Dużo macie takich przyjaciół?

— A obejrzyj się ino — Pajtuś wykonał ruch głową, wskazując coś, co znajdowało się za plecami gościa. Ten obrócił się gwałtownie, tknięty niespodziewanym wrażeniem niebezpieczeństwa. Koło drzwi, przez które najwyraźniej bezszelestnie weszła, stała niesamowita postać. Skrzyżowanie kobiety z kozą, tak to sobie naprędce określił plutonowy. Kobięcy od góry tors kończył jak u satyra koźli zad, zaopatrzony w porośnięte brązową sierścią kopyciaste nogi. Zmierzwione włosy pokrywały twarz, widać było tylko wystającą szczękę z zachodzącymi na górną wargę wilczymi kłami.

Józek z przerażeniem dostrzegł, że kły, wargi, a także szponiaste dłonie pokrywała świeża, nie zakrzepła jeszcze krew. Zdawało mu się, że to pół zwierzę — pół człowiek parząc na niego oblizuje się z apetytem. Dobiegł go głośny chichot Pajtusia.

— No masz tobie, znów się zestrachał. To zwykła strzyga. Puszczam ją na pola, żeby dusiła łasice, kiedy za blisko kurnika podchodzą. Lisy też łapie i zagryza. Wymarzony stróż dla moich kwoczek. A ty się nie bój, nic ci nie robi, przecież widzisz, że się przed chwilą objadła. Kiedy syta, to łagodnieje jak baranek. Do rany przyłoż. A jak ją rozzłościś słowem nieuważnym, to cię najwyżej przeklnie i nawymyśla nieco. Ludzi nie gryzie — odzwyczaiłem ją. A dzika była z początku, że ani przystap. Jak zobaczyła traktor, com go kiedyś zrobił, to na dach wlaża i przez cały dzień zejść nie chciała. Com się naprosił, natłumaczył — nic nie pomagało. Dopiero znajomy upiór siłą ją zza komina wyciągnął. A i tak musiałem traktor rozebrać, bo po kątach się kryła i dygotała z niespokojności. Teraz już przywykła do maszyn i nawet mojej nowej kuźni się nie boi. — Głos Pajtusia był uspokajający i łagodny, a mimo to plutonowy nie mógł opanować drżenia rąk. Wsunął je między nogi i ścisnąwszy kolanami odwrócił się w stronę beztróskiego przyjaciela upiórów, usiłując nie zwracać uwagi na stojącą za plecami strzygę, która, jak był święcie przekonany, czyhała na jego życie. Kątem oka sprawdził, czy służbowy pistolet jest jak zwykle u jego boku. Był. Nieco uspokoił się możliwością obrony, chociaż zaraz opadły go wątpliwości, czy na takiego stwora nie trzeba czasem srebrnych kul. Starając się nie myśleć na razie o tym, z trudem wykrztusił kolejne pytanie.

— A co to było wtedy, co żeście wszystkie lusterka z geesu wykupili? Wtedy coście stodołę Olchowiakowi spalili?

— A co, skarżył się? — chytrze zapytał Pajtuś i szelmowsko spojrzął na plutonowego. Ten właśnie zaczął drzeć na całym ciecie, dostrzegł bowiem jakiś ruch na stojącym pod ścianą łóżku, którego początkowo nie zauważył.

— Niby nie, ale sami rozumiecie, ochrona przeciwpożarowa, bezpieczeństwo wsi — brzmiała zachrypła odpowiedź.

— A tam bezpieczeństwo — przerwał mu trochę niegrzecznie Pajtuś — toć ja te lusterka właśnie dla bezpieczeństwa kupił. Bo to widzisz, Józek, pola mam okropnie nierówne. A tu masz, jednego dnia sklepowa masło mi zawinęła w taki papióreczek — porwał ze stołu jakąś zatłuszczoną kartkę i potrząsał nią przed nosem plutonowego, który rozpoznał stronicę wyrwaną ze starego numeru „Młodego Technika”.

— I co ja tu wyczytałem? — ciągnął dalej, konstruktor-samouk. — Wyczytałem o laserze. Zbudował ja laser i postanowił nim pole zniwelować. Lusterkami je dookoła obstawiłem, coby osłona była i dalejże górki i dołki wyrównywać. Ale przecież zwierciadełka krajowe były i jedno pęknięte okazało się. Jak się promień krzywo odbił, to w stodołę Olchowiaka trafił. Spaliła się do cna, alem mu ją następnego dnia odbudował — wyjaśniał Pajtuś, a widząc nieme pytanie w oczach chrześniaka dodał zaraz: — Co tak gały wysłepiasz? Chcesz wiedzieć jak? Machiną czasu, chłopcze. Cofnął ja tę ruinę do czasu, gdy była nowa i jeszcze mi Olchowiak za remont podziękował. A laser do tej pory u mnie za lampą stoi.

Plutonowy siedział z otwartymi ustami, nie wiedząc, co powiedzieć. Był zupełnie oszłomiony. Pajtuś był osobą całkiem wyjątkową i sankcje, którymi zamierzał mu grozić, byłyby nieskuteczne. Tymczasem na łóżku znów się coś poruszyło, odsunął się koc i potężna sylwetka sapiąc podniosła się, po czym spuściwszy nogi usiadła na skraju pościeli. Plutonowy zerwał się na równe nogi, cofnął ku drzwiom, macając je w poszukiwaniu klamki. Strzyga usunęła się na bok, patrząc na milicjanta łakomie.

Na łóżku siedział ogromny, małopodobny stwór, który do złudzenia przypominałby goryla, gdyby nie wydłużony wilczy pysk. Stwór rozwarł paszczę w szerokim ziewnięciu, odsłaniając dwa rzędy lśniących, ostrych jak noże zębów. Plutonowy nie czekał dłużej. Naparł na drzwi ramieniem, a gdy się otworzyły, rzucił się do panicznej ucieczki. Goniło go wołanie Pajtusia:

— Aleś ty bojący ciągle! Stój! Wilkołaka się przestraszył! On pożyteczny. Wyuczyłem ja jego i teraz psy wściekle zagryza. No stój, ci mówię! Pozdrowić ojca od ciebie, jak znów przyjdzie?

Uciekający zakrył uszy rękami i gnał przed siebie, byle jak najdalej od tego przeklętego miejsca.

II

Ochłonął dopiero przy poczcie. Opamiętanie przyszło, gdy poczuł na sobie zaciekawione spojrzenia ludzi stojących pod geesem. Nigdy go takim nie widzieli. Zawsze spokojny i opanowany, dziś pędził przez wieś, jakby go kto gonił. Padały przyciszone uwagi, usuwając na bok trwającą od rana dyskusję o mającej w każdej chwili nadejść dostawie oleju.

Plutonowy, zawstydzony swym zachowaniem, przystanął jak wryty i poprawiając na sobie mundur odwrócił się do ludzi plecami. Udał, że go coś zainteresowało na stojącej przy drodze tablicy z ogłoszeniami. Przyglądając pomierzwione włosy zauważył brak czapki. Została u Pajtusia na stole. By to szlag trafił! — zaklął pod nosem, myśląc z wściekłością o potrzebie powtórnej wizyty. Nagle jego uwagę przykuł spory plakat, zawiadamiający o mającym się odbyć w Wiejskim Domu Kultury odczycie. Przeczytał go dokładnie dwa razy i do

głowy przysłała mu pewna myśl. Postanowił kuć żelazo póki gorące.

Docent Cienkosz z zaciekawieniem patrzył na stojącego przed nim milicjanta. Był spocyny i zadyszany. Gestykułując opowiadał jakąś dziwną historię o wioskowym wynalazcy, który przeprowadza niebezpieczne doświadczenia, mówił, że powinna się nim zainteresować nauka, że trzeba mu wytłumaczyć, że stwarza zagrożenie dla życia i że on sam, jako milicjant, zupełnie się na tym nie zna. Jeszcze coś bełkotał o duchach i strachach, ale trudno było to zrozumieć.

Docent był cenionym naukowcem i znanym w całym kraju społecznikiem. Żywo interesował się wsią, z uwagi na swe pochodzenie. Jeździł po Polsce z cyklem oświatowych wykładów, z ramienia Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Chętnie pomagał, gdy go proszono o pomoc, i teraz też postanowił ulec błaganiom sympatycznego plutonowego. Zgodził się pójść z nim zaraz do tego „zapowietrzonego uroczyiska”, jak to określił młody stróż porządku, i porozmawiać z Pajtusiem. Do odczytu pozostało trochę czasu.

Kiedy doszli do obejścia wynalazcy, ten jak poprzednio majstrował przy swoim samochodzie. Dostrzegłszy ich zawołał wesoło:

— Co, Józek, wróciłeś po czapkę? A i gościa mi prowadzisz! Zachodźcie do środka, ja już kończę!

Plutonowy, trzymając się nieco z tyłu, popychał przodem docenta. Weszli. Naukowiec zatrzymał się przed perpetuum mobile i z zadumą oglądał urządzenie. Po chwili wszedł Pajtuś. Plutonowy, ciągle za plecami swego towarzysza, powiedział:

— To jest docent Cienkosz. Uczony. On z wami rozmawia.

— A, uczony, to inna rozmowa — Pajtuś spoważniał i z zakłopotaniem podrapał siwą głowę — z uczonym to ja nigdy nie gadał. Ale z ochotą mu wszystko pokażę — i zaczął objaśniać przeznaczenie samopracującego młota, tak jak to tłumaczył wcześniej plutonowemu. Oświetlił tylko pomieszczenie, zapalając uwieszony u powały laser. Docent wysłuchawszy go, roześmiał się serdecznie.

— Panie Pajtuś, widzę, że pan jest inteligentnym człowiekiem, a robi takie głupstwa. Przecież to niemożliwe, z punktu widzenia elementarnych zasad fizyki. Ale pan chyba nie słyszał o nich. Zaraz to panu wszystko wyłuszczę. Ma pan coś do pisania?

— Znajdzie się — powiedział Pajtuś i zza wiszącego na ścianie świętego obrazka wyjął zmięty brulion i krótki ciesielski ołówek.

Docent rozprostował zeszyt i skrobiąc ołówkiem po pogniecionych kartkach zaczął tłumaczyć Pajtusiu podstawy mechaniki newtonowskiej. Pajtuś pochylił się nad zapiskami, śledząc tok wyjaśnień. Plutonowy zatracił się już po paru sekundach. Docent perorował długo przerywając co jakiś czas pytaniem: „Rozumie pan?” Pajtuś kiwał wtedy głową potakująco i znów zagłębiali się w tajniki fizyki. W miarę upływu czasu światelka rozświetlające zawsze niebieskie oczy samouka przygaszały powoli. Wreszcie docent skończył i spytał:

— No i jak, wierzy mi pan, że to nie może działać? Nie można pobierać energii z niczego...

Pajtuś skinął; głową i popatrzył smutno na swoje urządzenie. Drewniane koło zaskrzyphiało raz i drugi, dźwignie zawahały się w swym jednostajnym ruchu, młot stukał coraz słabiej i wreszcie wszystko zastygło w bezruchu. Hałas umilkł. Plutonowy odetchnął z ulgą.

— A to co za cudo? — docent wskazał na niespotykanego kształtu lampę.

— Laser — odparł matowym głosem Pajtuś.

Z drugiego pokoju zajrzały zaciekawione nagłą ciszą trzy osoby: strzyga, wilkołak i planetnik. Wsunęły się do środka i szepcząc coś; do siebie patrzyły na naukowca nieprzyjaźnie. Ten, wcale nie zmieszany, obejrzał się na Pajtusia.

— I do tego jeszcze to. Panie Pajtuś — powiedział pobłaźliwie ironicznym tonem — w naszych czasach! Nie spodziewałem się, że coś takiego mogę zobaczyć — i pochyliwszy się ku wynalazcy, zaczął mu z cicha coś tłumaczyć, starając się, by nie słyszały tego stojące w

progu postacie.

Plutonowy, przezornie oparłszy rękę na kaburze, zdołał uchwycić tylko pojedyncze słowa. Docent mówił coś o „światopoglądzie materialistycznym”, o „przesądach”, „zgubnych zabobonach”, parokrotnie padło słowo „gusła”. Co chwila też powtarzał: „Chyba może mi pan wierzyć, można traktować mnie poważnie”. Pajtuś słuchał nieporuszony. Plutonowemu zdawało się, jakby ten zawsze pełen życia człowiek wyblakł i postarzał się. Odwrócił, wzrok w kierunku zjaw ze świata baśni i zdumiał się. Ich zarysy były teraz przymglone, zacierały się, rozwiewały w powietrzu, by wreszcie zupełnie zniknąć. Milicjant otworzył usta do krzyku, ale spojrzawszy na docenta i Pajtusia zrozumiał, że nie zwrócą teraz na niego uwagi — naukowiec wyjaśniał bowiem zasadę działania i prawidłową budowę lasera.

— Chyba nie sądził pan, że z butelki po oranżadzie, szkiełek odbaskowych od roweru i latarki zrobi pan laser? Przecież to śmieszne! — podsumował.

Umilkł, patrzył na Pajtusia pytająco. Ciszę rozdarło uderzenie pioruna. Potem drugie i o dach zabębnił ulewny deszcz. Na dworze w mgnieniu oka pociemniało. Pajtuś rozejrzał się po pokoju. Laser, dotąd jasno świecący, zamigotał i zgasł. Zrobiło się zupełnie ciemno. Przez szum deszczu przebiły się ciche słowa:

— Wyoście się.

— Słucham? — nie rozumiał docent.

— Wyoście się. Bo pozabijam! Drugi raz nie będę powtarzał! Już was tu nie ma! — rozkrzyczał się Pajtuś.

— Uważajcie, do kogo mówicie — plutonowy próbował go mitygować.

— Paszli won! — Pajtuś, wyrwawszy z perpetuum jedną z dźwigni, ruszył na nich z szaleństwem w oczach. Milicjant nie czekał dłużej. Uchwyciwszy docenta za rąbek marynarki, pociągnął go za sobą. Wybiegli prosto w szalejącą burzę. Ciężkie krople momentalnie przemoczyły ich do nitki. Nie zatrzymali się. Przebiegłszy kilka kroków zwolnili i szli dalej w stronę wsi. Idąc starali się, by przypadkiem nie spojrzeć na siebie. Wzrok mieli wbity w rozpulchnioną deszczem ziemię. Bruzdami przelewały się już potoki brudnej wody.

— A ja znów czapki zapomniałem — westchnął plutonowy. Docent nie odpowiedział. Może nie dosłyszał. W myślach powtarzał bowiem sobie treść popularnonaukowego odczytu, jaki miał za chwilę wygłosić. Odczyt nosił tytuł: „UFO i Trójkąt Bermudzki — dwa mity współczesnego świata”.

Wyjechał ze wsi następnego dnia, po śniadaniu spożytym w miejscowej gospodzie. Na wykład oczywiście pies z kulawą nogą nie przyszedł. Docent był do tego przyzwyczajony i nie poczuł się dotknięty. Winił deszcz. Jadąc autobusem nie zwrócił uwagi na małą grupkę ludzi zebraną przy jednym z przydrożnych drzew. Zdejmowali z niego wiszące tam od kilku godzin na sznurze od bielizny ciało Pajtusia. Potem opowiadali, że po śmierci lekki był jak piórko i wyschły na wiór, całkiem jakby kto gąbkę wycisnął.

Grzegorz Babuła

Rondo

...i rąbnął pięścią w stół.

— Uważajcie, sołtysie — odezwała się Jaworzyna z pogrózką w głosie. — Mówiłam wam, żebyście nie wrzeszczeli, bo strop się posypie. Ledwie się trzyma, naprawić nie ma czym, bo gwoździów w sklepie nie uświadczysz, a i pokrycie przegniło. Ściany też stoją ino na słowo honoru.

— Co wy teraz głowę zawracali będziecie takimi głupstwami — zamachał rękami

sołtys. — Tu o poważniejsze idzie sprawy!

— Łacno wam mówić, jak stodoła nie wasza — zawtórował żonie Jawor. — Jak mi tu będziecie gębę darli, to wyrzucę wszystkich na pole i gdzie wtedy wiec urządzicie — triumfującym wzrokiem powiódł dookoła.

Zebrany w stodole tłum zafalował.

— Nami sobie gęby nie wycieraj — powiedział najstarszy ze wszystkich Noc. — Nie tacy nas wyrzucali i nie wyrzucili!

— Stodoła jest moja i nikt mi nie będzie mówił, co mam robić — podniósł głos Jawor.

— Ludzie, nie kłóćcie się! — przerwał im sołtys. — Tu idzie o życie całej wsi, a wam znów na rozhowory przyszło. Nigdy nic nie wymyślimy i nie wydostaniemy się stąd, jeśli nie zabierzemy się do rzeczy wspólnie i zgodnie!

— Mam to zapisywać? — spytał siedzący obok niego zastępca, pełniący na wszelkich zebraniach obowiązki sekretarza. Bardzo się przejmował swoją funkcją i pełnił ją z oddaniem i poświęceniem, graniczącym z głupotą. Ponieważ był zagorzałym czytelnikiem gazet i domorosłym dziennikarzem, wplatał w swoje protokoły takie sformułowania, jak np. „Spotkanie upłynęło w serdecznej i pełnej zrozumienia atmosferze” bądź „Wymieniono poglądy na interesujące obie strony zagadnienia”. Sołtys wpadał we wściekłość, gdy otrzymywał taki protokół po zebraniu poświęconym hodowli trzody chlewnej, na którym byli obecni tylko on, prezes spółdzielni rolniczej i zootechnik. Zastępca nie przejmował się tym i zaraz następnego dnia sprawozdanie z zebrania zajmowało centralne miejsce w redagowanej przez niego gazecie ściennej, wiszącej w gablocie koło gospody.

— Co zapisywać, co zapisywać?! — denerwował się sołtys. — Wymyśl lepiej co mądrego i rzuć w kąt te papierzyska — pełnym złości gestem zgarnął na ziemię stos papierów, przyniesionych przez zapobiegliwego zastępcę. Ten rzucił się zaraz pod stół i począł je zbierać, mruczając pod nosem coś o niezrozumieniu dla słowa pisanego. Stół — to może zbyt dużo powiedziane. Była to nie heblowana sosnowa deska, ustawiona na dwóch krzyżakach do ciężca drzewa.

Gwar w stodole wzrastał się. Zebrała się tu cała wieś, z braku innego stosownego i równie obszernego pomieszczenia. Stodoła Jawora była najodpowiedniejsza. Jej gigantyczne rozmiary były wynikiem ambicji starego Jawora, który postanowił stać się najbogatszym gospodarzem we wsi. Miał zamiar zbierać tyle siana, by co roku wypełniać ją po wręby. Uwierzył w sztuczne nawożenie, które miało mu przynieść plony dotąd niespotykane. Fiasko tych planów zaowocowało silną frustracją i cichym wżgórkim na przykościelnym cmentarzu. Jego syn nie przejawiał już podobnych cech. Oddał ziemię spółdzielni, a stodoła stała pusta.

— Nie krzyczcie tak! — wrzeszczał teraz najgłośniejszy ze wszystkich. — Mówię wam, że się zawali! Kto mi za to zwróci?!

— A co ci po tej ruderze? — odpowiadał mu Noc. — Basen kryty chcesz tu zbudować czy co?

— Moja sprawa! — czerwieniał na gębie Jawor. — Ja ci do chałupy nie zaglądam i nie pytam, co tam nocą w łóżku robisz! Tu wszystko moje i nikomu nic do tego! Zechcę — zburzę, zechcę — odnowię! To po ojcu, własne!!!

Inni zebrani też głosy podnieśli i kłócili się na najrozmaitsze już tematy, zapominając, zupełnie o tym, co ich tu sprowadziło. W gwarze wybijał się głos Jaworzyny, która piskliwie wyzywała córkę Nocy, delikatnie mówiąc — od ulicznic.

— Panowie!! — mitygował sołtys. — Gospodarze! Uspokójcie się! Nie pamiętacie już, co się we wsi dzieje? Trzeba coś na to poradzić!

Nie był jednak w stanie zapobiec zamętowi i powstrzymać anarchii. Chłopi chwyтали się za kłapy, a baby zrywały sobie nawzajem chustki z głów. Jawor chrypiał donośnie:

— Wynocha mi stąd, wynocha! Bo za cep złapię! Hanka, wyrzucaj to bydło!

— Bydło? Bydło?! Ja ci pokażę bydło!! — młody Sośko wpadł na niego z pięściami,

przewrócili się obaj na ziemię, ginąc w unoszącym się z klepiska kurzu.

Sołtys opadł bezsilnie na zydel i patrzył ponuro na kłębiący się przed nim tłum. Siedzący obok zastępca skrobał coś w swoich papierach, obojętny na to, co się wokół niego działo. Z wolna jednak w stodole przerzedzało się, swary przenosiły się na zewnątrz, kłócący się wybiegali przez otwarte wrota, by dokończyć dyskusji gdzieś w krzakach. Wreszcie sołtys został sam, ze swym pograżonym w pisaninie nieoficjalnym sekretarzem. Westchnął ciężko, uniósł się z zydlą i wyszedł na dwór.

Obejście Jaworów znajdowało się na wzniesieniu, widać stąd było całą wieś i okolicę. Sołtys powiódł wypranym z nadziei wzrokiem po polach, chałupach, drzewach, wijące się wśród łąk rzece. Dźwięki kłótni milkły już, tutejsi ludzie byli dość nerwowi, lecz niepamiętliwi i złość przechodziła im prędko. Zaraz się pogodzą, wypiją na znak pojednania i płacząc z rozczulenia będą się obejmować, obiecując wieczystą przyjaźń. Potem pójdą spać, przytulą się do żon i wieś ucichnie zupełnie.

Idylla, psiakrew — zgrzytnął zębami sołtys. — Raj na ziemi, myślałby kto. Wyciągnął z kieszeni pogniecionego piasta i opierając się plecami o ścianę stodoły przypalił go, osłaniając dłońmi płomyk zapalki od podmuchów wiatru. Potem długo stał i palił, wpatrzony w przestrzeń, myśląc niewesoło o sytuacji, w jakiej się znalazły podległe mu, jako władzy, tereny. Ktoś nietutejszy, miastowy, stojąc obok niego mógłby się zachwycić pięknem okolic i sielską, pastoralną atmosferą, wprost emanującą z rzeźwego powietrza. Ten cudowny obrazek psuło jednak kilka istotnych dla mieszkańców wsi szczegółów. Choćby ten — słońce. Właśnie zachodziło, wyostrowając mocno kontury lasu, zza których wysyłało całą gamę przepysznych tonów czerwieni. Ale dokładnie po przeciwnej stronie pokazywało się właśnie słońce numer dwa. Wschodziło. Dwa słońca to trochę za dużo jak na jedną miejscowość.

Albo inny szczegół — nie można się było stąd wydostać. W żaden sposób. Niejeden już próbował. A to jeszcze nie wszystko...

Rozległo się szuranie i odgłos kroków przerwał przedwieczorną (poranną?) ciszę. Ze stodoły wyszedł: zastępca sołtysa i zbliżywszy się do swego szefa podetknął mu pod nos kartkę.

— Co to jest?

— Protokół zebrania — z dumą w głosie odparł dzielny sekretarz.

Sołtys rzucił na ziemię papieros, przydeptał nogą niedopałek i wziął w ręce karteluszek. Spomiędzy zapisanego starannym, okrągłym pismem tekstu wpadło mu w oczy zdanie. „Spotkanie upłynęło w serdecznej i pełnej zrozumienia atmosferze”.

— Idiota — rzekł dobitnie i podarł papier na drobne kawałeczki. Zastępca obserwował tę operację z przerażeniem.

— Co pan robi? — wykrztusił. — Przecież to dokument! Zapis!

— Idź spać. Nie mam już do ciebie siły — sołtys poklepał go po plecach i przeszedłszy podwórko minął furtkę i ruszył ścieżką w dół, ku swojej zagrodzie. Dwa słońca, mimo że na krańcach horyzontu, dobrze oświetlały drogę i dlatego mógł iść szybko, sprawnie wymijając wyboje i kamienie, uścielające gęsto polną dróżkę. Gdy dotarł do krzyżówki, spomiędzy drzew wytoczył się na niego nauczyciel, wiecznie podchmielony od czasu, gdy nie mogąc się wydostać ze wsi nie mógł wykonywać swego zajęcia.

— Co, nie udało się zebranie? — chwiał się na nogach i dla utrzymania równowagi złapał sołtysa za rękaw. — Zawsze mówiłem, że wszelkie masówki nie dają wymiernych efektów. — Zionęło od niego źle destylowanym bimbrem i sołtys odsuwał się z niesmakiem, bezskutecznie usiłując strącić przytrzymującą go dłoń.

— Mógł pan przyjść, ale trzeźwy, może pan by coś poradził. Pan jeden ma u nas wyższe wykształcenie.

— Ja? Poradzić? — zachichotał nauczyciel. — A co to ja, cudotwórca jestem?

— Mógłby przynajmniej pan tyle nie pić. Dzieci patrzają.

— A niech patrzą. Niech się uczą życia. Nie możemy dotrzeć do szkoły, to niech mają naukę na miejscu.

Sołtysa olśniła nagła myśl.

— A właśnie — powiedział gorączkowo — przecież można im zorganizować naukę tutaj, we wsi. Nie łążyłyby beczynnienie, a i pan by miał zajęcie.

— Nie chce mi się — powiedział z rozbijającą szczerością nauczyciel. — A poza tym, kto by mi płacił: pan?

— Jestem oburzony pańską całkowicie aspołeczną postawą — rzekł surowo sołtys. — Jak taki ktoś mógł w ogóle zostać pedagogiem?

— A mogłem — postawił się nauczyciel — a jak pan mógł zostać sołtysem, skoro pan też nic nie potrafi zaradzić? Zaraz, co tak trzeszczy?

— Trzeszczy, co trzeszczy? — nie rozumiał sołtys.

— No właśnie, co trzeszczy? O, już przestało!

Miejsce trzeszczenia zajął gwałtowny huk, zakończony przytłumionym rumorem.

— Było, nie ma — rzekł filozoficznie nauczyciel. Sołtys obejrzał się gwałtownie. Po stodole Jawora nie było śladu.

— Zawaliła się — wyszeptał bezgłośnie. — Jednak się zawaliła.

Z chałupy wybiegli oboje Jaworowie i stali w milczeniu przed ruiną bezużytecznej budowli. Jaworowa z nawyku spróbowała biadolić, ale mąż szarpnął ją za ramię i przestała.

— Kto to? — wytrzeszczał oczy nauczyciel.

— Tam na górze? Jawor stoi.

— *Jawor zielonieńki, ginie kozak w obcej stronie, kozak młodziesieńki* — zanucił nauczyciel i obróciwszy się na pięcie podążył w stronę swojego domu. Znikł wkrótce pomiędzy drzewami i tylko echo niesło jego fałszywy śpiew:

*Jaworowi ludzie,
co wy tu robicie?
Budujemy mosty,
dla pana starosty!*

— Święty Boże! — westchnął beznadziejnie sołtys i przygnieciony ciężarem zwalających się na niego trosk, przygarbiony, ruszył w dalszą drogę. Zdawało mu się, że jest jedynym rozsądnym człowiekiem w tym piekielku, które rozpętało się tutaj przed paroma miesiącami. Nikt nie usiłował zaradzić złu, a jego siły okazywały się zbyt mizerne. Rozżalony, rozczulając się nad sobą, mijął rzucające podwójny cień drzewa i bielone chałupy przysłonięte smukłymi sylwetkami malw. Zaglądał w obramowane bejcowanymi na brązowo futrynymi okienka, obserwując ludzi kładących się do snu. Kręcili się po izbach, dojadali ostatki kolacji, wdziewali piżamy, myli się, kładli do łóżek, by po chwili zasnąć, nie myśląc o jutrze. Dopiero następnego dnia, gdy skończą śniadanie, nagle dotrze do ich świadomości myśl, że oto nie mają co ze sobą zrobić, że znajdują się w beznadziejnej sytuacji. Wyjdą z domów, spotkają się pod gospodą, przy klombie lub koło sklepu, przeprowadzą parę jałowych rozmów, by wieczorem powtórzyć rytuał od początku. Wieczorem... Nie był to wieczór, lecz kolejny świt, a przyzwyczajenie nakazywało kłaść się o tej porze do snu. Przyzwyczajenie, które nie pozwalało im myśleć. Od dzieciństwa wdrożeni do ciężkiej pracy, wpadłszy w koleinę rutynowego, monotonnego życia, w obliczu niecodziennych wydarzeń nie potrafili uczynić nic, prócz bezmyślnego kręcenia się w kółko.

— Znikąd ratunku, znikąd pomocy — gadał do siebie sołtys Łopuch przechodząc obok geesu. Mechanicznie przeskoczył kałużę rozkiszłego błota, tkwiącą od niepamięci w tym samym miejscu. Kałuża była jak zaczarowana — żaden upał jej nie wysuszył, żadna posucha nie wypaliła. Ludzie przyzwyczaili się do tego i wykształcili w sobie odruchy pozwalające

omijać ją suchą nogą.

Trzeba przysłać kogoś do zasypiania — pomyślał sołtys, lecz tę myśl zaraz przytłumiła refleksja o beznadziejności tego, jak i wszelkich innych działań w tej wsi.

Kiedy tak pogrążony w niewesołych myślach szedł główną arterią osady, nagle jego uwagę przykuły dźwięki dobywające się z wysokich traw okalających przydroże. Stanął i nasłuchiwał. Było to niewątpliwie chrapanie. Głębokie, dźwięczne, bogate w posapywania i gwizdy. Tak mógł chrapać tylko jeden człowiek we wsi. Sołtys wzruszył ramionami i już chciał odejść, jednak powstrzymał go widok wąskiej ścieżki wyciętej wśród traw.

— To łobuz — Łopuch zmełł w ustach przekleństwo. — Znowu dorwał się do kosiarki.

Zboczył z drogi i zagłębił się w przecinkę.

Kosiarka do trawy, ewenement na wsi, była wynikiem omyłki. Kiedy zawiadomiono miejscowy PGR o przydziale kombajnu i wezwano do odbioru — w delegację wysłano Pacygrendę. Pojechał i wrócił na samojezdnej kosiarce. Kosiarka, produkt któregoś z krajowych zakładów przeznaczona była na eksport do Anglii, do koszenia pól golfowych. Skutkiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności miała ten sam numer fabryczny co przydzielony kombajn. Pacygrenda po przybyciu do miasta urznął się oczywiście jak bela (pierwszy raz w życiu w delegacji), niefrasobliwie odebrał ją, i pojechał do wsi nie martwiąc się tym, co będzie dalej. Po powrocie tłumaczył się panującą w mieście mgłą i ogólnoświatową tendencją do miniaturyzacji. „Wszystko teraz pomniejszają, radia jak pudełka od papierosów, to ja myślał, że i kombajn taki mały”. Sprawa zwrotu tego kukułczego jaja utknęła w martwym punkcie, gdyż w tym czasie „Bizon” powędrował na Wyspy Brytyjskie, przychodziły stamtąd listy z pretensjami i ponagleniami, które trafiały do sołtysa, a nikt we wsi angielskiego nie znał. Na usilną prośbę kierownika PGR-u, plutonowy Słowacki, znający niemiecki, wystosował do angielskiej firmy list w tym właśnie języku, z prośbą, by korespondencję prowadzono, jak się wyraził, „w pięknym języku Goethego”, co mu podpowiedziała rozmiłowana w poezji księgowa. W odpowiedzi przyszło pismo już po niemiecku, wyrażające zdziwienie, że w Polsce nie używa się języka ojczystego. Dalszą korespondencję przerwały wydarzenia sprzed paru miesięcy, które zamieniły wieś Litwa w odizolowaną od świata enklawę. Od tego czasu kosiarka stała beczynnie koło gospody, przykryta niedbale kawałkiem folii.

Ścieżka wycięta nożem kosiarki wiła się jak oszalała po pegeerowskiej łące. Sołtys wędrował po jej meandrach, posłusznie wykręcając wymyślne zawijasy i ósemki, spodziewając się na jej krańcu znaleźć kierowcę. Klął przy tym, na czym świat stoi.

— Schlał się drań jak świnia — mamrotał.

Po kilkuminutowym marszu zrezygnował w końcu z wędrowki po śladach i spróbował innej metody. Kierując się słuchem podążył w kierunku rosnących nie opodal zarośli, skąd, jak mu się zdawało, dolatywało chrapanie. Pokażna dziura wyrwana w paśmie krzaków zakończyła śledztwo. Leżała w niej zwalona na bok kosiarka, a obok niej rozciągnięty wygodnie na poszyciu z mchu człowiek.

— Pacygrenda!!! — wrzasnął sołtys i nachyliwszy się nad śpiącym, jął tarmosić go za fufajkę.

— Co jest, co jest... — zajęczał nieprzytomnie Pacygrenda i odepchnąwszy bezceremonialnie budzącego, usiadł trąc kułakami oczy.

— Wy nie ziewajcie mi tu, Pacygrenda, tylko mówcie, co to ma znaczyć — powiedział sołtys, starając się, by brzmiało to w sposób maksymalnie urzędowy. — Bierzecie bez pozwolenia państwowy sprzęt, narażacie go na uszkodzenie, wypalacie przydziałową benzynę, nie mówiąc o tym, że zakłóćcie ciszę nocną!

— Jaką tam nocną ciszę — wzruszył ramionami Pacygrenda, niezdarnie usiłując wstać. — Przecież widzę, że świta. Słońce nawet dość wysoko.

— To nie to słońce, to to drugie.

— A to przepraszam, pomyliło mi się — wstał wreszcie i ziewając szeroko drapał się po

owłosionej piersi, którą ukazywał rozchylony waciak. — Co mówiliście, Łopuch?

— Pytałem się, co to wszystko znaczy? — spokojnie odparł sołtys. Postanowił oszczędzać nerwy.

— Co takiego? — nie zrozumiał Pacygrenda.

— Te wojaże na kosiarce, która w dodatku nie jest naszą własnością.

— Przed chwilą mówiliście, że jest nasza, państwowa.

— Aha, więc jednak dosłyszeliście — rzekł zjadliwie Łopuch — więc odpowiadajcie.

— A co tu opowiadać — indagowany nie przejmował się niczym. — Wracalem sobie spokojnie do domu...

— Spokojnie — ironizował sołtys. — Już ja was znam. Piliście z nauczycielem, poznaję po zapachu.

— A piłem — bezwstydnie przyznał się Pacygrenda. — Więc wracam sobie cichutko, patrzę... — zawiesił głos dla dodania napięcia — a tu przez trawę pomyka ten niebieski.

— Jaki niebieski?

— No ten, z tych fruwających salaterek.

— Kosmita?

— Jak go zwał, tak go zwał, grunt, że niebieski.

Latające spodki były następnym dręczącym wieś kłopotem.

Zjawiły się zaraz potem, jak się to wszystko zaczęło. Tyle że ich liczba jakby się zwiększała. Na początku co parę dni pokazywał się jeden, potem dwa, trzy, wreszcie po paru tygodniach zaczęły przylatywać całymi stadami, zasłaniając chwilami słońce. Teraz przynajmniej raz dziennie wykwiatał na niebie ich klucz. Nic złego nikomu nie robiły, lądowały nawet czasem na łąkach, co poniekąd mieli szczęście widzieć owych „niebieskich” wysiadających z pojazdów, ci jednak zawsze zdążyli wsiąść z powrotem i wystartować, nim ktokolwiek podbiegł bliżej. Płaczliwsze baby skarżyły się potem, że na miejscu lądowania trawa przestaje wyrastać, lecz sołtys uważał to za plotkę wyssaną z palca. Zawsze jednak był to, ze względu na swą tajemniczość, element niepożądany.

— No więc biegnie przez łąkę — kontynuował Pacygrenda — a ja czuję, że go nie dogonię, bo bimber udał nam się mocny. Patrzą, stoi kosiarka, to wsiadłem i gonię skubanego. A ten, w serwis szarpany, kiedy zobaczył, że za nim jadę, to jak nie zacznie kluczyć i kręcić, że ledwo nadążyłem kierownicą ruszać. I już go prawie miałem, kiedy wpadł w te krzaki, ja też, no i wywaliłem się. A ta chodząca farbka do bielizny znikła. I tyle — rozłożył ręce na znak nie zawinionej bezradności.

— Akurat ci wierzę — chrząknął sołtys niepewnie, bo wyglądało to na prawdę. Pacygrenda, choć pijak, kłamać nie przywykł.

— Nie musicie — odparł Pacygrenda i głośno mu się odbiło — tylko co powiecie na to? — wskazał ręką przez zarośla.

Sołtys podniósł wzrok. Za zaroślami, za strumykiem dostarczającym wody pitnej do wsi (rzeka była zatruta), na polu koniczyny stał przypominający dwie złożone salaterki pozaziemski pojazd.

— Trzeba łapać, gonić! — w sołtysie zbudziła się chęć do działania.

— Iii, zostawcie, i tak ucieknie — przytrzymał go Pacygrenda. — Młodzi w nogach próbowali. Chodźcie lepiej do domu, razem pójdziem — pociągnął go za sobą. Sołtys bezwzględnie dał się prowadzić. Dotarli przez łąkę do drogi i ruszyli jej wydeptanym brzegiem. Łopuch odsunął się od swego towarzysza, bo bijący od niego smród księżycówki przyprawiał o mdłości. Jakiś czas nie odzywali się do siebie, wreszcie sołtys, czując niezręczność ciszy, powiedział:

— Będziecie odpowiadać, jeżeli kosiarce coś się stało.

— A co się miało stać, w krzakach mech miękki — odparł beztrąsko Pacygrenda.

Szli tak, oświetlani z jednej strony ostatnimi czerwonymi blaskami dogorywającego

słońca, podczas gdy w karki prażyły ich promienie świtu. Była to jednak noc. Tak ustalono. Zza zakrętu widać już było szczyt górującego nad okolicą kościoła i sąsiadującej z nim dzwonnicy. Dochodziły stamtąd śpiewy dyżurujących na cmentarzu kobiet.

— Słyszeliście te idiotki? — odezwał się Pacygrenda. — Te dopiero spać ludziom nie dają. Litanie odśpiewują.

Sołtys milczał. Odechciało mu się mówić. Milczał również, gdy zbliżyli się do wejścia na cmentarz. Pacygrenda podszedł do pordzewiałej, rozsypującej się ze starości furtki i oparłszy się o nią, począł wołać do klęczących na cmentarnych ścieżkach bab.

— Ej, wy, kółko różańcowe! Zgłupiałyście?! Ludzie umierają, modlicie się, zmartwychwstają, też się modlicie, nie za dużo tego?

Z klęczek zerwała się stara Skrobiszewska, przewracając przy tym jedną z gęsto ustawionych świeczek.

— Wynos się stąd, ancykryście jeden! — zawołała, zegnając się krzyżem. — Że ty się Boga nie boisz i bluźnisz przed obliczem cudu pańskiego! My, służebnice boże, posługi tu czynimy, jak nam nakazuje chrześcijański obowiązek, albowiem dzień Sądu Ostatecznego nastał! I ukarani będą tacy jak ty, grzechem i nieczystością zbrukani, a ludzie bogobojni wnijdą w Królestwo Niebieskie! — natchnione oblicze obróciła ku niebu i złożone dłonie uniosła do góry. Widać było, że wzorowała się na świętym obrazku wiszącym w nawie kościelnej, przedstawiającym któregoś ze świętych podczas wniebowzięcia. Trwała tak przez chwilę, po czym opuszczając ręce zajazgotowała swym normalnym tonem:

— Zabierzcie go stąd, sołtysie, bo nie zdzierzę i czymś ciężkim przez łeb przejadę!

— No, no, stara jędzo — obruszył się Pacygrenda — żebym ja cię czasem nie musiał!

— Zamknijcie się, Pacygrenda — powiedział martwo Łopuch, po czym zwrócił się do Skrobiszewskiej. — Kto dziś zmartwychwstał?

— Oj, dużo tego będzie — jęklonie rzekła stara, ponownie się zegnając. — Więc zaraz... poczekajcie sołtysie, niech w głowę zajdę... aha: Noc Antoni, Noc Stefan, Zrębek Janina, Huś Jan, Pieśko Władka — wyliczała monotonie.

— Józka! — zawołała któraś z klęczących — u Guńków coś się odzywa!!!

— Wybaczcie, sołtysie — pośpiesznie powiedziała Skrobiszewska i podciągnawszy obszerną spódnicę pobiegła w kierunku murowanego grobu rodziny Guńków, który jak stado czarnych wron oblepiła już gromada dewotek. Szepcząc między sobą, odsuwały kratę zasłaniającą wejście do grobu, a po chwili można było dostrzec, jak wyciągają ze środka nieprzytomnego jeszcze i ogłupiałego byłego nieboszczyka.

Po pierwszych wypadkach zmartwychwstania, kiedy zorientowano się, że będą się powtarzać, brygada chłopów przysłana przez sołtysa rozkopała wszystkie groby i rozluźniła zamknięcia trumien, by następni przywróceniu do życia nie mieli już kłopotów z wyjściem na wierzch.

— To Ambroży! — krzyknęła do Łopucha Skrobiszewska — Ambroży Guńka!

— Ach, ten — skinął głową sołtys.

Wszyscy o nim słyszeli. Był to protoplasta rodziny Guńków, ten, który położył podwaliny pod ich późniejszy majątek, a zarazem podwaliny te mocno podkopał. Zrobił fortunę na hodowli gęsi. Było to w czasach, gdy do pisania używano wyłącznie ptasich piór. Ambrożemu udało się wyhodować specjalny gatunek gęsi, zwanych powszechnie ze względu na swe cenne właściwości „literackimi”. Ich pióra były giętkie, elastyczne, a przy tym u nasady wyjątkowo twarde i odporne na ścieranie. Zjeżdżano się po nie z miast położonych setki wiorst od Litwy. Ambroży sprzedawał je po tuzinie, elegancko przewiązane jedwabnym sznureczkiem opatrzonym lakową pieczęcią ze znakiem firmy. Ich sława sięgnęła antypodów. Najwięksi pisarze owych czasów pisali wyłącznie piórami z Guńkowych gęsi. Same gęsi, niestety, były wyjątkowo niesmaczne, toteż tysiące ich oskubanych zewłoków użyźniło okoliczne pola. Skończyło się to jak nożem uciął wraz z wynalezieniem stalówki. Zamówienia przestały nad-

chodzić, pieniądze płynąć. Stary Guńka oszalał. Postanowił ratować swój interes karmieniem gęsi żelazem, spodziewając się, że wyrosną im pióra zakończone stalówkami. Tkał im do gardeł magnesy, kulki do łożysk i rudę. Wydawał miliony na skupywanie złomu, który potem specjalnie wynajęci ślusarze drobili pilnikami na pył, dosypywany drobiowi do ziarna. Błogosławiona przez spadkobierców śmierć położyła kres temu trwonieniu pieniędzy. Jego synowie sprawiedliwie podzielili majątek i poświęcili się tradycyjnym uprawom, a sława opromieniająca ich nazwisko przetrwała jedynie w Litwie.

— Chodźcie, Pacygrenda — powiedział sołtys. — Nie ma się na co gapić. Już się chyba przyzwyczailiście. Baby się nim zajmą.

— Ale mają uciechę — rzekł wpatrzony w kobiety Pacygrenda — większą niż na procesję w Boże Ciało — oderwał wzrok od rozemocjonowanych „służebnic bożych” i poszedł za Łopuchem.

Kiedy doszli do krańca cmentarnego muru, obejrzał się jeszcze raz na wstającego z grobu Guńkę i wpadł na sołtysa, który zatrzymał się nagle jak wryty.

— Cholera — mruzczał sołtys — prześladują mnie dziś te różne dziwne odgłosy. Obsesja jaka czy co?

— A co, co? — dopytywał się Pacygrenda.

— Coś jakby spod ziemi.

Pacygrenda powiódł wzrokiem po gruncie i doznał olśnienia.

— Rany boskie — wrzasnął — Pajtuś! Zapomnieliśmy o nim!

Za zakrętem ogrodzenia, tuż przy podmurówce widniał porośły mleczem pagórek. Był to grób Pajtusia, który jako samobójca został pochowany poza cmentarzem. Sołtys nie namyślał się długo.

— Lećcie do bab po łopaty — zdecydował. — Musiały tam jakieś zostać na wszelki wypadek.

Pacygrenda pobiegł, a Łopuch uklękawszy na grobie począł rozgarniać ziemię palcami. Szło mu opornie, ale przekonywał się, że Pacygrenda miał rację. Dudniące pomruki dochodziły właśnie stąd.

We dwóch szybko dokopali się do trumny. Całe szczęście, że nie znajdowała się zbyt głęboko. Wyciągnęli ją z dołu na wierzch i czubkiem łopaty podważali gwoździe. Po wyciągnięciu wszystkich sołtys nabrał w płuca powietrza i energicznie szarpnął za wieko. Leżący wewnątrz Pajtuś zamrugał gwałtownie powiekami, oślepiiony niespodziewanym światłem. Podciągnął się rękami za obramowanie trumny i usiadł.

— Witajcie, Pajtuś — rzekł sołtys.

— Gu, gu, głu — odpowiedział zmartwychwstały.

Kopacze popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. Pajtuś zawsze mówił normalnie. Łopuch odchrząknął i kontynuował:

— Nie cudujcie się, po prostu wstaliście z grobu. Dla was powinno być to normalne. Całe życie zajmowaliście się wynalazkami, niesamowitościami, powiadają, że i z duchami się zadawaliście, więc nie dziwcie się. Zresztą nie jesteście sami. Takich jak wy mamy już dziesiątki.

— Bul, głu, gul — sam nieboszczyk wydawał się zaskoczony dźwiękami, jakie wydawał.

Sołtys szarpnął go za ramiona.

— Co wam, Antoni?!

— Gul, gul, ...tfu!!! — Pajtuś wypluł na nadstawioną dłoń jakiś przedmiot. Jego wybacwiele pochylił się ciekawie. To była zwyczajna srebrna dwustuzłotówka.

— Ki lichy? — uniósł brwi Pajtuś.

— Aaa, już wiem — pokiwał głową Pacygrenda. — Przecież tak kiedyś u nas było. Zmarłym wkładało się do ust pieniędzy. Musiała wam to wetknąć któraś z kobiet. Pewno stara

Skrobiszewska. Czuła się winna waszej śmierci. Mówiła, że powiesiliście się, bo nasłała na was milicję.

— Chyba tak było — zgodził się z nim sołtys.

Pajtuś wstał i przeciągnął się, rozglądając się dookoła.

— Więc powiadacie, że zmartwychwstałem? — spytał.

— Yhy — potwierdzenie.

— To idę do domu — powiedział zdecydowanie i wystąpił z trumny.

— Waszego domu już nie ma — spuścił wzrok Łopuch. — Spalił się w zeszłym roku.

— Nie ma tego, będzie inny — Pajtuś był jak niegdyś pełen energii. Przekroczył wał wykopanej ziemi i wielkimi krokami przemierzał łąkę, kierując się na skróty do miejsca, gdzie niegdyś stał jego dom. Pacygrenda i sołtys odprowadzali go wzrokiem.

— Znowu pewnie narozrabia — westchnął Łopuch. — Wymyśli latające kowadło lub coś w tym stylu. Jakby mało było kłopotów.

Od cmentarnej furtki biegła Skrobiszewska.

— Pajtuś ożył?! — wrzeszczała.

— Oży!!!!

— To niech oddaje dwieście złotych!!!

— To se go gońcie!!! — odkrzykiwał jej Pacygrenda, a po cichu dodał: — Zawsze mówiłem, że to jędza. Chodźcie, sołtysie, dalej, bo nigdy się nie położymy spać.

— Wyście się już chyba wyspali. Podobno mech w zaroślach miękki? — odpowiedział złośliwie sołtys, ale posłusznie poszedł za nim. Też nie miał ochoty na dyskusję ze Skrobiszewską.

Kiedy sołtys Łopuch zakończył swoją miniodyseję, zastał żonę kręcącą się nerwowo po pokoju.

— Dlaczego jeszcze nie śpisz? — zagadnął ją wchodząc do środka. — Słońce już wysoko, a ty ciągle nie w łóżku?! — patrzył na nią, jak mnąc w rękach chusteczkę, przyciskała ją do piersi.

— A, bo... — zająknęła się i urwała.

— No co? — ponaglał. — Mów szybko, bo zmęczony jestem i mam już dość wszystkiego. Zebranie diabli wzięli, Pajtuś z grobu wstał, spodki latają, w nocy słońce świeci, kosiarkę rozwalają, a do tego ty mi czymś będziesz głowę zawracać. Gadaj, bo jak nie, to kładę się spać!

— Ktoś łązi koło domu! — wyrecytowała i zrzucając ten kamień z serca podbiegła do męża i uwiesiwszy mu się na szyi, uderzyła w płacz. — Boję się, Józus — szlochała. — Ja też już mam wszystkiego dość! W krzakach coś trzeszczy, ktoś w szyby skrobie, znowu jakieś duchy!!!

— No, uspokój się — sołtys gładził ją po głowie. — Nie ma się czego bać. Nikomu do tej pory nic złego się nie stało!

— Jak to nie ma się czego bać? — łyzy płynęły strugą, mocząc odświętny, zebraniowy garnitur. — Tylu ich wszystkich jest, tych cudaków! Zmartwychwstańcy, kosmici i ci... przybysze!!!

Intruzów można było z grubsza podzielić na te właśnie trzy kategorie. Ostatnią z nich stanowili przybysze z zamierzchłych czasów, z wieków dawno minionych. Ci pojawiali się i znikali, nie wiadomo gdzie. Onegdaj na przykład usiłował przemaszerować przez wieś oddział gemajnow z czasów potopu szwedzkiego. Młody Guńka przestraszył ich, wyjeżdżając naprzeciw traktorem. Pierzchli w panicznej ucieczce do lasu i więcej się już nie pokazali.

— Cicho, cicho — sołtys usiłował oderwać żonę od siebie. — A ojciec gdzie?

— Aaa, więcej z nim kłopotu niż pożytku — chlipała Łopuszyna. — Zamknął się w komórce i nie chce wyjść.

— Idę do niego! — rzekł stanowczo sołtys.

— Neeee! — rozkrzyczała się żona i kurczowo objęła go w pasie. — Nie zostawiaj mnie samej!

— Nie bądź głupia — odczepiał z trudem zaciśnięte jak kleszcze dłonie — zaraz wracam. A ty nigdzie nie wychodź, to nic ci się nie stanie.

Zostawił ją płaczącą, ocierającą łzy rąbkiem fartucha, a sam wyszedł na podwórko. Kopniakami roztrącił włóczące się po obejściu stadko kur, które, dotąd nie przyzwyczajone do zmian w czasie, nie wiedziały, kiedy spać, a kiedy nie, i podszedł do drewnianej komórki z narzędziami. Przytknął ucho do drzwi i nasłuchiwał. Wewnątrz panowała idealna cisza.

— Ojciec! — załomotał pięścią. — Ojciec, jesteście tam? — i ponownie przysunął głowę do desek. Zaszurało, rozległo się stęknienie i stłumiony głos odpowiedział:

— Jestem, a niby gdzie mam być?

— Co wy tam robicie po nocy?

— Ja? Nic.

— To czemu nie w chałupie?

— A tak, na chwilę wyszedłem odetchnąć świeżym powietrzem. W domu tak jakoś duszno.

— Do komórki? — zdziwił się sołtys i usiłował otworzyć drzwi. Nie dawały się. — Coście się tam zamknęli, otwierajcie!

— Adyć otwieram, otwieram! — jeszcze przez dłuższą chwilę komórka pozostawała zamknięta. Wreszcie drzwi skrzypnęły, uchyliły się, a sołtys nie mogąc się doczekać szarpnął je i rozwarł na oścież. Stojący w progu stary Łopuch wyglądał na speszonego.

— Coś taki zapalczywy — powiedział niepewnie — stało się co?

Syn odsunął go na bok i zajrzał do środka. Nie zauważył nic podejrzanego, choć uważnie zlustrował wnętrze.

— No i co, inspektorze? Rewizja skończona? — ironicznie spytał stary.

— Skończona — odwarknął sołtys i popatrzył na ojca. — No, co tak oczy spuszczaacie? Czerwienicie się jak dziewica w noc poślubną. Coście tam robili, tato?

— O... odpoczywałem — podniósł głowę i przez chwilę usiłował wytrzymać badawczy wzrok syna, lecz złamał się i znowu popatrzył w ziemię.

— A, szlag z wami, chodźcie spać — machnął ręką sołtys i nie zwracając więcej uwagi na ojca poszedł do domu. Stary podreptał za nim. Sołtysowa stała jak przedtem pośrodku pokoju, nieporuszona.

— A ty co?! — gromadzone cały dzień zdenerwowanie wyrwało się krzykiem z sołtysa. — Żona Lota?! Rozkładaj łóżko! A wy, ojciec, zróbcie herbaty, w gardle mi całkiem zaschło!

— Już, już — rodzina posłusznie pospieszyła spełniać polecenia wytrąconej z równowagi władzy. Krzątanie przerwało pukanie do drzwi.

— A nie mówiłam! — sołtysowa przerwała ścielenie i rzuciwszy się do męża przytuliła się do niego, skutecznie krępując mu ruchy. Próbował się oswobodzić, sapiąc wściekle.

— Oszalała baba, no puszczaj! Ojciec, otwórzcie!

— Nie otwieraj! — krzyczała Łopuchowa.

— Otwierajcie!

Stary nie wiedział, co robić. Nareszcie zwyciężył w nim rozsądek. Zbliżywszy się do drzwi uchylił je ostrożnie. Ktoś z zewnątrz pociągnął silnie za klamkę, wtargnął do środka, odepchnął starego i zatrzasnąwszy drzwi oparł się o nie plecami, dysząc ciężko. Wszystko to trwało ułamek sekundy, tak że nikt z obecnych w izbie nie zdążył nawet mrugnąć.

— Bandyta!!! — zawyła sołtysowa.

— Cicho, głupia! — mąż uwolnił się z oplatających go uścisków i zatkał jej dłonią usta. Z zaciekawieniem oglądał przybyłego. Nie wyglądał zbyt groźnie, mimo przewieszanej przez ramię dwururki. Młody, chyba dwudziestoletni chłopak, w sukiennej kurtce, mocno ściśnięty skórzanym pasem, w brązowych spodniach z lampasem wpuszczonych w wysokie buty, w

graniastej czerwonej czapce z barankiem. Coś w jego wyglądzie nakazywało przypuszczać, że był to któryś z „przybyszów”. Wiało od niego ubiegłym stuleciem. Sołtys uśmiechnął się do niego przyjaźnie. Chłopak ośmielony otworzył usta. Mówił z trudem, słowa dobywał powoli, musiał być bardzo zmęczony.

— Dajcie... dajcie coś zjeść. Nie bójcie się, zaraz sobie pójdę.

Łopuch popchnął żonę do kuchni i gestem nakłonił chłopaka do zajęcia miejsca przy stole. Ten oderwał się od drzwi i ciężko opadł na krzesło. Broni od siebie nie odstawił, tylko wsunął między kolana. Zdjął czapkę i położył ją na przykrytym obrusem blacie. Jego włosy były całkiem zlepione potem. Przyglądał je dłonią. Sołtys z ojcem usiedli naprzeciwko. Zawiesili na nim pytający wzrok.

— Rozbili nasz oddział — rzekł przybysz wyjaśniająco — poszliśmy w rozsypkę. Ja skryłem się w sitowiu, potem przedzierałem się przez bagna. Teraz będę się starał dotrzeć do Warszawy.

— A z kim to walczyacie? — zagadnął Łopuch.

— Jak to, z kim? — chłopak wytrzeszczył oczy. — Na jakim wy świecie żyjecie? Z Moskalem!!! A wy nic nie wiecie o powstaniu?

— Aha — sołtys mrugnął porozumiewawczo na ojca — my nic tu nie wiemy, panie, od nas wszędzie daleko. Tu koniec świata. — Łopuchowa postawiła przed chłopakiem dymiący talerz grochówki i kubek herbaty i założywszy ręce na piersiach przyglądała się, jak je. Młodziak porwał łyżkę i łapczywie pochłaniał zupę, mówiąc między łykami.

— Ja od Kalinowskiego. Rozbili nas, ale znów się połączym. Nasza sprawa jest słuszna i zwyciężyć musimy. Was też ojczyzna wzywa. Sierakowski oddziały chłopskie zorganizował. Przyłączyć się możecie. Kto jest waszym panem? — Sołtys oniemiał na chwilę, po czym powiedział na odczepnego:

— Lubomirski!

— Aaa, on z białych! Jemu powstanie nie w smak — pokiwał głową chłopak i przypiął się do kubka. Opróżnił go do dna i mówił dalej: — Kińcie go w diabły i idźcie do Sierakowskiego. Ziemię macie?

— Nie.

— Nie martwcie się. Powstanie zwycięży, to zostaniecie uwłaszczeni i każdy bezrolny po kawałku gruntu dostanie. No, to ja już idę. Dzięki wam za poczęstunek, gospodyni.

— Zostańcie, panie, przespać się u nas możecie — powiedział nie wypadając z roli Łopuch.

— Nie, nie chcę was narażać. Patrol za mną goni — chłopak wstał z krzesła. Łopuchowa podbiegła do kredensu.

— Zaczekajcie, dam wam coś na drogę — zdjęła z półki połówkę chleba i pęto kielbasy, zawinęła w gałganek i podała powstańcowi.

— Bóg wam zapłać, gospodyni. Dziwne jakieś macie pomieszkanie — pokręcił głową chłopak i zarzuciwszy na ramię dwururkę znikł za drzwiami.

— Taki młody, a już walczy — rozczuliła się sołtysowa.

— Kto to był? — spytał stary, który cały czas nie odezwał się ani słowem.

— Z powstania styczniowego. Zapaleniec — odparł sołtys. — No, dosyć już na dzisiaj. Padam z nóg. Łóżko rozłożone?

— Jeszcze nie.

— To nie grzeb się. Ojciec, do siebie! I nie budzić mnie za prędko. Muszę się wyspać. Rano czekają nowe hece, a tylko ja myślę w tej zapowietrzanej wsi. Ciekawe, co też świt przyniesie?

Zmierzcho-świt był jak zwykle piękny, toteż proboszczowi przyjemnie było wstawać. Promień słońca, wpadający przez szparę w zasłonach, odbijał się gromadą lśnień w stojącej w kredensie srebrnej zastawie. Ksiądz leżąc jeszcze w łóżku uważnie obserwował jego powolną wędrówkę w dół. Był to jego prywatny zegar. Czas wstawania przychodził, gdy rozbłysnął kielich na trzeciej półce od góry. Już! Niezdarnie wygrzebywał się z pościeli. Nieubłagana starość dawała się we znaki. Siadł na brzegu posłania i usiłował wzbudzić w pamięci niezwykle przyjemny, prześniony nocą sen. Było to wspomnienie z czasów młodości. Morfeusz odstąpił zatarte przez lata szczegóły. Reminiscencja jego największego sukcesu, jaki odniósł podczas pobytu w seminarium, stanęła jak żywa przed oczami. Młodzi klerycy namiętnie grali w brydża, a on zwyciężył arcymistrza, wygrywając szlema w piki z rekontrą. Tak, tak, wyciągnął wtedy trzecią damę poza impasem. To był prawdziwy cud, że się to udało. Zaraz... a może to była druga dama? Pod impasem? Grunt, że wygrał. A może się tylko przyglądał? Ten sen tylko zamącił mu w głowie. Spochmurniał nieco i mniej ochoczo wdziewał papucie. Wstał i ciągnąc nogami po ziemi podszedł do szafy i wyciągał z niej ubranie. Myślał o dzisiejszym kazaniu. Już od dawna powinien wyjaśnić parafianom sytuację, w jakiej się znaleźli, z punktu widzenia religii, ale jakoś nie potrafił. Nie umiał zdecydować, czy dwa dni podczas jednej doby to kara boska, czy wręcz przeciwnie — łaska? Dręczył go także problem, czy wobec dwóch poranków w ciągu dwudziestu czterech godzin nie powinien odprawiać dwóch porannych mszy? Czas czasem, ale poranki pozostawały porankami i powinno się je uświęcić. Młody wikary nie przejmował się tym i stukając palcem w swój elektroniczny zegarek mówił: „Tego się trzymajmy”. Prostak. Ale może ma rację.

Stękać z wysiłku wkładał na siebie sutannę. Niespodzianie palce sięgające do guzików zamarały. Do uszu księdza proboszcza dotarły dźwięki dzwonu na poranną mszę. Dziwne, mączące swą odmiennością codzienny rytuał. Zawsze głębokie, rozgłośnie, teraz odzywały się nieregularnie, głucho, raz głośniej, raz ciszej. Zupełnie niemiarkowo. Zgłupiał Konstanty czy co? — pomyślał zaskoczony ksiądz i palce żwawiej poczęły zapinać drobne jak groch guziczki. Jeszcze tylko buty i będzie można wyjść.

Na niewielkim terenie, ogrodzonym walącym się ze starości murem, wszystko było osobno. Kościół osobno, dzwonnica osobno, plebania osobno, wygódka osobno: domek wikarego osobno, jednoizbówka kościelnego osobno. Księdzu mocno dawał się we znaki artretyzm, toteż gniewał go ten osobliwy partykularyzm budowniczych. Trudności w chodzeniu nie pozwalały mu się szybko poruszać po kościelnych włościach. A tak chciał jak najprędzej wyjaśnić tajemnicę dzwonu. Dreptał po otoczonej rabatkami ścieżce, pomstując cicho pod nosem. Z daleka już widział przez otwarte drzwi dzwonnicy sylwetkę kościelnego. Postać zgięła się i prostowała, lecz inaczej niż zazwyczaj. Jakby głębiej. Staruszek proboszcz zbliżył się do dzwonnicy i otworzył usta ze zdumienia.

— Konstanty! — wykrztusił — co wy robicie?!

Kościelny nie dosłyszawszy kontynuował swe zajęcie. Miał przed sobą ułożoną kupkę polnych kamieni. Brał z niej po jednym i ciskał w górę, celując w dzwon. Czasem trafiał, czasem nie. Dlatego dzwonicie było tak nieregularne.

— Konstanty! — powtórzył ksiądz z rozpaczą. — Bójcie się Boga?!!

Konstanty uniósł głowę.

— Aa, pochwalony! — nie wydawał się przestraszony bądź zdetonowany widokiem proboszcza. Przeciwnie. Widać było, że kipi w nim ledwo skrywana złość. Schylił się, wziął kamień i rzucił.

— Psiakrew, znowu pudło!

— Na wieki wieków — powiedział machinalnie ksiądz i ponowił pytanie. — Co robicie?

— Ja? A to ksiądz dobrodziej nie widzi? Sznur ukradli!!! — wskazał ręką. Rzeczywiście. Po powrozie, zwieszonym zawsze z dzwonnego serca, nie było śladu. Ksiądz przeżegnał

się odruchowo.

— Święta Panienko! Kto się ośmielił?

— Ba! A bo ja wiem? A ja dzwonić muszę. Msza święta jest święta!!!

— A nie mogliście wejść na górę?

— Schodki spróchniały! Dobrodziej wybaczy — rzut, trafienie.

— Ale co komu po sznurze? — dopytywał się ksiądz.

— To ksiądz proboszcz nie wie? — Konstanty przerwał swe zajęcie i rozcierał ręką plecy. On też miał swoje lata. — Od paru dni w całej wsi giną sznury. Nikt nie wie, kto to robi i po jakiego diabła.

— Konstanty, nie wypowiadajcie nieczystego imienia w poświęcanym miejscu — napominał odruchowo ksiądz. — Zostawcie już te głupstwa. Ludzie i tak przyjdą. A po mszy idźcie zaraz do sołtysa, niech coś z tym zrobi. Mamy też we wsi milicjanta. Załatwcie to. A teraz już chodźcie — odwrócił się i łamiąc głowę nad zagadkami, jakie mnożyły się ostatnimi czasy, pokuśtykał w stronę kościoła.

— To może od razu pójdę? — gonił go głos kościelnego.

— Dobrze, idźcie teraz.

— Jak dobrodziej sobie życzy.

— Z Bogiem, Konstanty, z Bogiem!

Zepsucie, wszędzie zepsucie i upadek obyczajów — дума ksiądz — i pomyśleć, że to w mojej parafii. To musiał uczynić ktoś tutejszy, bo przecież nikt z zewnątrz nie mógł się tu dostać. Wszystko przez tę telewizję.

Konstanty zdążył wrócić jeszcze przed mszą. Wpadł jak bomba na plebanię.

— Byłem, byłem u sołtysa!!! — krzyczał tak, że proboszcz zasłonił dłońmi uszy.

— Na litość boską, Konstanty. Ceń moje nerwy! Przecież się chyba nie pali!

— Niby nie — skonfundował się kościelny — przepraszam dobrodzieja.

— No to mów, tylko pomóż mi włożyć tę przeklętą komżę. Samemu coraz mi trudniej idzie.

Kościelny zbliżył się do księdza i wkładając mu komżę przez głowę szeptał tajemniczo:

— No więc byłem u niego, powiedział, że słyszał już o tych kradzionych sznurach, bo baby się skarżyły, że nie mogą prania wywiesić, żeby zaraz ktoś nie porwał postronka, ale bagatelizował to, ale teraz, skoro ksiądz prosi o pomoc, to się tym zajmie, ale — powiedział — przysługa za przysługę!

Ksiądz szamocząc się z materiałem wytknął wreszcie głowę przez otwór i popatrzył zaskoczony na kościelnego.

— Jak, mówisz, powiedział?!

Kościelny jeszcze bardziej zniżył głos.

— Przysługa za przysługę, i chciał, żeby ksiądz do niego przyszedł się rozmówić.

— Nie mówił, czego chce?

— Nie chciał.

— Dziwne — mrucał ksiądz przekładając stułę przez szyję. — O co mu może chodzić?

— Musi co nagrzeszył sporo i chce się po cichu wyspowiadać, a do kościoła mu wstyd przyjść. Urzędowa osoba przecie — wyraził przypuszczenie kościelny.

— Nie bądź głupi, Konstanty — zgromił go proboszcz.

Kościelny naburmuszył się i zrobiwszy obrażoną minę, zaczął narzekać tonem skrzywdzonego dziecka.

— Ksiądz dobrodziej zawsze do mnie z takimi ciężkimi słowami. Nic nie można powiedzieć. Zaraz „głupi”. A ja przecie ze szczerego serca...

— No już dobrze, dobrze, nie marudź — dobruchał go ksiądz. — Idź teraz na wieś i powiedz sołtysowi, że przyjdę. Pójdiesz?

— Pójdę, pewnie, że pójdę — powiedział Konstanty, wciąż udając nadąsanego, ale nogi już mu się rwały do drogi. Zaciekawiała go ta sprawa i miał nadzieję, że kursując w charakterze posłańca dowie się czegoś więcej, zarówno o kradzieżach sznurów, jak i o tajemniczym interesie sołtysa do księdza.

*

Młockarnia stała. Prąd we wsi skończył się parę miesięcy temu i nie było wyjścia — trzeba było młócić ręcznie. Sośko skrzyknął się z dwoma sąsiadami i teraz młócili we trzech w stodole u Noców. Ustawieni w półokręgu walili równo i mocno, aż pył unoszący się z klepiska gęstą mgłą przesłaniał widoczność. Upał panował taki, że Sosko stopniowo zdejmował z siebie ubranie. Został tylko w kalesonach i płóciennym podkoszulku z krótkimi rękawkami. Nawet buty zdjął, gdy zaczęły parzyć stopy. Rozkraczony szeroko, by nie stracić równowagi, uderzał miarowo cepem, starając się nie myśleć o pocie, zalewającym oczy, i wyrastających na dłoniach pęcherzach. Zapamiętał się w tej robocie i nie czuł, jak ktoś tarmosi go za ramię. Dopiero gdy zdał sobie sprawę, że jego towarzysze przerwali pracę i patrzą na niego, odwrócił się i spojrzał na zapłakaną żonę szarpiącą go za rękę.

— Walek, Walek — szlochąca — chodź!

— Co się stało? — przetarł wierzchem dłoni zapocone czoło.

— Chodź, chodź, sam zobaczysz — mówiła przez łzy — chodź!

— Nie możesz powiedzieć?

Pokręciła przecząco głową i gwałtowny spazm wstrząsnął jej piersią. Widać było, że więcej nie zdoła z siebie wydobyć. Sośko obejrzał się niepewnie na kolegów. Stali zmęczeni, wsparci na cepach i wyraźnie czekali na to, co zrobi. Wzruszył ramionami i wyszedł ze stodoly. Żona chlipiąc podążyła za nim. Sprawa stała się jasna tuż za progiem.

— O Jezu! — wydarło mu się z piersi. Wrósł w ziemię, a żona chlipała.

— Widzisz, widzisz?! Całe pole zmarnowane...

W odległości kilkuset metrów widać było pole Sośków. A właściwie nie było to już pole. Wyrósł na nim pałac. Jeszcze rano porastał je owies, teraz była trawa, klomby, ozdobne krzewy, pięknie gracowane alejki, a wszystko to otaczało wysokie ogrodzenie z wznoszącą się na froncie ręcznie kutą bramą. A w środku — pałac. Tak się wydało Sośce. W rzeczywistości był to zwyczajny dwór szlachecki, ale Sośko nie znał się na takich klasyfikacjach. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, pognął przez rżysko z cepem w dłoni. Chciał bronić swej własności i przegnać intruzów. Nie wiedział, jak to robi. Ale protestować musiał. Dobiegł do ogrodzenia i na chwilę stracił kontenans. Było za wysokie, żeby je w jakiś sposób pokonać. Szedł wzdłuż rzędu żelaznych prętów, potrząsając cepem jak włócznią. Miał broń. O, on tak łatwo nie da się wyzuć ze swego dziedzictwa. Prawnie mu się należy. W gminie zapisane na niego. Doszedł do bramy i pchnął ciężkie skrzydło. Uchyliło się bezgłośnie. Ha, otwarte! Wściekłość zagotowała się w nim ze zdwojoną siłą. Teraz trzeba tylko wejść i walczyć! Wsunął się przez powstałą szparę i ruszył wysypaną drobnym żwirem alejką! Jej łagodny zakręt niknął między krzakami jaśminu. Podgrzewając się wewnętrznie do boju, przeszedł luką alejki, minął obsypane kwieciami zarośla i nagle poczuł, jakby mu kto ołowiu w tydki nalał.

Znalazł się już przed frontonem budynku. O budynek mniejsza, ale w odległości paru kroków od Sośki wyrastał dąb, z którego gałęzi zwieszająca się huśtawka. Jej długie sznury oplecione były girlandami kwiatów, a na kładce siedziały dwie panienki. Ubrane w obszerne suknie, pełne zakładek, falbanek, koronek, zaszywek i Bóg wie czego jeszcze, mocno ściągnięte w pasie, pudrowane na głębokich dekoltach, szeptały sobie coś do uszek ukrytych w zdobnych kokardkach koafiurach, chichotały perliście, kołyszac się powoli. Za każdym bujnięciem w Sośkowe oczy błyskał gąszcz koronkowych halek, wyzierających zalotnie spod

sukien. Sośko zorientował się, że jest tylko w przybrudzonych kalesonach i podartym podkoszulku. Rozejrzał się rozpaczliwie w poszukiwaniu kryjówki, lecz było już za późno. Panienki dostrzegły go i zaskoczone wstrzymały bieg huśtawki. Ta ubrana na niebiesko już otwierała usta, została jednak uprzedzona przez różową.

— *Oh, Mon Dieu*, co to jest? — pisnęła.

— To jest, *excusez le mot*, chłop — powiedziała z godnością niebieska. — Ciekawe, jak się tu dostał?

— To cudowne! — zachwyciła się różowa. — Po raz pierwszy w życiu widzę żywego chłopca! — zeskoczyła z huśtawki i drobiąc maluchnymi stopkami podbiegła do Sośki.

— Nie trzeba całe życie siedzieć w Warszawie, kuzynko — niebieska mówiła z wyraźnym niesmakiem. Różowa zaś była wprost urzeczona Soską i obchodziła go wkoło oglądając od stóp do głów. Sośko czuł się niemal goły i zasłaniał się cepem, jak mógł.

— Czy mogę go dotknąć?

— Oczywiście, kuzynko.

— A nie ugryzie mnie?

— Z całą pewnością nie. Nasi chłopcy są trzymeni silną ręką.

Różowa ostrożnie wyciągnęła rękę i lekko dotknąwszy Soski, zaraz ją cofnęła.

— Trochę się boję — wyznała nieśmiało.

— Ależ nie ma czego, moja droga — powiedziała niebieska i zwróciwszy się do Sośki, zapytała ostrym i nie znoszącym sprzeciwu głosem. — Jak macie na imię?!

— Walenty — suche jak pieprz gardło wydało skrzypliwy skrzek, a Sośkę niespodziewanie opanowało osobliwe uczucie, nakazujące mu zgiąć kolana i paść na klęczki. Z trudem to opanował.

— Mówi, mówi!! — zaklaskała w rączki różowa, ciesząc się jak dziecko. Zakręciła się z radości jak bąk, a grajdarki loczków zawirowały, tworząc wokół głowy świetlistą aureolę.

— Sama możesz z nim porozmawiać — powiedziała niebieska.

— Mogę? Naprawdę?

— Nawet powinnaś. Przyjechałaś po raz pierwszy w życiu na wieś, więc wypadałoby choć trochę poznać jej mieszkańców.

Różowa (chyba młodsza) przybrała w jej mniemaniu poważną i skupioną minę, zaplotła ręce w mały rękawiczki i poczęła wypytywać Sośkę:

— Orzecie?

— Orze się — posłusznie odpowiadał indagowany. Ożyły w nim dawno zapomniane atawizmy, instynkty wiernopoddańcze, lęk przed wyżej urodzonymi.

— Siejecie?

— Sieje się.

— Kosicie?

— Kosi się, jasna pani! — Rany boskie, skąd u mnie takie słowa?, gorączkowo myślał Sośko.

— A co jeszcze robicie?

— No... młóci się!

— A jak? — zainteresowała się panienska.

— A tym, cepem! — wyciągnął rękę, podtykając jej pod oczy narzędzie. Różowy paluszek, tak delikatny, że przezierało przezeń światło, przesunął się po zapyłonym drewnie.

— To dzierzak — wyjaśnił Sośko — tamto krótsze to bijak.

— *Extraordinaire* — szepnęła panienska.

— Stajemy i walimy — mówił dalej Sośko. — Jak jest dwóch, to się młóci „łup-cup, łup-cup”, jak trzech, to „łup-cup-cup”, a czterech wali „łupu-cupu-łupu-cupu”. My robimy w trójkę. Ja jestem to drugie „cup”.

Różowa była zafascynowana. Sośko był dla niej istotą z innej planety, egzotycznym

zwierzęciem. Takim wrażeniem należało się z kimś podzielić.

— Pobiegnę po siostry i matkę. One też muszą to zobaczyć! — krzyknęła i podgarnawszy suknię do kolan pobiegła do domu.

Sośko przeraził się nie na żarty. Nie czekał, aż pantofelki zastukają na schodkach między kolumnami, tylko rzucił się do panicznej ucieczki. Pędził, jakby diabła zobaczył. Cep smyrznął gdzieś w jaśminy. Ochłonął dopiero na rżysku, gdy ostre źdźbła poczęły żgać i tak już pokaleczone stopy.

— Diablice — gadał na głos, oglądając się przez ramię i żegnał się co chwila krzyżem — diablice...

Zwolnił trochę, ale nadal szedł szybko, byle dalej od zapowietrzonego miejsca.

Z daleka, z progu stodoły obserwowali go Guńka, Noc i Sośkowa.

— Ale popędu dostał — powiedział Guńka.

— Musi coś go przestraszyło — odparł Noc.

— On niestrachliwy.

— No to w kość dostał.

Sośkowa zajęczała żałośnie.

— Nie frasujcie się — odwrócił się do niej Noc. — Przecie widzicie, że cały wraca.

— No i co, kumie? — zagadnął nadchodzącego Soskę.

— Pstro! — odburknął niegrzecznie Sośko. — Młóćimy!

Zona patrzyła na niego pytająco załzawionymi oczyma.

— A ty się nie gap — wybuchnął. — Idź do chałupy! Obiad rób!!!

— Cep gdzieś zgubiliście — zauważył Guńka.

— Nie wasza rzecz!!!

Sośko rozżłościł się nie na żarty i ręce zaczęły mu chodzić. Jeszcze chwila, a zacznie bić. Potrzebny tylko pretekst. I znalazł się.

Zza rogu stodoły wyłonił się listonosz. Pod pachą ścisnął płaską jak naleśnik torbę. Twarz mu się rozjaśniła, gdy ujrzał Sośkę.

— Panie Walenty — krzyknął radośnie — wszędzie was szukam. List niosę! — idąc wyjmował z torby białą kopertę.

— List? — powiedział złowroźbnie Sośko. — List? Ty łobuzie? Mówiłem, żebyś się więcej u mnie nie pokazywał, bo kości połamię!

Wyrwał z rąk Guńki cep i przygarbiony zbliżał się do listonosza w całkiem niedwuznacznych zamiarach.

— Ja ci pokażę list! — i zamachnął się. Przerażony listonosz umknął przed ciosem. Zrozumiał, że Sośko nie żartuje i uciekał teraz w stronę wsi wzywając pomocy. Za nim pędził rozwrzeszczany Sośko wymachując cepem.

Listonosz był po prawdzie Bogu ducha winien, choć nie całkiem. Płacił za swoją sumienność. Była to kolejna konsekwencja sytuacji, w jakiej znalazła się wieś. Dzień w dzień do Litwy przychodził jeden i ten sam pociąg. 10.15 z Kobylewa. Był to pociąg ciągle ten sam. Ten sam maszynista, te same wagony, ci sami pasażerowie. Nikt nie wysiadał. Przyjeżdżała nim poczta. Jeden i ten sam list. Do Sośki. I listonosz skrupulatnie kwitował odbiór, pociąg odjeżdżał, a list wędrował do adresata. W domu Sośki zebrało się już dwieście identycznych kopert z zawartym w środku wezwaniem do zapłacenia kolejnej raty spłacanej pożyczki. Nadawca — Bank Spółdzielczy w Kobylewie. Każdego dnia Sośko obiecywał listonoszowi połamanie kości, ten jednak z regularnością zegarka przynosił owo nieszczęsne wezwanie. Niejeden już usiłował wyrwać się owym pociągiem ze wsi. Historia powtarzała się i każdy opowiadał te same wrażenia. Wsiadał do wagonu, pociąg ruszał, jechał jakiś czas i niespodziewanie podróżujący orientował się, że właśnie wjeżdża do Litwy od strony przeciwnej. Stacja, zatrzymanie i nie pozostawało już nic poza wyjściem na peron. Tyle że okazywało się, iż jest już następny dzień. Podobnie paliły na panewce wszelkie próby opuszczenia wsi

piechotą. Wykreślona jak cyrklem granica przebiegała jakieś siedem kilometrów od centrum osady. Wystarczyło do niej dojść, by nagle zostać przerzuconym dokładnie po średnicy owego koła w miejsce położone naprzeciwko. Twarzą do wsi. Również w odległości siedmiu kilometrów. Nie było na to rady. Indagowano pasażerów pociągu widma, prosząc ich o pomoc, o interwencję na zewnątrz. Nie rozumieli, o co chodzi, niektórzy obiecywali, że podejmą kroki, by nazajutrz wrócić o 10.15, nie wiedząc o niczym. Wieś od siedmiu miesięcy była doskonale odseparowaną od świata enklawą.

*

— Niech będzie pochwalony — mówił proboszcz wchodząc do domu Łopuchów. Za nim wciskał się rozpalony ciekawością kościelny. Aż się trząsał z chęci dowiedzenia się, co za interes może mieć sołtys do proboszcza.

— Dzień dobry, dzień dobry — odpowiedział wyraźnie zmieszany sołtys.

— Przyszedłem do was.

— Tak, tak, ale prosiłbym księdza proboszcza, żebyśmy zostali sami — Łopuch zmieszał się jeszcze bardziej. Miał niewyraźną minę i kłaniał się księdzu raz po raz, kolistymi gestami zapraszając do zajęcia miejsca za stołem. Rękawem drugiej ręki zgarniał z blatu pozostałe po śniadaniu okruszyny.

— No, skoro tak... Konstanty! — zwrócił się ksiądz do kościelnego — wyjdźcie z łaski swojej na zewnątrz i poczekajcie na mnie. — Rozczarowany kościelny cofnął się za drzwi, zamknął je i znalazłszy się na podwórku podbiegł do okna. Przywarł doń uchem i starał się uchwycić choćby fragment rozmowy. Niestety, sołtys zniżył głos do szeptu i nic nie przechodziło przez szyby.

— Podobno żądał pan ode mnie jakiejś rekompensaty, w zamian za schwytanie sprawców kradzieży sznura z dzwonnicy — ksiądz usiadł na podsuniętym mu krześle i badawczo wpatrzył się w poczerwieniałą z zawstydzenia twarz sołtysa.

— Żądał, żądał, to za dużo powiedziane — sołtys nie wiedział, co robić z rękami, które nagle zaczęły mu przeszkadzać. Gmerał nimi przy guzikach koszuli, wkładał do kieszeni, by w końcu schować je za plecami. — Tu chodzi o dobro nas wszystkich. Ksiądz przecież wie, co się dzieje. Potrzebna mi jest wasza pomoc.

— Nasza? Chodzi o kogoś jeszcze?

— Wasza, to znaczy księdza — Łopuch zaczął nerwowo kręcić się po izbie.

— Nie wiem, w czym ja mogę okazać się użyteczny. Moje siły są już dosyć mizerne.

— Może ksiądz, może. Nie wiem tylko, czy coś z tego wyjdzie, ale spróbować powinniśmy. Jest to nasz obywatelski obowiązek — sołtys nabrał w płuca powietrza, jak pływak przed oddaniem skoku, wsparł się obiema dłońmi o stół i wpijając się w proboszcza wzrokiem, wyrzucił z siebie:

— Powiem krótko. Chodzi o egzorcyzmy!!!

Księdzu zapało dech.

— O co?

— O egzorcyzmy! — sołtysowi przestało być głupio, bo najważniejsze zostało powiedziane. — Uważam, że ksiądz powinien egzorcyzmować wieś! Bo ja już nie wiem, co robić! Tkwimy tu jak małpy w klatce i nie zanosi się, by coś się miało zmienić. Nie znam się na religii, ksiądz wie, że rzadko chodzę do kościoła...

— Wcale — udało się wtrącić proboszczowi.

— Może i wcale. Ale jeżeli to wszystko, co się u nas dzieje, jest diabelską sprawą, to tylko egzorcyzmy tu pomogą. I tylko ksiądz może to uczynić! Powiem więcej: ksiądz musi! — Sołtys zapalał się podczas przemowy i ostatnie słowa prawie wykrzyczał.

— Niech pan mówi ciszej — ksiądz położył palec na ustach. — Konstanty na pewno

podstuchuje, a o ile się nie mylę, nie chciałby pan, żeby treść naszej rozmowy znał ktokolwiek poza nami dwoma.

Sołtys skinął głową i bez siły opadł na krzesło. Nosił się ze swoim pomysłem od dłuższego czasu i nie odważył się zwrócić z tym do proboszcza. Zrzucił wreszcie ten dręczący ciężar i poczuł się jednocześnie odprężony i zmęczony.

Proboszcz zastanawiał się. Żał mu się zrobiło biednego sołtysa. Widział jego mękę i rozumiał, że Łopuch nie wypuści go stąd, póki nie zdoła wymóc na nim obietnicy spełnienia swej niecodziennej prośby. Co robić? Trzeba go jakoś uspokoić. Z drugiej strony, kto by się dzisiaj znał na egzorcyzmach, od dawna zresztą obłożonych kościelną anatamą. Decyzja dojrzała. Trudno, trzeba będzie urządzić przedstawienie.

— Niech pan przyniesie dwie świece — powiedział szybko, chcąc jak najprędzej mieć to za sobą i móc iść wypowiadać się przed Bogiem z małego oszustwa.

— Co, już? Teraz?! — sołtys ożywił się i uniósł głowę.

— Tak, zróbmy to od razu. Nie ma co czekać.

— Są świece — Łopuch poderwał się z krzesła, sięgnął do wiszącej na ścianie półki i zdjął z niej dwie świece.

Ksiądz wstał również. Wyciągnął z kieszeni zapałki, zapalił świece, postawił je na podłodze w metrowym rozstawieniu i stanawszy między nimi zastanawiał się, co robić dalej. Sołtys przyklejony do ściany obserwował te poczynania z ciekawością. Co tu powiedzieć? — myślał proboszcz. „Po łacinie lepiej nie, bo, nie daj Bóg, uczył się jej w szkole”. Cisza przedłużała się. Wreszcie ksiądz wpadł na pomysł. Był przecież kiedyś za młodu misjonarzem w środkowej Afryce. Teraz przydadzą się wyniesione stamtąd doświadczenia.

I tak oto w domu sołtysa wsi Litwa rozbrzmiały wypowiedane namaszczonegłosem zdania w pięknym języku suahili:

Msimamizi rakali hu-piga-watu!!!

Tu-me-mw-oma simba!!!

Mtu a-ma-ye-ona!!!

Mw-iba mw-ambamba!!!

M-tu mw-eruru zaidi y-a nyama!!!

Kwaheri! Kwaheri! Kwaheri!

Ksiądz schylił się, zdmuchnął świece i odstawił je na stół.

— To już? — nieśmiało wyraził zdumienie Łopuch.

— A jak się panu zdawało, ile to ma trwać?

— I to pomoże?

— Nie wiem, nigdy tego nie próbowałem. Okaze się. Niezbadane są wyroki boskie — ksiądz był zmieszany i unikał, jak mógł, oczu sołtysa, wpatrzonych weń z nadzieją i obawą.

— A teraz, drogi panie Łopuch, co do mojej sprawy... Co pan zamierza uczynić w tym kierunku?

Sołtys podrapał się po głowie.

— No cóż, prawdę powiedziawszy, już onegdaj poczyniłem pewne kroki. Nic nikomu nie mówiłem, nawet mojej żonie, bo to straszna plotkara, a rzecz musi być utrzymana w tajemnicy. Porozumiałem się z plutonowym Słowackim i postanowiliśmy urządzić pułapkę. Jego narzeczona, Marysia Stojąła, ma ostatni sznur we wsi. Wtajemniczyliśmy ją w nasz pomysł i Marysia już od wczoraj rozgłasza, gdzie tylko może, że robi pranie. Dzisiaj ma je rozwiesić na sznurze, a my ze Słowackim zaczaimy się w krzakach. Może się uda. To jedyny sposób, żeby złapać złodzieja.

Ksiądz uśmiechnął się pod nosem.

— Świetny pomysł, sołtysie. Tyle że możecie tam tkwić cały dzień.

— Zawsze to lepsze niż założenie rąk, jak to zrobili wszyscy we wsi.

— To się panu chwali.

— Cieszę się, że chociaż ksiądz to docenia — markotnie powiedział Łopuch. Wdziął marynarkę i niezdecydowanie zatrzymał się przy drzwiach. — To co, idziemy?

— Idziemy. Pan do wsi?

— Tak. Działać. I czekać, czy egzorcyzmy pomogą.

Ksiądz spuścił oczy i uczyniwszy nieokreślony gest, wyrażający niepewność, poszedł za sołtysiem.

Na podwórku, udając obojętność, czekał kościelny. Gnębiło go uczucie rozczarowania. Nie usłyszał nic, a zdążył obiecać księżej gospodyni, że po powrocie złoży sprawozdanie. Jego ostatnią nadzieją było wypytanie księdza po drodze.

— Chodźcie, Konstanty.

— Idę, proszę księdza dobrodzieja — pospieszył za proboszczem.

Sołtys pożegnał ich przy drodze i skierował się ku centrum osady. Do jego uszu dobiegły jeszcze odgłosy rozmowy.

— Najmocniej przepraszam księdza dobrodzieja, ale czego to chciał sołtys?

— Chciał sekularyzować nasz kościół.

— Co zrobić?

— Zeświecczyć. I założyć tam nowoczesną brojlernię.

— Eee, ksiądz jak zwykle żartuje.

Sołtys odetchnął z ulgą. Ksiądz go nie zdradzi. To porządny człowiek. Przyspieszył kroku. Za chwilę, przy gospodzie, miał się spotkać ze zwiadowcami. Którzy to dzisiaj? Wyjął z kieszeni kartkę i przesunawszy palcem po rzędach nazwisk, odczytał półgłosem:

— Parciany, Trufluk, Węgrowicz, Packa...

Przerwał mu głośny wybuch śmiechu. Podniósł głowę i rozejrzał się. To z otwartego okna w domu nauczyciela. Temu zawsze wesoło — zamruczał i złożywszy kartkę, wysunął ją do kieszeni.

Nauczyciel czytał właśnie „Wojaka Szwejka”. Była to jego ulubiona lektura. Dla większej satysfakcji podczas pobytu w Warszawie kupił sobie w Ośrodku Czechosłowackim oryginał, ponieważ nie znał tego języka. Czytanie po czesku dostarczało mu dodatkowej radości.

Sołtys zbliżał się do gospody. Widział już czekającą na niego ekipę zwiadowców. Wyminał przykucniętego przy drodze człowieka. To Ambroży Guńka kawałkiem pordzewiałego resora wabił ku sobie stadko gęsi. Ptaki syczały, wyciągały szyje i najwyraźniej obawiały się tego ubranego w surdut osobnika.

— Wszyscy są? — pytał sołtys, choć do czterech nietrudno było policzyć.

— Są! — odpowiedział mu zgodny chór.

Zwiadowcy byli wysyłani każdego dnia w cztery strony świata, według ustalonego wcześniej harmonogramu. Mieli za zadanie sprawdzić, czy czasem coś się nie zmieniło i czy niewidzialna granica wciąż istnieje. Sołtys przez chwilę się namyślał. Na północy leżało Gwarno, na południu Rojno, na zachodzie i wschodzie nie było w pobliżu żadnych wsi.

— Więc tak... — rzekł urzędowo — Parciany do Rojna, Trufluk do Gwarno, Węgrowicz w stronę lasu, a Packa ścieżką przez trzęsawiska.

— Ja na trzęsawiska? — oburzył się Packa. — Miesiąc temu też mnie wysłaliście na bagna! Znowu mnie komary potną!

— Dobrze, dobrze. To zamieńcie się z kimś — powiedział cokolwiek nieprzytomnie Łopuch, bo zauważył kręcącego się po drugiej stronie placu plutonowego Słowackiego. Odsunął łokciami zwiadowców, którzy natychmiast zaczęli się wyklócać i podszedł do milicjanta.

— Witajcie, Pomyłka!

— Prosiłem, sołtysie, żebyście mnie tak nie nazywali — obruszył się Słowacki. — To

jest ordynarne przezwisko!

— Nie obrażajcie się, tylko mówcie, co jest!

Słowacki rozejrzał się i upewniony, że nikt nie podsłuchuje, zaszemrał do sołtysowego ucha:

— Gotowe! Przed chwilą wywiesiła. Możemy się zacząć!

— No to nie traćmy czasu.

Marysia Stojała mieszkała na tyłach maleńkiego budyneczku poczty. Oprócz poczty i jej mieszkania mieścił się tam jeszcze pokój, wynajęty na czas nieokreślony dla Koła Gospodyń Wiejskich.

Odbywała się tam właśnie próba chóru żeńskiego i odgłosy śpiewu głużyły hałas wywołany sadowieniem się w krzakach sołtysa i milicjanta.

*Strzeż się tego,
co na przedzie,
co na karym koniu jedzie.
Oficyjera, oficyjera...*

— Mogłyby się zamknąć — powiedział Łopuch, rozgarniając gałązki, by mieć lepszy widok na rozwieszoną na sznurze bieliznę.

— Ciii — syknął Słowacki — one mogą się drzeć, a my musimy być cicho.

— Macie broń? — zniżył głos Łopuch.

— Oszaleliście? — Słowacki aż podskoczył, wykrzykując te słowa. Zaraz się zmitygował i powtórzył szeptem. — Oszaleliście? Mam do niego strzelać? Przecież on tylko rąbnął sznurki! Wystarczy, że będziemy wiedzieli, kto zacz. I tak stąd nie ucieknie.

— Ja tylko tak — tłumaczył się sołtys. — Myślałem, że na postrach.

— Nie będzie żadnego postrachu — uciął rozmowę plutonowy. — A teraz bądźcie już naprawdę cicho.

Łopuch ucichł. Siedzieli w krzakach otaczających z trzech stron podwórko na tyłach poczty. Plecami opierali się o boczną ścianę geesu. Przez zarośla przezieraly białą części bielizny zawieszona na sznurze, rozciągniętym między hakiem w ścianie poczty a gałęzią jabłoni, jedyne drzewa rosnącego na podwórku. Zamarli w bezruchu. Powoli zaczęły mijać minuty, a potem godziny. Nic się nie działo. Kiedy próba chóru się skończyła, zrobiło się zupełnie cicho. Zamilkł wiatr, a martwość panującą w powietrzu mąciło jedynie lekkie brzęczenie owadów. Sołtysowi poczęły opadać powieki. Chciał zapalić, by odegnąć ogarniającą go senność, ale Słowacki skarcił go uderzeniem po rękę. Skruszony Łopuch schował papierosy do kieszeni. Usiadł wygodniej. Stopniowo myśli mąciły mu się coraz bardziej i bardziej, piasek w oczach doskwierał, i sam nie wiedział, kiedy usnął.

Obudziło go szarpnięcie za ramię. Zamrugał powiekami, usiłując oprzytomnieć i zorientować się, gdzie jest.

— Idzie!!! — szeptął napiętym z przejęcia głosem Słowacki. — Obudźcie się wreszcie!

Sołtys potrząsnął głową, wyganiając ostatki snu. Istotnie. Ktoś ostrożnie przedzierał się przez krzaki z naprzeciwka. Sołtys spróbował się podnieść, by to lepiej zobaczyć. Plutonowy ciągnął go z powrotem.

— Nie wychylajcie się. Niech wejdzie na środek podwórka. Wtedy wyskoczymy.

Przez gałązki trudno było rozpoznać, kto to jest. Tajemnicza osoba przelazła w końcu przez żywopłot i znalazłszy się pod jabłonką, poczęła odwiązywać sznur.

— Teraz!!! — wrzasnął plutonowy i obaj detektywi wyprysnęli z zarośli. Oszołomiony przestępca w pierwszym odruchu usiłował rzucić się do ucieczki, lecz zrezygnował. Ze spokojem przyjął swoje zdemaskowanie.

— Ojciec! — załamał rękę sołtys, podchodząc do stojącego pod drzewem złoczyńcy. —

Jak ojciec mógł?

Słowacki był nie mniej zaskoczony. Nie bardzo wiedział, co teraz robić. Patrzył na starego Łopucha, który przerwał rozplątywanie węzłów i stał nieruchomo, opuściwszy bezradnie ramiona.

— Jak ojciec mógł mi to zrobić? — biadał dalej sołtys, łapiąc się za głowę. — Po co to ojcu? Co ojciec z tymi sznurami robi?

— Pletę — odparł stary Łopuch smętnie. Był to przecież kres jego przedsięwzięcia.

— Nie rozumiem — wytrzeszczał oczy sołtys.

— Pletę sieć — wyjaśnił stary.

— Jaką znowu sieć?

— Chciałem upleść sieć, żeby złapać w nią ten latający spodek. Często przecież siada na naszej łące.

— Chyba zwariowaliście! — wydziwiał sołtys. — Czemuście nic nie powiedzieli?!

— Bobyś rzekł to samo, co przed chwilą. Że zwariowałem. I tak wszyscy mają mnie za wariata. Dlatego chciałem zrobić to po cichu.

— No nie! — sołtys rozkładał ręce i kręcił głową. — To przekracza ludzkie pojęcie! I co wy na to, Pomyłka? — zwrócił się do plutonowego. — Aresztujecie tego starego pomyleńca?!

Słowacki zachnął się tylko, słysząc zniechęcony przezwisko. Równocześnie wycofywał się tyłem ku drzwiom mieszkania narzeczonej.

— Załatwcie to jakoś sami — powiedział i uciekł sromotnie, wpadając w korytarzyk wiodący do pokoju Marysi. Każda decyzja dotycząca tej sprawy wydała mu się niezręczna i nie miał siły jej podejmować.

Ojciec z synem zostali sami.

— I gdzież to robiliście? — jęknął sołtys.

— W komórce — mówił z prostotą stary Łopuch.

Jego syn zaczął łązić po podwórku, gadając do siebie, kopiąc kamienie — i wciąż rozkładał ręce.

— Mało było kłopotów — sapał, stękał i wzdychał. — Taki wstyd na dodatek. Posłuchajcie mnie, ojciec — zatrzymał się — natychmiast wyciągniecie z komórki tę swoją idiotyczną sieć, rozplączecie ją i odniesiecie sznury wszystkim okradzionym. Na początek idźcie do kościoła, obiecałem to proboszczowi. Rany boskie, jak ja ludziom w oczy spojrzę. Idźcie już, niech na was nie patrzę.

Stary kiwnął głową i począł przełazić przez krzaki, drogą, którą przyszedł.

— Nie wygłupiajcie się — wrzasnął sołtys. — Idźcie już normalnie, przez furtkę.

Ojciec, posłuszny jak automat, cofnął się. Przeszedł przez podwórko i przez furtkę wyszedł na ulicę. Nie widać było po nim skruchy. Chyba uważał swe działania za słuszne i właściwe, choć odrobinę nieuczciwe. To wszystko przez to, że zadawał się z tym przeklętym Pajtusiem — myślał sołtys wychodząc za nim. — Co to teraz będzie, jak się znów spikną? Pajtuś przecież wczoraj zmartwychwstał.

Przygnębiony tymi niewesołymi perspektywami siadł na ławeczce koło gospody. Był tutaj umówiony ze zwiadowcami. Pochylony do przodu, oparł się łokciami na kolanach i skrył twarz w dłoniach. Z zadumy wyrwał go czyjś beztronski głos.

— Co wam, władzo ludowa? Martwicie się? — i ktoś siadł obok niego. Sołtys wyprostował się i spojrzał na przybyłego.

— A wam, chlubo polskiego szkolnictwa, jak zwykle wesoło? — niechęć w jego głosie była aż nazbyt słyszalna.

Nauczyciel rozparł się wygodnie, wyciągnął nogi przed siebie i nie przejąwszy się nieprzyjaznym przyjęciem, gadał dalej:

— I czym tu się smucić? Patrzcie, jaki piękny dzień. Ptaki śpiewają, słońce świeci, już

prawie trzy kwartały mamy ciągle lato...

— Chyba pan żartuje! — oburzył się Łopuch. — Siedzimy tutaj zamknięci, wydostać się nie można. Panu to odpowiada? Żeby chociaż wiadomo było, co się właściwie stało?!

— Jak to, nie wiadomo? — uśmiechnął się nauczyciel. — Ja wiem.

Sołtys spojrział na niego z niedowierzaniem. Nigdy nie potrafił zorientować się, kiedy nauczyciel mówi serio, a kiedy żartuje. Spróbował potraktować go na serio. Może wreszcie znajdzie się jakiś punkt zaczepienia.

— Wie pan? — spytał. — Zna pan prawdę? I cały czas pan milczy?

— A co panu po tej prawdzie? — nauczyciel usiadł bokiem i zwrócił się twarzą do Łopucha. Na jego obliczu igrał niewinny uśmieszek, co znowu posiadało wątpliwość w zdeorientowanym umyśle sołtysa.

— Lepiej panu będzie, gdy pan będzie wiedział wszystko? Na co w ogóle pan się skarży? Coś idzie źle? Ktoś jest we wsi nieszczęśliwy? Ludzie opaleni, dobrze odżywieni, lato w pełni, zboże, co się je skosi, to na powrót wyrasta, to samo z owocami. Żyć nie umierać.

— Szkoła Pajtusia! — wybuchnął Łopuch. — Pan też się zawsze cieszy nie wiadomo z czego. Zawsze panu wesoło!

— Świętej pamięci Pajtuś — nauczyciel spoważniał nieco.

— Jakiej tam świętej! Wczoraj z grobu wylazł!

— No i bardzo dobrze! — ucieszył się nauczyciel. — No więc on zawsze powtarzał: „W każdej sprawie doszukuj się jej najlepszych stron. Pszczoła słodkości szuka, by je potem w miód przerobić, żmija zaś do goryczy ciągnie, zasób swego jadu chcąc powiększyć”. Chce pan być podobny żmii? Czego pan się czepia?

— Dostyc mam już tych wszystkich niesamowitości! To się musi wreszcie skończyć!!! Chcę uwolnić ludzi z tego zamknięcia, w którym tkwią od siedmiu miesięcy! Poza tym chcę się dowiedzieć, co się dzieje!!!

— Bębenki mi popękają od pańskiego krzyku — roześmiał się nauczyciel — ale skoro drażny pana aż tak żądza wiedzy, to panu powiem, żeby mógł pan spać spokojnie. Widzi pan to? — ruchem głowy wskazał niebo.

Sołtys spojrział w górę. Po błękitnie przeciągał bezszelestnie sznur latających talerzy.

— Widzę. I co z tego?

— Chyba się pan domyśla, że to przez nich. Proszę słuchać uważnie. Te pojazdy, by móc się w taki sposób poruszać, tak szybko, bez żadnego dźwięku, muszą mieć specjalny napęd. Oparty na zupełnie innych zasadach niż u nas. Trudno mi jest to wytłumaczyć, nie jestem fizykiem, ale w grę wchodzi sprawa budowy przestrzeni, fal grawitacyjnych i tym podobnych historii. Te parę miesięcy temu zdarzyła się w naszej okolicy wielka burza. Pioruny waliły jeden po drugim. Chyba przypomina pan sobie jeden głośniejszy huk? Szyby poleciały w niektórych domach.

Łopuch przytaknął.

— Jeden pojazd uległ katastrofie. Rozbił się w naszej okolicy. Prawdopodobnie tkwi teraz, gdzieś w bagnach. Ważniejsze jest to, co stało się z jego silnikiem. Paliwo z niego w jakiś sposób wydostało się na zewnątrz i wywołało to, co pan widzi. Zamaściło strukturę przestrzeni, tworząc wokół nas nieprzepuszczalną czasę. Wywołało także mnóstwo lokalnych wirów czasowych. Te wiry powodują cofanie się czasu, a co za tym idzie — przypadki zmartwychwstań, uporczywe powtarzanie się pewnych zjawisk, ot chociażby przyjazdy pociągu, a także wywoływanie z przeszłości osób i przedmiotów, takich jak ten dwór na polu Sołki. Tak to z grubsza wygląda. A teraz zlatują się stadami ci przybysze z innego świata i próbują to naprawić, co nie za bardzo im się udaje.

— Ależ to oburzające! — krzyknął sołtys. — Jak oni mogą posługiwać się energią, z którą nie potrafią się należycie obchodzić?

— A my? — kpiąco spytał nauczyciel.

— Co my?

— Bawimy się energią atomową, a czy potrafimy kontrolować wybuch jądrowy? Wykorzystujemy ropę naftową do napędu samochodów, a nie umiemy jej zneutralizować, gdy przypadkiem rozleje się po oceanie wskutek katastrofy tankowca!

— Powinni się przynajmniej jakoś dogadać z nami! — powiedział spuszczać z tonu Łopuch. — W końcu to nasz teren!

— Pewno mają zabronione. Jesteśmy niższą cywilizacją i obawiają się, byśmy nie podpatrzyli ich technicznych tajemnic. Różnie moglibyśmy je wykorzystać. Znając naszą fantazję...

Sołtys popadł w zadumę. Niby wyglądało to logicznie, ale... Gdy spojrzał na nauczycielkę, ten uśmiechał się pełną gębą.

— To są bajki o żelaznym wilku — rzekł, dotknięty tą dziecinną wprost beztroską — a ja prawie panu uwierzyłem! Skąd pan niby to wszystko wie? Rozmawiał pan z nimi?

— Może...

— Ta, akurat. Wymyślił pan to sobie! A ja głupi...

Uśmiech na twarzy nauczyciela stał się zagadkowy.

— A co, powinienem panu przyprowadzić Kosmitę za rękę? — powiedział. — Koniecznie? Niech mi pan uwierzy, proszę pana o to. Będzie pan miał spokój.

— Nie zwracaj mi pan głowy swymi banialukami! Idź pan komu innemu opowiadać! Ja mam ważniejsze sprawy!

— Oczywiście, że pójdę. Pacygrenda dziś destyluje — nauczyciel wstał z ławki i przeciągnął się, aż mu chrupnęło w kościach. — Więc koniecznie musi pan uleczyć tę sytuację i przywrócić stan sprzed siedmiu miesięcy?

— Muszę!

Nauczyciel stanął przed sołtysem, nachylił się i schwyciwszy go za ramiona zmusił do spojrzenia mu prosto w oczy. Zaczął mówić szybko, stanowczym, nakazującym słuchanie głosem.

— A więc powiem panu coś na zakończenie naszej rozmowy. Zna pan przecież tę kulawą staruszkę mieszkającą na końcu wsi, Kołoniową. W zeszłym roku zmarł jej jedyny, dwiętnastoletni syn. Została zupełnie sama. Wczoraj ten syn zmartwychwstał. Taki łagodny blondynek o szarych oczach. Z tego, co słyszę, chce pan jej tego syna odebrać. Zostawiam pana z tym, niech się pan zastanowi, bo według pańskich słów głoszonych naokoło, jest pan jedynym we wsi, który myśli. O wszystkim — wyprostował się, odwrócił i odszedł. Oniemiały sołtys odprowadzał go wzrokiem. Trwał tak osłupiały, póki z otępienia nie wyrwało go przybycie zwiadowców. Zjawiali się jeden po drugim, zdając bliźniaczo podobne relacje. Takie same jak do tej pory. Egzorcyzmy nie pomogły. Drogą przeszedł też Jawor i zakomunikował, że stodoła odbudowała się sama. Sołtys zerwał się z ławki i postanowił działać. Jego natura nie pozwalała mu na bezczynne siedzenie. Przeszedł od chałupy do chałupy, prosząc ludzi o przybycie do Jaworowej stodoły na zebranie. Wstąpił też do swojego zastępcy i polecił mu urządzenie jakiegoś takiego stołu przydzielonego, żeby było zza czego przemawiać. Liczył na to, że może wspólnie coś da się wymyślić.

Zbliżał się wieczór, gdy mieszkańcy wsi zebrali się u Jawora. Byli prawie wszyscy. Sołtys ze swoim sekretarzem zajmowali miejsca za stołem. Gdy pomieszczenie już się całkiem wypełniło, Łopuch wstał z krzesła, uciszył gwar podniesieniem ręki i powiedział:

— Obywatele, mieszkańcy wsi Litwa. Wiecie chyba wszyscy, po co się tu zebraliśmy. Od kilku miesięcy znajdujemy się w poważnych kłopotach. Niezrozumiałe zjawiska, zdarzające się na każdym niemalże kroku, utrudniają nam życie, nie pozwalają normalnie egzystować i źle wpływają na nasze samopoczucie. Ponadto jesteśmy odcięci od reszty kraju. Każda wytrzymałość ma swoje granice i myślę, że nadszedł już czas, byśmy temu zaradzili. Mówiąc krótko: tak nie może już dłużej trwać!!! — i rąbnął pięścią w stół.

— Uważajcie, sołtysie — odezwała się Jaworzyna z pogroźką w głosie — mówiłam wam, żebyście nie wrzeszczeli, bo strop się posypie. Ledwie się trzyma, naprawić nie ma czym, bo gwoździów w sklepie nie uświadczysz, a i pokrycie przegniło. Ściany też stoją ino na słowo honoru...

Grzegorz Babula

Zawód: archaniół

Piątego marca przestały wychodzić gazety.

Straciły rację bytu, bo nie było już o czym pisać. Zapanował całkowity spokój. Znikły wojny i rewolucje, zbrojne przewroty stały się wspomnieniem. Wypadki drogowe, trzęsienia ziemi, spektakularne katastrofy, morderstwa, sensacyjne afery — wszystko to, co tak ubarwiało monotonię życia i wywoływało dreszczyk emocji u pożądanym mocniejszych wrażeń szarych obywateli, rozplynęło się we mgle zapomnienia. Nikt już zresztą nie pragnął o tym czytać ani oglądać tego na ekranach telewizorów. Ludzie się zmienili. Prezydenci, ministrowie, dyplomaci wszelkiej maści porzucili swe dotychczasowe zajęcia i zabrali się do pracy na roli. Polityka... Nikt już nie wiedział, co to właściwie znaczy. Nie można przecież uprawiać polityki, gdy zbrakło granic. Równocześnie starte zostały z umysłów ludzi wszystkie pojęcia wiążące się bezpośrednio z tą domeną człowieczej działalności, tzn. „naród”, „patriotyzm”, „interes państwa” itd. Gdzieś podziali się złodzieje, mordercy, rzeźmieszki, wydrwigrosze, szalbiercy, kanciarze, naciągacze, a nawet oszuści matrymonialni. Słuch o nich zaginął. Taaak... Wszyscy się zmienili. Wszyscy oprócz mnie.

Ja jeden pozostałem inny, kalając jasny obraz świata, niczym ohydny wrzód na czystej twarzyczce niewinnego niemowlęcia. Jedna jedyna skaza. A zarazem i zbawiciel. W przedziwny sposób te dwie cechy połączyły się w mojej osobie. Nie, nie popełniłem żadnego przestępstwa, aż tak bardzo się nie wyróżniałem. Byłem po prostu odmienny. Właściwie nawet nie należałem do tego świata. Za moją to jednak przyczyną wyglądał tak, jak wyglądał.

Mówiąc precyzyjnie, owa zmiana, która dokonała się piątego marca, zaszła jedynie z mojego punktu widzenia. Tego bowiem dnia udałem się w moją podróż i tego samego dnia powróciłem, by stwierdzić, że wszystko wygląda inaczej. Opowiem pokrótce, jak do tego doszło.

Historia przedziwnej metamorfozy świata ma dwa początki. Jeden, to chwila moich urodzin, drugi zaś miał miejsce parę tysięcy lat temu. Z powodów, które za chwilę staną się jasne, trudno jest mi orzec, który początek był pierwszy. Wydaje się, że ten sprzed kilkudziesięciu wieków. Nieprawda! Najpierw musiałem urodzić się ja! W dwudziestym wieku. Czuję, że płacę coraz bardziej. Zaczę więc jeszcze raz.

Sedno sprawy tkwi w tym, że jestem po prostu genialny. Nie, nie przechwalam się, stwierdzam fakt. Choć początkowo nic na to nie wskazywało. Położna przyjmująca poród, słysząc mój pierwszy niemrawy pisk, powiedziała:

— Jakiś ty wåtłutki, jak szczurek. Nic z tego nie będzie.

Zabodło to moją matkę, ale nie zaprotestowała. Miała przecież oczy. Mój ojciec, gdy mnie zobaczył, zwrócił się do niej z pretensją w głosie:

— Nie mogłaś się bardziej postarać, Sara?

— To również i twoja zasługa, Jakubie — jęknęła matka.

— No, nie wiem, nie wiem — kręcił głową ojciec, oglądając moje niebieskie oczy. Sam miał brązowe. Ale ponieważ był człowiekiem spokojnym i nie lubiącym awantur, nie komentował tego faktu dłużej. Wyrzucił tylko natychmiast ze swego sklepu pracującego tam

od roku sprzedawcę, błękitnookiego blondyna. Niebywale przystojnego, acz niewysokiego wzrostu.

Dalszy rozwój wypadków zdawał się potwierdzać autorytatywną ocenę położnej. Często chorowałem, kiepsko rosłem i uczyłem się marnie. Nauczyciele twierdzili, że podczas lekcji śpię z otwartymi oczami. Matka załamywała ręce, ojciec chodził zły. Jego zdenerwowanie zwiększała moja niechęć do edukacji religijnej. Nie raz i nie dwa sprzął mnie tałesem po łbie, wymyślając od przeklętych gojów. A ja kpiłem sobie z Talmudu i z Gemary, przy każdej okazji jadłem niekoszerne mięso i nie obchodziłem jak należy szabasu. A kiedy w święto Jom Kipur oświadczyłem, że Palestyna należy się Palestyńczykom, ojciec wyrzucił mnie z domu. Nie przejąłem się tym zbytnio i poszedłem do akademika, gdzie przygarnęli mnie koledzy z roku. Studiowałem na odczepnego, aby zbyć, żeby tylko rodzice dali mi spokój. Wybrałem kierunek, który dawał mi najwięcej swobody i nie absorbował zbytnio moich myśli. Psychologię. Jest to dział nauki do tego stopnia niekonkretny, że wszelkie braki w wykształceniu nadrabiałem podczas egzaminów wywodami komponowanymi *ad hoc*, co zwykle zadawała moich wykładowców. Sam zajmowałem się czymś innym. Na własny użytek stworzyłem sobie kanon wiedzy, który był mi potrzebny do osiągnięcia głównego celu. Postanowiłem mianowicie zbudować „maszynę czasu”. Ta idea zaświtała mi jeszcze w dzieciństwie, i od tej pory wszelkie moje poczynania podporządkowane były tylko jednemu zadaniu. Aby mu podołać, potrzebne mi były wiadomości z różnych dziedzin, zarówno z biologii, jak i z elektroniki, a także z wielu innych działów nauki. Krążyłem więc po wszystkich bibliotekach uniwersyteckich, zyskując przydomek omnibusa. Zebrane w mojej głowie informacje dla kogo innego wyglądałyby jak bezsensowny *bric-à-brac*, dla mnie jednak stanowiły klarowną całość. Eksperymentów ani doświadczeń nie przeprowadzałem. Wystarczał mi mój mózg. Czwartego marca po południu moja praca teoretyczna została zakończona.

Nadszedł dzień empirii. Jeszcze tego samego popołudnia dokonałem zakupów niezbędnych do sfinalizowania mego przedsięwzięcia. Chodziłem od sklepu do sklepu, kupując elementy radiotechniczne, chemikalia, blachy, minerały, jak również substancje czynne biologicznie, gdyż i one były potrzebne. Koledzy z akademika dostali ode mnie na kino. Gdy zostałem już sam, przystąpiłem do konstruowania „chronochodu”. Tak go nazwałem. Pracowałem z właściwą sobie błyskotliwością i polotem, proszę się więc nie dziwić, że skończyłem przed powrotem współlokatorów. Dziwili się temu, co zastali, ale wytłumaczyłem im, że jest to rzeźba na niedawno ogłoszony konkurs plastyki nowoczesnej. Nie obyło się bez komentarzy, lecz, ogólnie rzecz biorąc, podobała im się. Mówili, że mam szansę na zajęcie punktowanego miejsca. Połechtano to moją próżność, gdyż rzeczywiście usiłowałem mojej maszynie nadać kształty pełne lekkości. Cieszyło mnie, że mi się to udało. O tym, że zadziała — nie wątpiłem.

Następnego dnia wyczekałem chwili, gdy moi koledzy udadzą się na wykłady. Nie biło mi mocniej serce podczas zajmowania miejsca w chronochodzie. Działalem z zimną krwią, będąc pewien skuteczności przyrzędu i mając dokładnie przemyślany plan podróży w czasie. Miałem zamiar udać się do kolebki cywilizacji, w dorzecze Tygrysu i Eufratu. Dwadzieścia tysięcy lat wstecz. Traktowałem to jako rekonesans, chciałem potem przejechać się po rozmaitych epokach, wybierając kluczowe momenty rozwoju ludzkości. Te, które ja uznałem za istotne i przełomowe, nie kierowałem się bowiem zdaniem historyków, uważając większość z nich za głupców. Nie spodziewałem się, że właśnie na taki moment natrafię już za kilka sekund.

Ostatnim, pożegnalnym spojrzeniem obrzuciłem pokój. Nie budził we mnie żadnych sentymentalnych wspomnień, tak więc nie ociągając się dłużej, nacisnąłem starter.

Światło, mrok, mróz, żar, hałas, cisza — wszystko to skondensowane w jedną oszałamiającą całość przetoczyło się błyskawicą po moich zmysłach. Trwało to nieskończenie małą część sekundy, a jednak wywołało u mnie głęboki wstrząs i wyczerpało moje siły. Chyba kwadrans leżałem pogrążony w szoku, nim wreszcie moje omdlałe powieki uniosły się do

góry. Zamrugałem gwałtownie, oślepiiony jaskrawym światłem. Odczekałem chwilę, nim ponownie otworzyłem szeroko oczy. Potem wziąłem głęboki oddech, zebrałem wszystkie siły i niemrawo wygrzebałem się z pojazdu.

Co tu dużo gadać — było pięknie.

Znajdowałem się w środku lasu, na niewielkiej polance porośniętej niewysoką trawą. Niebo było bezchmurne, o intensywnej barwie siarczanu miedzi. Tak mi się kojarzył ten kolor. Było południe, słońce w zenicie grzało łagodnie i nienatarczywie. Rześkie powietrze wypełniło mi płuca, usuwając resztki oszołomienia. Z niewiadomych i niezrozumiałych powodów ogarnęło mnie poczucie radości życia i ze zdumieniem skonstatowałem, że kocham wszystko, co mnie otacza. Niebo, drzewa, kwiaty i różnobarwne motyle, których roje unosiły się wkoło. Dziwne. Do tej pory obce mi były podobne uczucia. Zastanawiałem się, co robić dalej. Nie mogłem bezmyślnie sterczeć w miejscu, rozkoszując się pięknem przyrody. Nie po to tu przybyłem. Powiniennem poszukać śladów działalności człowieka. Po krótkim namyśle zdecydowałem, że oddalę się na odległość najwyżej kilometra. Jeśli nic nie znajdę — trudno, wrócę z powrotem. Nie mogłem ryzykować. Gdybym zgubił drogę do chronochodu, musiałbym pozostać tu na zawsze. To mi się nie uśmiechało. Wyłączyłem wszelkie urządzenia w moim pojeździe i z niepokojem popatrzyłem na las. Za ścianą drzew czekało niewiadome. Uwagę moją przyciągnął potężny dąb, wyróżniający się wysokością spośród innych drzew. Pomyślałem, że on będzie moim punktem orientacyjnym i ruszyłem w jego stronę. Po kilkunastu krokach minąłem go i pogrążyłem się w gąszczu. Właściwie gąszcz to za dużo powiedziane. Las nie był bardziej zarośnięty niż przeciętny europejski bór. Z wolna jednak zacząłem dostrzegać zadziwiające różnice. Ta puszcza różniła się nie tylko od lasów europejskich, ale także od wszystkich innych. Sprawiało to wrażenie raczej jakiegoś olbrzymiego ogrodu botanicznego. Obok dębów rosły palmy, obok baobabów — sosny. Na dodatek oplecione kwitnącymi orchideami. Potykałem się o ukryte wśród gęstych traw ananasy. Spróbowałem — były dojrzałe. Z zarośli czerwienią błyskały maliny, porzeczeki, bielity się krzewy bawełny. Nie koniec zaskoczeń. Pojawiły się zwierzęta. Kiedy niespodziewanie ujrzałem lwa, dostojnym krokiem przemierzającego puszcze, w pierwszym odruchu chciałem uciec. Ale było już za późno. On też mnie zauważył. Zdrętwiałem. Ze zmrożonymi strachem członkami stałem w miejscu i patrzyłem, jak olbrzymi zwierz zbliża się do mnie, ogląda z uwagą i zaczyna machać ogonem. Moje nozdrza połechtał niezwykle zapach. Lew pachniał fiołkami! Jakiś czas obserwował mnie i z miłością spoglądał mi w oczy. I choć to wydaje się idiotyczne, zanim odszedł — w dalszym ciągu machając ogonem — uśmiechnął się do mnie. Tak to odebrałem. Niemniej jednak odetchnąłem z ulgą, gdy znikł za rozkwitłym krzakiem róży.

Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Po namyśle doszedłem do wniosku, że musiałem znaleźć się w centrum olbrzymiego ogrodu botaniczno-zoologicznego, w którym zwierzęta są oswojone. Moją tezę potwierdził widok dorodnego jelenia, który, można by powiedzieć ręką w rękę, względnie racica w łapę, przechadzał się wespół z białym niedźwiedziem. Spotkałem ich w odległości zaledwie paruset metrów od miejsca spotkania lwa. Pomyślałem, że słuszne są przypuszczenia wielu archeologów o wysokim stopniu rozwoju cywilizacji i kultury na tych terenach i w tym okresie. Nie spodziewałem się, że jest aż tak wysoki, iż pozwolił im na zorganizowanie podobnego parku. Sprowadzenie tak różnorodnych okazów fauny i flory wymagało przecież przemierzenia niemalże całego świata. Kręcąc głową nad tą zagadką, szedłem dalej, nie zwracając już uwagi na zwierzęta, raz po raz wychylające się z zarośli.

Drzewa powoli przerzedzały się. Przebłyskujące pomiędzy pni światło pozwalało przypuszczać, że zbliżałem się do jakiejś obszerniejszej polany, względnie skraju lasu. Przepisnąłem się przez ostatnie kępy jałowców, porastające pobrzeże boru, i raptownie poleciałem w dół. Za linią krzaków znajdowała się kilkumetrowa skarpa o dość ostrym spadku. Sturlałem się po niej, tracąc na moment orientację. Oprzytomniałem na miękkim podłożu z traw i mchu. Nie czułem bólu. Nic mi się nie stało. Uniosłem się najpierw na kolana, potem wstałem i

wyprostowałem się na całą wysokość, strzepywałem z siebie zeschnięte źdźbła. Kątem oka dojrzałem coś, co sprawiło, że oniemiałem. Głowa sama obróciła mi się na prawo, a szczęka opadła w dół. Ręce mimowolnie kontynuowały proces oczyszczania ubrania, do tego stopnia się zapomniałem. Każdy by się zapomniał, będąc na moim miejscu. Walił się cały mój świat. Sypała się w gruzy misternie skonstruowana konstrukcja mego materialistycznego światopoglądu. *Arrivederci*, Darwin!

Ujrzałem scenę, którą doskonale zna każdy człowiek na świecie, choć nie z autopsji. Scenę wielokroć malowaną i powielaną w tysiącach obrazów. Jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki oczywiste stało się miejsce mego pobytu. To było nie do wiary. Ale cóż, świadectwo zmysłów przeczyło memu racjonalizmowi, choć umysł wciąż się opierał. Zdałem sobie sprawę, że mimochcąc zrobiłem dobry początek. Jak przecież zakładały moje dalsze plany, zamierzałem obejrzeć przełomowe momenty w dziejach ludzkości, a właśnie natrafiłem na chwilę najbardziej kluczową. Najistotniejszą.

Stałem na skraju rozległego trawnika, na którym w sporym rozrzuceniu rosło kilka drzew owocowych najrozmaitszych gatunków. W samym centrum niby sadu, niczym nie zasłonięta przed moimi oczyma biła w niebo dorodna jabłoń, ze zwieszającym się z gałęzi bezlikiem dojrzałych owoców. A pod nią...

Pod nią stało dwoje kompletnie nagich ludzi. Płci diametralnie odmiennej. Nie mieli nic na sobie, nie licząc listków figowych otulających najintymniejszą część podbrzusza. Oboje byli skończenie piękni, doskonałością kształtów przewyższający posągi największych mistrzów Odrodzenia. Mężczyzna stał parę metrów od drzewa i patrzył w stronę kobiety, która właśnie wyciągała dłoń ku jabłku zwisającemu z najniższej gałęzi. Wokół pnia owinał się wąż, z daleka widziałem, jak jadowicie lśnią jego zielonkawe łuski. Nie miałem wątpliwości, co oznacza ta scena. Chwila była decydująca.

Nie mogłem pozostać bierny. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, wiedziony raczej instynktem niż przemyślaną decyzją, wrzasnąłem:

— Neeeeee! — i rzuciłem się pędem w ich stronę.

Biegając darłem się przez cały czas jak oszalały.

— Nie, nie wolno! Stać, zabraniam! Zakazuję!

Para drgnęła i oboje równocześnie zwrócili się w moją stronę. Kobiecie opadła wznie-siona w górę ręka. Wąż zasyczał donośnie. Nigdy nie trenowałem żadnego sportu i gdy do nich dobiegłem, kompletnie straciłem dech i dyszałem tylko ciężko, nie mogąc z siebie wydo-być słowa. Kobieta patrzyła z przerażeniem, jak macham rękami i wydaję nieartykułowane odgłosy.

— Adam, kto to jest? Nigdy go tu nie widziałam!

— Nie wiem, kochanie. Może któryś z cherubinów? — odpowiedział Adam, przygląda-jąc mi się ciekawie.

— Nie zwracajcie na niego uwagi — wyseplenił wąż. — To jakiś intruz. Zapewne niedorozwinięty, sądząc po zachowaniu. Dalej, śmiało, pani Ewo, niech się pani poczęstuje. Zapewniam panią, że spożycie tego owocu niczym nie grozi.

Mówili po hebrajsku, więc świetnie rozumiałem. W tym też języku wydałem z siebie charkot:

— Precz, precz z rękami, bo dam po łapach!

— Nie wtrącaj się, chłystku — wąż wił się gwałtownie, jak dżdżownica nadziana na haczyk. — To nie twój interes.

— Adam — nadała się Ewa — zrób coś, co to za jeden?

— A może to serafin? — nieśmiało wysunął przypuszczenie mężczyzna.

— Z tą urodą? Nie żartuj! A pan niech stąd idzie i nie miesza się w sprawy rodzinne!

— Słusznie, słusznie — potakiwał wąż, wdzięcząc się do Ewy. — To prostak bez wy-chowania. Ingeruje w sprawy rodziny i przeszkadza podczas posiłku.

— Prostack?! Bez wychowania?! — złapałem wreszcie oddech. — Ty gadzie! Ja ci pokazę sprawy rodzinne! To są moje sprawy! — i nim wąż zdążył zareagować, rzuciłem się ku niemu, złapałem go tuż pod łbem i ścisnąłem mocno obydwoma dłońmi. Zesztywniał, szarpnął się silnie, ale ja nie zwolniłem uścisku. Gdy ślepią zaczęły mu zachodzić mgłą, zamachnąłem się i jednym ciosem rozwalilem mu czaszkę o pień drzewa. Wtedy dopiero odrzuciłem od siebie ohydny zewłok, który buchając pienistą posoką plątał się jeszcze przez chwilę w beładnych podrygach, by opaść w końcu na ziemię. Zza pleców dobiegł mnie przeraźliwy krzyk kobiecy:

— Aadaam! Co on zrobił! Zniszczył Lucka!

Nie znała słowa „zabijać”. Cóż się dziwić, żyli przecież w raju. Odwróciłem się do nich twarzą. Ewa, wpadłszy w histerię, tupiała drobnymi stopkami i zaciskała pięści. Adam był zmieszany, spuścił głowę i wyraźnie nie wiedział, co robić z rękami.

— Rzeczywiście — wykrztusił. — Zniszczył pan przyjaciela mojej żony. To nie wypada.

— Lucyfera? Ładny mi przyjaciel — powiedziałem zjadliwym tonem. — Do czego on was namawiał, a właściwie pańską żonę, a ona pana? Co mi pan odpowie? Słucham?!

— No, więc... — zająknął się Adam i poczerwieniał z lekka na twarzy.

Ewa krzyczała i tupiała nadal, a jej pełne piersi kołysały się kusząco, wbrew mej woli odwracając mą uwagę od rozmowy.

— Adam! Rozpraw się z tym chamem, bądź raz mężczyzną! Co z ciebie za niedołęga, dlaczego mnie los pokarał takim nedorajdą!

Z żalem oderwałem wzrok od jej kształtnej sylwetki i popatrzyłem na Adama. Kręcił się niepewnie w miejscu, zupełnie nie wiedząc, co począć. Zrobiło mi się go żal. Ale musiałem być bezwzględny. Interes ludzkości tego ode mnie wymagał.

— Zabroniono jeść jabłka? — spytałem urzędowym tonem.

— Zabroniono — Adam był wyraźnie zawstydzony i odpowiadał szeptem.

— A wąż namawiał?

— Namawiał.

— Zona dała się skusić?

Kiwnięcie głową. Był tak skonfundowany, że w oczach zalśniły mu łzy. A ja brnąłem dalej:

— I zachęciła pana?

— Po co pan pyta, przecież pan wie... — kupka nieszczęścia, a nie protoplasta ludzkości. Ależ mieliśmy praojca!

Tymczasem Ewa, zorientowawszy się, że nikt jej nie słucha, przerwała krzyk i podeszła bliżej nas. Ze zdumieniem przysłuchiwała się naszej rozmowie. Nie wytrzymała i musiała się wtrącić:

— Adam, co on cię tak wypytuje? Ty mu na to pozwalasz?

— Proszę pani — zwróciłem się do niej — przeszkodziłem w popełnieniu przestępstwa, to wszystko.

— A co to pana obchodzi? — wyzywająco uniosła twarz ku górze i bojowo wysunęła szczękę.

Nie było rady, musiałem skłamać.

— Wysłał mnie ON! — powiedziałem znaczącym tonem.

— Jego Kompetencja? — Ewa zniżyła głos i rozejrzała się dookoła z bojaźnią.

— Tak go nazywacie? — zdziwiłem się.

— A pan niby jak?

— Ja? — zmieszałem się. — No... trochę inaczej. Ale to nieważne. Panie Adamie — zwróciłem się do mego całkiem teraz zgnębnego praprzodka. — Mam do pana parę słów na osobności.

Kiwnął głową na znak zgody. Ująłem go pod łokieć i poprowadziłem w stronę rosnącego nie opodal figowca. Ewa odprowadzała nas wściekłym wzrokiem.

— A ja i tak zjem to jabłko! — wybuchnęła resztką złości. Odwróciłem się jak szpilką żgnięty.

— Jak pani będzie grzeczna, to powiem, co robić, żeby policzki były bardziej czerwone i brwi czarniejsze — zmieniłem taktykę i spróbowałem przekupstwa.

— Powie pan? — zaświeciły jej się oczy.

— Jak coś obiecałem, to dotrzymam słowa — odparłem i zadowolony, że wybieg się udał, odszedłem z Adamem na bok.

— Mój drogi — zwróciłem się do niego po ojcowsku, do czego chyba niezbyt miałem prawo. — Dlaczego się pan jej tak słucha? Zjadłby pan to jabłko, proszę mi powiedzieć szczerze?

— Zjadłbym... — zamierającym szeptem odpowiedział Adam.

— Ale dlaczego? Pan jest przecież głową rodziny, a ona zupełnie pana zdominowała. Wyraźnie panem rządzi, a w dodatku namawia do rzeczy zakazanych. Wie pan, czym groziłaby ta zakazana konsumpcja?

— Wiem — Adam zwiesił głowę, aż broda oparła się na piersi. Ręce trzymał za plecami. Wyglądał jak skarcony uczeń.

— Więc czemu?

Szliśmy przez chwilę w milczeniu. Adam, z zachmurzoną twarzą, szedł stąpając ciężko i kopał bosymi stopami poniewierające się wśród kęp trawy i mchu owoce. Do mnie zaczęła nagle docierać absurdalność sytuacji, w jakiej się znalazłem. Do tej pory zdarzenia zachodziły w tak szybkim tempie, że nie miałem czasu na zastanowienie. Oderwałem wzrok od Adama i popatrzyłem po otoczeniu. Słońce, niebo, drzewa, bujna trawa o barwie malachitu — nie do uwierzenia, ale to przecież jest Raj. I pośrodku tego wszystkiego ja — udzielający wskazówek i pouczeń Adamowi. A z tyłu, za nami, Ewa. Obejrzałem się. Uśmiechnęła się do mnie zalotnie i pomachała ręką.

— Wie pan — wyrwał mnie z zadumy głos Adama — boję jej się trochę. Ona jest taka wybuchowa i drażliwa. Łatwo ją zdenerwować. Jak się jej sprzeciwiałem, to groziła, że mnie zdradzi.

— Zdradzi? — zdumiałem się. — Z kim? Nie ma tu przecież drugiego mężczyzny!

— Ale był waż — Adam żałośnie pociągnął nosem. — Pan rozumie, ten jego kształt...

— Pojmuję — skinąłem głową.

Minęliśmy figowiec i szliśmy teraz wśród niewysokich oliwkowych drzewek.

— Na dodatek ten jej płacz. Ja wiem, że to udawane, ale mi się zaraz serce krajało. Wiecznie nowe zachcianki i pogoń za modą. Co chwila podobał się jej inny listek figowy, bo „ten, co mam na sobie, już jest zniszczony i niemodny”. A ja musiałem włączyć na drzewo i zrywać. Jak odmawiałem, to w bek. I zawsze stawiała na swoim. Taki już mój los — skarżył się płaczliwie.

Poklepałem go po ramieniu.

— No, no, nie maż się. Weź się w kupę. Nie możesz się tak dawać. To ważne nie tylko dla ciebie, ale dla wszystkich twoich potomków. Raz pozwoliłeś sobie wleźć na głowę i teraz Ewa z tego korzysta. Spróbuj się wreszcie postawić i wytrwaj w tym. Jeżeli ci starczy nerwów, ona w końcu pęknie. Potem już pójdzie łatwiej. Zobaczysz. To co, spróbujesz być prawdziwym mężczyzną?

— Spróbuję — powiedział Adam niepewnie.

— Nie tak! — rozeźliłem się. — Powiedz dziarsko, energicznie: „Spróbuję! Krzyknę, wrzasnę, tupnę nogą, w razie czego postraszę kłapsem!”

— Krzyknę, wrzasnę, tupnę nogą! — to już było żywsze.

— No, lepiej. I pamiętaj, najważniejsze, żebyście nie ruszyli tych jabłek. O ciebie już

się nie boję — Adam popatrzył na mnie z sympatią. Pochlebiło mu moje zaufanie. — Ale musisz przypilnować swoją babę.

— Postaram się — w tej chwili w jego głosie zabrzmiała determinacja. Chyba jeszcze coś z niego będzie.

— A teraz wracajmy do niej.

Ewa siedziała na trawie i plotła wianek z żółtych kwiatów mniszka lekarskiego. Widząc, jak się zbliżamy, zerwała się na równe nogi i podbiegła ku nam. Właściwie ku mnie, ja byłem dla niej ważny.

— To jak będzie? — zaszczębiotała słodko i przymilnie przechyliła głowę. — Powie mi pan?

— Chwileczkę — uciszyłem ją gestem ręki. Usłyszałem coś. Dziwny odgłos, dobiegający z niedalekich krzaków jaśminu. Podobny do warkotu motocykla, nasilający się i gasnący na przemian. Cichł do zera, by po sekundzie wybuchnąć ze zdwojoną siłą.

— To? — wzruszyła ramionami Ewa. — To Gabriel — powiedziała lekceważąco i dodała tonem wyjaśnienia: — On nas pilnuje.

— Pilnuje... no, to ja sobie z nim pogadam — powiedziałem złowróźnie. — A co do tego makijażu, rosną tu gdzieś buraki?

— Tam, pod lasem — wskazała palcem Ewa.

— To weźmie pani burak, przekroi na pół i tym burakiem będzie można pokrasić policzki. A brwi czerni się nadpalonym patykiem.

Jakim? — zdziwiła się.

— Nadpalonym. W ogniu.

— A co to jest ogień?

— To już mąż pani wyjaśni — odparłem. Adam popatrzył na mnie z przerażeniem. W jego oczach wyczytałem nieme pytanie. On także nie wiedział, co to ogień. Ale prędzej do tego dojdzie niż ona.

— A teraz proszę mi wybaczyć — powiedziałem — muszę porozmawiać z Gabrielem.

Ukloniłem się, Ewę szarmancko ucałowałem w dłoń (zarumieniła się, to było dla niej nowe doświadczenie) i uścisnąłem rękę Adamowi. Potem poszedłem w stronę krzaków. Zza pleców docierały do mnie pierwsze zdania małżeńskiej rozmowy.

— Co to jest ogień? — to Ewa.

— Potem ci powiem.

— A o czym rozmawialiście?

— Nie twoja sprawa.

— Adam, bo sobie pójdę!

— A idź.

— Co ci się stało?

— Nic mi się nie stało. Nie wypytuj mnie, bo mnie głowa od tego boli.

— Ty już mnie nie kochasz?

— Może.

Uśmiechnąłem się z satysfakcją pod wąsem. Ziarno zostało zasiane. Dobry ze mnie rolnik, gleba okazała się żyzna i już plonuje.

Zbliżałem się do zarośli porastających skraj łąki. Był to głównie jaśmin, którego odurzający zapach walczył z równie mocną wonią tuj, wychylających swe płaskie szpilki spomiędzy bieli jaśminowego kwiecia. Tajemnicze dźwięki przybrały na sile. Ich źródło musiało być najwyżej dwa metry ode mnie. Wyszukałem mniej zarośnięty przesmyk i przecisnąłem się przez gęstwę drobnych gałązek. Ściana krzaków niespodziewanie się urwała, a ja o mało się nie potknąłem. Z trudem złapałem równowagę i spojrzałem pod nogi.

To była idealna kryjówka. Niewielka, owalna polanka, o dłuższym promieniu nie

przekraczającym półtora metra, ciasno otoczona nie przepuszczającymi światła krzewami, o podłożu porośniętym płonnikami. Na tym miękkim tapczanie z mchu leżał anioł. Spoczywał na boku, z rękami pod głową, przepiękne białe skrzydła drgały mu lekko w rytm oddechu. Świetlistą aureolę powiesił na sęczku wyrosłej pośrodku polany sosenki.

Chrapał rozgłośnie.

Schyliłem się i targnąłem za rąbek długiej, śnieżnobiałej niegdyś, a teraz utyłanej w ziemi i suchych łodyżkach płonnika, koszuli. Nie drgnął nawet, tylko zachrapał jeszcze donośniej.

— Wstawaj — powiedziałem szorstko.

Poruszył się, ziewnął i wymamrotał nie otwierając oczu.

— To ty, Zachariaszu? Daj mi spokój, nie widzisz, że śpię?

— Właśnie widzę. Wstawaj, obiboku.

Obcy głos otrzeźwił go. Otworzył szeroko oczy i ujrawszy mnie, począł się niezgrabnie gramolić.

— Co jest... kto ty... o co... — mruczał wstając.

— Ty jesteś Gabriel? — spytałem urzędowym tonem.

Wyprostował się, porwał z sęczka aureolę i nasadził na głowę.

Strzepnął brud z koszuli, szurnał piętami i zameldował służbiście:

— Tak jest, archanioł Gabriel! Z Niebieskich Zastępów! Zastęp trzeci!

— Miałeś ich pilnować!

— Tak jest! — wypręzał się na baczność i układał palce wzdłuż szwów koszuli jak feldfebel ck armii.

— A ty śpisz!

— Pan jest nowym zastępowym? — spytał podejrzliwie, patrząc nieufnie na moje ubranie. — Czy z kontroli?

— Nie dyskutować, odpowiadać na pytania! Gdzie twój miecz ognisty? — trochę przesadzałem z tym sztorcowaniem, ale miałem nadzieję, że się przestraszy, i mnie nie zdemaskuje.

— Zostawiłem w zbrojowni. Ciężki, a tu taki gorący. Rozebrało mnie trochę przez to słońce i zadrzemałem.

— A wiesz, co się mogło stać? — darłem się. — Wąż się przywłókł i namawiał ich do zjedzenia jabłka. Zdażyłem ich zatrzymać dosłownie w ostatnim momencie. To niedopuszczalne!

— O, do diabła! — wyrwało mu się. — Przepraszam — zaraz się zmitygował.

— No właśnie, nie zapominaj, gdzie jesteś! Gdzie Jego Kompetencja?

— Pod sykomorą. Teraz chyba je obiad. — Moje krzyki zagłuszyły jego wątpliwości co do mojej osoby i poddał się całkowicie mojej woli, odpowiadając bez namysłu.

— Prowadzić!

— Według rozkazu! — trzasnął skrzydłami.

Poszliśmy najpierw przez zarośla, potem przez młodnik sosnowy, w końcu przez las buków. Gabriel początkowo usiłował polatywać, ale widząc, że ja twardo trzymam się ziemi, zrezygnował z tego i szedł teraz przede mną, oglądając się co chwila i mrużąc pod nosem, że te wyższe szarże mają dziwne fanaberie i całkiem niepotrzebne skłonności do umartwień, po ziemi jest przecież tak niewygodnie. Zgromiłem go ostro, więc ucichł i wiódł mnie bez żadnych komentarzy.

Za bukami rozwarła się przed nami rozległa równina, ograniczona jedynie kreską horyzontu. Jej spokojną, zieloną monotonię przerywał, przypominający grzyb wybuchu jądrowego, pień sykomory. W jej cieniu widać było kilka sylwetek, w tym jedną siedzącą. Przyspieszyliśmy kroku. Czuję, jak serce zaczyna mi mocniej bić. Za chwilę miałem się spotkać z Nim.

Zbliżaliśmy się szybko. Gabriel zwolnił trochę i zrównał się ze mną. Patrzył na mnie błagalnym wzrokiem i widziałem, jak na ustach zawisła mu prośba o ukrycie jego służbowego niedopatrzenia. Nie zamierzałem mieć dla niego litości. Wyczytał to w moich oczach i przygnębiony, zwolnił jeszcze bardziej. Szedłem teraz przodem. Odgłos naszych kroków zwrócił w końcu uwagę osób skupionych pod drzewem, i gdy wreszcie stanąłem przed nimi, nastąpiła chwila milczenia. Nic nie mówiąc patrzyliśmy wzajem na siebie.

ON siedział na prostym zydłu bez oparcia, za stołem zbitym z nie heblowanych desek sosnowych. W rękę trzymał drewnianą łyżkę malowaną w kwiaty. Na stole stała gliniana miska, z której dolatywał zapach krupniku.

Wyglądał, wypisz, wymaluj, tak jak Adam. Nic dziwnego, stworzył go przecież na obraz i podobieństwo swoje. Gdyby nie jego długa biała broda i obfita siwa czupryna, można by się pomylić, bo rysy miał zupełnie młode. Podobnie jak Gabriel miał na sobie koszulę i sięgającą kostek, różniącą się tylko od tamtej czerwoną lamówką. Z tyłu za nim stało kilku aniołów, chyba osobista świta czy gwardia, w odległości, którą nakazywał szacunek. Na jednej z gałęzi przycupnął mały amorek.

Skłoniłem się z uszanowaniem i z drzeniem podniosłem na Niego wzrok, obawiając się skarcenia za przerwanie obiadu. On odłożył łyżkę na bok i rzekł z namysłem:

— Nazywasz się, jak czytam w twoich myślach, Natan...

— Natan Aszer — podrzuciłem usłużnie.

— No właśnie. Skąd się tu wzięłeś i kim właściwie jesteś? Mógłbym to wyczytać z twoich myśli, ale jestem trochę zmęczony, mam teraz porę odpoczynku, a w twojej głowie panuje taki zamęt, że nie chcę się wysilać. Mów ty, chętnie cię wysłucham, zadziwia mnie bowiem twoja obecność.

Nabrałem powietrza w płuca, słysząc, jak Gabriel wzdycha ciężko, tracąc nadzieję na ukrycie swego uchybienia, i zacząłem opowiadać. Od samego początku, tak jak i w tym opowiadaniu. On przerywał mi czasami, wypytyując o niektóre szczegóły.

— Machina czasu? Ciekawe, bardzo ciekawe, sam jeszcze tego nie próbowałem — mrucał z cicha i patrzył na mnie z aprobatą. Z biegiem czasu zniknęło moje onieśmienie i zacząłem mówić szybciej i składniej. Kiedy dotarłem do momentu, gdy Ewa sięgała po jabłko, On zerwał się z zydła na równe nogi.

— Co, moją jabłoń, moją ostatnią ukochaną krzyżówkę renety i koszteli? A zabroniłem przecież kategorycznie! — krzyknął wzburzony. — Niechby tylko dotknęli, a wypędziłbym ich stąd. — Jak Boga kocham, wypędziłbym — i stuknął się kułakiem w pierś.

Uspokoilem go szybko, mówiąc, iż nie dopuściłem do przestępstwa, a węża zabiłem. Ucieszył się z tego, pochwalił i zapytał:

— No a Gabriel, gdzie on był?

— W krzakach — odrzekłem zgodnie z prawdą. — Siedział w krzakach, nie wiedząc o bożym świecie.

On popatrzył na archanioła pytająco.

— Lotki mi się skleiły i musiałem je oczyścić — tłumaczył się pospiesznie Gabriel, usiłując nie patrzeć w oczy, które przewiercały go na wskroś.

— Nie kłam. Spałeś, durniu. Degraduję — usłyszeliśmy wyrok i aureola nad głową Gabriela znikła jak zdmuchnięta. Aniołowie pod drzewem poruszyli się nerwowo i zaszepotali coś do siebie z nie ukrywaną radością. Oblicza im się rozjaśniły. Domyśliłem się, w czym rzecz. Naturalnym następstwem upadku Gabriela był awans któregoś z nich. Lecz słowa padające z ust Jego wprawiły w osłupienie nas wszystkich, a najbardziej mnie.

— Ciebie, Natanie, mianuję na jego miejsce — rzekł namaszczoneg głosem On. — Daruję cię wiecznym życiem i zdrowiem. — Pstryknął palcami. Uczułem, jak przestaje mnie boleć doskwierający od dwóch dni ząb, a w moje sflaczałe mięśnie intelektualisty wlewa się jakiś ożywczy strumień. Złapałem się ręką za łopatkę, bo zaczęła mnie dziwnie łasko-

tać. Palce namacały drobną wypukłość, szybko się powiększającą. To wyrastały skrzydła.

— Ja? — przeraziłem się. — Proszę, nie! Ja się do tego nie nadaję!

Aniołowie patrzyli na mnie z zawiścią, a On powiedział:

— Rzekłem. Swym postępowaniem dowiodłeś, że nadajesz się do tego bardziej niż ktokolwiek inny. Będiesz moim namiestnikiem na tej planecie, ze stopniem archanioła. W dobrej chwili się zjawiłeś, bo właśnie mieliśmy opuścić Ziemię. Wzywają mnie inne sprawy.

— Ale przynajmniej bez skrzydeł. Nie wiedziałbym, co z nimi robić! — prosiłem.

— Na to mogę przystać — odparł On i powtórnie strzelił palcami. Łaskotanie ustało.

— I bez aureoli. Nie mógłbym się nigdzie pokazać.

— Dobrze — pstryknięcie.

— Posłuchanie skończone — ogłosił jeden z aniołów, postępując krok do przodu. On wrócił do przerwane go posiłku, ujmując łyżkę w garść i widać było, że nie zamierza poświęcać mi więcej uwagi. Wycofałem się w ukłonach. Zanim się odwróciłem, zdołałem dostrzec, jak Gabriel wygraża mi pięścią. Nie dziwiłem mu się.

I tak to wyglądało. Wróciłem potem tą samą drogą do mojego pojazdu. Spotkałem jeszcze Adama i Ewę. Ona przycupnęła pod drzewem obrażona, a on leżał nie opodal wyciągnięty na trawie i wyglądało na to, że nie zamierza jej przeproszać. Mijając go, uczyniłem w jego kierunku zachęcający gest, unosząc kciuk do góry, co miało oznaczać: „Oby tak dalej, chłopie, tylko wytrwaj”. Zrozumiał mnie, bo kiwnął potakująco głową.

Chronochód odnalazłem w nie naruszonym stanie. Włączyłem wszystkie instalacje, umieściłem się w środku i nacisnąwszy starter pomknąłem przez wieki ku miejscu, z którego wyruszyłem.

Co zastałem — opisałem na początku. Uchroniwszy ludzi od grzechu pierworodnego, zapobiegłem wypędzeniu z raju i przeze mnie świat się zmienił, zmienili się ludzie i obyczaje.

Dziwny jest ten świat. Prawdę mówiąc, ta jego odmienność mnie przygnębia. Podróżuję! moim wehikułem po wszystkich jego epokach i nie mogę znaleźć dla siebie domu. Znają mnie wszędzie, choć nikt nie wie, kim właściwie jestem. Jedni nazywają mnie — Żydem Wiecznym Tułaczem, inni — Viatorem. Zależy, w którym okresie się pojawię. Nigdzie nie mogę zagrzać długo miejsca, bo moja długowieczność staje się podejrzana i zaczynają się wypytywania. Wtedy znikam i wynoszę się do innej epoki. Krążą o mnie legendy, zbytnio mi to jednak nie pochlebia. Przestałem z wiekiem być próżny. Wyzbyłem się też przyziemnych pokus i jest mi po prostu nudno. Zwłaszcza w tej rzeczywistości. Praktycznie rzecz biorąc jest ona wyprana z wszelkich emocji. Raj rozciągnął się na całą Ziemię i życie płynie jak po maśle, bez strapień i kłopotów. Wiecznie panuje sielankowo-pastoralny nastrój. Zawsze zdawało mi się, że szczęście nie może istnieć ot, tak sobie. Powstaje wtedy, gdy porównujemy stan obecny ze stanem uprzednim, innymi słowy: musi być punkt odniesienia. A ci tutaj są szczęśliwi cały czas, od urodzenia, i nic im tego stanu błogości nie zakłóca. Patrząc już na nich nie mogę. Przypominają mi gigantyczne stado brojlerów, nie znających braku strawy, nie wiedzących, czym jest strach, ból i zwątpienie. Ciepłe kluchy. Ciągłe uśmiechnięci, uprzejmi dla siebie, zgodni i spolegliwi. Nie cierpiący, nie chorujący, umierający na własne życzenie. Zastanawiałem się, co się dzieje z nimi po śmierci. Do raju przecież nie pójdą, mając go na miejscu. Nie śmiem cofnąć się w czasie i zapytać Jego Kompetencji. Ciekawa rzecz, nie znają religii. Nie ma tu kościołów, bożnic i podobnych przybytków. Poniekąd słusznie — o co mieliby się modlić. Potraw mięsnych nie uznają, ze zwierzętami żyją w zgodzie. Zwierzęta też spożywają wyłącznie sałatę. Jarosze chrzanieni.

Nie mając powodu do ulepszenia świata, nie posuwają do przodu nauki. W dwudziestym wieku są ciągle na etapie orania sochą i trójpolówki. Ziemia płoduje tak obficie, że nie ma się o co starać i szukać efektywniejszych sposobów uprawy. Ich nauka polega wyłącznie na poznawaniu świata i zbieraniu wiadomości. Żadnych wynalazków. Mają swoją sztukę.

Malują idylliczne obrazki, przedstawiające sceny rodzajowe z życia na wsi. Jest i teatr. Wystawiane są sztuki o miłości, ale tylko szczęśliwej, bo innej nie ma, bądź wodewile popularyzujące wiedzę, z piosenkami w rodzaju:

*Oj rośliny, oj rośliny
moje ukochanie,
każda z roślin jest odmienna,
różne niesłychanie.*

*Liście też są rozmaite,
w trzydziestu rodzajach.
Są szydlaste, są trójkatne,
podobne do jaja.*

*Są dłoniastoklapowane
i dłoniastosieczne,
wrębne, krągłe, nerkowate,
są i eliptyczne.*

*Flora żywot nam piękniejsza
swą barwną mozaiką,
kwiaty łakę przepasują,
niby kibić krajką.*

Piękne, co? I cóż się dziwić, że od dłuższego czasu męczy mnie natrętna myśl, nie dając mi zasnąć. Czy nie lepiej byłoby cofnąć się w czasie do owych prapoczątków i samego siebie złapać za rękę, powstrzymując od ingerencji w sprawie Adama i Ewy? Niech sobie jedzą to jabłko na zdrowie! Świat wtedy będzie ciekawszy. Nie lepszy, ale właśnie ciekawszy. To co, że okrutny, z biegiem czasu ludzie sami dojdą, jak żyć. Doprawdy, nie wiem, czy to uczynię. Trudno mi decydować. Chyba zdam się na los. Moneta nie rzucę, bo pieniędzy tu nie ma, ale jakąś ruletkę wymyślę. Chyba pociągnę zapałki na ślepo. Co mi wypadnie i jak postąpię — sami się przekonacie, rozglądając się wkoło. Wy już wiecie, ja jeszcze nie. Uwaga — ciągnę!

No, i jak wam się to podoba?

Grzegorz Babuła

Marcin Heryng

Donosy na wuja Karola

Cały pakiet przebrzydłych liścików trafił do mnie wyraźnie w wyniku pomyłki. Na kopertach widniał bowiem adres niezmiernie ważnej Instytucji, która od dawna stoi na straży obywatelskiego snu. Jak sądzę, tylko niezwyčajnemu zmęczeniu listonosza mogę zawdzięczać to nieporozumienie. Niezmiernie gorąca aura, jak wierzę, usprawiedliwia również i mój postępek. Otworzyłem nie zalakowane koperty i przeczytałem ich zawartość. Z częścią postanowiłem zapoznać innych. Czynię to nie dlatego, iżbym nie był samolubny i nie pragnął tajemnic bliźnich zachować tylko w mej pamięci. Powód jest bardziej prozaiczny. Jak sądzę, mam to nieszczęście znać główną postać tych denuncjacji i trudno mi, zachowując wstrzemięźliwość, nie poddać go osądowi ogółu. Tytuł i śródtytuły sporządzone zostały moją ręką. Dodam, iż charakter pisma, sporo ortograficznych i gramatycznych błędów oraz odwrotne strony kart — częstokroć zawierające gimnazjalne wypracowania — wskazywałyby, iż

autorem donosów jest ktoś z najbliższego otoczenia wuja Karola.

I. Wuj Karol i złota rybka

Donoszę, iż wuj Karol nie lubi ryb. Nawet świeżych. Nie jest rybakiem. Ale to właśnie on, o losie, wyłowił w zlewie złotą rybkę. Taką, jaka powinna być. Teraz ani on, ani ciotka nie wiedzą, jakiej mają zażądać nagrody.

Jest pokój. W garażu drzemie lśniący golf. Straszny burżuj, zmora dziecięcych snów wuja, już dawno zbiegł za granicę, i jest mu podobno lepiej. Zlikwidować kolejki? — rozsądne i uzasadnione społecznie, choć nieco przyziemne. Tłok w autobusach — tak samo. Tyle, ile wiemy o niebie, wystarczy nam na teraz. Ziemia jest jednak chyba okrągła. A gdyby tak sięgnąć do pytań stawianych przez niestrudzonych filozofów? prawda... dzieje... słowo... rozum? Ba, jak mawiał mistrz studenckiej, ZMP-owskiej młodości wuja: „Rozum istniał zawsze, choć nie zawsze w rozumnej postaci”.

— Może żeby ludzie byli lepsi? — pyta cicho ciotka.

— Głupia! — krzyczy wuj. — Chcesz, żeby się z nas wszyscy śmieli?

— A kolorowy telewizor?

Po szesnastu godzinach tej skazanej na bezpłodność wyliczanki wuj Karol, na co dzień wcale nie morderca, aby uwolnić się od odpowiedzi „nie wiem”, roztrzaskał złotą rybkę o kaloryfer. Wspólnie postanowili, o czym powiadamiam, nikomu o tym nie mówić.

II. Wuj Karol i piątek

Wczoraj, skrupulatnie informuję, wuja Karola spotkała przygoda. Wracając do domu został zatrzymany przez czterech mężczyzn.

— Nie zabierzemy twojego życia — powiedział delikatnie drugi.

— Ani nie pobijemy — rzeczowo dodał czwarty.

— Nawet cię nie okradniemy — wyjaśniał sprawę trzeci.

W tym czasie pierwszy nieznacznie badał żyłką szyję wuja Karola, który wreszcie przełknął ślinę i spytał:

— Więc co? Czego ode mnie chcecie?

— Podpisz to! — odpowiedzieli jednocześnie i trzeci wręczył mu zadrukowany papier, drugi zaś usłużnie podawał pióro.

Wuj Karol odczytywał starannie: „Niniejszym oświadczam, że dla dobra ludzkości zgadzam się dobrowolnie przyznać, iż dzień dzisiejszy, będący czwartkiem, w trybie natychmiastowym będę nazywał piątkiem”. Tu następowało miejsce na datę, podpis oraz numer dowodu osobistego.

I po co im to — pomyślał wuj, gdy poczuł pióro w dłoni — przecież to drobnostka. Dlaczego miałbym się zresztą sprzeczać z nimi o takie głupstwa. Nikt mi nie może zarzucić, że dobro ludzkości szczególnie nie leży mi na sercu. Taki świstek, który i tak niczego nie zmieni, a nawet gdyby... to ja... ja i tak będę przecież wiedział, jak jest naprawdę. Chociaż... — Subtelne skrobanie ostrza o brodę przerwało rozmyślenia.

Po powrocie do domu, gdy już zatrudnił wieszak zajmujący cały przedpokój, włączył telewizor i usiadł na krześle, pomyślał: To jednak straszne, że człowiek jest zmuszony do... Nim jednak dokończył, zobaczył usta spikera i zanim usłyszał głos, już wiedział: ...jak zwykle w piątek nadajemy...

Po tygodniu wydało mu się, że już zapomniał o całej sprawie (choć przyznajmy lojalnie, iż gdzieś na dnie tkwiło uparte przekonanie, że tak jest może nawet i lepiej). Nieste-

ty. Wracając z pracy w głębi ulicy dostrzegł znajome cztery sylwetki i dopiero wówczas zrozumiał, że zostawiono mu jeszcze pięć tygodni, nim swoim podpisem nie spisze świata do końca.

Od tej pory, co stwierdziłem niejednokrotnie, wuj badając swoją twarz rozpoznawał w lustrze siwą brodę księcia anarchistów i mówił nieprzyzwoite słowa na temat systemu.

III. Wuj Karol i wiele różnych spraw naraz

Informuję, iż w czasach, kiedy wszyscy skupiamy się nad błyszczącymi od wielkich tytułów stronami wielu szanowanych przez ogół gazet, wuj Karol oddał swoje przedostatnie marzenie do punktu skupu, aby w ten symboliczny niejako sposób podnieść naszą stopę.

Nasza stopa, jak każda, ma swoją piętę i mimo środków zaradczych i perspektywicznych krwawi okrutnie, gdy wypuścić ją samopas, na głupiego, na drogę z tłuczonego szkła (tylko tyle bowiem pozostało z obsesji szklanych domów). Ale jest to nasza stopa i niewątpliwie w tym jej wyższość nad stopą chociażby wuja Karola, który zamiast używania stóp woli wygodny samochód golf, otrzymany nie tak dawno temu od syna-doktora, zarobkującego jako specjalista od krzyży w RFN.

Wuj nie lubi Niemców, bo prawda, była wojna, ale lubi samochody, bo prawda, teraz nie ma wojny, a w ogóle to trzeba wreszcie żyć.

Ciotka jest dziwna, bo nikogo nie lubi i dlatego swoje ciężkie siatki, które czynią z niej tylko coś na kształt kobiety, nosi sama.

W ten sposób skomplikowane i niezrozumiałe dla wuja Karola prawa dziejów łączą się w jedną całość. Czego, donosząc, życzę i Wam.

IV. Wuja Karola list do przyjaciela

Melduję, iż udało mi się przejąć niżej wymienioną korespondencję:

Nie odpowiedziałem Ci, Augustcie, dlaczego samym poznaniem zostało wybrukowane piekło. Może pamiętasz wieczór, w który spiraliśmy się o literackie imponderabilia?

Opowiem Ci paradoks. Trzech mędrców w czasach króla Faruka (lewe skrzydło dynastii El Matussima) miało uczynić w krainie, którą władał, kanał. Ponieważ nie znano jeszcze łopat, mieli do wyboru: albo nateżyć moce swych sił i wyśnić kanał, albo zginać. Nateżali. Trzeciego dnia rybak imieniem Franciszek przyniósł im swój patent: łopatę.

Na jej widok pierwszy z mędrców, obdarzony przenikliwą siłą zrywania zasłon z przyszłości, powiedział: „Jakaż to wulgarna broń”.

Drugi, zapatrzony w złote obrazy przeszłości, rzekł: „Azaliż to niezbędny należący do olbrzyma?”

Trzeci, przelekły istniejącymi nierównościami społecznymi, położył łopatę u stóp jedyne w królestwie drzewa i wołał: „To przestroga Boga przed pomysłowością podstępne gminu”. Zamilkli.

Rozgniewany przedłużającym się nieróbstwem władca użył łopaty do ścinania mądrych głów („to nawet podniecające” — rzekł podobno w czasie kaźni).

Sam rybak Franciszek początkowo przeznaczył ją do sondowania głębin. Później jednak, przekonawszy się o jej nieporęczności, oddał synowi do zabawy.

Jak pewnie zauważyłeś, Augustcie, wszyscy z wymienionych na swój ułomny sposób poznali się na łopacie (czyż nie przypomina Ci to naszego poznawania literatury?), a jednak zamierzony cel nie został osiągnięty. Tak więc, czy ich poznanie nie należałoby inaczej nazwać „poddaniem”?

Król nie mogąc poradzić sobie z łopata, która go ani ziębiła, ani bawiła, kazał ją zniszczyć. W ten oto sposób nie wykopano kanału i nikt już dzisiaj nie przypomina sobie dokładnie historii owego królestwa, które dawno temu zasypały żarłoczne piaski pustyni. Twój Karol.

Donoszę, że udało mi się wywiedzieć, iż kilkanaście lat temu w północnym Iranie pojawiły się nagle, przez nikogo nie projektowane, kanały. Nie ustaję w staraniach, by te fakty jakoś ze sobą powiązać.

V. Wuj Karol i widmo rewolucji

Melduję, iż udało mi się wytropić głos wewnętrzny wuja Karola, choć przyznać muszę, iż zapis nie jest jeszcze doskonały.

W jego pokoju tytuły wszystkich gazet, zdało mu się, krzyczały jedno — to zaraz wybuchnie. Świat, do którego z takim trudem przywykł, zniknie. Zostaną obalone wszystkie wzory, które niegdyś musiał poznać, poznawszy zaś, musiał uczynić swoimi, i które wreszcie przyjąwszy, początkowo jeszcze nieufnie, ostatecznie zaakceptował. Nie! nie potrafiłby już bez nich dalej żyć. Można wszak zmieniać osoby, które dysponują tobą, jak jednak pozostać bez d y s p o z y c j i w ogóle? Z samym sobą? Coś przecież musi wejść w t o p o z o s t a w i o n e miejsce. Inne kategorie, wzory, inny typ ludzi. Więc jeszcze raz miałby się tego wszystkiego uczyć. Od nowa. Uczyć się zarówno dnia dzisiejszego, jak i historii. Będzie musiał wrócić w te dni, gdy sam, na swoim małym, choć odpowiedzialnym odcinku kierował procesem przemian. I po tylu latach ma się dowiedzieć, że czynił to, jeśli nie na próżno, to jakby jakoś nie tak? I jeszcze raz uczestniczyć, przez nie wiadomo jaki czas, w szaleńczej przemianie, gdy każdy dzień przynosić zacznie kalejdoskop zmian. Patrząc, jak rodzi się coś zupełnie n o w e g o i nie wiedzieć, c o?

Jedno było tylko względnie pewne. To, co nastąpi, nie zostawi go w spokoju. Nawet jeżeli się skryje, wyjedzie, któregoś dnia n o w e odnajdzie go. Najpierw zmienią się tytuły gazet, później ci, którzy piszą; na koniec będzie czytał i nic nie będzie rozumiał. Aż zapukają do jego drzwi i każą wyzbyć się iluzji. Każą mu się samookreślić, tak jak on nakazywał to czynić niegdyś innym ludziom. I ci, którzy nadejdą, zobaczą w jego oczach strach. Szok. Prerażenie. Tak, jak on widział to w oczach t a m t y c h ludzi. Wydawałoby się, zapomnianych. I dopiero wówczas dopełni się miara kataklizmu, który o n i nazwą „katharsis”.

VI. Wuj Karol i fizyka ciał stałych

Informuję, że miała miejsce następująca rozmowa:

— Życie we dwoje — powiedziała wczoraj ciotka — to nie tylko kwestia przymusów i norm, które narzuca nam codzienność w jednym pomieszczeniu. Nawet jeżeli tym miejscem jest łóżko. To przede wszystkim kwestia oddziaływania wspólnych lub rozbieżnych cech naszej osobowości. I tak na przykład: ty jesteś gorący, ja letnia. Ty podnosisz moją temperaturę, stan uczuć, ja twoją oziębiam.

— Lub całkowicie inaczej — powiedział dzisiaj wuj Karol, który przestał od rana wierzyć w fizykę ciał i z rozmachem, o który nigdy nie podejrzewałaby go ciotka, wyrzucił przez okno książkę, z której czytała wczoraj owe zdania.

— Dlaczego? — pytają ręce ciotki, zatrzymując się w pół kolejnego supełka nowego swetra, jaki robi od tygodnia dla wuja.

— Widzisz, kochanie — wuj podnosi głos z namaszczeniem pierwszych proroków — wydaje mi się, że istnieją jakieś granice naszego poznania.

A tak naprawdę, o czy mam przyjemność zakomunikować, to wuja boli głowa po nie przespanej nocy, w trakcie której z całym samozaparciem, na które było go stać, starał się, za pomocą domowego termometru, zmierzyć ciepłotę ciała ciotki i własnego.

VII. Wuj Karol i kwestia formy

Ludzie mówią, co skrzątnie zanotowałem, że wuj Karol uratował małego słonia. Wracając od pani, o której ciotka mówi: „ta ściera”, przechodził wiszącym mostem, pod kandelabrami. Usłyszał: „?!” Nie umie powtórzyć co. Potem skoczył i ciągnąc za różową, giętką trawę, dopłynął do brzegu. Przybyły patrol zatrzymał obydwu. Spali dwadzieścia cztery na niewygodnej podłodze.

Teraz, gdy wuj wraca i zdarzy mu się usłyszeć: „?!” — krzyczy: „A gucio!” — i przyspiesza kroku.

Od tamtej pory już pół miasta poznało cementową podłogę małego realizmu.

Marcin Heryng

Piotr Bratkowski

Fantastyka dnia normalnego

Pojawienie się w tekstach piosenek rockowych nawiązań do motywów fabularnych i poetyki charakterystycznej dla współczesnej (i nie tylko) opowieści fantastycznej czy fantastyczno-naukowej nastąpiło wraz z rozwojem języka tej specyficznej formy wypowiedzi artystycznej, jaką jest rock. Wraz z przekroczeniem przez twórców tych tekstów ram tradycyjnego kanonu wątków tematycznych piosenki rozrywkowej (co nastąpiło niemal u zarania rocka, jeszcze w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych), rock okazał się nadspodziewanie chłonny wobec rozmaitych motywów obecnych we współczesnej kulturze. Komiks fantastyczny, współczesna baśń, opowieść science fiction musiały, rzecz jasna, również znaleźć się wśród tych motywów: wszak odwoływały się one do podobnego co rock typu wrażliwości estetycznej, wrażliwości ukształtowanej na popularnych wątkach kultury masowej, ale podatnej na *inność*, baśniowość, fantastykę. Więzy muzyki rockowej i fantastyki zostały utrwalone poprzez symbiozę rocka z subkulturami młodzieżowymi przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, szczególnie z ruchem hippisowskim. Zdecydowały o tym dwa ważne elementy filozofii hippisowskiej: koncepcja *odlotu* (co za chwilę sprecyzuję) oraz negatywna ocena kierunku, w którym podąża stworzona przez ludzi cywilizacja.

Cóż oznacza, tak rozpowszechniony i we współczesnym slangu młodzieżowym termin *odlot*? Oznacza, w pewnym uproszczeniu, odrzucenie sposobu życia i systemu wartości, narzucanego współczesnym społeczeństwom przez rządzące nimi establishmenty. Oznacza odrzucenie polityki jako potencjalnej formy aktywności i odrzucenie tradycyjnych formuł zaangażowania społecznego. Odrzucenie konkurencyjności i rywalizacji (osławionego *wyścigu szczurów*) jako zasady rządzącej stosunkami międzyludzkimi. Odrzucenie tradycyjnych wyznaczników prestiżu społecznego, związanych z pieniędzem, wykształceniem akademickim, miejscem w hierarchii społecznej. Tym wszystkim odrzuconym wartościom *odlot* przeciwstawia budowanie nowych form więzi międzyludzkiej, skupienie się na indywidualnej wrażliwości, sposób życia zgodny z własnym charakterem, przyjaźń, miłość i ciekawość wobec drugiego człowieka rozumianego jako jedyna i niepowtarzalna jednostka. *Odlot* ma w znacznej mierze charakter aintelektualny — intelektowi przeciwstawia emocje i wyobraźnię. No właśnie — wyobraźnię. Wyobraźnię z jej skłonnościami do tworzenia nowych fantastycznych wizji, wyobraźnię jako *naturalny*, pierwotny element osobowości kulturowej człowieka, kształtowany poprzez fantastyczne opowieści i baśnie.

Myślenie antycywilizacyjne, które za sprawą ruchu hippie przeniknęło do rocka, wносиło doń

poetykę fantastyczną z jeszcze innych powodów. Ferment antywojenny i antymilitarny powodował ciągle stawianie pytań o przyszłe losy świata. Protest przeciwko cywilizacji technicznej, która miast wyzwalać, zniewala, wywoływał pytania o los człowieka jako niezależnej jednostki. Stąd, obok eskapistycznych formuł baśniowych, pojawiły się w tekstach rockowych liczne utopie negatywne, kreślące bądź obraz totalnej zagłady świata, bądź totalnego ubezwłasnowolnienia człowieka przez cywilizację techniczną, którą sam stworzył.

Jedna z najważniejszych dla rozwoju tej muzyki płyt rockowych — powstały pod koniec lat sześćdziesiątych debiutancki album grupy King Crimson *In the Court of the Crimson King* (Na dworze karmazynowego króla) — ukazuje bogactwo i różnorodność wątków, jakie rock może czerpać z mariażu z fantastyką. Z jednej strony fantastyczne wizje innej rzeczywistości, zawarte w tytułowej piosence czy w utworze *Moonchild*, z drugiej obraz zagłady cywilizacyjnej przedstawiony w pieśni *Epitaph* (Epitafium) bądź redukcji jednostki ludzkiej do wymiennego elementu technicznej wszechcywilizacji — w nagraniu *21st Century Schizoid Man* (Schizofrenik z XXI wieku). Widać z tej płyty, że motywy fantastyczne nie mają w muzyce rockowej jakiejś na stałe przypisanej funkcji w ogólnym systemie wartości i mogą funkcjonować zarówno jako swoiste utopie, jak i antyutopie. Potwierdzają tę tezę dalsze losy rocka: fantastyka pojawia się w nim już to jako element zewnętrznego sztafażu, już to jako niezbywalny składnik prezentowanej przez danego wykonawcę filozofii. Mogą budzić grozę (jak w neogotyckich spektaklach heavy metalowych) i dawać iluzję, przestrzegać i po prostu... bawić.

Teksty Grzegorza Ciechowskiego są na tle polskiego rocka zjawiskiem szczególnym. Szczególnym dlatego, że jedyny to chyba przypadek tak konsekwentnego budowania przez autora piosenek (i zarazem ich współwykonawcy) własnej rzeczywistości językowej, która w efekcie — właśnie poprzez język, poetykę tekstu — kreuje swoistą filozofię Ciechowskiego, jego pogląd na świat. A także dlatego, że — co na gruncie polskim jest raczej rzadkością — zarówno owa filozofia, jak i jej budulec językowy czerpią w poważnym stopniu inspirację z literatury fantastyczno-naukowej, zwłaszcza z koncepcji rzeczywistości stworzonej przez negatywnych utopistów, ów związek jest trwały i konsekwentny (innym polskim autorom rockowym zdarzają się pojedyncze wypadki w krainę fantastyki, żeby wspomnieć chociażby *Elektrospiro kontra Zanzara* Maanamu, *Księżycowy krok* grupy Aya R. L. czy *Elektroniczna cywilizacja* Kapitana Nemo, z uwagi jednak na incydentalność tych wypadków trudno tu badać jakiegokolwiek prawidłowości). Na miejscu zatem będzie pytanie: po co Grzegorzowi Ciechowskiemu i Republice ów fantastyczno-naukowy sztafaż? Co za pośrednictwem tej poetyki chcą powiedzieć na temat świata?

Częściowo i mimochodem już na to pytanie odpowiedziałem. Znakomita większość tekstów Ciechowskiego to swoiste utopie negatywne, budowane z trzech najistotniejszych diagnoz intelektualnych. Diagnozy te dotyczą dezaautonomizacji człowieka, dehumanizacji i wreszcie czegoś, co zmuszony jestem niezręcznie określić jako utratę przez codzienną rzeczywistość cech realności i autentyczności.

Dezaautonomizacja to inaczej zatracenie przez jednostkę ludzką samosterowności. Człowiek u Ciechowskiego jest kierowany z zewnątrz i nie ma wpływu na własny los, zarazem zaś traci swą odrębność wobec innych, pozbawionych autonomii ludzi. *Kombinat* — pierwszy wielki przebój Republiki — opowiada o sytuacji człowieka, który przestał funkcjonować jako odrębny i pełnoprawny byt, lecz jest jedynie częścią tytułowego kombinatu (*kombinat / to tkanka / ja jestem / komórka*). *Kombinat* (czytaj: nowoczesne społeczeństwo) pozbawia egzystencję człowieka znamion wyjątkowości, odrębności, zarazem zaś poza nim nie ma żadnego innego życia (*nie wyrwę się*), zdaje się sugerować Ciechowski. *Znak równości* z kolei (to w tej właśnie piosence pojawia się vonnegutowski baloników pęk) to wizja życia całkowicie zaprogramowanego z zewnątrz (*wstajemy równo o godzinie DX/ a przedtem wszyscy śnimy równe sny / pod kranem program mycia numer 3*), ponadto życia, w którym zgodnie z tytułem zniwelowane zostają wszelkie różnice pomiędzy indywidualnymi egzystencjami poszczególnych jednostek (*Centralny Wyrównywacz nadal mi / równe buty równe zęby nos / równy w stronę baz produkcji krok / ...jeżeli jesteś ładna to już jest źle / Centralny Wyrównywacz zmieni cię*). Opór wobec Centralnego Wyrównywacza jest niemożliwy, tym, którzy *chcą ładnie pachnieć / chcą być chudzi / chcą tyć*, „równość” zostanie narzucona siłą. To, co *Znak równości* opowiada na płaszczyźnie losów jednostki, to samo piosenka *Będzie plan* mówi o planie losów całych społeczeństw. *Będzie plan* to obraz egzystencji, w której każde wydarzenie zostało z góry zaplanowane, społeczeństwa zaś pozostają biernymi przedmiotami, wykonującymi gesty narzucone z zewnątrz. Również i w tym wypadku negatywna utopia Ciechowskiego ma charakter totalny — opracujemy *plan dla*

świata... dla planet i dla układu gwiazd. Nie ma dokąd uciec, nie ma też szans na zmianę sytuacji, bo *będzie plan na sto lat.../ na milion lat.* Produktem takich właśnie, sterowanych z zewnątrz form cywilizacji okazuje się w ostatecznym obrachunku człowiek, który wyłącznie *reaguje na impulsy*, który odbiera — jak automat — skierowane doń sygnały: *oto sygnał abym spał / oto sygnał abym jadł...* Ale to — jak sugeruje Ciechowski — tak naprawdę nie jest już człowiek: to *pies Pawłowa*.

Utracenie przez jednostkę cech indywidualnych, utrata wpływu na własne losy prowadzi ostatecznie do dehumanizacji świata. Człowiek staje się *psem Pawłowa*. Za towarzyszkę życia ma ożywianego strumieniem ciepłej wody manekina (jak w piosence *Sexy Doll*). Wreszcie — na ten temat tekstów Ciechowskiego chciałbym zwrócić szczególną uwagę, gdyż jest on mniej ewidentny, niż opisany powyżej, za to bardzo znamienity — zatracą umiejętność mówienia o swoich doznaniach językiem liryki, prywatną mową człowieka, lecz wyraża je przez zunifikowaną, bezduszną mowę systemu. Te piosenki, w których uczucia ludzkie wyrażane są poprzez metaforę rodem z terminologii ekonomicznej czy też technicznej, wydają mi się najciekawsze w całym dorobku Ciechowskiego. Myślę o *Prądzie* — w którym miłość przedstawiona jest jako przepływ prądu przez przewody elektryczne {*moją trakcję / obejmuje twój prąd... elektrody / w moim sercu i snach*}, i piosence *Mój imperializm*, w której związek kobiety i mężczyzny opisany jest językiem ekonomii politycznej: *skolonizuję twój brzuch / zamrozę w bankach twój mózg... mój imperializm cię zje*. Pozornie może się wydawać, że w owej stotalizowanej rzeczywistości, w której człowiekowi zostaje odebrane wszystko — od języka, w którym mógłby opisać swoje uczucia, do jakichkolwiek cech świadczących o jego odrębności — kryje się pewna luka, szansa ucieczki. To sen. Porównajmy zacytowane powyżej wyznanie miłosne z tekstem piosenki *Wielki hipnotyzer*. To chyba też wyznanie miłosne: *zahipnotyzuj i mnie i moja jawa błaga o sen... tak. zrób by znów twój seans się udał*. Ale to tylko pozór — to nie jest wyznanie miłosne; to prośba do kogoś, kto w innych piosenkach był Centralnym Wyrównywaczem lub Dyspozytorem Planów. Prośba o odebranie osobowości wysłana przez kogoś, kto swoją sytuację jednostki pozbawionej autonomii, żyjącej w zdehumanizowanym świecie odczuwa boleśnie. Prośba o odebranie osobowości i wrażliwości: *tak nieruchomy chcę stać / wkoło stoją niemi stoją bez słów / zahipnotyzuj i mnie*.

Bo sen w tekstach Ciechowskiego niewiele ma wspólnego z hippisowskim *odlotem*. To raczej rodzaj letargu. Przeżywanie dnia powszedniego jako czegoś obojętnego, oddalonego, czegoś, na co się nie ma żadnego wpływu, ale co już przestało doskwierać. To sen wywołany środkami nasennymi, a może taki rodzaj jawy, w której rzeczywistość staje się cokolwiek nierealna (jak w piosence *Lunacy*). Sen, który jest formułą zagłuszenia świata zewnętrznego samoogłupieniem (*Halucynacje*). Wreszcie — jak w piosence *Hibernatus* — sen, który stanowi formę obrony przed rzeczywistością, nie kreuje jednak w jej miejsce żadnej rzeczywistości innej, jest pusty.

W tej konsekwentnej i nie pozostawiającej żadnych szans, głęboko pesymistycznej wizji charakterystycznej jest jedno. Niezwykle trudno odróżnić teksty, w których Ciechowski posługuje się poetyką z arsenału fantastyki naukowej (np. *Znak równości*) od tych, w których jedynie w pewnym właściwym poezji zagęszczeniu przedstawione zostają elementy rzeczywistości otaczającej nas na co dzień (np. *System nerwowy*). To też coś mówi o wizji świata, prezentowanej przez Republikę. Granice między tym, co jest, a tym, co dopiero może się wydarzyć, są płynne. Czy słuchamy katastroficznych obrazów przyszłości, czy pesymistycznych wizji naszego dnia powszedniego? A może Ciechowski chce powiedzieć swoim słuchaczom, że owo gorsze *jutro*, przewidywane przez negatywnych utopistów z Orwellem na czele, już się zaczęło, już trwa?

Piotr Bratkowski

Grzegorz Ciechowski

Piosenki

Grzegorz Ciechowski (ur. 1957) absolwent polonistyki na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, poeta i autor tekstów piosenek, kompozytor. Lider grupy *Republika*, gra na instrumentach klawiszowych i flecie i śpiewa. Nagrał dwa single („Kombinat” i „Układ sił”) oraz dwie płyty

długogrające: „Nowe sytuacje” (których wersja angielska — „1984” — ukazała się także w Wielkiej Brytanii) i „Nieustanne tango”. W 1984 r. występował wraz ze swoim zespołem w Teatrze Wielkim w Łodzi, był autorem muzyki i współautorem scenariusza widowiska „Republika”.

Kombinat

Kombinat
Pracuje
Oddycha
Buduje
Kombinat
To tkanka
Ja jestem
Komórką
 Nie wyrwę się
 Nie wyrwę się
 To tylko wiem wiem
 wiem

Kombinat
Pulsuje
Nikt nie wie
Że żyję
Nic nie wiem
O sobie
Mam tętno
Miarowe
 Nie wyrwę się
 Nie wyrwę się
 To tylko wiem
 wiem
 wiem

Te biurka
Się ciągną
Aż hen po
Widnokrąg
Zasypiam
W szufladzie
Dokładnie
Wskazanej
 Nie wyrwę się
 Nie wyrwę się
 Teraz już wiem
 wiem
 wiem
 Teraz już wiem
 Teraz już wiem
 Teraz już wiem

Znak równości

wstajemy równo o godzinie DX
a przedtem wszyscy śnimy równe sny
pod kranem program mycia nr 3
Centralny Wyrównywacz nadał mi

równe buty równe zęby nos
równy w stronę baz produkcji krok
równą farbą malujemy wciąż
równe hasła wkoło: równy bądź bądź

jeżeli jesteś ładna to już jest źle
Centralny Wyrównywacz zmieni cię
jeżeli jesteś gruby to musisz mieć
przy sobie stale baloników pęk

równe buty równe zęby nos
równy w stronę baz produkcji krok
równą farbą malujemy wciąż
równe hasła wkoło: równy bądź
równy bądź

Nierówni myślą że to źle Równym być
chcą ładnie pachnieć chcą być chudzi chcą tyć
Centralny Wyrównywacz wskaże nam ich
i jeszcze dzisiaj założymy im

równe buty równe zęby nos
równy w stronę baz produkcji krok
równą farbą wyrównamy ich
równym hasłem: masz równym być
masz równym być
masz równym być

Będzie plan

JEŻELI WSZYSTKO pójdzie dobrze
a tak zakłada plan
już wiemy co będziemy robić
za pięć czy osiem lat
cudowna perfo-perforacjo
cudownie białych taśm
historia w końcu będzie taka
jak to zakłada plan -kłada plan -kłada
plan

będzie plan
na sto lat

będzie plan
na sto lat

będziemy tańczyć czaczę-czaczę
bo taki będzie plan
będziemy pisać wiersze krwawe
bo taki będzie plan
a może dotknę twoich włosów
jeżeli wskaże plan
jeżeli powie mi co dalej
co dalej robić mam robić sam

będzie plan
na sto lat
będzie plan
na sto lat
będzie plan
na sto lat
będzie plan
na sto lat! na sto lat! na sto lat!
na sto lat!

wybudujemy biuro planów
i Gmach Planowych Zmian
opracujemy plan dla świata
pójdziemy z nim przez świat
opracujemy plan dla planet
i dla układu gwiazd
wskażemy drogę lunatykom
bo tak zakłada plan -kłada plan -kłada
plan

będzie plan
na sto lat,
będzie plan
na sto lat

będzie plan
na sto lat... na dwieście lat...
na trzysta lat...
na pięćset lat... na tysiąc lat...
na milion lat...
na milion lat... na milion lat...

Wielki hipnotyzer

zahipnotyzuj i mnie
moja moja jawa błaga o sen
zahipnotyzuj mnie też

moje moje oczy — weź je — są tve

herezje we mnie od lat
lawa lawa płonę tonę wśród was
zahipnotyzuj mnie też
zahipnotyzuj i zbaw

tak nieruchomy chcę stać
wkoło stoją niemi stoją bez słów
zahipnotyzuj i mnie
moja moja głowa błoga od snu

tak zrób by znów twój seans się udał
tak zrób by znów twój seans się udał
zróbmy coś by znów twój seans się udał
udał
udał
udał

zahipnotyzuj i mnie
moja moja jawa błaga o sen
zahipnotyzuj mnie też
moje moje oczy — weź je — są twoje
twoje
twoje
twoje
są tve

Halucynacje

halucynacje muszą być
optycznie będzie dobrze nam
na monitorach nowy świat
więc dalej emitujcie film
film

omamy mamy więcej nic
fatamorgany pięknych dni
emisje misje swoje pełnią skrycie
na satelitach gwiazdny pył
pył

więc dalej emitujcie film
kolory chore będą śnić
wymioty złote wydobywam z ust
halucynacje muszą być

halucynacje muszą być
optycznie będzie dobrze nam

na monitorach nowy świat
więc dalej emitujcie film

Hibernatus

to moja dłoń
to linia życia
dobiega tu
tu się urywa
na szyi mam
medalik z lontem
oglądam swoją dłoń
to linia frontu

syreny wyją a ja myję zęby — idę spać

kładę się spać
tu do lodówki
zamykam drzwi
na cztery spusty
zamarza mi
w brzuchu herbata
zamarza mózg mózg
i koniec świata

syreny wyją a ja myję zęby — idę spać
syreny wyją a ja myję zęby — idę spać

kładę się spać
tu do lodówki
zamykam drzwi
na cztery spusty
syreny wyją a ja myję zęby — idę spać
i spać i spać i spać

zamroziłem w tej lodówce świat
syreny milkną tu i tam i tam
nie wyłączaj więc lodówki mej
ja śpię i śnię i śnię
ja śpię

w piżamie mam
na małej kartce
tych kilka słów
gdy ktoś mnie znajdzie

syreny wyły więc do snu umyłem zęby

Emma Popik

Dziedzina

Dokumentacja do wydania

Nie jestem wielbicielem literatury science fiction, i to żadnego z jej podgatunków, żadnej jej konwencji. Irytuje mnie futurologiczna zarozumiałość, z której literatura ta wynika. Jej źródła należałoby szukać we wróżbiarstwie i prorocत्वach. A wróżbiarstwo i prorocत्वa nie mogą stanowić źródła literatury. Źródłem literatury jest doświadczenie, a więc to, co człowiek przeżył. Tymczasem w tzw. science fiction nie jestem w stanie odnaleźć żadnego doświadczenia, z którym mógłbym się chociaż w części utożsamić. Science fiction, jak wszelkie futurologie, jest z natury niesprawdzalna, a niesprawdzalność prowadzi do nadużyć. Literaturę science fiction projektuje zresztą zawsze stan umysłowy terażniejszości i to już odbiera wiarygodność jej projekcjom rzutowanym w daleką przyszłość. Przy czym projekcje te są z natury *barokowe* w opisach techniczno-cywilizacyjnych przyszłego świata i ubożuchne w przesłankach.

Tak jest i w opowiadaniu Emmy Popik pt. *Dziedzina*. Katastroficzna, apokaliptyczna wizja przyszłego świata przedstawiona przez autorkę jest nieledwie przedszkolną powtórką z Apokalipsy św. Jana, jak zresztą większość tego typu wizji modnych we współczesnej science fiction. I nie w kreacji tej przyszłej katastrofy cywilizacyjnej ani w jej przesłaniu intelektualnym czy moralnym kryje się wartość tego tekstu. Lecz w zaletach czysto pisarskich, w konsekwentnym utrzymaniu rytmu narracyjnego, w intuicyjnej trafności wyboru szczegółów kreślących obraz, we własnym języku, trochę chropawym, gruzowatym, lecz zarazem oszczędnym, poddającym się wyrażanym intencjom, w umiejętności wreszcie organizowania osobliwego, sugestywnego nastroju, ów nastrój jest nie tylko rezultatem przyjętej przez autorkę poetyki baśni, przypowieści, alegorii, ale jak potwierdzają to i inne opowiadania tejże autorki, wyrasta on z jej psychicznej struktury, z jej poetyckiego stosunku do tworzywa, a więc i do świata, z jej osobowości. A demonstracja własnej osobowości jest decydującą wartością każdej literatury.

B.

Dziedzina

Emma Popik (ur. 1949) ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Gdańskim, była nauczycielką, redaktorką w Wydawnictwie Instytutu Morskiego i asystentką w WSN w Bydgoszczy. Pisuje teksty o tematyce paranaukowej do prasy polskiej i zagranicznej, jest członkiem amerykańskiego stowarzyszenia „Mutual UFO Network”. Swoje pierwsze opowiadanie SF zamieściła na łamach „Fantastyki” w 1983 r., później drukowała jeszcze w „Przeglądzie Technicznym” i „Fantastyce”. Powieść Emmy Popik o tematyce kryminalnej przygotowuje do druku „Czytelnik”, a zbiór opowiadań fantastyczno-naukowych „Wywiad z bogiem” — „Nasza Księgarnia”. Opowiadanie „Dziedzina” pochodzi z jej zbioru autorskiego „Tylko Ziemia”, który ukaże się w 1986 r. nakładem „Iskier”.

Zbocze pokrywała śliska trawa, powietrze było brązowe, a drzewa w parku butwiały. Zamek na szczycie wzgórza dawno zamienił się w ruinę, woda w sadzawce gniła, powietrze wydzielało z siebie woń mokrych gałęzi i dymu, wciąż opadały liście.

Stary siedział na zboczu w wielkim fotelu ze złotymi frędzlami i patrzył na miasto zasnuwane smogiem, które się rozciągało poza jego dziedzinę. Chociaż nie leżało daleko, wyglądało jak wiele gęsto poustawianych prostopadłościanów w szarym kolorze. Toteż markizowi miasto wydawało się mimo wszystko niepoważne, a ludzie i ich życie niegodne uwagi. Czasami słońce złociło domy, czasami osrebrzył je księżyc w pełni, gdyż on, władca tej dziedziny, bez przerwy trwał na swym posterunku, wciśnięty w próchniejący fotel. Za piecami miał swój

rozwalający się zamek, u stóp sadzawkę, a jego oczy wciąż się wpatrywały w miasto, z nawiścią i pogardą.

Brązowe liście opadały na jego skórzane ubranie i leżały, póki nie uschły, bo siedział nieruchomo. Kiedy się pochylał, by poklepać po łbie dwa olbrzymie jaszczury śpiące przy jego kolanach, liście osypywały się z ramion jak brązowy deszcz.

Olbrzymie zwierzęta wciąż spały podczas nieustającej jesieni, a kiedy czuły na głowie dotyk dłoni swego pana, podnosiły szybko łby, rozglądając się czujnie, gotowe natychmiast odeprzeć atak. Ich żółte oczy obejmowały przestrzeń, lustrując drzewa, powietrze, wzgórze i miasto. Zwierzęta poruszały faliście szyjami, kołysały łbami. Było bezpiecznie, więc uspokojone opuszczały łby, zasypiając natychmiast.

Jedyni moi przyjaciele — myślał stary markiz i rzucał wyzywające spojrzenie na miasto.

Już nie wyjeżdżał na jaszczurach, jak kiedyś, zlustrować swoją dziedzinę, poddani bowiem nie wychodzili na ulicę, by się pokłonić swemu panu. Nikt już tu nie mieszkał, progi domów butwiały jak drzewa w parku, pola leżały odłogiem, bo porzucone pługi nie doczekały się ręki, która by nimi orała. Zupełnie niedawno, może parę lat temu ostatni poddany wyniósł się do miasta.

Markiz i przed tym, co się później stało, rzadko objeżdżał włości, więc nawet nie spostrzegł, kiedy ta haniebna ucieczka miała miejsce. Zupełnie już zaniechał dosiadanania swych jaszczurów i nie prostował się dumnie na ich grzbietach pokrytych zieloną łuską, kiedy jedną ręką trzymał końce złotych lejc, a drugą mocno opierał na biodrze i toczył dumnym okiem po pochylonych głowach swego ludu. Nie cieszyły go te przejażdżki, czuł bowiem, że świat pewnego dnia się odmienił i coś jest nie w porządku. Był pewien, że zaczął się jakiś proces. W życie wniknął bakcyl; dzielił się, choroba postępowała i nic nie mogło jej zatrzymać. Markiz czuł jej istnienie, lecz nie znalazł dla niej nazwy.

Potem uczynił coś niezrozumiałego. Rozkazał swoim poddanym wynieść z domów wszystkie urządzenia techniczne i zwalić je na olbrzymim placu pośrodku krainy. Identyczne polecenie wydał swojej służbie pałacowej. Na placu usypano wielki kopiec, niektórzy mówili na niego ołtarz, inni grobowiec. Musiał zwolnić większość służby, nie miała bowiem nic do roboty. Jeden lokaj zapalał łuczywo, palił w kominku, gotował posiłki i czyścił odzież.

— Pozbyliśmy się darmożjadów — powiedział pewnego dnia. — Teraz wiem, na co pracował mój lud — zwrócił się do swej żony i synów siedzących wokół wielkiego stołu w jedynej sali nadającej się do zamieszkania. Nikt z rodziny nie podniósł głowy pochylonej nad talerzem wczesnej kolacji, chodzono spać o zmierzchu.

Przyjaciele przestali przyjeżdżać na polowania, coraz dłużej przebywali w mieście, a markiz spacerując po parku przyglądał się, jak przybywało domów nadal przypominających dziecięce zabawki. Nie traktował poważnie tego wzrostu, ale zaczynał odczuwać niejasne obawy, że stamtąd płynie niebezpieczeństwo, które zagraża wszystkiemu.

Pewnego dnia żona spakowała wielkie toboły i kazała znieść meble ze swego piętra. Synowie i córki siedzieli na progu i nie odzywając się, ubrani jak na przybycie gości, czekali.

— Zabieram również niektórych poddanych — powiedziała stanowczo. Dzieci wstały, wyszły na dziedziniec i zaczęto ładować meble.

Ktoś przez pomyłkę zaniósł wielki fotel na zbocze pagórka i tam porzucił z nóżkami wbitymi w błotnistą ziemię. Kiedy wszyscy opuścili pałac, markiz usiadł na fotelu po raz pierwszy. Jaszczury położyły się u jego kolan, kiedy się wpatrywał w długi wąż ludzi idących do miasta.

Po tym wydarzeniu wyjechał z pałacu tylko raz, by spod ronda kapelusza przyjrzeć się opuszczonym domostwom i progom zarastającym zielskiem. Kiedy jechał, coś zakłuło go w boku, tu, gdzie opierał rękę, więc zacisnął palce i wparł mocniej dłoń. Przejechał tak przez całą krainę, uśmiechając się z zaciśniętymi zębami i ściskając biodro. Nie dotarł jednak do

granicy, oszukując się, że za następnym zakrętem wyjdą z domów ludzie i zdejmą przed nim czapki.

Wrócił do pałacu wciąż wyprostowany i przed bramą od dawna otwartą, bo nie było jej przed kim zamykać i komu otwierać, wziął głęboki oddech, bo mocno go kłuło. Długo siedział wpatrzony w pusty pałac. Nie mógł się ruszyć, jaszczury czekały cierpliwie. Wreszcie zsunął się z ich grzbietów i powłókł się do wielkiej sali. Chorował długo. Słyszał spadające liście. Szumiał deszcz. To wtedy zaczęła się jesień i nie mogła już przejść w inną porę roku.

Za przesunięcia w klimacie winił miasto, szarzące już na wszystkich wzgórzach, rozrastające się jak komórki zrakowaciałej tkanki. Miasto oskarżał w duchu o zbrodnicze eksperymenty na żywym ciele przyrody i o grzeszne manipulacje z czasem.

Wyzdrowiał, ale już nie był taki jak przedtem. Spędzał dnie w wielkiej sali, leżąc na dywanie przed kominkiem. Grzał się patrząc w ogień lub baraszkował z jaszczurami, gładząc ich łuskę, polerując je rękawem, lub godzinami przemawiając do ich żółtych oczu, trzymając w dłoniach łeb przysunięty do swej twarzy.

Coraz więcej czasu zajmowało mu przesiadywanie w fotelu, którego nogi zanurzone w błotnistej glebie powoli gniły. Czasami fotel się chwiało, więc markiz trzymał plecy sztywne, by się nie przewrócić, a wyprostowana postawa tylko przydawała mu dumy, tak sądził. I tak było do dzisiaj.

— Dobrze, że już przestali mnie nachodzić — powiedział do siebie głośno i jaszczury podniosły błyskawicznie łby, by się rozejrzeć wokoło i znowu zapaść w sen.

Najpierw przybywali rzutcy i szybko mówiący przedsiębiorcy z wielkimi teczkami pełnymi planów, z kieszeniami zapchanymi reklamówkami i folderami. Przyjmował ich z powziętym z góry przekonaniem o odmowie, ale chodziło mu o rozrywkę, a poza tym bał się przed sobą przyznać, że intrygowało go życie miasta i tamtejsi ludzie.

Zasiedli w wielkiej sali przy długim stole, który wkrótce znikł pod płachtami rozkładanych planów. Biznesmeni szacowali markiza wysoko, oceniali jego majątek na zawrotne sumy, toteż rzuciwszy pobieżne, lecz łakome spojrzenie na meble, boazerie i marmury, przystępowali do zachwalania swoich pomysłów.

— Sadzawkę osuszyć i zrobić z niej gigantyczny parkiet do tańca, markiz pojmuje? Zbocze pozbawić trawy, gnije przecież, zabetonować. Mikroby, markiz rozumie? Zrobić schodki dla wygody par. Wszędzie lampiony, huśtawki, kioski z parówkami.

— Jednym słowem, wielki lunapark — kończył markiz.

Słuchał ich zawsze w skupieniu, patrzył w oczy, oglądał z uwagą plany, dopytywał się o szczegóły wykonania. Potem zahaczał o życie w mieście.

Dowiedział się, że światem rządzi wielki komputer, a wszyscy ludzie mają swoje miejsce i numery identyfikacyjne. Przedsiębiorcy odchylali płatek ucha pokazując cieniutką blaszkę na zawsze wbitą w skórę. Komputer planuje pogodę, pory roku, ilość produkcji, liczbę ludzi, rodzaj kierunków w sztuce. Kiedy pytał, co należy do ludzi, wybałuszyli oczy, nie rozumiejąc o co chodzi.

Sądził, że chce się dowiedzieć, ile posiadają akrów ziemi i z jeszcze większym szacunkiem patrzyli na markiza. Wtedy pytał o cenę inwestycji, targował się namiętnie, a potem niespodziewanie kazał im się wynosić. Wychodzili w przekonaniu, że podali zbyt niski procent udziału markiza. Biegając po schodach i gubiąc foldery reklamujące cudowne urządzenia, oglądali się jeszcze na każdym stopniu i podbijali cenę na korzyść właściciela, ale przecież najbardziej nawet zawrotna jej wysokość nie zaspokoila go, nie o pieniądze zabiegał.

Kiedyś przybyła jego żona. Nie poznał jej. Kiedy opuszczała krainę, była już starszą kobietą, a teraz siedziała przed nim osoba o gładkiej twarzy, ubrana w coś srebrnego i dzwoniącego przy każdym ruchu. W jej uszach błyszcząły lampki udające kolczyki, paznokcie rzucały małe iskry od samoświecącego lakieru, a ona sama nie fatygowała się chodzeniem. Pstrykała tylko dziwnie jasnymi i różowymi palcami i niewidoczne pod szatą urządzenie pod-

nosiło ją na poduszce powietrznej i przesuwano w pożądane miejsce.

Nie wiedział, że używała szminki, która miała właściwość nawilżania i naciągania skóry. Ciało przybierało nienaganną formę, twarz się wygładzała i zamieniała w gładką maskę. Tylko skóra była nieco inna. Zdradzając ten zabieg nabierała różowego koloru i stawiała się cieniutka jak bibułka, i przezroczysta niby gliceryna, nie chroniła przed niczym.

Kiedy wieczorem zmywała szminki w kąpielni, ciało się marszczyło i obwisało, a twarz pękała w siatki kurzych łapek. Kobieta odzyskiwała swój stary wygląd i do rana mogła się cieszyć słabością i przywilejami wieku. Lecz nie należało być starym, kiedy powracał świt. Świat nienawidził starości i nie cenił doświadczenia zdobytego z wiekiem. I przedmioty, i jedzenie, i właściwie wszystko przeznaczano do jednorazowego użytku. Zużytych ludzi również nie oszczędzano, toteż nie wolno było pokazać nieprzydatności.

— Cudownie się żyje w mieście — usłyszał jej głos, lecz go nie rozpoznał. Nie wiedział, że dała sobie wymienić gardło i wstawić maleńkie urządzenie, by mówić energicznie i młodo. Musiała się bronić, dobrze знаła nieuchwytny i nieokreślony zapach krematorium dla zużytych, wrzucanych tam razem ze swymi łózkami, z których już nie mogli się podnieść, i z domami, których nie chcieli opuścić.

— Jak widzisz, jestem wiecznie młoda — zanuciła melodyjnie. — Żyje się raz, bo ludzie są jednorazowego użytku — powiedziała naczelne hasło, lecz nie rozumiał.

— Co z twoim głosem? — wyjąkał, bo to jedno pamiętał najlepiej.

— Ludzka maszyna nie ma części niewymienialnych — zaśmiała się maskując cierpienie.

Milczał.

— I po co tu siedzisz? — zaatakowała. — Co chcesz sobie udowodnić?

— Nic. Po prostu mam prawo. — Chciał ją wziąć za rękę, ale umknęła, nie mogąc pozwolić, by wykrył jej smutny sekret: nie przybyła do niego osobiście, lecz przysłała swój fantom. Rzadko wychodziła, każdego ranka z coraz większą trudnością i coraz wolniej pokrywała ciało szminką. Czuła, że wkrótce będzie musiała pozwolić wynieść się z łóżkiem. Przybyła pożegnać się, choć nawet przed sobą nie przyznawała się do tego.

Pięknie się żyło w mieście, tak — myślała. — Życie było jedną upojną zabawą, jeśli się nie żądało zbyt wiele, dając zgodę na wszystko. Ale on nie zgodził się na nic. — Wobec jego postawy wyraźniej dostrzegła swój upadek.

— Co masz z tego prawa?! — krzyknęła.

— Co mam? — powtórzył pytanie. — To moja dziedzina, zawsze do mnie należała, tu jestem sobą...

Westchnęła.

— Za wszystko trzeba płacić — powiedziała, bo ona znała ceny. Wygodne życie pociągnęło za sobą ubezwłasnowolnienie. Komfort wymieniła za uprzedmiotowienie. Ładny wygląd, pozorna młodość miały cenę zgody na śmierć, gdy się wykryje kamuflaż.

— Ty też zapłacisz — powiedziała jakby do siebie i pstryknawszy palcami niecącymi iskierki, uniosła się ponad podłogą. Prawdę mówiąc nie z powodu mody kazała sobie zamontować to urządzenie, nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Wyleciała za drzwi i kiedy uzyskała pewność, że markiz jej nie widzi, zlikwidowała swój fantom.

Po niedługim czasie przyszedł syn. Powiedział: „Jestem twoim synem” — ale markiz mu nie uwierzył. To tępe stworzenie wpatrzone w przemysłne artvideo, ryczące co chwila śmiechem, gdy upiorne gangsterzyce torturowały swych galaktycznych kochanków, ten odczłowieczony, zrączy coś bez przerwy buldog miałby być jego synem? Dobrze pamiętał swoje dziecko i jego pastelowe rysunki kwiatów i gwiazdek śniegu, laurki na każdą okazję, rozdawane bez powodu, z samej radości obdarowywania.

— Wyłącz to — warknął markiz.

— Ale ja nie mogę — skrzywił się syn. — Patrz, patrz — zakwilił z rozkoszy, a markiz

odwrócił wzrok. Tortury zbyt wyuzdane, by mógł je znieść normalny człowiek, wzbudzały w nim strach. I tego potwora się bał.

— Po co przyszedłeś? — przemógł się i zapytał, chcąc skrócić wizytę.

— Matka umarła — przypomniał sobie, przeżuwając słowa z czymś kleistym.

Nie jest całkiem odczłowieczony — pocieszył się markiz, ale nie na długo.

— Zabrała mi artfilmy — burknął chłopak. — Powiedziała, że jeżeli po jej śmierci nie przyjdę cię zawiadomić, nie otrzymam z powrotem ani jednego. A ja nie mogę bez nich żyć, bo mi smutno — wykrzywił się jak dziecko.

— Wynoś się! — krzyknął stary, a zbudzone jaszczury wyszczerzyły zęby na grubasa, który rechocząc i nie odrywając oczu od artfilmu pognął do drzwi.

Markiz długo się nie mógł uspokoić po wizycie potwora, który kiedyś był jego synem.

— Wszystko ma swoją cenę — powtórzył sobie opinię żony jak smutne credo i potoczył wzrokiem po swej dziedzinie, zastanawiając się, kogo to zdanie dotyczyło.

W tej właśnie chwili poczuł swoją ogromną samotność, lecz wiedział, że nie może opuścić dziedziny, nie z powodu dumy, nie z niezrozumiałego uporu, w którym musi trwać na przekór wszystkiemu, nie powodował nim również strach przed trudnością czy niemożnością przystosowania się do życia w mieście, nie potrafił swego stanowiska nazwać, wiedział jedno: inaczej nie może, nie wolno. Czegoś bronił, coś udowadniał, nie można było bez tego istnieć, chyba że za cenę zostania takim jak tamci.

Wizyta jego przyjaciela zakończyła odwiedziny gości. Przyjechał na wózku. Jego nogi były obcięte tuż poniżej tułowia, siedział jak, kukielka, sztywny i niecałkowity. Wymachiwał łapkami. Śmiesznie długie i potężne przy krótkim tułowiu sprawiały groteskowe wrażenie.

Ten przynajmniej wygląda na tego, kim jest — pomyślał złośliwie, ale poczuł, że trafnie.

— Wypadek? — zapytał przyjaciela wskazując na nogi.

Ten skrzywił się w uśmiechu.

— Wszystko może się zdudzić — powiedział pozornie bez związku. — Każda zabawa. Gra w karty bez pieniędzy nie jest żadną emocją. Wesoło się żyje, jeden wielki festiwal, ale to wreszcie nuży i chce się prawdziwej zabawy.

— Dałeś sobie obciąć nogi dla zabawy? — zaniepokoił się markiz.

— Gdybym wygrał, spotkałoby to mojego przeciwnika. Hi, hi, hi! Ależ to była emocja! To oczekiwanie, zawody, nareszcie coś prawdziwego!

— Nie ożeniłeś się? — przerwał koszmarne wynurzenia markiz.

— To jest zlikwidowane — zachnął się przyjaciel.

— Przecież ludzie muszą się rodzić? — zdziwił się markiz.

— Hi, hi! — śmiał się rycerz na wózku. — Ależ ty jesteś anachroniczny! Do tego nie potrzeba rodziny ani — jak ty byś to nazwał — tej, tego, miłości — zakończył szybko i cicho.

Tylko zbrodnie i namiastki, okrutne zakłady dla rozrywki, bo jedynie śmierć niesie emocje — myślał markiz, rozglądając się po swojej dziedzinie, kiedy przyjaciel odjechał. Tu było spokojnie, tu mieściła się ostatnia oaza na ziemi.

Dzisiaj siedział wspominając wizyty, tamta była na szczęście ostatnia. Od tego czasu nikt go już nie nachodził. Trwał bez nadziei, ale tak chciał, nie wierzył bowiem, by zdołał swoją postawą coś im udowodnić, chociaż wiedział, że się upiera nie dla siebie, lecz dla nich. To oni muszą coś zrozumieć i zmienić się. Nie wierzył jednak, że ktokolwiek z nich pojmie sens jego upartego trwania przy człowieczej dziedzinie, na straży ostatniego, niezawisłego terytorium.

Patrzył na miasto niby pogodzony, lecz nagle wstrząsnął nim dreszcz. Rozejrzał się wokoło: jakże się miasto rozrosło, tyle terenów zaanektowało, sięgało od krańca do krańca. Nie chciał wstawać z fotela i chodzić dokoła pałacu, bo i tak wiedział, że od tamtej strony miasto ciągnie się aż po horyzont i dotyka drzew w jego parku.

Kropła z gałęzi kapnęła mu za kołnierz, poczuł, jak zimno obejmuje go swoimi kościstymi dłońmi.

Popatrzył na niebo. Czyżby zbierało się na burzę? — zapomniał o takiej pogodzie, ale niebo naprawdę szerniało i wiatr strącał liście, ciskając mu je w twarz jak wyzwanie.

Zrobiło się ponuro, powietrze nabrało intensywniejszego brązu, śliskie pnie drzew lśniły czernią, a woda w sadzawce zmętniała. Silny wiatr próbował poderwać płachty mokrych liści, ale wniknąwszy pod grubą warstwę ściółki, krążył w szczelinach, nie mogąc się wydostać. Wydało mu się, że ziemia dostała dreszczy i wstrząsa swym grzbietem, by coś zrzucić.

Jaszczury poderwały się nagle i stanęły na łapach, wyciągając szyje i węsząc w powietrzu. Obracały głowy na cztery strony świata i zewsząd czuły coś niepokojącego. Obnażyły żółte zęby i zaczęły się cofać, ale nie miały dokąd. I markiz poczuł się nieswojo, chwycił rękami poręczę fotela i trzymał się z całej siły.

W bramie pojawił się niewielki człowieczek w czarnym płaszczu, wydętym meloniku i z czarną teczką w ręku. Był zasuszony i poruszał się nieśmiało, lecz było pewne, że wyrzucony powróci, jak to czynili urzędnicy niskiej kategorii, pewni swego niby przedsiębiorcy po-grzebowi.

Markiz odetchnął i rozluźnił uchwyt, uspokoił jaszczury. Przestały wciągać ze świstem powietrze w łopoczące nozdrza i napierać zadami na fotel. Ufały swojemu panu lecz niecałkowicie się uspokoiły. Nie położyły łbów na łapy, by zasnąć. Stały oparte o fotel i, znieruchomiawszy, wbiły wzrok w człowieczka.

Ten podszedł do markiza, pozdrowił go i wyjąwszy z teczki składany stołek wbił jedyną nóżkę w mokrą ściółkę. To uwolniło wiatr, który się wydostał jak wyzwolony demon, a ziemia przestała falować.

Burza jeszcze nie nadeszła, zatrzymała się w oddali i jakby czekała na wynik rozmowy. Brązowe powietrze stało, rudera pałacu na wzgórzu wyglądała jak siedziba upiora, bo czarne niebo przydało jej strasznego tła. Ustało spadanie liści i markiz odniósł wrażenie, że nadeszła chwila przełomowa i odmiana jest nieunikniona, nadejście, już czeka w oddali.

— Jaszczury — uśmiechnął się człowieczek. — Można się było czegoś takiego spodziewać. Oczywiście, nie mogły to być psy lub konie. Jest się ością w gardle, lubi się dowodzić swej inności, he? Cieszy to, że miasto się dławi, kocha się być niestrawnym, co?

Zlekceważywszy jaszczury, zaczął błędzić wzrokiem po śliskich pniach, skrzywił się spojrzawszy na gęstą wodę kisaną w sadzawce, ponaddzierane koronki murów pałacu wzbudziły w nim zadumę nad marnotrawstwem dóbr, a parne powietrze wywołało niesmak.

— Tak — powiedział w zamyśleniu. — Tak — powtórzył. — Bronimy się do końca, czyż nie? A co potem? Miasto i tak się rozwinęło, a tę ostatnią dziedzinę i tak pochłonie, takie jest prawo.

Markiz po raz drugi w życiu poczuł ukłucie. Walkę jego potraktowano jako upór, indywidualność oceniono jako fanfaronadę, a ostatnie na ziemi wartości okazały się modą. Zrozumiał, że przegrał i jest skazany.

— Chyba widzisz, jak dokładnie i nieodwołalnie jesteś otoczony — człowieczek zrobił okrągły ruch mniej więcej wokół swojego melonika. — Pozostań sobie osobny i swój, ale musisz się poddać. Musisz. — Pomilczał chwilę i podjął myśl. — Mam propozycję: zabalsamujemy twoją dziedzinę. Chyba to ci odpowiada? Pozostaniesz. Będą cię oglądać, nic tu nie ulegnie zmianie.

Markiza bardzo bolało serce. — Po co trwał przez te wszystkie lata? Nie dla siebie przecież bronił dziedziny, ale dla nich. I oto za kogo go uznali? Na co im jest potrzebny? Są straceni bezpowrotnie. — Popatrzył na miasto. — Nic nie zatrzyma rozrostu budowli. Spodziewał się walki, pogardy, nienawiści lub choćby krytyki. Marzył o polemikach, ale żeby tak, po prostu zabalsamować?

— Ale jesteś nam potrzebny — powiedział szczerze człowieczek, jakby, odczytywał

myśli. — Jesteś nawet niezbędny, ale w takiej wyłącznie postaci. Co więcej, przybyłem tu jako wysłannik i kapłan. Przybyłem, by cię błagać o pomoc. O ocalenie. Potrzebny jest nam nietknięty teren, pierwotna kraina, bo my... — nie dokończył, rozszalała się burza. — Ona jest zaplanowana, myślałem, że zdążę i ocalę wszystkich — dobiegały do uszu markiza strzępki zdania, wykrzykiwane przez człowieczka, którego porwał wiatr.

Dopiero teraz markiz zauważył, że burza miała cechy niezwykcyjne, choć już w jej zapowiedzi wyczuwał nienaturalność. Szła od miasta, nie z nieba. Drzewa oszalały, wyginały się i trzeszczały, pnie rozsypywały się, jak skruszone w gigantycznych rękach. Trawę na zboczu coś wydzierало palcami, a mętną wodę w sadzawce kręciła niewidzialna dłoń.

Jaszczury prychały i szczyrzyły zęby, ale nic nie mogło zatrzymać niewidzialnej siły. Markiz popatrzył na miasto. Wisiała nad nim czarna chmura, ciężą ją czerwone błyskawice, apokalipsa zmiatała świat.

Nie w trwodze o siebie, lecz z niepokoju o jaszczury markiz podniósł się i usiłował iść do pałacu, ale zwierzęta się bały, choć je wołał, a jego samego wiatr rzucił o najbliższe drzewo. Objął je ramionami i trzymał z całych sił.

— To on — powiedział markiz — to ten człowieczek rozpętał burzę, wiedział, że ma nadejść. Odszukajcie go i zmuście, by ją odwołał.

Tak było, wprawdzie pierwsze objawy nieznaney nawałnicy rozpoczęły się jeszcze przed przyjściem czarnego człowieczka, ale musiał przecież upłynąć pewien czas od momentu postanowienia do przyjścia. Ale burza i jego nie oszczędziła. Jednakże, mimo tych pozorów, markiz nie wątpił, że ten skromny urzędnik, wyglądający jak przedsiębiorca pogrzebowy, rozpętał demony.

Wypuścić ławo — pomyślał patrząc na miasto. — Ale jak uciszyć?

Wtedy jaszczury zrozumiały rozkaz i przygotowały się do skoku. Sprężyły olbrzymie cielska, łuski wygładziły się na mięśniach. Zieleń stała się ostra i groźna, żółte oczy się zwięziły, szczęki były gotowe pochwycić zdobycz.

Skoczyły, lecz wiatr je cofnął. Obnażyły zęby i spojrzały na swego pana.

— Idźcie — powiedział cicho — musicie. Nie możecie mnie zawieść w przełomowej chwili. I oni — pokazał na miasto — oczekują waszej pomocy. Trzeba uciszyć burzę.

Czuł, że jest śmieszny, a człowieczek miał rację. Ten patos, te rekwizyty i cały ten pomysł! W dodatku podejrzenia, że zasuszony urzędnik dysponuje nieograniczonymi możliwościami.

Zwierzęta zaczęły się czołgać na brzuchach, pokonując wiatr. Cał za całem posuwały się w kierunku bramy, poza którą zniknął zwiany wiatrem człowieczek. Zapadła noc i markiz nie widział już niczego. Stał obejmując pień rękoma i czekał na świt i ciszę. Jego wspaniałe jaszczury zostały pokonane, a on sam wyśmiany.

Do bólu serca dołączyło się uczucie goryczy. Chciał już tylko, by jaszczury przyszły i wszystko powróciło do stanu poprzedniego. Jego myśl płynęła wolno, a ramiona drżały. Bezsilnie osuwał się wzdłuż pnia.

Kto zwyciężył? — zadał sobie pytanie. — Czy to w ogóle było potrzebne?

To była jego ostatnia myśl, potem postanowił, że nie umrze. Ludzie, którzy przeżyli burzę, wiedzieli, że pierwsze, co mają zrobić, to przyjść do dziedziny. Pojawili się przy bramie o pierwszym, spokojnym brzasku. Szli ostrożnie, lecz stanowczo, spełniając powinność, w którą wierzyli.

Przed bramą zatrzymali się i porozumieli wzrokiem. Nie mogli rozmawiać, przez ochronne maski niewiele się słyszało, zresztą oddychanie zbyt głębokie niosło ze sobą niebezpieczeństwo. Łatwo się męczyli, właściwie powinni odpoczywać i leczyć się, jak inni, ale musieli zrobić to, co zamierzali, jako ostatnie i pierwsze przykazanie, rękojmię i warunek, że burza nie zostanie na nowo wywołana.

Zatrzymali się ostrożnie przed dwoma olbrzymimi cielskami jaszczurów. Obawiali się,

czy ścierwa nie są zatrute. Miały wzdęte brzuchy, może zżarły coś, od czego padły. Ale taki wygląd mógł stanowić po prostu oznakę rozkładu.

Ludzie otoczyli zwierzęta w bezpiecznej odległości i wysunęli ku nim czułki aparatów. Czekali w napięciu. Bardzo chcieli się dostać do dziedziny. Od dawna krążyły o niej legendy. Mówiły o jej czystości i pierwotności, o tym, że nie wszystko zmarnowane i istnieje jeszcze nie naruszone miejsce. Nieuniknioność burzy przeraziła wszystkich, odtąd żyli tylko nadzieją na wstąpienie do dziedziny.

Tak im przykazywano. Nie umieli powiedzieć, kto wygłaszał takie opinie, jakaś organizacja czy pojedyncze osoby. Czy może ta wiadomość, co więcej, przekonanie, istniało niedotykalne i niewyraźne, lecz bez wątplenia?

A tu bramy broniły dwa jaszczury, groźne, choć padłe. Ludzie czekali w napięciu na wynik analizy. Odetchnęli, kiedy aparatura wskazała na naturalną przyczynę śmierci. Nie zostały zabite czerwoną błyskawicą, co za szczęście.

Nadeszła druga ekipa, przez nich przywołana, w takich samych ochronnych ubraniach. Po krótkich wyjaśnieniach rozstawiła urządzenia, które zaczęły cierpliwie pokrywać jaszczury przezrystą substancją przypominającą płynny kryształ. Polewa krzepła szybko i kiedy ekipa doszła zaledwie do połowy wzgórza, jaszczury już zostały zabalsamowane, postawione na łapy po obu stronach bramy i gustownie upozowane. Ich cielska atakowały agresywną zielenią, przypominając coś pierwotnego, wzbudzającego dreszcz, a oczy ciskały płomień. Tak, będą siał groźę i już u wejścia skłonią do posłuchu.

Ekipa posuwała się krok za krokiem i ze wszystkich olbrzymich strzykawek wytryskiwał płyn, pokrywający wszystko: drzewa, liście gnijące na ziemi, połamane gałązki, drepczące robaki, glony w sadzawce. I wtedy z góry ktoś krzyknął, że znaleziono markiza.

Leżał u stóp drzewa, nie opodal granicy szklatego płynu, który zakonserwował i uwiecznił jego dziedzinę i wszystko, co w niej żyło pod przezrystą powłoką nie przepuszczającą powietrza.

Wyłączyli urządzenia balsamujące i podeszli bliżej. Stali długo w milczeniu nad ostatnim szczątkiem legendy. Odsunęli ręce, wciąż obejmujące pień drzewa, i zaczęli szukać przyczyny śmierci. Kiedy stwierdzili, że serce nie zniosło ostatniego ciosu zadanego jego dumie, ze spokojem zaczęli polewać mu twarz przezrystym szklivem. Substancja wypełniała zmarszczki na jego twarzy, gorzkie bruzdy wokół ust i groźne, pionowe zmarszczki między brwiami. I potem wszyscy mogli się przekonać, jak wygląda stary człowiek, ostatni człowiek.

Posadzili go na fotelu, ułożyli palce na poręczach, by wyglądało, że je zaciska, twarz skierowali ku miastu, wyrównali nawet frędzle skórzanego ubrania i wszystko wydawało się autentyczne.

Poszli w górę, a on pozostał, wkrótce pałac pokrył się unieruchamiającym szklivem i wszystko było jak przedtem. Ekipy odeszły, lecz przybyły inne i wniosły do pałacu olbrzymie paki. Pracowali długo, pełni nadziei. Kiedy wszystko było gotowe, zaczęto wpuszczać publikę. Ludzie wchodzili do sanktuarium w pobożnym skupieniu. Najpierw oglądali jaszczury, potem okrążali siedzącego markiza. Patrzyli z podziwem, a na ich wynędzniałych twarzach ze śladami przeżyć po burzy pojawił się nikły płomyk nadziei. Ale nie oglądali go długo. W parku wiało chłodem od sadzawki, więc zaciągając na piersiach swoje łachmany i zakrywając rany, bo po burzy nikt nie miał całej odzieży i zdrowego ciała, szli w górę do pałacu.

Zbierali się wszyscy w wielkiej sali i zbici w milczący tłum stali i patrzyli. Stali tak bardzo długo, często całe dni. Tu była ich ostatnia nadzieja. Zamiast wielkiego stołu był tam wysoki ołtarz i na tle zaciemnionych okien stał on. Ich bóg. Zrobiony z resztek maszyn, które pozostały w mieście, bez kształtu, nie był ani człowiekiem, ani duchem. Nie miał twarzy ani serca, ani oczu. Ekranami nie zdołał dopatrzeć i dopilnować ludzkich spraw.

W środku miasta, które było wszędzie, w oszklonym martwym sanktuarium zrobiono boga i dano go ludziom. Bo to było wszystko, co miasto miało ludziom do ofiarowania.

Ekstaza

Serce mi biło nadzieją. Spieszyłam na pocztę, by sprawdzić, czy napisał. List by oznaczał, że mnie kocha. Tak sobie wymyśliłam, lecz to uczucie, mimo że tylko wyobrażone, bolało jak prawdziwe.

Wiem, że listu znowu nie będzie. Przeczuwałam, że nigdy nie zostanie napisany, no tak, chciałam się oszukiwać.

Duży napis „Wystawa sprzętu elektronicznego” przyciągnął mój wzrok. Przystanąłam. Następne drzwi — poczta. Odsunę chwilę rozstrzygnięcia, będę się jeszcze omamiać w tym świecie, który sobie wyobraziłam, więc istniał. W nim słowa nie miały znaczenia, a rzeczy ciężaru.

Przeczytałam napis do końca: „Jedyny w świecie, unikatowy sprzęt prototypowy. Poznasz swoją duszę i swoje życie”.

Powinno być napisane — „życie”, parsknęłam niechętnie. A wyjawia nie więcej niż Cyganka, tyle że nie z kart taroka, lecz na taśmie wydruków.

Przekroczyłam próg. W holu człowieczek o wyglądzie zapoznanego geniusza targował się z urzędnikiem.

— Tyle opłaty za jeden mały pokój?

Nie było to przeznaczone dla moich uszu, więc jego usta wykrzywił uśmiešek zamazujący niezręczność. Podbiegł do mnie, wcisnął w rękę kartonik biletu.

— Pierwszy zwiedzający gratis. — I ujawszy pod łokieć poprowadził ku czarnej zasłonie. — Każdy boi się tylko swojej wyobraźni — poczułam jego oddech koło ucha i lekkie pchnięcie w plecy.

Weszłam w ciemność i namacawszy poręcz fotela usiadłam. Moje czoło objęła chłodna obręcz. Pomyślałam: oto ostatnie chwile mego życia.

Coś uwierało mnie w policzek. Otworzyłam oczy i spojrzałam: mój złoty inicjał haftowany na koronce poduszki. Ale nie umiałam wyjść z rzeczywistości śnionej, toteż nie potrafiłam określić miejsca, w którym byłam. Moje oczy zarejestrowały okno, zaciągnięte złote zasłony. W parku pewnie upał, chyba nie każą mi spacerować. Dobrze jest leżeć, dobrze umierać, nie czuć własnego ciała. Nareszcie przestało mnie uwierać, bo zdjęto ze mnie złotą suknię. Leży na fotelu, wszystkie haftki rozpięte, a sznurówki, które zawsze tak ściśle zaciągano — rozluźnione. Oto i list, leży na sukni, jest pogięty, widać, że go nosiłam na piersi.

Teraz jestem wolna od sukni i cielesności, toteż śmiało patrzę w oczy prababki na portrecie. Błede tęczyówki nigdy nie ujawniały namiętności, zawsze potępiały moje czyny, gasiły myśli. Już się ich nie boję. I myślę, że każę podać sobie list.

Moja dłoń ześliznęła się z brokatowej koldry i natrafiła na pochyloną głowę o miękkich włosach.

Niewolnica klęcząca przy łożu umierającej władczyni... Ale i moje włosy są tak samo miękkie, może to jestem ja?

Wydało mi się, że za filarem stoi mężczyzna. Zakrywa go cień i nie mogę rozpoznać jego twarzy.

Kto się dostał do mojej sypialni? Chciałam zawołać dworzan. Pewnie ziewają w niszach okiennych, czekając na moje odejście. Kiedy krzyknę, wbiegną zbrojni z pochodniami. Czy poznają mnie bez złotej sukni, czy usłuchają? Może się domyślą, kim jestem naprawdę?

— Kim jesteś? — mój głos już mnie powoli opuszczał.

— Nagrodą za wyrzeczenia. Poznasz mnie i pokochasz wzgardziwszy złotą suknią.

— Kpisz — jeszcze zdołałam zaśmiać się chrapliwie. — Przecież umieram.

— Przed tobą następne życie.

— Jakże cię rozpoznam, twarzy nie widzę — próbowałam głośno wymówić pytanie. —

Powiedz choć imię!

I z tym okrzykiem, westchnąwszy, umarłam, a moja dłoń ześliznęła się z miękkich włosów niewolnicy. Wysunęłam się lekko z ciała, które, niepotrzebne, już mnie nie pokona. Któż to leży na poduszkach? Czy to władczyni, czy tylko jej ciało?

Trzasnęły drzwi, wbiegli zbrojni z pochodniami. Zamęt się zrobił, krzyki.

Jestem tutaj — chciałam im powiedzieć, ale się targowali o ciało na łożu, więc odeszłam.

Jakież cudowne uczucie. Wolność i lekkość. Nigdy nie przeżyłam chwil tak wzniosłych. Nie umiałam znaleźć właściwego słowa, ale w tej rzeczywistości słowa jeszcze istniały, więc to najważniejsze przyplłynęło do mnie i nazwałam swój stan: ekstaza.

Ale potem już nie znałam słów. Czułam się dobrze. Nie wiedziałam, gdzie jestem, co nazwać górą, a co dołem, nie pamiętałam o istnieniu ludzi, nie umiałam odróżnić dobra od zła. Istniałam.

Kiedyś poczułam, że wsysa mnie siła i znalazłam się w ciepłym zagłębieniu. Powyżej coś stukało, upływał czas. Potem porwał mnie wir i obracał jak drewnikiem na falach. Kręciło mi się w głowie, utraciłam orientację, światy się pomieszały, aż poczułam ból.

Dławiłam się powietrzem, zrobiło mi się zimno. Zaczęłam krzyczeć, bo znowu miałam ciało.

— Nie! — broniłam się. — Nie chcę!

Znalazłam się w obcej rzeczywistości, chciałam pójść z powrotem, tam, skąd przybyłam. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam otaczające mnie szafy urządzeń elektronicznych. Stały blisko mnie, jak wrogowie.

To matryca życia — pojawiła się w mojej głowie myśl. W głowie? Nie umiałam się zdecydować, czy w głowie, czy w mózgu. Nie umiesz zdjąć złotej sukni, sama zapinasz haftki po samą szyję, to ty mocno zaciągasz sznurówki gorsetu — na wszelki wypadek, by ciało się nie wymknęło spod kontroli. Przekonasz się, kiedy zobaczysz przeszłe sprawy i zrozumiesz ich nowy sens.

Tuż przed moimi oczami wahadłowo poruszał się licznik. Na czole czułam nieznośny ucisk obręczy. Nie wierzyłam słowom wkładanym w moją głowę przez zaprogramowane maszyny. Uniosłam ręce i zbadawszy obręcz stwierdziłam, że przewody znikają we wnętrzu jednej z szaf. To one, te elektroniczne urządzenia miały wpisany wzór swego tranzystorowego życia, nie ja. Bileter o wyglądzie zapoznanego geniusza pewnie przez wiele wieczorów wystukiwał ich programy. Mniej jednak tajemnicze niż karty taroka.

Zdjęłam obręcz i zaczepiwszy ją o poręcz fotela wyszłam z wystawy. Zamyślona nie zauważyłam nawet, kiedy się znalazłam na swojej ulicy. Była już noc. Wokół mnie stały domy przypominające szafy. Pomyślałam, że gdybym weszła przez pierwsze z brzegu drzwi, trafiłabym do ponurego labiryntu bez wyjścia.

Między dwoma rzędami czarnych bloków przeciągnięto drut. Wisiała na nim lampa z metalowym kloszem, chybocząca się to w jedną, to w drugą stronę. Za każdym powolnym poruszeniem snop światła przywoływał rzeczy do istnienia.

Chciałam iść do domu. Gdy oparłam rękę na poręcz schodów, zauważyłam, że u ich podnóża stoi mężczyzna i przygląda się mojej zawstydzonej twarzy. Wszak przed chwilą pożegnałam się z innym.

— Widziałeś? — szepnęłam.

— Tutaj istnieją same rzeczy — powiedział — toteż nie umiem nazwać tego, co zrobiłaś.

— To dziwne. Przecież zawsze miałam słowa, a wewnątrz nich nie było rzeczy.

— Powiedz choć jedno takie słowo.

— Miłość — odpowiedziałam bez wahania.

— Nie rozumiem, pamiętam tylko rzeczy. Noce pamiętam, ciało — kiedy mówił, jego

wargi wywijają się jak glisty. — Te rzeczy należały do mnie.

Wrócił — pomyślałam z niepokojem — może zechce się targować o moje ciało. Lecz przypomniałam sobie, że pozostawiłam je w wielkim czarnym łożu ze złotymi kolumnkami.

— To nie ty stałeś u wezglowia — powiedziałam, ale on wyciągnął ramiona.

Na ulicy pod skrzypiącą rytmicznie lampą pojawili się rowerzyści. Wynurzywszy się z zaułków jak z czarnych rękawów, kręcili na asfalcie ósemki. Noc nagle wydała mi się żywa, tyle w niej było ruchu, ostro migających szprych, bieli i czerni pojawiających się na przemian. Nie mogłam skupić uwagi na mężczyźnie, stojąc pośrodku migotliwej, żywej nocy, która wciągała mnie do swego wnętrza.

Wyobraziłam sobie, że wydarzenie przebito kartą taroka, że rowerzyści, jadący sennie znikąd w nieznaną, i figury na asfalcie muszą mieć jakieś znaczenie.

— Sens węzłów? — zagadnęłam mężczyznę cofając się. — Symbole nieskończoności?

Zrozumiałam, że ta rzeczywistość przemawia do mnie rzeczami, których nie umiem nazwać.

— Jaką jesteś rzeczą? — zmarszczyłam czoło, przyglądając się mężczyźnie. — Jakie masz imię?

Jego ramiona były pokryte piegami, między którymi rosły włosy, a ciało miało tak ciastowatą konsystencję, że mogłabym się do niego przykleić, jak do języka żaby. Przeniosłam wzrok na twarz, pod oczami zauważyłam wypukłe krople potu. Coś do mnie mówił, jego usta się poruszały, przypominał mi ślimaka, który się ślizga po szybce akwarium i otwierając, i zamykając otwór gębowy pochłania glony. Był nim zawsze, teraz widziałam to wyraźnie.

— Zabierzcie mnie! — zawołałam do rowerzystów, próbując pochwycić za kierownicę.

— Czy wiesz, co oznacza jazda? — zapytał jeden z nich. — Skąd przybywamy, dokąd dążymy?

— Poczekaj na czarną karetę ze złoceniami — odpowiedział ostatni. I zniknęli. Zrobiło się pusto i czarno.

— Więc tylko taki mamy wybór? — zapytałam patrząc na mężczyznę. — Moje ciało pozostawiłam na łożu pod złotą kołdrą. Nie mam żadnej rzeczy, którą mogłabym ci ofiarować — i odwróciłam się, nie czekając na jego reakcję.

Pomyślałam, że powinnam powrócić na wystawę i rozprawić się z maszyną. Muszę ją złamać — postanowiłam zakładając obręcz i wtedy olśniła mnie myśl: A może w ogóle stąd nie wychodziłam?

Szłam przez duże pokoje, zastawione szafami urządzeń elektronicznych, prześlizgując się wąską szczeliną pomiędzy pudłami piętrzącymi się od podłogi do sufitu. Czułam się jak zagubiona figurka szachowa w grze, której reguł nie znałam. Błądzenie trwało długo, a ja wciąż nie znałam celu tej wędrówki. Nagle drogę zagroziła mi wysoka atrapa przedniej ściany jakiejś maszyny. Wyglądała okazale, ozdabiały ją podwójne ramki liczników i czerwone szybki. Ale — pomyślałam — lśnienie metalu przeszkadza śledzić wskaźniki, a barwa szkła utrudnia odczytywanie cyfr. Niepotrzebne tu ozdoby — tego byłam pewna.

Atrapa nie ukrywała za sobą urządzenia, była nazwą niczego nie oznaczającą. Znalazłam się w rzeczywistości słów. Musiałam z niej wyjść, więc obeszłam atrapę z obu stron, zrobiłam krokami ósemkę i znalazłam się w punkcie wyjścia. Zrozumiałam wówczas sens tej figury i tu umiałam go wyrazić słówkami.

Od tyłu atrapa była wykonana niedbale. Odłamana krzywo z formy i sztukowana tekturą. Kiedy ponownie stanęłam przed jej przednią stroną, zauważyłam, że klęczy tu człowiek, a jego wyciągnięte ręce dotykają atrapy. Naprawiał urządzenie, które nie istniało. Po chwili zauważyłam, że do łokci zamienił się w miękką tekturę i powoli zlewa się z atrapą w jedno. Ależ tak, był nią zawsze, lecz dopiero teraz umiałam to nazwać.

Jakże się wstydziłam, należałam kiedyś do niego. Odwróciłam głowę i odniosłam wrażenie, że jestem daleko od tego mężczyzny. Obejrzałam się naokoło i zobaczyłam, że nie ma

ścian, chmury przepływają przez moje czoło, a malutki człowieczek kuca na dnie przestrzeni. Wciąż odwracałam głowę wzbraniając się przed jego widokiem. W gardle wybierała mi ślina obrzydzenia. Czułam, że moje usta są czarną otchłanią ziemi, tunelem, przez który można wpaść do samego jej środka. Zacisnęłam zęby bojąc się, że człowieczek, jak czarna mucha, wleci mi do ust, a ja nie będę mogła go przełknąć. Od tego obrzydzenia czułam, że sztywnieję, zamieniam się w kamień. Stałam wysoko, z odwróconą twarzą, zaciskając zęby, a moje ciało przeistoczyło się w kamienną rzeźbę.

I on się przemieniał. Miętkły mu ramiona, rozlewał się brzuch, aż wreszcie zamieniony w płynną masę wsiąkł w atrapę. Zniknął, jego górna warga — prostokątna i wstrętne — stała się trzecią ramką licznika, a oczy kolorowymi szybkami.

— Ha, ha! — zaśmiałam się widząc, że jego nos to śrubka z krzyżykiem na śrubokręt.

Przez moje ciało przebiegały cicho zygzaki pęknięć — kruszyłam się od hańby przenikającej mnie na wspomnienie mężczyzny. Nie czułam bólu, byłam stosem pokruszonego kamienia, na którego szczycie leżała biała głowa. Jej kamienne wargi wykrzywiały niesmak.

— Przepraszam cię — powiedziałam do niej. — Nawet nie wymówię jego imienia, choć tu jest świat słów.

Ale głowa nie odpowiedziała, leżąc cicho i cierpiąc. Uniosłam ją i okazała się lekka jak skorupka porcelany. Miała wycięte szparki oczu.

— To maska teatralna — powiedziałam głośno. — Mam odgadnąć swoją rolę? Lecz w czym życiu?

Wiedziałam, że pora przejść do innej rzeczywistości. Rozejrzałam się: kamienista równina ciągnęła się aż po horyzont. Chciałam przez nią przejść, lecz okazała się cienką warstwą farby jak na średniowiecznym malunku.

— Kto mi podpowie moją rolę? — zapytałam głośno i usłyszałam turkot karety.

Zrozumiałam, że jestem w rzeczywistości nie nazwanej, głębszej niż wyobraźnia, w której wszystko dzieje się we mnie, posłuszne prawom ukrytym i nie wypowiedanym. Już widziałam złocenia karety, kręcone kolumienki, drżące po bokach latarnie i koła podskakujące na kamieniach.

Była już blisko.

— Kto się kryje pod maską? — krzyknęłam. Na pikowanych, czarnych poduszkach nie siedział nikt, toteż nie otrzymałam odpowiedzi, a szóstka karych koni rwała w dal ku przeznaczeniu.

Znalazłam się na podwórku w mauretańskim stylu i zrozumiałam, gdzie jestem i z jakiego powodu. Było wyłożone gładkimi lśniącoymi taflami, w których odbijały się jak w lustrach donice. W donicach rosły drzewka pomarańczowe, była właśnie pora kwitnienia, na gałęziach siedziały niebieskie ptaszki i czyściły sobie skrzydełka. Gęste powietrze pachniało kwiatami i mlekiem migdałowym, jakim się naciera ramiona. Przechadzałam się powoli pod kunsztownymi portykami, odgadując swoją rolę.

Więc on tu mieszka — uświadomiłam sobie. Byłam jednak pewna, że to podwórko tylko sobie wyobraziłam i że będę musiała to odcierpieć.

Jego nieobecność wypełniała powietrze niby mgła. Właśnie stąd odszedł. Oto na kamiennej ławce stoi kałamarz z wetkniętym piórem i leży blok listowy. Napisał do mnie list i poszedł go nadać na pocztę. Czy włożył do koperty płatki kwiatów pomarańczy, piórko niebieskiego ptaka i zapach wieczoru, który nie ujawnia tajemnic?

Bałam się, że powróci z poczty ma swoje wewnętrzne podwórko, na które nie wolno nikomu wchodzić, i zastanie właśnie mnie. Nagle zawstydziłam się swojej sukni. Jakże była niestosowna na ten wieczór. Zbyt sztywna od złota i ciężka, kryła ramiona, które należało natrzeć mlekiem migdałowym. Zaczęłam odpinać haftki i rozplątywać sznurówki, które mnie zawsze więziły. Lecz kiedy się wyśliznęłam z sukni, jak ze złotego pancerza, zauważyłam, że nie mam ciała. Zostawiłam je przecież na łożu pod błyszczącą kołdrą, kiedy byłam umarłą

władczynią, to ono odjechało czarną karetą. Zaczęłam się obawiać, że już go nigdy nie odzyskam. Zdałam sobie sprawę, że już go nigdy nie zrozumieć, a ono mi nigdy nie przebaczy.

Wysoki mężczyzna wszedł na podwórko i pochylił się nad pustą suknią. To byłeś ty. Znalazłeś list i poszedłeś go czytać na kamienną ławkę pod drzewo pomarańczowe. Miałam ten list zawsze. To ja do ciebie pisałam, lecz nie znałam twego imienia. Kto się kryje pod maską? — przypomniałam sobie pytanie i znalazłam odpowiedź: Persona, czyli nikt.

Nawet mnie nie zdziwiła ta sprzeczność. Jestem przecież dla ciebie i Personą, i nikim zarazem. Zrozumiałam również symbol nieskończoności — ósemki kręcone kołami rowerzystów. I znaczenie kart rozumiałam. Śmierć, czyli ekstaza, a może miłość. Usłyszałam wówczas twoje imię, które przeczytałeś i z najwyższym wysiłkiem odwróciłam głowę od portretu prababki, która mi nie przebaczyła, moja dłoń ześliznęła się z miękkich włosów niewolnicy.

Pewnie stałeś ukryty za kolumną łoża, bo nie zdołałam cię dojrzeć. Odetchnęłam głębiej. Wbiegli zbrojni z pochodniami.

— Imię?

Zrozumiałam wówczas, że nie ma wyjścia, wszystko jest jednością i postanowiłam w ogóle nie umrzeć. Byłam jak w ekstazie z powodu tego odkrycia, wiedziałam już na pewno, że zawsze dojdę w to samo miejsce, skądkolwiek bym wyruszyła i słowo „do”, a także słowo „od” znaczą to samo, lecz zaledwie w przeciwną stronę, tak samo jest z życiem i śmiercią.

Zapalono światło i ktoś powiedział:

— Zwiedzanie skończone.

Ale nie mogłam się zdecydować, w którą rzeczywistość powinnam dać pierwszy krok. Uniosłam ręce ku głowie i zdjęłam to, co mi nałożono: obręcz z przewodami idącymi ku jednej z szaf czy złotą koronę?

Emma Popik

Rafał A. Ziemkiewicz

Trzy sekundy

Teraz

Jakoś jaśniej ten sam dobrze znany pokój jakoś zupełnie inaczej Światło jak kantem w oczy eksplozja ten sam dobrze znany pokój dwa i pół na cztery metry obskurne ściany oblażący tynk czerwony wytarty chodnik z wdeptanym popiołem niedopałki papierosów dym Siedzę na łóżku pod przeciwległą od okna ścianą za plecami po prawej stronie jakiś metr drzwi szeroko rozstawione stopy plecy o ścianę po lewej prawe dwa łóżka stół to wszystko I w czterech w uniesieniu muzyka kompakt pod stołem przysunięty do ściany pijacka teodycea

Ant pochylony lewa dłoń na blat stołu w prawej butelka pełna szklanka wódki właśnie odstawia butelkę podnosi szkło z trudem się nie przewraca Wy nie wiecie chłopcy skąd macie wiedzieć chociaż wszyscy szukamy zawsze szukaliśmy tego samego ja wiem nagle teraz dopiero poczułem teraz Ból jedyny prawdziwy gdzieś od stóp nitki krzyku przez trzewia krtań pod czaszką unoszę ręce do twarzy pochylam się nikt nie zauważa Freza uśmiechnięty wszystko pokrywa tym krzywieniem mordy Teraz Widzę jak prześwietlenie całe życie myśli przeszłość przyszłość i jego i innych O Boże moja głowa Dlaczego Dlaczego tak nagle właśnie ja właśnie teraz widzę zawsze się zgrywałeś Freza na co to wody ile wlezie i co noc inna takie zasłanianie się ile się dziewczyn w gruncie rzeczy wiesz że ważna jest tylko ta jedna jedyna ja znalazłem chyba każdy chce znaleźć ale na to trzeba być dla kobiety czymś więcej niż dobrą świeczką wybacź wulgarność Zresztą czy to ważne czy zmyślanie nie są prawdziwe Ty też będziesz miał swój moment gdy zabiją Honeta odniesiemy trumnę ktoś rzuci dowcip

kto następny wtedy patrząc na świeży krzyż powiesz Ja raz w życiu staniesz się wtedy piękny to już niedługo tylko Dwa miesiące ale na razie widzę na wylot taki sam zakompleksiony gnojek jak my wszyscy i cały nasz parszywy wielki Halgland jeszcze czas jeszcze Honet myśli pijany o dziewczynie która nie zdąży go zechcieć zanim pokocha go stał Brough cztery kule lewe oko szyja obojczyk i między szóste a siódme żebro jeszcze ma w głowie jakiś rysunek To co tworzymy pijani zawsze się wtedy wydaje świetne rzygać się chce Historia zbliża się do nas wielkimi krokami te chwile gdy napompowany adrenaliną po uszy chcesz tylko zabić i jednocześnie uciec żeby nie zabili ta wściekłość rannego zwierzęcia zabić wbić pięść w zęby wdusić aż w płask Ant on przeżyje nawet mnie całą tę nieszczęsną rebelię zdechnie gdzieś na Uesdzie czasem lepiej nie przeżyć przegranej Dlaczego teraz zawsze się starałem chciałem jak wy a teraz tak naprawdę poczułem Boże jaki to ciężar ból jedyny prawdziwy jesteś łaskawy że każesz nam nie wiedzieć wiem mam tylko trzy sekundy i teraz zrozumiałem jak trudno to wykrzyczeć To tak nieważne ta pieprzona wspaniała planeta o której jeszcze przed chwilą tak bez przerwy mówiliśmy i myślimy chociaż nikt tego nie powie co dla niego znaczy słowa zbyt wytarte zeszmaczone wstyd ich używać teraz same złudzenia Wszystko jedno tu czy tam Ziemia Uesda Halgland czy Ingleria jeden jedyny prawdziwy czasem tylko skurcz spazm świata i wtedy najłatwiej zrozumieć a jednak pójdziemy i będziemy się bić gdy każą gdy to coś najświętsze to gdzieś w najczystszy skrawku duszy powie czas umierać przynajmniej z honorem Jeśli potrzeba i tak bez szans i to jest to jedynie prawdziwe to nasz los to ci sami My od wieków to My byliśmy w tych tysiącach popularów trupy gnijące w Tybrze My płoniliśmy w lochach na palach krzyżach gilotynach tucziliśmy oprawców wszystkich epok My nienawdził My kochał My cierpiał ginął i to zwycięstwo ostatnia nagroda jeśli są nagrody bo czy jest inny sens życia Teraz widzę co będzie i było i jak my w tym wszystkim nieważni jak nic nie wiemy a jeszcze i to nie do zniesienia aż musimy się odurzać ci co nie wytrzymali na straty narkotyki zamyślenie chwile ucieczki bez których tak trudno by nam było żyć oby tylko chwile

Napinam wszystkie mięśnie aż drżą struny pięści głowa coraz niżej czy pamiętałem pamiętacie Być twardym wytrzymać wszystko najwyższe przykazanie Głowa pęka ból ogień zbyt wiele nagle teraz ten ogień czuleś czasem taka gorycz przygnębienie ból istnienia ktoś to kiedyś tak nazwał więc to tylko cień ślad tego bólu wiedzy błogosławieni głupcy a ja zmiażdżony Dlaczego mnie wysłuchałeś moich modlitw o to by zrozumieć to ponad moje siły zimny pot już nie chcę widzieć słyszeć czuć a to dopiero

pierwsza sekunda minęła

jeszcze wiem Dwie sekundy to mi jest dane więcej jak całe życie więcej jak przekleństwo całego życia niech będzie błogosławione Co o tym wiemy bo co o tym wiemy życiu piszemy swoje głupie zmyślane historie głowimy się jak przeskoczyć którego wydawcę wbić się na rynek na to tracimy energię a co w tym o życiu w tym co ja Freza Ant głupie opowieści gdybym mógł tysiączną część tego co wiem teraz na tę chwilę objawienia Ale jak to zrobić nigdy nie napiszę to co teraz nie do opisanie nie ma słów nie ma pojęć chyba gdybym strumieniem świadomości też na nic zresztą mówiliby że niezrozumiałe grafomania sam bym mówił wybrzydzał przecież zawsze głośno musi być akcja warsztat musi się czytać zresztą wiem zapomnę szybko to dar bo nie mógłbym żyć pamiętając te trzy sekundy mój mózg na co dzień za mały nigdy by tego nie pomieścił Tylko pokazane na chwilę i zabrane Muśnięcie wielkiej tajemnicy będę żył normalnie póki nie wybije mój czas tylko chwilami twarz przy oknie oczy wbite w niebo nocne rozmowy te najwięcej warte w skrócie życia i będę tęsknił za tym co teraz mam i nie mogę z tym wytrzymać Będę pisał swoje wymyślane opowiadania ze zgrabną fabułą i nic nie warte Tylko jakiś smutek cień wtłoczony w trzewia że gdy spotkam swój kawałek stali Śmierć Pocieszycielka bać się nie będę bo chyba byłem twardy wytrzymałem chyba

Wszystko to te rozmowy książki myśli uczucia wiedza człowiek My który kocha

nienawidzi setki barw odczuć miłość czy tej jedynej pierwsza i ostatnia myśl wszystko To na jednej szali a na drugiej bryłka ołowiu kilka gram dziewięć milimetrów średnicy i to przeważa i koniec Oto matematyka historii bezsens nie Nic nie jest bez sensu tylko na pozór dla nas ale My nie jest celem sensem świata My jest tylko jak wielki egzamin niech zrobi co do niego należy wytrzyma żyje godnie kto inny oceni a potem raj albo złote runo nicości nieważne to święte wykonać po prostu trzeba i nie oglądać się na nagrodę I chyba to najbardziej ten ból jedyny prawdziwy z tym bym nawet nie mógł z wami rozmawiać bo wy nic nie wiecie odurzacie się ot balanga Ant chwije się niesie szklanekę wódki te same rozmowy o niczym wciąż i wciąż kukły z drutu pajacyki na sznurkach nasz rozmamłany sen o wielkości myślicie sam myślałem a co za sens byłby w życiu w tej rebelii poza samym czystym buntem tylko za te parę miesięcy złuda to uniesienie narkotyk gdy pomyślimy że coś zmieniamy z tym byłem naszego pieprzonego wielkiego Halglądu. Im więcej się czuje ale nie wszystko jest trudne nie znienawidzić ich tego bydła pijanego tłumu gnijącego naszego świata śmierdzącego na ulicach w kolejkach nawet nie twarze tylko mordy tępe robaczywe pożeracze życia skacowane z wrzodami pryszczami mordy rozejrzyj się kiedyś na ulicy jak mało twarzy Tamci będą pytać i dla kogo za co się poświęcać bądź jak to było szczęśliwe albo jak my i kto nie wie nie czuje że jest wybrany może w to uwierzy i przegra do piekła nicości razem z tymi co wygrali może z ulgą rzucą grudę ktoś pisał może jednak będzie jakaś nagroda Tego nawet ja Teraz nie wiem Zresztą czy to ważne coś nas z tym tłumem wiąże i coś mu jesteśmy winni za jego podłość obojętność nie nasza sprawa ich sądzić zrobimy to co do nas należy

I ten ból jedyny prawdziwy jak to trudno nawet jeszcze nie zauważyliście co dzieje się ze mną mojej wykrzywionej twarzy pięści przy skroniach otwartych ust Fakt to tak nagle skąd możecie przypuszczać muzyka wódka o czym to wtedy mówiliśmy chyba zapalałem papierosa jeszcze go trzymam zmiażdżonego w pięści nie zdążyłem sięgnąć po ogień Jest późno mało co się o tej porze kojarzy

druga sekunda

Głęboki wdech przepona napina się chcę krzyczeć krzyczeć to też jest coś warte krzyk ostrze w sam środek tajemnicy ktoś to kiedyś napisał wszystko ktoś kiedyś napisał nam zostało tylko krzyczeć i coś czasem małego od siebie dodać nic już nowego zachwycamy się tymi co kiedyś zbłądzili gdzieś na peryferia tajemnicy bliżej Boga to dla nas tak wiele ale jak to daleko od samej tajemnicy tej której nie można wiedzieć której nie można napisać bo nie złożona w słowach nikt tego nigdy nikomu nie będzie mówił więc po co słowa nawet teraz sobie tego nie uświadamiam czuję tylko nigdy tego nie powiem nie umiałbym Zresztą po co zrozumielibyśmy z tego tylko tę część która mówi że nic nam znane nie jest w sobie ważne prawdziwe tego co ważne prawdziwe może nikt by nie pojął więc po co odbierać wiarę cóż jest wart człowiek bez wiary jest jednym z tamtych którzy chcieliby niebo zamalować na czarno sprawnym narzędziem do zadawania bólu wybranym Chcę krzyczeć nigdy tego nie napiszę nigdy nie będę, pisarzem to tylko mój zawód umieć rozpalać serca budzić gniew i łyżę dać świadectwo rebelii temu cierpieniu które będzie choć niczym od innych nie będzie się różnić trzeba tylko wytrzymać nie uciec to najgorsze co można gdy już nie sposób wytrzymać Krzyczeć za chwilę zacznę krzyczeć nagle zwolniona przepona pchnie powietrze do gardła zewrą się gwałtownie chrząstki nalewkowe ściągające wiązadła uniesie się język i z tym nieartykułowanym wrzaskiem osunę się na podłogę czołem do wytartego chodnika czas znów popłynie normalnym tempem zagłuszyć myśli Ant wypuści szklanekę z ręki potem do rana będzie kurwa mać kurwa mać tyle wódki się zmarnowało i już po wszystkim nie będę wiedział a potem pamiętacie tę balangę u Honeta zanim go ci nieznani sprawcy ale żeś się wtedy zalał zacząłeś wrzeszczeć co Pamiętam powiem a nic nie będę pamiętał bo nie mógłbym z tym być normalny i normalnie iść na rzeź z innymi swoją drogą To była kara czy nagroda dotknięcie tajemnicy gdyby Ona tu była nie lubi gdy pijemy gdyby była chciałbym spojrzeć na nią może nie krzyczałbym miłość jest prawdziwa i ból jest prawdziwy kto to kiedyś pisał tak chcę tego wiem ile

razem z nią czeka nas cierpień i nic nam nasza bliskość nie ulży ale przed tym nie wolno uciekać więc lepiej nie wiedzieć nie czuć tego co teraz czuję My musi kochać musi nienawidzić chociaż My nic nie ma nic nie odziedziczył żeby złapać się w tej próżni przytwierdzić ustawić swój świat zabrali mu wiarę Boga ludzi prawdę wszystko zniszczyli nie sądźmy swych ojców My nie ucieknie będzie jedyny prawdziwy

Pochylam się jeszcze niżej i oto powietrze z płuc zaraz trzecia sekunda zaciśnięte gardło i krzyk jeszcze te pół ćwierć sekundy to już nie do wytrzymania krzyczeć zagłuszyć chcę nie wiedzieć chcę nie czuć więcej od nich Ant widzę jeszcze zanim twarz do ziemi jak szarpnięty wrzaskiem rozluźnia palce przerywają rozmowy twarz nisko w kurzu Teraz

Widzę jak szklanka powoli spada na podłogę i prawie bezgłośnie rozbryzguje się na dziesiątki roziskrzonych okruchów

Rafał A. Ziemkiewicz

Jerzy Ignaciuk

Ryba dzieciństwa

Leżę w łóżku. Wielkim jeziorem choroby. W łóżku dnia o wielkiej liczbie, niemego, niby rozwłóconego chmurami wysoko za oknem, a przecież sięgającego aż tu, głęboko na poduszkę i kłamiącego w oczy nieprawym światłem, że jest lepiej, i ograbiającego z nielicznych, jeszcze wiernych zabawek. Dokąd płynie biała rybka o błękitnych oczach? Uciekła, zanurzyła się w kwaśne jezioro przepoconej pościeli, drżąc z lęku, bo oto znad domów wzniósł się samotny i gorzki dym zmierzchu, i pcha swe wilgotne, bezczelne palce aż tutaj. Odchodzący dzień pragnie jeszcze jednej zdobyczy. Ale już wybiegają mu naprzeciw czujne straże lamp i zatrzymują w bezpiecznej odległości od okien. Wybija siódma.

Jestem za mały, by tak chorować. Wiem to z dłoni mamy i oczu dziadka, i z nagłej ucieczki białej rybki. Jeśli szybko nie stanę się mężczyzną — przegram. Moje ciało mówi — przegrasz. Nie poznałem go jeszcze, nie pogodziłem się z nim ani nie zawarłem przymierza przeciw życiu i chorobie. Jest obce i nieposłuszne. Nikt nie słucha dzieci, więc czemu właśnie ono miałoby zachować się inaczej? Ale tego wieczoru dziadek uczyni mnie dorosłym. Uległy mu dom już szykuje wieczerzę inicjacji. Roztargnione kobiety niespiesznie czyszczą i prasują odświętne ubrania, podczas gdy mężczyźni, ciężko wsparci na parapetach, palą papierosy i bezmyślnie spoglądają przez szyby w martwe oczy ulicy. Pokoje pachną rozprażonymi żelazkami, krochmalem i wilgotnymi skrętami tytoniu. Gdzieś od parteru płynie słodki i niezrozumiały jak naga kobieta, którą widziałem na fotografii, zapach gotowanej ryby. Mama pomaga mi włożyć zbyt obszerne, granatowe ubranko i wyprowadza, łagodną dłonią cierpliwie rozplątując gorączkowy różaniec mych kroków, na korytarz. Na naszą cześć dom rozbrzmiewa jazgotem przekręcanych kluczy i skrzypem otwieranych szeroko drzwi. Rodzina wysuwa się ze swych pokoi. Błądzimy w półmrocznych korytarzach, spotykając się i rozchodząc w cichym szmerze kokosowych chodników. Ale wreszcie ktoś szczęśliwie natrafia na schody i przyzywa resztę ściszym, radosnym okrzykiem. Schodzimy za nim. Już parter. I gdy chcę skrócić za cioteczными braćmi i kuzynami do dziecięcego pokoju, mama lekko popycha mnie dalej. Gorący prąd radości, słonawy na wargach i powiekach, porywa mnie i zatapia, wdziera się w obolałe gardło cichutkim, zwierzęcym skowytym niewysłowionego szczęścia i nadziei. Z całej siły zaciskam palce na dłoni mamy i czuję, jak oddaje mi uścisk. W błogiej, szkarłatnej mgłę otwierają się przede mną ciemne serca drzwi. Wyleniały próg łąsi się do odwykłych od chodzenia stóp cicho mrucząc. Zachłystuję się powietrzem, by nie krzyczeć, nie zanieść się oszalałym, chorym ze szczęścia i przez nie uzdrawianym krzykiem. Gdzieś za plecami, w

głębi korytarza, zatraskują się drzwi dziecięcego pokoju, a ja wchodzę do jadalni.

Zastygłe w żarze, trwożnie skupione wokół smolistej purpury knotów, ogarki świec osuwają się pszczelimi kroplami po ranach okaleczonych świeczników. Spadają na pokój gęstym, lipowym miodem światła. Bezradne, odbite od poczerńiałych ścian, duszą się w ciężkich łatach obrzęklej wiśniowym kurzem kotary, i, wreszcie odnalazłszy swe miejsce, wybuchają spóźnioną, mroczną kulą nad miejscem, gdzie domyślałam się stołu. Zaslaniają go nierówne, nadłamane oparcia krzeseł, nad którymi przesuwiają się, włosy jasne i ciemne, wszystkie pokryte miękką patyną świec. Mama prowadzi ku nim. Z trudem odsuwa ciężkie krzesła. Wdrapuję się z wysiłkiem na wysokie, twarde siedzenie i, na próżno usiłując powstrzymać dreszcz, sen zmęczenia, rozglądam się wokół. Są już wszyscy. Dziadek i babcia, ciotki i wujowie, i nawet ojciec, zdrajca tak dawno nie widziany. Patrzą na mnie bez uśmiechu. Tylko ojciec krzywi się, bo przecież już dawno złożył mnie ofierze spokoju, a ja wciąż jeszcze pcham mu się przed oczy. Ogromny, krzywy stół poraża śnieżną bielą obrusa, triumfującego nad chudym i żółkłym światłem. Len wykrochmalonej materii przeży się połyskliwą taflą i pewnie unosi na sobie półmiski i talerze, dźwiga karafki, wazy i kieliszki, szczyli się uświęconym symbolem potraw. Szczupaki, sandacze, śledzie i płotki, pstrągi. Święty nakaz nie dopuścił na stół tych, co umierali krzyżując. Odepchnął w lęku, że ich wołanie jest nazbyt bliskie śmierci, co przyjdzie tu za nimi i spojrzy na mnie. Prawo do stołu ma dziś tylko śmierć ryb, jarzyn, owoców i grzybów. Pachnie borowikowy barszcz i rumienią się paszteciki, a chłodne wnętrza waz kryją w makowym, sennym płynie twarde kostki śliżyków, chronią przed światłem purpurę żurawinowego kisielu, gorzkawy brąz kompotu z suszonych owoców. Ciasta leniwie mrugają rodzynkami, drobinami fig i migdałów. Tylko szczyt stołu, tuż przed miejscem, gdzie siedzę, nie poddał się ich panowaniu. Biegnie szeroko, niepokalaną, białą przestrzenią. I teraz na to miejsce wolne, wyczekujące, spływa niebieskawy, ogromny cień półmiska z wielką, pokrojoną w dzwona, gotowaną rybą. Śmierć, ostrze i ogień, przez które przeszła, odarły z niej imię wraz z łuskami. Nie rozpoznaję nic oprócz ogromu i drażniącego, bolesnego zapachu daremnej nadziei życia. Oczy zachodzą łzami, ale ryba nadal pozostaje nieznaną historią narodzin, życia głębin i mielizn, męki w dławiącej bezlitośnie sieci. Należy do mnie. Wiem to, bo jest bezimienna, oddzielona ostrą krawędzią półmiska i śniegiem nieprzebytym obrusa od ryb mojej rodziny — bezzębnych szczupaków starości, kobieco głupich płotek, ociężałych i niechętnych sandaczy starzejących się mężczyzn, słonych łez śledzi, węgorzy tłustych pozornym dobrobytem. Tylko ona jedna nie należy, tak jak ja, do ich świata, który przyjmie nas oboje już wkrótce, lecz jeszcze nie teraz. Nie mogę dostrzec nigdzie ryby ojca, ale może po prostu nie jest głodny.

Czuje, że odnalazła mnie choroba. Silniejsza o głód i zmęczenie, zmusza, bym oparł się na ramieniu matki. Dlaczego nie zaczynamy? Co z moją wieczerzą?! Milczące twarze chyłają się nad pustymi talerzami, dłonie przywierają nieruchomo do obrusa. Wokół niektórych rozlewają się coraz szerzej ciemne obwódki potu. Światło mrocznieje, odsunięte poza granice stołu przez wszechwładną ciszę, rozkołysaną ciężko w rytm mego oddechu. Czasem tylko mignie czyjeś spojrzenie. Czyjś głód wyciągnie się nieśmiało ku mnie, ku połyskującemu w mroku półmiskowi z rybą, i spieszenie, w popłochu zawróci, roztopi się w bezgłośnym hałasie śliny. Przecież mają swoje ryby!

— Dziadku, kiedy wreszcie będę dorosły?!

— Poczekaj. Jeszcze chwilę.

Jestem chory, bardzo chory i wiem, że mogę nie zdążyć, ale też i wiem już, że prawdziwa dorosłość nie jest tym, co na zewnątrz jadalni — czynnościami i słowami dorosłych, tak pożądanymi przez dzieci. Ona jest tu, głodna przed pełnymi półmiskami, zaplątana w niewidoczną dla innych walkę bez litości ze sobą, oczekująca, i wpatrzona trwożnie w pustkę talerzy. Jestem dumny, że będziemy tak siedzieć wiecznie, że prędeż dom i Ziemia rozsypią się pod nami, niż znajdzie się pośród nas ktoś, kto pierwszy wyciągnie dłoń po rybę. Ale już

na dnie dumy kiełkuje przerażenie. Co z chorobą? Powtarzano mi tyle razy — jedz, a będziesz zdrowy. Dlaczego więc teraz muszę czekać? Dlaczego ponad stołem trwa wieczerza głodnych oczu, a niżej, tuż nad skamieniałym obrusem, wieczerza wzgardzonych, niepokalanych potraw? Tam gdzie się zetkną, rodzi się głód. Jestem chory, zły w swym głodzie. Oszukany. W opuchniętym gardle rodzi się: „Weź!”, „Sięgnij!”

Zdejmuję ostrożnie ręce ze stołu i wycieram dłonie o krawędź obrusa. W czubkach palców rodzi się pierwszy dreszcz wzmagającej się gorączki. Zapowiedź ruchu opanowuje przegub, wpływa w przedramię i ramię. Ręka podnosi się, mija krawędź stołu... I nagle nad nią przesuwają się cień szybszy od niej i bardziej drżący. Widzę szary, okrągły gest kociej łapy, porywającej półmisek ze stołu. Ojciec. Niesie rybę tuż przed moimi oczyma. Zaraz włoży jej kawałek na mój talerz... Pachnąca, słodka... Nie. Nadziewa tłuste dzwonko na widelec i rzuca na talerz. Na swój talerz. Odstawia półmisek. Siwawe wąsy sterczą nastroszone pod wąskimi, błyszczącymi w spłaszczonej kuli łba ślepiami.

— Ktoś musiał zacząć — parska i oblizuje wargi cienkim językiem. Rodzina odwraca od niego swą wielotwarzową głowę. Coś szepce do siebie. Dokonało się. Skronie ojca lśnią od potu. Czarne, krótko ostrzyżone włosy sycą się jej wilgocią. Je spieszenie, krztusząc się i pomrukując. Nisko nachylony nad talerzem rzuca niespokojne, wrogie spojrzenia. Wreszcie łapie kawałek ryby i miauknąwszy:

— Miałem coś załatwić. Minutkę... — jednym wspaniałym susem ponad oparciem krzesła znika za drzwiami.

Jedyny, który nie stchórzył, nie podporządkował się fałszywym, nakazom. Biegnie gdzieś teraz, silny, syty i wolny.

— Tak — mówi dziadek. — Nie spodziewałem się, że to będzie on.

Wszyscy martwieją pod jakąś nie znaną mi prawdą. Mama płacze. Ale, co tam! Oszukano mnie! Przyprawiono tu, ledwie trzymającego się na nogach, i kazano czekać. Pod obietnicą życia sycąc mój głodem i tak silniejszą ode mnie chorobę. Jedynym ratunkiem jest ojciec! Odpycham powstrzymujące mnie ręce mamy i biegnę przez jej płacz, przez opór ciężkiej klamki, w cudownie mroczne bezpieczeństwo korytarza. W kącie, na parapecie, siedzi szaro-czarny kot. Szczercząc zęby wysmoktuje lśniącego rybie kręgi.

— Tato! Tato, daj mi trochę... Jestem taki głodny, słabo mi...

— Precz! Precz! — prycha. — Idź stąd! Wracaj! Oni niech ci dadzą. Ja nie mam! Zjadłem. Idź!

— Jestem chory.

— Precz!

Zataczam się w stronę uchylonych drzwi dziecięcego pokoju. Słyszę ich śmiech, gdy zamykają się przede mną i jeszcze kpią szmerem przekręcanych od wewnątrz klucza.

Sunąc ręką po ścianie powoli wracam do jadalni.

Dziadek oddycha z ulgą. Wstaje i błogosławi mi, wieczerzy i rodzinie. Znów pochylamy głowy nad pustymi talerzami. I głód gdzieś znika, bo oto przed nami, wezwane przez dziadka, w znieruruchomiłym na zawsze śniegu, spełnia się błogosławieństwo odnowionego życia. Odradza się, by w nieposkromionej fali unieść moje życie wysoko, gdzie nie dosięgnie go żadna choroba. Jego wieczerza triumfuje nad wieczerzą śmierci. Upokarza, szydzi z jej cierpienia każdym pulsem świeżej zieleni, rwącym się spod daremnego głosu obrusa żdźbłem siana. Zalewa kipiącą spod bieli, pełną woni lata, falą. Życie wdziera się na obrus. Rozpryskuje na nim odzyskaną, wilgotną łuskę, ślepi nagłym błyskiem wygotowanych, szczupaczych oczu. Ożywają sandacze i pstrągi, wyrrywają z okowów galaret i sosów rozczłonkowane, skatowane ciała i łączą w jedno. Otulają gęstym mięsem zbielełe ości i kręgi, i zmartwychwstają zwycięsko w lepkiem pomlaskiwaniu płetw. W otoczce życiodajnego śluzu wypływają ponad płonące solą lzy nie posiadających się z życia śledzi. Pomiedzy nimi matowieją w brązach i ugrach wypiętrzone ku światłu kolumnady borowików, osypane różowawym, świe-

zym blaskiem żurawin i borówek. Ziarno wstaje z ciast i chlebów, i łączy się w poszukiwaniu kłosów, jeszcze nie dosyć dojrzałe, jeszcze nie syte orgii lipcowego żaru.

Przez chwilę wraca wspomnienie ojca, ale dziadek mówi:

— Nie płacz. To był zły człowiek.

I szybciej, dalej, szaleje karuzela na nowo przeżywanego życia. Kiście winogron sypią się z roztrzaskanych karafek, skrupiają nas zielonymi i fioletowymi fontannami soku; owoce zataczają ogniste koła, a z głębi wazy sypią się liliowe płatki maków. Nawet len obrusa drży i szarpie się bezradnie w pętach osnowy, ale nie jemu błogosławiono, więc tylko gdzieś wytryska niebieski kwiatek i zaraz więdnie. Oszałamiający, ślepy wir życia toczy się nad stołem i sypie nam na zmartwiałe głowy jagody, strzępy łusek i liście rodzynekowych krzewów, pomiędzy którymi już trwają bezgłośnie rybie pogonie. Stół drży, unosi się lekko, i nagle, gdzieś między ciotkami, wytryska bezwstydną źródło śmiechu. Już śmieją się wszyscy. Unoszą wysoko ręce, zrywają się z krzesel i chichocząc biegają w kółko. Próbuje łapać w zeszywniałe dłonie zwinne rybie cienie. Zadzierają sukienki i ciskają wysoko w górę marynarki. Pomnażają wybuch życia niczym krzywe lustra, wspomagają jego siłę swymi wątlami mięśniami. Nie bacząc na głód i słabość wiją się pod sufitem w splotach węgorzy, przelatują nade mną w jasnej rosie wina, by wreszcie, z głośnym „ole!” zastygnąć chwilę na oparciu krzesła i znów rozsypać się chrypliwymi kaskadami śmiechu. Tylko z rzuconego czasem na mnie uważnego spojrzenia, z czyjejs żyły napiętej i sinej, wiem, że to wszystko dla mnie. Niczym szamani zgiełkiem gestów, kolorów, wysilonymi łamańcami zaśpiewów budzą moje życie, zaklinają je, by dołączyło do nich, zwyciężając chorobę. Pokazują mi siebie wesołymi, zdrowymi i bogatymi, bym jak najszybciej zapragnął ich życia i stał się jak oni. Niósł dalej, w niedostępny już dla nich czas nazwisko naszej rodziny. Jedyne może dziadek i mama oszaleli bezinteresownie. Jeszcze trochę! Jeszcze! Jeszcze jeden wysiłek! A zobaczycie, dołączy do nas już nie dziecko, lecz zdrowy, normalny mężczyzna. Będziemy mogli zszarżyć i uciszyć się. Może nawet nasycimy czymś głód. Ale teraz tańczmy, tańczmy! Patrzcie, już się śmieje!

Uśmiecham się. Są tacy zabawni, tacy dobrzy. Skąd mogą wiedzieć, że to wszystko bez sensu? Jak im powiedzieć, że wściekłe, zmartwychwstałe życie wieczery syci się moją dziecinną tęsknotą za nim, tak bliskim a nieosiągalnym dla słabych, słabością nie do pokonania największym, najwspanialszym susem, najgłośniejszym śmiechem.

Dowiadują się o tym sami. Na półmisku przede mną dzieje się śmierć ryby. Tak wyraźna poprzez taniec nienasyconego życia jak głód. Poprzedzona tym tańcem, jego zachłanną, nie baczącą na nic beztroską. Niepomna wina, która ją wezwwała, ani nieoczekiwanej, bezsensownej grozy swego tu pojawienia. Na stole ogromne dzwona królewskiego karpia łączą się właśnie, wypełniają szkieletem i wnętrzościami. Życie jeszcze wygrywa. Rozpłataną brzuch okrywa się jasną wilgocią skóry, a boki znaczą złote pieczęcie żywych łusek. Skrzela drgnęły i ciężko wsparty na rozpostartych szeroko płetwach królewski karp uniósł się, by dołączyć do swych braci w milczeniu, przesuających się ponad nami w gęstym jak woda powietrzu wieczery. I wtedy, już przecież dawno pozbawiony nadziei, zrozumiałem, że oto zaczyna się cud największy, że ta ociężała, lśniąca ryba uzdrowi mnie poprzez swe życie, poprzez nie poskromioną niczym siłę. Karp poruszył mięsistym wachlarzem ogona i, już wzniesiony, już triumfujący, runął ciężko przez łeb, świecąc nam w oczy okrutną gwiazdą rozdartego boku — raną wyżartą przez ojca. Błada krew broczy po łuskach, zalewając wszystko bolesnym, drżącym światłem, a pod nią pulsuje nagie, mroczne serce i błyszczący obły kształt pęcherza pławnego. Królewska ryba wije się na półmisku, chlipie szeroko rozwartym pyskiem, wytrzeszcza ośleplę gałki brązowych oczu. Skrzela wzdymają się i opadają martwe, a płetwy miotają się w tajemniczych, przeczących sobie ruchach alfabetu śmierci.

Jest mi bardzo smutno, bo widzę dokoła triumfujące życie i coraz wolniej bijące serce ryby. Nic nie może nam pomóc.

Ale dziadek nie zamierza oddać mnie tak łatwo. Nachyla się nad znieruchomiałym cia-

łem karpia i ponownie błogosławi mi, ale już nie przez życie, ale przez śmierć. Ostrze błyska pradawnym znakiem ofiary i w dwóch ruchach uwolniona skóra spływa na bok, odsłaniając różowe, delikatne mięso. Dziadek odkrawa duży kawał i z wolna, pokonując rozpaczliwy opór nie pogodzonej ze śmiercią tkanki, oddziela od ości i kładzie na mój martwy talerz, który ożywa pod ciężarem błyszczącego, poprzerastanego tłuszczem mięsa; pod kroplami pachnącego słodko soku.

Dotykam lepkiej od krwi ręki dziadka i powtarzam za nim:

— Przysięgam na śmierć tej ryby nie pozwolić zawładnąć sobą żadnej innej śmierci. Przysięgam być zdrowy. Przysięgam milczenie i siłę. Przysięgam być nieufny i mądry. Przysięgam... Przysięgam...

Czuję, że został mi odjęty głos i lęk, że zabrano mi myśli szybkie i zbyt napięte nerwy, całą beztruską gibkość ciała. Gdzieś w głębi stygnie ostatnie źródło gorączki, zalane bladą, powolną krwią. Dziadek głaszcze po włosach.

— Jedz — mówi.

W skupieniu zatapiam bezkarnie zęby w drgające jeszcze w ustach kęsy. Jem. Żyję. Dokoła mnie żyją ryby, owoce, grzyby i jagody. Wyzwalają się z pąków wciąż nowe kwiaty i spływają na podłogę w poszukiwaniu ziemi strumienie ziarna. Stół jest ogromny. Pomieści wszystko... Surowe mięso na wargach, na języku. Słodki smak dorosłego życia, które witam pokornie, pamiętając o rybie, co je przyniosła.

Jestem mężczyzną. Sytym, sennym mężczyzną.

Jestem zdrowy.

Czuję ciężar opadających powiek, gdzieś za nim pozostali inni, głodni. Daleka ponad powierzchnią sytego świata, w którym czyjaś dobra ręka nakłada mi jeszcze jedno dzwonko ryby. Nie jestem głodny, ale zjem je. Muszę przecież nabrać sił. Podnoszę do ust i, już przytrzymując kęs wargami, wiem, że to nie ta ryba! Otwieram oczy, ale jest już za późno. W ustach tryska gorzki, dławiący sok i rozszarpuje podniebienie tępy, okrutny ból wdzierającego się w ciało haka. Szarpię się w tył i padam twarzą na stół, na brzękliwe roztrzaskujący się pod moim ciężarem talerz. Drgająca, nylonowa nić przecina język i jak krzyk wlecze za sobą ku dłoniom mężczyzny siedzącego na miejscu ojca. Wykręcam głowę, miotam się w rozstępującej się przed czerwienią potu bieli obrusa. Pośród nieruchomych, przerażonych twarzy któraś rozpaczliwie, starczo chlipie, ale nikt nie spieszy z pomocą, gdy tamten wlecze mnie przez rozbiegające się w popłochu białe fale. Ostatnim wysiłkiem obracam się na plecy. Tuż nade mną przemykają szczupaki w pogoni za oszalałymi z lęku płótkami, suną przez splecione pędy roślin, miażdżąc przejrzałe ciała owoców. Gdzieś z boku pachnie kwaśno, męsko grzybnią. Wolno, posłuszny sile obcego, wysuwam się spod lśniącej, bezmyślnej feerii życia. Boże, zabrać za sobą choć jeden kolor, choć jeden dźwięk, zapamiętać jeden ruch! Nieruchomiejąc wyciągam rękę i czuję, że coś małego, chłodnego wsuwa się w dłoń. Plastikowa rybka z błękitnymi oczami trąca zimnym pyszczkiem. Tulę się do niej. Tak mnie odnajdziecie.

Jerzy Ignaciuk

Opowiadanie pochodzi z tomu „Łowca kamieni (bajki małych ludzi)”, który wkrótce ukaże się nakładem „Iskier”.

Jacek Krakowski
Sodoma
(fragment)

Dokumentacja do wydania

Jeżeli coś zadziwia mnie w *Sodomie*, to jest to powieściowa ontologia. Powieść jest, jak w nocy zauważył sam Autor, groteską paranoiczną — można się cofnąć do Witkacego, można do *Patuby*, a można sięgnąć po coś nowego, np. *Nosorożca*. Można i zapewne kiedyś trzeba będzie to uczynić, aby ukryte związki i ewolucje stały się bardziej oczywiste. Ale powtarzam, nie frapuje mnie pytanie — jak została zrobiona *Sodoma*, lecz pytanie pierwsze — z czego jest utkana. Po pierwsze — *Sodoma* to rzeczywistość w y m y ś l a n a w toku dziania się. Są r ó ż n e Sodomy, jak różni są bohaterowie, którzy s ą (są nie zaś *działają*, o czym dalej). Inaczej mówiąc, *Sodoma* to różne nierzeczywistości. Jeżeli pierwsze jest prawdziwe, to drugie brzmi — *Sodoma* to postacie biorące udział w powieściowej intrydze. Powieściowa teza mówi: świat równa się ludzi, którzy ów świat wymyślają (tu można się odwołać do powieści poprzedniej, *Trans*, zbudowanej dzięki zasadzie analogicznej). Jeżeli obrazy Sodomy są groteskowe, paranoiczne, wyśnione, bezsensowne etc., to powieściowe postacie są absurdałne. Absurd Camusa przy spiętrzeniu proponowanym w *Sodomie* wydaje się dziecinny rojeniem o tym, co w literaturze można. Rzecz, powtarzam, nie w technice, lecz w ontologii. Camus, Sartre, Ionesco, Beckett i inni drążyli absurd jako element tragicznej kondycji człowieczej. Krakowski inaczej — absurd jest sam w sobie i sam się sobą żywi. Powieściowe postacie są także w y m y ś l a n e w toku dziania się. Ich nie ma — jest tylko czysta materia narracji. Laurenty i Sylwester — wysłannicy do Sodomy — wymyślają i Miasto, i jego mieszkańców. Mieszkańcy projektują przed wysłannikami różne Miasta zła i grzechu. Projektują również odmiennych Hieronimów — różne obrazy Stwórcy, który wysłał wszak Laurentego i Sylwestra do Miasta. W ten sposób koło się zamyka — wysłannicy są również wymyśleni. Akt komunikacji poprzez powieść okazuje się aktem samokomunikacji — Autora z samym sobą. Czytelnik jest tutaj elementem znakomicie zbędnym. Być może przesadzam, są wszak w *Sodomie* pewne pozaabsurdalności, np. bujny (bez przesady) erotyzm, są jakieś związki z Ewangelią, są elementy bają i baśni, literackie cytaty... tym się można pożywić. Nie ma jednego w powieści — tragizmu, nie ma — dobra i zła, nie ma walki o..., przeciw... Pozostaje jedno — ZABAWA. Jej reguły są proste. Wyobraźnia kontra wyobraźnia. Wymyśl swoją Sodomę — tak może brzmieć reklama powieści Jacka Krakowskiego (...)

G.

Szczerze mówiąc, trochę się tą książką rozczarowałem. Nie tylko dlatego, że jest chyba za długa, wręcz rozwleczona (uwaga: wielkim niebezpieczeństwem dla autora jest łatwość pisania, i to pisania *ładnego*, udatnego, nie *wpychania waty*). Przede wszystkim dlatego, że trochę jednak łamię się w toku rozwoju powieści przekorna, wyrafinowana koncepcja wciągnięcia wysłanników — aniołów w sodomiany magiel, i zagubienia się ich w tym niejasnym, nieklarownym z punktu widzenia *ideologicznego* świecie, który jest tragiczny i ohydny w stopniu tak znacznym, że właściwie zagłada (atomowa, jak to w jakimś momencie rozszyfrowuje autor, stawiając kropkę nad i nad współczesnymi realiami) nie może już być od niego gorsza, i nie jest żadnym zagrożeniem.

Przydałoby się więc temu utworowi, gorzkemu i ostremu w wymowie, zdyscyplinowanie kompozycyjne; kto wie, czy nie byłoby najlepiej ograniczyć go do kilku epizodów: przybycia wysłanników, ich odwiedzin w makabrycznym pensjonacie (będącym swoistą transpozycją kazimierzowskich burdelików), udziału w balu, końcowej orgii... Im oszczędniej będzie autor dozował swe wizje, pozostawiając je nawet w stanie zawieszenia czy luźnych wzajemnych związków, tym lepiej (przynajmniej w wypadku tej powieści). I tym wyraźniej uwypuklił się jego demoniczna w istocie wyobraźnia, tragiczna wizja życia, ostra ironia, a nawet sarkazm w widzeniu spraw człowieczych dzisiaj.

C.

(...) Dla mnie biblijny motyw Sodomy, wraz ze wszystkimi jego znaczeniami, jest tu tylko

pretekstem. Znakomitym pretekstem. Ów motyw, a właściwie schemat, na którym zasadza się cała powieść, jest przecież świadomie czy bezwiednie nieustannie tutaj kompromitowany. Zarówno przez przyjęcie groteskowo-absurdalnej optyki świata, ludzi, zdarzeń i wszelkich piętér tzw. rzeczywistości, jak i przez podporządkowanie wielości struktur narracyjnych funkcjom kpiny, szyderstwa, ironii, jak nade wszystko przez język, wykorzystujący w stopniu nie spotykanym w literaturze polskiej zasoby języka obscenicznego. Nie tylko zresztą wykorzystujący, do tych zasobów bowiem autor *Sodomy* wnosi bezsprzecznie swój pełen inwencji wkład. Jego pomysłowość w tym słowotwórczym zakresie budzi wręcz podziw, chociaż u wielu może budzić obrzydzenie, z czym, niestety, trzeba się również liczyć.

Sodoma — jak sama nazwa wskazuje — kojarzy się powszechnie nie tyle z grożącą światu zagładą, na co kładzie autor nacisk w swojej autointerpretacji — co z rozpustą. I zgodnie z powszechnym przeświadczeniem świat Sodomy w tekście Jacka Krakowskiego jest światem rozpusty, i to światem przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, rozpusty seksualnej. Chociaż zgodnie z absurdalno-groteskową poetyką tekstu nie ma to nic wspólnego z dosłownym rozumieniem pojęcia rozpusty. I nie wolno tak tej książki czytać pod żadnym pozorem. Jest to baśń o rozpuszcie, surrealistyczny poemat o rozpuszcie, eksperyment na pisarskiej wyobraźni, na jakie wizje i kreacje stać ją w tym zakresie, i zarazem eksperyment na literaturze, jakie są jej w tym zakresie granice pojemności. Jeśli tak spojrzeć na ten świat Sodomy, a tylko tak moim zdaniem można i należy, to fantazjotwórstwo autora święci tu prawdziwy triumf. Jego wyobraźnia jawi się jako wyobraźnia wręcz wynalazcza. Tego świata Sodomy naprawdę nie należy brać poważnie. To świat stworzony do zabawy, pełen orgii, lecz orgii w humorystycznym rozumieniu tego słowa. Zagłada, owszem, bo zagłada jest tu niejako kołem napędowym wprawiającym ten świat w erotyczne szaleństwo, w ekstazę, usprawiedliwiającym jego erotyczną przedsiębiorczość. Lecz to tylko literackie usprawiedliwienie, wynikające z literackiej logiki. A na razie pośmiejmy się, bo jest naprawdę z czego się pośmiać. Choćby z przepysznej *Opowieści o lecie* — najlepszej, moim zdaniem, w całym tekście (...)

B.

Opowieść o lecie

(fragment powieści „Sodoma”)

Ujechaliśmy zaledwie kilkaset metrów, gdy tory skończyły się i dreuzyna zaryła w piach, wyrzucając nas na wydymę. Willi „Speranza” już nie było widać, gdyż w kierunku naszej jazdy pustynia opadała łagodnymi kopcami i niewielkimi skalnymi wzniesieniami o gładkich, jakby wyszlifowanych krawędziach. Piasek parzył nas w stopy, gdy szliśmy pod rozżarzoną kopułą spęzłego błękitu, wpatrując się w powietrze, dygoczące na horyzoncie falami wzmagającego się upału. Idąc, zrzuciliśmy z siebie suknie i bieliznę dziewczyn i teraz nadzy, z głowami owiniętymi jedwabnymi halkami, wlekliśmy się przez palący piach. Na szczęście wkrótce na horyzoncie ukazały się jakieś ruiny, które początkowo wzięliśmy za fatamorganę, jednak przybliżając się do nich, zorientowaliśmy się, że nie są przywidzeniem, co więcej, te wysokie domy otaczające półkolisty plac są już nam znane — przecież pośrodku powinien stać w zrujnowanym ogrodzie dom rodziny Questów. Jednak zamiast niego w centrum piaszczystej równiny, spod której gdzieniegdzie przezieriała asfaltowa jezdnia, wznosiło się wzgórze, którego osypujące się zbocza ukazywały zarysy zrujnowanego domostwa.

Podeszliśmy aż do wynurzającej się ściany domu wraz z na wpół zasypanym oknem i zajrzeliśmy do środka. Była to chyba kuchnia, w jej wnętrzu bowiem zobaczyliśmy długi stół, na którym kiedyś leżała umierająca Atanazja.

Laurenty wziął stojący pod ścianą trójząb, stwierdził bowiem, że przyda mu się on jako laska podczas dalszej wędrówki.

Natomiast Sylwester przerzucił przez ramię wagę o szalkach w kształcie misek, zauwa-

żając, że przydadzą się one nam do czerpania wody, gdy po drodze natrafimy na źródło.

Poszliśmy dalej wzdłuż ulicy, która po kilkunastu krokach skryła się w piachu. Jednak ostatni, częściowo zrujnowany dom wydał się nam zamieszkały. Wokół drzwi widać było wyraźnie ślady stóp, a z okna przesłoniętego płachtą dobiegały dźwięki muzyki. Zastanawialiśmy się właśnie, czy wejść, gdy kotara odsunęła się i ujrzeliśmy wysokiego mężczyznę owiniętego czerwonym płaszczem.

Wychodźcie stąd, powiedział. Jak to dobrze! Długo zastanawiałem się, czy stąd odejść, ale jakoś nigdy nie mogłem się zdecydować na samotną wędrówkę. We trójkę będzie nam różniej, prawda?

Oparł się ręką o parapet i wyskoczył przez okno, a za nim z ciemnego wnętrza wyleciał kruk, który od razu usiadł mu na ramieniu.

Zapomniał pan wyłączyć patefon, rzekł Laurenty.

Nie szkodzi, odparł nieznajomy, sam się zatrzyma.

Płyta powtarzała w kółko piskliwy kawałek frazy, gdy ponownie wchodziliśmy na rozpalony piasek pustyni.

Co za upał, powiedział Sylwester. Nie ma pan trochę wody?

Tutaj tak zawsze, rzekł nieznajomy. A woda zaraz się znajdzie.. Pogrzebał w dużej kieszeni obszernego płaszcza i wydobył z niej małą, płaską butelkę. Pijcie do woli, powiedział, mam jeszcze kilka w zapasie.

Laurenty przytknął butelkę do ust i znieruchomiał, ciężko łapiąc oddech, a oczy chciały mu wyskoczyć z orbit.

To wódka, wychrypiał.

A co pan myślał, że mleko, odrzekł nieznajomy. Prawdziwi mężczyźni piją wyłącznie alkohol. To wzmacnia potencję. Od razu zauważyłem, że zwisają wam beznadziejnie, więc wziąłem spory zapas gorzałki. Spójrzcie na mojego, rzekł, rozchyliwszy płaszcz, sterczy jak drut, a wasze dyndają jak zdechłe węgorze. Pomalowałem go na złoto, żeby lepiej był widoczny z daleka. Myślę, że o członkach męskich porozmawiamy sobie jeszcze po drodze. To jedyny temat, który powinni poruszać w swoich męskich rozmowach prawdziwi mężczyźni. Pijcie, pijcie! Chyba nie jesteście babami. Wódka jest najlepsza na upały.

Wypiliśmy po kilka łyków piekącego płynu i poszliśmy dalej z nieznajomym, który wcisnął się między nas. Kruk siedzący na jego ramieniu skubał dziobem brzeg czerwonego płaszcza, kracząc od czasu do czasu. Wtedy mężczyzna wsuwał jego dziób w butelkę. Kruk pił, przymykając oczy, mężczyzna chował flaszkę do kieszeni i znowu brnęliśmy przez pokarbowane wydmy, ciągnące się aż po rozpalony słońcem horyzont. Milczeliśmy, zmęczeni wędrówką, stropieni ponadto uwagą nieznajomego o przedmiocie naszej rozmowy, gdy on zagadnął nas pierwszy, solidnie przedtem pociągnąwszy z butelki.

I jak tam wasze maluchy, sztywnieją?

Odburknęliśmy coś niewyraźnie, a on bezceremonialnie pomacał dłonią nasze członki i rzekł:

Słabo. Za mało jeszcze wypiliście, ale wódka wzmacnia pragnienie i wkrótce znowu zechcecie się napić. A musicie wiedzieć, że solidnie wyprężony fallus to najpiękniejsza rzecz na tym świecie. Mężczyzna ze sterczącym przyrodzeniem prezentuje się wprost wspaniale na tle kobiet, nie mających tej fascynującej ozdoby. To klejnot, ba, złota żyła niewyczerpanego bogactwa. Można wpychać ją, gdzie popadnie, a niezawodnie przyniesie rozkosz jej posiadaczowi. A ta twardość, a ta jędrność, a ta siła połączona z delikatnością, a ów niedościgły w swej doskonałości kształt — palce lizać. Zjeść by go się chciało, gdy lekko drżący połyskuje karminowym pękiem, a ciemnopurpurowy kołnierz wynurza się spod płaszczyka cieniutkiej skóry, opinającej nabrzmiałe węzły żył, przebijających sino spod pociemniałej kory tego pnia życia. Mocno skręcone loki wąsów otaczają go łaskotliwą gęstwiną, w której czai się ów kurczliwy woreczek, zawierający dwa czystej wody brylanty, co ja mówię, zakłete perły nie-

zwykłej wielkości. Kto je ma, ten nie zginie w życiu. Wystarczy ująć je w dłoń, by poczuć ich soczyste ciepło, a bardziej intymny kontakt z nimi doprowadza do szału przełożone zakonów o najsurowszych regułach. Ale, przepraszam, mieliśmy rozprawiać o członku, tym ósmym cudzie świata, któremu ludzkość od zarania dziejów stawia kolumny, wieże i katedry, wyśpiwując peany na jego cześć. Napijcie się jeszcze?

Wyciągnął z kieszeni płaską flaszkę, a my czując rosnące pragnienie wypiliśmy po kilka łyków. Także kruk zanurzył dziób w szyjce butelki. Nieznajomy wysączył resztę wódki i rzucił piersiówkę w piach.

Czujecie zapewne to ożywcze ciepło, wlewające się w wasze żyły, mówił dalej nieznajomy. Mocna wódka jest najlepszą rzeczą zaraz po członku męskim. Szczególnie zaś nacieranie go trzy razy dziennie czystym spirytusem hartuje go, wzmacnia i powoduje jego niebывały rozrost, naczynia krwionośne bowiem rozszerzają się i krzepną. Także skóra staje się twarda jak na byku. Żołądź czerwienieje i dwukrotnie powiększa swoją objętość, stając się podobna do żelaznej pięści, zdolnej przebić wszystko, co napotka na swej drodze. O, powiedział, zaglądając w nasze krocza, widzę, że już podrygują. Bardzo dobrze. To najpiękniejsza chwila w życiu prawdziwego mężczyzny, gdy czuje, że jego męskość mężnieje, świadcząc wszem i wobec o sile dobywającej się z jego męskiego ciała. Nie zasłaniajcie się. Niech wasze prącia błyszczą w słońcu! Niech żyją!

Podał nam następną butelkę, a my opróżniliśmy ją łączywie. Nieznajomy zdjął płaszcz i przerzucił go przez ramię, a kruk usiadł na jego złoto pomalowanym członku, który sterczał teraz poziomo, wskazując kierunek naszej dalszej wędrówki. Potykaliśmy się nieco i zataczaliśmy, a kiedy któremuś z nas trudno było utrzymać równowagę, nieznajomy chwycił prącie tracącego przytomność i ścisnął tak mocno, ciągnąc jednocześnie, że zmuszeni byliśmy postępować za nim.

Słońce stało w zenicie prażąc niemiłosiernie nasze ciała. Laurenty zaproponował, żebyśmy usiedli i odpoczęli, nakrywając się czerwonym płaszczem, lecz mężczyzna oburzył się na jego propozycję.

Teraz, krzyknął, w takiej chwili, gdy wasze członki lada chwila osiągną pełnię, chcecie odpoczywać. To nietakt wobec nich, to zbrodnia! Sterczące penisy nie mogą sterczeć bezczynnie. Powinny zapładniać i użyźniać naszą glebę życia, nawadniać ją i rozpulchniać, przewracać jej skiby i wciskać w nią nasiona, z których wyrosną nowe zastępy członków zdolnych do walki o lepsze jutro! Dlatego proponuję wam kobietę, prawdziwą kobietę, która zdolna pomieścić będzie ogrom waszych korzeni i litry waszego nasienia, którym, napełnicie jej ciało. Widzicie ten purpurowy namiot, wychylający się zza wzgórza? Tam właśnie czeka na was, dysząc roznamiętnioną kobiecością. Już na sam widok wasz zazna co najmniej trzech orgazmów, nie mówiąc już o stosunkach, które doprowadzą ją do delirycznych dreszczy i ostatecznego upojenia. Nie będzie chciała jeść ni pić, tylko zażywać z wami tej niewypowiedzianej rozkoszy, której łaskawie zechcecie jej dostarczyć. To wszystko będzie jednak niczym w porównaniu z monstualnymi spazmami najwyższego szczęścia, które ogarną wasze ciała. Będziecie śmiać się i płakać, nie wiedząc, co się z wami dzieje, podczas gdy jej prawdziwa kobiecość będzie dostarczać wam pomyślnych podniet, zabarwionych odcieniem perwersji, w której tak się lubujecie. Myślę, że zgadzacie się?

Zaprowadź nas do tego namiotu, jęknął Sylwester.

Nie mam już siły, mruknął Laurenty.

Zatrzymaliśmy się dopiero przed uchylonym wejściem.

Nie myślcie jednak, że robię to wszystko dla waszych niezwykle pięknych oczu, rzekł mężczyzna. O, nie! W zamian za doprowadzenie was do męskości i kobiety, musicie mi dać trójzęb i wagę.

Skinęliśmy głowami, ledwo trzymając się na nogach. Nieznajomy odebrał od nas przedmioty zabrane z domu Questów i odchylając zasłonę członkiem z siedzącym na nim krukiem,

wciągnął nas do środka namiotu, gdzie natychmiast przewróciliśmy się na dywan.

Przyprowadziłem ci dwóch mężczyzn słynnych z męskości, powiedział do kobiety siedzącej przy ognisku, która nakryta całą półprzezroczystą, różową zasłoną, wpatrywała się w migocące płomienie.

Odejdą tak jak i tamci, odrzekła smutnym głosem.

Mylisz się, powiedział mężczyzna. Oto trójzab i waga — cały ich majątek, który ofiarowali mi, błagając na kolanach, abym ich do ciebie doprowadził. Stwierdzili ponadto, że życie straci dla nich wszelki sens, jeżeli nie zdołają zażyć z tobą rozkoszy.

Czy uprzedziłeś ich, spytała kobieta, że obcinam członki tym, którzy nie zdołają doprowadzić mnie do szału płciowego, natomiast temu, który zaspokoje me rozbestwione chucie, ofiaruję bez wahania swoją rękę i całe królestwo?

Tak, pani, odparł nieznajomy. Poinformowałem ich o wszystkim ze szczegółami. Urznęli się z radości, gdy dowiedzieli się o perspektywie ślubu z tobą.

Miło mi, rzekła kobieta, ale jaką mam gwarancję, że nie oszukujesz mnie jak zwykle?

Weź tego kruka, odrzekł nieznajomy. Jeżeli zawiodę cię, możesz z nim zrobić, co ci się podoba.

To rozumiem, powiedziała. Wyciągnęła rękę spod różowej zasłony, chwyciła kruka, siedzącego na członku, i wsadziła go do złotej klatki. Piękne dary, rzekła, przyglądając się trójzębowi i wadze, po czym włożyła je pod zasłonę, a nieznajomemu podała złotą flaszkę.

Wypij za moje zdrowie, ale na zewnątrz. Tutaj picie jest surowo zabronione.

Mężczyzna skłonił się i wyszedł z namiotu.

Pić, szepnął Laurenty.

Pić, jęknął Sylwester.

Suszy was, rzekła kobieta, zrzucając zasłonę. I nic dziwnego. Kto chłonie na umór cały dzień w taki upał, musi być niespełna rozumu. Mam tylko picie w mojej picie, zaśmiała się stając nad nami. Najpierw jednak muszę wam się przyjrzeć, a potem wypowiedzieć się na temat prawdziwej kobiecości, z którą niedługo, zapewne po raz pierwszy w życiu, będziecie mieli do czynienia. Chcę bowiem, aby wasze uczynki były świadome, abyście zdawali sobie sprawę, z kim będziecie obcować. To nie jakieś tam sobie fiu-bzdziu, przedsięwzięcie à la rżnięcie, ale solidne i odpowiedzialne pierdolenie, mające być przykładem dla młodzieży płci obojga, która dopiero wstępuje w pełne niebezpieczeństwo życia płciowe.

Stała nad nami, leżącymi bezwładnie przy ognisku, a my spod półprzymkniętych powiek przypatrywaliśmy się jej strzelistym udom, płaskiemu brzuchowi i sterczącym piersiom. Jedynie łono opinała skąpa, złota przepaska, przesłaniająca tajemnicę, którą, jak nam się wydawało, za chwilę powinniśmy zgłębić.

Wyglądają nie najgorzej, powiedziała, szturchając nasze wyprężone penisy stopami, ale kto ich tam wie... Atanie, wrzasnęła, czy wypróbowałeś ich męskosc na sobie?!

Tak, Loto, odparł nieznajomy, wsuwając się do namiotu. Już dupy nie czuję.

Natrzyj ją sobie wódką, a poczujesz się znacznie lepiej. Tylko uważaj, żebyś nie wepchnął korka, ostrzegła go Lota. A teraz odejdź. Chcę jeszcze nacieszyć nimi moje oczy, nim wezmę się ostro do rzeczy. Bądź jednak pod bokiem w razie czego. Być może rozbestwię się w takim stopniu, że i ciebie będę musiała wykorzystać. A pamiętasz chyba, że winieneś mi być wdzięczny do grobowej deski, ty sługo.

Możesz być pewna, o pani, że nigdy ci tego nie zapomnę, odparł nieznajomy i skłoniwszy się, wyszedł z namiotu.

Był on kiedyś kobietą, powiedziała Lota, i tylko dzięki moim pieniądzom mógł poddać się niezwykle skomplikowanemu i kosztownemu zabiegowi transfiguracji płci. Połowę mojej biżuterii poświęciłam na odlanie ze złota stosownej wielkości członka, który wszczepiono mu na stałe. Cóż... Jednak to nie to samo, co obcowanie z mężczyznami pełnej krwi, do których, mam nadzieję, także i wy się zaliczacie. Od czasu tego zabiegu Atan sprowadzał mi zalotni-

ków, lecz oni, łaszcząc się jedynie na mój majątek, kopulowali ze mną byle jak, na odczepnego, chcąc jak najszybciej zagarnąć me królestwo. Toteż w końcu wzięłam się na sposób, grożąc obcięciem członków tym, którzy mnie nie zadowolą. Muszę przyznać, że od tej pory liczba chętnych znacznie się zmniejszyła, a szczerze mówiąc, wy jesteście pierwszymi kandydatami od trzech lat, kiedy to właśnie ogłosiłam publicznie swoje ultimatum. Atanowi zaś zagroziłam, że jeśli do jutra nie sprowadzi mi prawdziwego mężczyzny, każę przetopić jego członek na pierścionki. W końcu każdego może znudzić takie samotne życie, nieprawda?

Odburknęliśmy byle co, czując ogień w żołądkach i nienaturalne sztywnienie całego ciała.

Widzę, że nietęgo coś się macie, rzekła Lota. Chwyciła dwa dzbany i chlusnęła na nas lodowato zimną wodą.

Zerwaliśmy się na równe nogi.

Jak to dobrze, już wytrzeźwieliście, powiedziała, kręcąc biodrami. A przy okazji kąpiel wam nie zaszkodziła. Brzydziłabym się dotknąć takich brudasów. Usiądźcie teraz przy ogniu i osuszcie się, a ja tymczasem uświadomię was, co jest warta prawdziwa kobiecość, którą być może posiadacie na zawsze.

Atanie — klasnęła w dłonie — więcej wody z lodem i ani kropli whisky.

Po chwili wszedł nasz towarzysz podróży, niosąc na złotej tacy oszronioną kryształową szklankę, wypełnioną po brzegi.

Czy młodzież nieletnią mam już przyprowadzić, spytał uniżonym głosem.

Jeszcze nie, odparła Lota, zawołam cię, kiedy zacznę.

Atan wycofał się z namiotu w niskim ukłonie.

Wam nie dam się napić, aby tym bardziej pobudzić wasze pragnienie, rzekła, wychylając jednym haustem zawartość szklanki. Świeża woda zdrowia kobiecie doda. Ale do rzeczy. Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie mieliście do czynienia z prawdziwą kobiecością. Może z kobietami, niewątpliwie, ale kobieca kobiecość, ta prawdziwa, niezakłamana w swej istocie, to zupełnie coś innego. Oto ona, powiedziała, odpinając złotą przepaskę i rozstawiając szeroko nogi. Przypatrzcie się jej dobrze, albowiem jest to kielich kwiatu, który zakwita raz na sto lat, a może sto wieków. Wszystko jedno. Ważne jest jego urzekające piękno i cudowna moc, którą w sobie zawiera. Jego na wpół rozchylone płatki pełne są ożywczego nektaru, do którego zlatują się wszystkie trutnie. A co się jaki zbliży, zaraz mu się utnie, zaśmiała się, wysączając krople wody ze szklanki.

Pić, jęknął Laurenty.

Pić, stęknął Sylwester.

Zaraz, zaraz, wstrzymajcie nieco swą pożądlivość. Wkrótce dam wam popić i popalić, ale nie lubię nic robić na chybcika. Musicie czynić to mając pełną świadomość swego czynu. A jaką możecie mieć świadomość, jeśli ja jej wam nie uświadomię? He? Wpychanie i wyciąganie, a przecież nie na tym dowcip polega. Prawdziwa kobiecość jest tym tajemniczym Łonem Kosmosu, które raz na jakiś czas poddaje się zbaraniałej w swej fallicznej męce męskości, którą pragnie wybawić z nieopanowanego pedałstwa, onanizmu i sodomii. Kolumny wbijające się w sklepienia, wieżycy rozrywające chmury czy pociągi wjeżdżające do tunelu są błahymi namiastkami prawdy ukrytej przed wzrokiem ciekawskich wewnątrz pełnego nieuchwytnego czaru łona prawdziwej kobiety. To ona, widząc grzech i nieprawość, szerzące się wśród pokoleń samców i ulegających im samic, zstępuje na ten padół raz na tysiąc lat, aby swoim poświęceniem i oddaniem odkupić nędzę świata mistycznym stygmatem swego Łona, którego nadejście zwiastują komety, pożogi i krwawe pasy na niebie.

Umilkła na chwilę, przeciągając się lubieżnie, po czym, ułożywszy się wygodnie na poduszkach, kontynuowała swą mowę.

Łono Kosmosu po głębokim namyśle i skupieniu wybiera sobie dwóch najbardziej męskich mężczyzn z całego grona pokrak i niedojdów, którzy zgłaszają się na ochotnika. Dwóch

— gdyż dwoista jest jego natura, albowiem służy zarówno rozkoszy, jak i płodzeniu. Dwoista jest także sama istota kobiecości, łącząca w sobie przyjemne z pożytecznym. Jeżeli już zdecydowała się na pewną przyjemność, chce wynieść z niej jakiś pożytek, a, niestety, pojedynczy okaz męski nie jest w stanie zadowolić jej pod każdym względem. Jeżeli już tłucze, aż miło popatrzeć, to znowu nic mu się nie chce robić w domu. Najchętniej spałby cały dzień na kanapie i czekał, aż mu się żarcie podstawi pod nos. Drugi znowu, sumienny i zapobiegliwy niczym stara panna, ma kuşkę do niczego, a przy tym malutką i jeśli mu już raz na miesiąc kogutek zapieje, uważa, że o tym fakcie powinny rozpisywać się wszystkie gazety. Takie to jest, niestety, życie i nie ma się czemu dziwić.

Podczas tej przemowy czuliśmy, jak opuszczają nas męskie siły. Członki marszczyły się, wiodły i kurczyły, smętnie spoczywając na dywanie, a nas samych zaczęła powoli ogarniać taka senność, że nie mogliśmy nawet otworzyć oczu, z trudem utrzymując się w pozycji siedzącej. Nakryliśmy dłońmi nasze przyrodzenia i kiwając się u ogniska udawaliśmy, że wsłuchujemy się w soczysty alt jej głosu, gubiąc po drodze słowa i sens jej wypowiedzi. Zdaje się, że zdrzemnęliśmy się nieco, gdy poderwało nas trzykrotne klaśnięcie w dłonie.

Atanie, zawołała Lota, możesz już wprowadzić młodzież. Tylko powoli, dwójkami, i żeby nie rozłazili mi się po całym namiocie. Niech staną wokół ogniska, a ja przemówię do nich, przygotowując ich na tę niezwykłą chwilę.

Wycieczka szkolna z Sodomy, oznajmił Atan. Wyłącznie prymusi, wybrani ze szkół całego miasta. Wszyscy celujący z deprawacji. Młodzież dorodna, zdrowa i świadoma.

W ciągu kilku minut cały obszerny namiot wypełnił się dziewczętami w granatowych spódniczkach i białych bluzkach oraz chłopcami w ciemnoszarych mundurkach. Stanęli w milczeniu, wokół ognisk, przypatrując się nam i Locie. Na szczęście Atan, który ustawiał dzieci w ciasne półkola, dostrzegł ogarniającą nas niemoc i stwierdził, że musimy się jeszcze udać za potrzebą.

To dobrze się składa, rzekła Lota, wstając z poduszek. Tymczasem przepytam młodzież z bezceństw i sprośności. Mała powtórka nigdy nie zaszkodzi. Repetitio mater studiorum est.

Atan nie posiadając się ze wściekłości wypchnął nas z namiotu.

Chcecie, żebym was tu na miejscu wykastrował, syknął przez zaciśnięte zęby. Taka jest wdzięczność ludzka! Zdechlibyście na tej pustyni, gdyby nie moja pomoc, a teraz tak mi się odpłacacie. Ładna mi wdzięczność, nie ma co. Jazda, pijcie, rzekł, wręczając nam dwie pełne butelki. I to szybko! Jeżeli nie spełnicie swych męskich powinności, Lota każe przerobić was na kobiety. Na kobiety! Chyba wiecie, z czym to się wiąże. A mój kruk pójdzie na rożen. I po co ja go tyle lat tresowałem do świńskich praktyk...

Piliśmy piekący płyn, czując, że za chwilę nasze wnętrza staną w ogniu, podczas gdy on potrząsał naszymi członkami, przywracając je do stanu gotowości.

No, udało się, powiedział, ocierając zroszone potem czoło, ale nie wiem, czy za trzecim razem nie stracę cierpliwości.

Odrzuciliśmy butelki i Atan wepchnął nas do namiotu.

Co tak długo, zawołała Lota. Linę połknęli?

Zebrana młodzież zaśmiała się, powtarzając z ust do ust jej słowa.

Nacierałem im oliwą, bo strasznie zatarli się po drodze, odparł Atan, na co dziewczęta i chłopcy ponownie wybuchnęli gromkim śmiechem.

Dobrze już, dobrze, powiedziała Lota, uspokójcie się. Chciałam wam dzisiaj pokazać prawdziwych mężczyzn oraz przeprowadzić praktyczny sprawdzian z ich użyteczności. To są właśnie te ich słynne członki. Niech każdy z was, pomaca, czy ma coś takiego. Nie ma, prawda... A oni mają. I na tym polega ich niezaprzeczalna, chociaż na kruchych podstawach oparta, wartość. Albowiem taki członek może w każdej chwili opaść, mówiła, kręcąc naszymi penisami na wszystkie strony, i wówczas nawet najprawdziwszy, najbardziej męski mężczyzna jest gównem i nadaje się tylko do wyrzucenia go na śmietnik.

Młodzież zaczęła szeptać między sobą, gdyż pomimo wzmożonych wysiłków Loty nasze członki zaczęły ponownie wiotczeć.

Będziecie tutaj świadkami uroczystości zaślubin, mówiła dalej, gdy nagle zorientowała się, że coś jest z nami nie w porządku.

Atanie, wrzasnęła, co mi tutaj przyprowadziłeś?! Impotencję?!?!

Ależ, Loto, zapewniam cię, że to tylko chwilowa niedyspozycja, rzekł nasz towarzysz podróży, wywlekając nas z namiotu. Za chwilę będą jak trzeba.

Nie żałuj im wódki, krzyknęła za nami Lota, a jakby co, to postraszą tasakiem.

Co za bezczelność, rzekł Atan, rzucając nas na piach. Jego gęsto porośnięta czarnymi włosami pierś dyszała gniewem, a złoty członek aż trząsał się ze złości. Co za świnię, co za wstrętne świnię! I to nazywa się podziękowanie za to wszystko, co dla was zrobiłem.

Czy nie chciałbyś... uwolnić się od niej, zagadnął go Laurenty. Chyba nie płaci ci zbyt dużo. A poza tym, ma chyba szalone wymagania.

Oj, ma, ma, ale uwolnić? Ja?! Tylko proszę bez przekupstwa.

Mógłbyś uciec z nami, rzekł Sylwester. Widzimy, że traktuje cię jak ostatnie pomiotło, a ty, taki męski mężczyzna, poddajesz się jej kaprysom.

Szantażuje mnie skoro świt, odparł Atan, ale zawdzięczam jej to — chwycił się ręką za złoty fallus — lecz poza tym... Nie, nie, nie kuście mnie, nie mogę jej tak zostawić. Z czego będę żył?

Będziemy obwozić cię po miastach i pokazywać, rzekł Laurenty. Wyobraź sobie te kolejki kobiet spragnionych obcowania z tobą. Zarobimy na tym masę pieniędzy. Sylwester będzie siedział w kasie, a ja w szatni. Twoja niezwykle męska męskość rozkwitłaby wtedy w całej krasie, a ze złota, które byśmy zarobili, moglibyśmy odlać o wiele większy członek, ozdabiając go na czubku prawdziwym brylantem.

I rubinki po bokach, spytał Atan.

Rubinki także, odparł Laurenty.

I jądra miałbym z prawdziwych pereł wielkości kurzych jaj?

Z jak najprawdziwszych, odparł Sylwester.

I owłosienie z nerek?

Oczywiście. Norki, złoto i rubiny wspaniale się komponują, odrzekliśmy obaj.

Zgoda, rzekł Atan. Chwycił nasze zwiedłe członki i położył na swoim. Przysięgacie, że mnie nie wykiwacie.

Przysięgamy, odrzekliśmy zgodnie.

W porządku. Chciałbym jednak odzyskać mojego kruka.

Nic prostszego, rzekł Laurenty. Wejdziemy tam i udamy, że zabieramy się do rzeczy, a ty tymczasem, kryjąc się za młodzieżą, wyciągniesz ptaka z klatki.

Atanie, usłyszeliśmy głos Loty, czemu tak długo? Strasznie jestem napalona na tych chłopów.

Już idą, Loto, już idą, odkrzyknął Atan, wręczając nam po butelce wódki. Próbuje tylko ich sprężystości. Nie chcę, żeby cię znowu zawiedli. Pijcie szybko, ponaglał nas, bo za parę minut wycieczka tych bękartów jedzie w dalszą drogę.

Wypiliśmy po flaszcze wódki, krztusząc się i dławiąc piekącym alkoholem, nasze członki ponownie wyprężyły się i wkroczyliśmy do namiotu.

Bierzcie się wreszcie do roboty, bo młodzież się niecierpliwi, zawołała Lota, układając się bokiem na poduszkach. Obaj jednocześnie, potem się zamienicie. Tylko solidnie i z odpowiedzialnością, bo dzieci na was patrzą, a niewinne oczy dziecka od razu wykryją najmniejszy fałsz w tym koncercie na dwa instrumenty rżnięte i jeden dmuchany.

Ułożyliśmy się z dwu stron obok niej i udawaliśmy, że nie możemy znaleźć naturalnych otworów jej ciała, gdy trzykrotnie rozległ się klakson samochodowy.

Jedziemy dalej! Już jedziemy, wrzasnęła zebrana młodzież, rzucając się do wyjścia z

namiotu, mimo nawoływań Loty, aby jeszcze chwilę poczekali.

Przeklęte bachory, krzyknęła za nimi. Człowiek poświęca im najlepsze lata swego życia, a one tak się odpłacają. Ohyda i skaranie boskie!

Kiedy to mówiła, Atan, czołgając się po dywanie, kierował się w stronę klatki z krukiem.

Pieprzycie mnie wreszcie, czy nie, huknęła na nas, bo wszystko wam pourzynam i rzucę psom na pożarcie!

Przycisnęliśmy się do niej, czując łapczywe ssanie jej otworów, które zaczęły wciągać nasze członki do jej wnętrza, gdy rozległo się przeraźliwe krakanie kruka, wyciąganego z klatki przez Atana.

Lota momentalnie wyzwoliła się z naszych objęć i rzuciła w jego kierunku. Laurenty chwycił wagę. A Sylwester trójząb. Laurenty uderzył ją szalką w głowę, a ona osuwając się, złapała dłonią złoty członek Atana. Atan szarpnął się do tyłu. Kruk wyrwał się z jego rąk i wyleciał z namiotu, a złoty członek został w dłoni Loty, która rzuciła go w ogień. Atan pochylił się, chcąc uratować fallus, lecz trójząb, trzymany przez Sylwestra, wbił mu się prosto w płuco. Padł na bezwładnie leżącą Lotę, a my wybiegliśmy z namiotu, podczas gdy złota kałuża rozpływała się w żarze ogniska.

Kruk czekał na nas, siedząc na stosie pustych butelek. Trzymał w dziobie purpurowy płaszcz, lecz gdy chcieliśmy mu go zabrać, rozpostarł skrzydła i odfrunął, wlokąc za sobą łopoczącą płamę czerwieni, niknącą w bezmiarze rozpalonego nieba. Pobiegliśmy kilka kroków za nim, lecz nieprzytomni od nadmiaru wypitego alkoholu, padliśmy w piach, wbijając w jego rozpaloną sypkość nasze wyprężone aż do bólu członki. Za nami szumiał ogień płonącego namiotu.

Jacek Krakowski

W oczach krytyki

Henryk Bereza:

Nie śledzę fantastyki naukowej i innej, jeśli nie jest pełną literaturą piękną, materiały „Almanachu 4” mogę więc czytać tak, jakbym poznawał całkiem obcą sobie dziedzinę piśmiennictwa. Szkice Marka Oramusa i Macieja Parowskiego przeczytałem w prawdziwym popłochu, że istnieje olbrzymi literacki ład, o którym nie mam zielonego pojęcia. Zaraz jednak uspokoiłem się całkowicie.

Chaotycznie prezentowane teksty narracyjne należą do autorów, z których nazwiskami stykam się po raz pierwszy (większość) oraz trzech takich, których maszynopisy czytałem i recenzowałem już wcześniej (Grzegorz Babula, Jerzy Ignaciuk, Jacek Krakowski).

Po przeczytaniu tych pierwszych (Jarosław Grzędowicz, Rafał Ziemkiewicz, Jacek Piekara, Ryszard Holzer, Marcin Heryng, Emma Popik) zwolniłem się od razu — z jednym lub z dwoma wyjątkami — od obowiązku znajomości lekturowej, takie pisanie jest poniżej przyzwoitego poziomu beletrystyki popularnej, poniżej tego poziomu może mnie interesować dzika beletrystyka odpustowa lub pornograficzna (ze względów pozaartystycznych), ale nie przemysłowa produkcja jakiegoś nędznego literackiego ersatzu, który polega na przerabianiu pożytecznych narracji Kraszewskiego na nie wiadomo co. Z przykrością muszę dodać, że utwór *Utopia* Janusza Zajdla jest zjawiskiem tego samego autoramentu.

Teksty trzech autorów, których twórczość znam, są atrakcyjne i wartościowe, należy je wysunąć na plan pierwszy, żeby przesłoniły prezentację piśmiennictwa zawstydzającego. Na wyeksponowanie zasługuje zwłaszcza Grzegorz Babula, który w tej dziedzinie beletrystyki lokuje swoje główne ambicje. Trzej autorzy (Grzegorz Babula, Jerzy Ignaciuk, Jacek Krakowski) stanowić muszą ozdobę „Almanachu 4”, prezentację reszty musi usprawiedliwiać fakt, że coś takiego istnieje i ma wpływ na zużycie papieru i mocy produkcyjnych poligrafii. Z faktami, jakiegokolwiek są, trzeba się liczyć.

Wiesław Myśliwski:

Literatura jest jedna. Truizm ten przypomina nam rzecz podstawową, a mianowicie, że wszelkie wyodrębnianie w jej obszarze nurtów, prądów, gatunków, rodzajów itp. nie może się odbywać na zasadzie taryfy ulgowej, jakichś *działkowych* przywilejów i rozpoznań, że pierwszym miernikiem każdego tekstu jest miernik artystyczny. Tymczasem autorzy tej antologii jakby wyszli z założenia, że literatura fantastyczna podlega jedynie samoswoim kryteriom i skompletowali tom, który w ponad połowie jest czystą grafomanią. Brutalna to konstatacja, ale niestety przy najlepszej woli, biorąc także pod uwagę, że to teksty debiutanckie — nie jestem w stanie użyć łagodniejszego określenia. Z całego zestawu zaakceptowałbym bez zastrzeżeń jedynie utwory Grzegorza Babuli — *Resocjalizacja, Rondo, Zawód: archanioł* (w mniejszym stopniu); Emmy Popik — *Dziedzina*; Jerzego Ignaciuka — *Ryba dzieciństwa*; Jacka Krakowskiego — *Pieśń o lecie*. Reszta to po prostu pierwociny literackie, próbki, wprawki, przymiarki, z których trudno nawet wyłuskać jakiegokolwiek nadzieje na przyszłość. Osobną sprawą są tzw. eseje poświęcone młodej polskiej fantastyce: Marka Oramusa — *Wyhamowanie* i Macieja Parowskiego — *Niedopieczeni?* Stanowią one przykład infantylizmu krytycznoliterackiego, uprawiania pozorowanej analizy statystyczno-socjologicznej, owocującej jawnymi bezsensami.

Tom ten nasuwa także wątpliwości natury zasadniczej, teoretycznej. Chodzi mi o kryteria wyodrębnienia tzw. literatury *fantasy*. Nie wiem, jak ten termin jest definiowany przez teoretyków zawodowców. Natomiast z lektury tomu można by wysnuć wniosek, że co najmniej połowa literatury światowej — albo i więcej — od swojego zarania po dziś dzień należy nie do *normalnej* literatury, lecz *fantasy*. Mówiąc wyraźniej, wszystko poza tzw. realizmem jest na dobrą sprawę *fantasy*. A więc wszelkie baśnie i bajki wszystkich narodów i ludów świata: *Iliada, Odyseja, Biblia, Boska komedia, Podróże Guliwera*, wszelkie mitologie, utopie, sagi, legendy, *Faust*, Kafka, *Mistrz i Małgorzata* Bułhakowa, *Sto lat samotności* — Marqueza. Cytuję na chybił trafił, bo nie sposób inaczej, trzeba by zacytować nieomal historię literatury świata. *Fantasy* jest bowiem istotą literatury jako takiej, bo jest istotą kreacji. Czym jest wobec tego *fantasy* współcześnie — jako odrębny gatunek czy dział literatury, jak chcą tego różni teoretycy? Czy przypadkiem nie mamy tu do czynienia z mistyfikacją teoretycznoliteracką? Proponuję zastanowić się nad tą sprawą, bo kryteria, którymi posługują się chociażby autorzy antologii, nie przekonują mnie.

Stanisław Zieliński:

Wygląda na to, że przyszła moda na zabawy w posępnego luda. Przypisuje się modnym grom duże możliwości oddziaływania, a także zdolność jedynie wiarygodnego zapisu otaczającej nas rzeczywistości. Mówi się już o *polskiej drodze do fantastyki* i o tym, że właśnie fantastyka upora się z tematami, które literatura omija lub z których wykręca się sianem. Fantastyka zatem, mówię o wszystkich odmianach i podgatunkach, może stać się literaturą przyszłości, jedynym gatunkiem prawdziwie nowoczesnym i spełniającym oczekiwania czytelników, którzy wyrosli z literatury serwującej tradycyjne formy.

Łatwo zauważyć, że poetów ostatnio jakby trochę mniej, coraz więcej natomiast producentów nowoczesnych utworów fantastycznych, coraz więcej też kibiców i wyznawców. Wzbiera fala fantastyki, zanosi się na wielki przypyły do literatury. Co niesie fala? Czy aby na pewno literaturę?

Podobne pytanie dało początek rozmowie o tekstach pomieszczonych w tym numerze „Almanachu”. Określenie odległości między tymi tekstami a literaturą zajęło sporo czasu. Sądzę, że w większości przypadków są to odległości znaczne. Ambicje literackie muszą potwierdzać się wartościami literackimi. Próby zastąpienia wartości trwałych, bez których literatura obejść się nie może, naiwną aluzyjnością i grymasami prowadzą do twórczości tyleż wartej, co pisanie na płotach.

Co jest wartością trwałą? Słowo, język. Kto lekceważy język, musi pogodzić się z porażką. Nie zastąpi się słowa bulgotem, bełkotem ani przedrzeźnianiem głosu zwierząt. To droga donikąd, próba wejścia do literatury kuchennymi!, mniej strzeżonymi drzwiami.

Nie ma w literaturze działań bezcelowych. Żłudna jednak nadzieja, że pod wpływem literatury coś wyrośnie z piątku na sobotę lub padnie na pysk w poniedziałek. Na literaturę spadły kiedyś krowie placki: co drukowane, to święte; głos wieszczą uwalnia od samodzielnego myślenia. No, wyskrobaliśmy się już z tego.

Posługując się zestawem krajobrazów mrocznych i posępnych można wykorzystać wrażliwość

młodych czytelników i wprowadzić ich w taki stan, że tylko czekać pełni i wyć żałobnie do księżyca. Następstwem będzie apatia, bezwolność, zobojętnienie. Czy świat przez to się polepszy? Wątpliwe. Dlatego zabawa w posępnego luda jest tylko pozorowaniem działania, udawaniem, że coś się robi w imię spokojniejszego jutra. Działania pozorowane obserwuje się najczęściej w środowiskach, które z takich czy siakich powodów odstały od świata realnego.

Literatura, prócz innych zadań przez nią podejmowanych, winna służyć rozwijaniu wyobraźni. Człowiek pozbawiony wyobraźni gubi się we współczesnym świecie, a świat bez wyobraźni staje na progu globalnej katastrofy gwarantowanej notarialnie przez wspaniałą i oszałamiający postęp techniczny. Zobojętnienie niszczy wyobraźnię. O tym wypada pamiętać, zabierając się do produkowania fantastyki w stylu punk. Prócz steków i jęków trzeba mieć coś do powiedzenia od siebie. Trzeba przedłożyć własną, choćby naiwną, propozycję wyjścia z mroku.

Można odmówić młodej fantastyce rangi literackiej. Byłoby jednak błędem przemilczanie zjawiska masowego i rozpalającego emocje. Wszystkie przemilczenia wyszły nam bokiem, a wiele z nich do dziś odbija się nieświeżą wątróbką. Dlatego głosowałem za drukowaniem wszystkich tekstów. Szło bowiem o ilustrację zjawiska, a nie o prezentację utworów najbardziej udanych.

Niecierpliwi się młoda fantastyka, chce więcej i prędzej. Nic w tym dziwnego, każdy autor chce mieć książkę szybko. Wspomniana niecierpliwosć zdradza jednak pewną słabość. Zrozumiałe, jeśli opóźnień produkcyjnych boi się reportaż. Jeżeli podobnym niepokojom poddaje się fantastyka, to znak, że wyobraźnia autorów nie wytrzymuje próby czasu. Oznacza to w praktyce wyobraźnię ograniczoną do jednego sezonu młodzieżowej mody i zainteresowań. Warto przypomnieć, że wielu klasyków fantastyki żyje w obiegu czytelnicznym mimo zmiennych mód. Zestarzało się wizjonerstwo techniczne, zostały jednak wartości literackie, te wartości, o których była już mowa wcześniej.

Przywilejem młodych jest szukanie nowych form i nowych środków wyrazu. Jeżeli w tych poszukiwaniach wprowadza się sztuczne ograniczenia jak na przykład przekreślenie nauki i techniki, to tego rodzaju reguły gry dają się jedynie usprawiedliwić myślowym wygodnictwem. Nie znoszę fantastyki robotowej, w której cały wysiłek autora sprowadza się do obezwładnienia czytelnika niesprawdzalną terminologią techniczną. Mimo to muszę się godzić z tym, co teraz na Ziemi i w kosmosie. Zamykanie oczu i zatykanie uszu (rakiety nie startują bezszelestnie) sprowadza fantastykę do przeżuwania bajek, legend, skrawków mitologii i historii. Powstają w rezultacie mistyfikacje literackie, udające literaturę spod znaku sprzeciwu wobec świata istniejącego realnie. To są sprzeciwy kameralne. Świat ani drgnie, ani zauważy.

Tyle młodości, ile niepokojów i poszukiwań. Każde pokolenie kruszy dawne formy i tworzy nowe, własne według swoich wyobrażeń. Wbrew pozorom nie jest to sprawa tylko wieku. Można być młodym staruszkciem i nieletnim starcem. Wspominam o tym, żeby uniknąć zarzutu, że zrozumiałe dla młodych jest dla starych niezrozumiałe i obce. Przychodzi mi na myśl Leopold Buczkowski, który swą świetną twórczością niszczy struktury tradycyjnej powieści i opowiadania. Zburzywszy wszystko do przyziemia — buduje od początku. Słowa składa w zdania i właśnie tak, zdaniami, trzeba czytać prozę Buczkowskiego, nazywaną niekiedy zbyt trudną na trudne nasze czasy. Przepis na czytanie Buczkowskiego zawdzięczam Henrykowi Berezie. Bereza, tak sądzę, znalazł klucz do tej niby trudnej prozy. Prozy może i trudnej, ale wystrzegającej się pustostłowa. Pisarz P., mówi Bereza, powtarza we wszystkich książkach tylko jedno zdanie. Natomiast Buczkowski ma tych zdań w każdej książce sześćdziesiąt tysięcy. Gdyby w nowej fantastyce znalazło się po dwa zdania do zapamiętania w każdym utworze — byłoby wspaniale.

Kto z autorów występujących w „Almanachu” dopłynię do literatury, trudno w tej chwili rozstrzygnąć. Każdy stara się pisać jak najlepiej. Nikogo nie nauczy się pisać. Na nic pochwały i wytykanie oczywistych błędów. Kto rozkłada rękopis i pyta: *Gdzie tu źle* — ten nigdy nie będzie pisarzem.

Pokładałem wielkie nadzieje w Andrzeju Czechowskim. Ulegałem złudzeniom, że właśnie Czechowski swymi znakomitymi opowiadaniem toruje drogę do polskiej fantastyki. Niestety, Czechowski znikł z literackiego horyzontu. Mówią, że po odbyciu stażu na Ziemi wrócił do swoich na dalekiej planecie daleko poza naszym Układem Słonecznym. To mi się wydaje więcej niż prawdopodobne.

We wstępie do opowiadań Czechowskiego (*Przybysze* „Nasza Księgarnia” 1967) napisałem przed laty: *Postęp techniczny nie prowadzi ani do piekła, ani do nieba. Pewne natomiast, że w ręku człowieka znalazły się możliwości techniczne, o jakich się przedtem nie śniło. Przyszłość będzie tyle warta, co człowiek, ściślej mówiąc: ludzie. W przestrzeni kosmicznej, w drodze do planet bliskich i bardzo dalekich, czekają człowieka nowe trudności, nowe problemy wymagające równie wiele wysi-*

tku, co trudności, z którymi borykamy się na Ziemi. Pojawią się inne, może nawet nie przewidywane, przeciwności i trzeba będzie je również pokonać. Przyszłość wymaga wyobraźni i wielkiego poczucia odpowiedzialności. A więc przyszłość całkowicie uzależniona od człowieka i jego wartości. Te uwagi sprzed prawie dwudziestu lat dedykuję współczesnym producentom fantastyki w stylu *punk*.

Kometa Halleya coraz bliżej, nie zaprzatajmy więc sobie uwagi drobiazgami. Zmienia się pod wpływem komety pogoda, może zmieni się coś więcej. Może opadnie fala agresji, z którą nie może poradzić sobie współczesny świat?

Przychodzi mi na myśl wiele tematów godnych pisarskiego zainteresowania. Znikoma ich liczba została podjęta przez autorów tekstów włączonych do „Almanachu”.

Powtarzam: mamy do czynienia z modą, z modnym w tej chwili zjawiskiem. I dlatego warto było to wszystko drukować. Ignaciukowi i Krakowskiemu wróżę dobrą przyszłość. Mam nadzieję, że dorosną i przestaną bawić się w posępnego luda. Nic z tej zabawy nie wynika i wynikać nie może

Wacław Sadkowski:

Projekt uczczenia pamięci Janusza A. Zajdla, jednego z mistrzów pododmiany *social SF*, zmarłego przedwcześnie, wydaje się właściwy i w pełni zasadny, choć nowelka satyryczna *Utopia* jest sama w sobie dość blaha.

Wobec dwugłosu (Marek Oramus — Maciej Parowski) o młodej polskiej fantastyce trudno mi zająć stanowisko: nie znam się na tej dziedzinie piśmiennictwa. Myślę, że takiego nie zorientowanego czytelnika, jak ja, artykuły te dobrze wprowadzają w przedmiot sporu, obrazowo nakreślają skalę tego zjawiska w pisarstwie młodych, sygnalizują ciekawe próby podejmowane w tej dziedzinie i w pewien sposób (nawet poprzez różnicę w ocenie jego pozycji na rynku wydawniczym) nobilitują je w opinii, wprowadzają w naszą świadomość literacką. Ale jednocześnie nie umiem oprzeć się wrażeniu, że z polską fantastyką naukową (a także z tą najnowszą, *odnaukowioną*) coś jest nie tak. Historycznie biorąc SF wyrastała z literatury popularnej (a niekiedy wręcz *straganowej* — jak amerykańskie *amazing stories*), dostarczającej ludziom emocji z dreszczykiem i stopniowo podlegała sublimacji uświadamiając sobie własne możliwości, *podbierając* pewne koncepty utopiom i alegorystyce. U nas rzecz wydaje się brać początek z wieszczbiarstwa, ma z założenia charakter profetyczny, a nieraz wręcz apokaliptyczny — najczęściej przekraczający możliwości refleksyjne i ekspresyjne autorów, uginających się pod brzemieniem podjętych zadań. Może by tak trochę skromniej, koledzy, co? (Mam na myśli autorów przede wszystkim, ale po części i krytyków — bardów tego gatunku). Najżywsze literacko są w końcu w tym nurcie teksty o charakterze satyrycznym.

Otwierająca blok fantasy *Twierdza Trzech Studni* Jarosława Grzędowicza wydaje się utworem stosunkowo udatnym, mimo trochę przewlekłej ekspozycji (tzn. tej *historycznej* części opowiadania, która kreśli sytuację, w jakiej spoczął w ziemi — by trafić po wiekach do ludzi — miecz przeznaczony na sprzedaż dla Muzeum Astroarcheologii); przydałoby się może trochę skrótów adiustacyjnych. Opowiadanie zawiera spory ładunek satyryczny, skierowany przeciw antropocentrycznym roszczeniom i stereotypom, i oddziałujący na wrażliwość czytelnika. Myślę, że ten utwór dobrze prezentuje możliwości i umiejętności pisarskie autora — i że powinien on w swych dalszych poszukiwaniach pisarskich skupić się na tych właśnie rejonach — kpiny ze stereotypów i liczmanów pojęciowych, biernych nawyknień myślowych, jakże rozpowszechnionych wśród bliźnich (a i wśród nas samych).

Rafała Ziemkiewicza *Pieśń koronacyjną* uważam za utwór niewydarzony, pretensjonalny, rozhisteryzowany w warstwie stylistycznej. Typowy to dla mnie przykład zadęcia wieszczego, które sięga nieudolnie po historycznie martwe konwencje rapsodu — i banalizuje je doszczętnie poprzez swą pisarską naiwność, natrętny dydaktyzm, egzaltację. Ale mogę być wobec tego utworu niesprawiedliwy — nie przypisuję sobie bynajmniej nieomyślności. Może by go więc zamieścić w „Almanachu” — choćby dla unaocznienia krańcowych niebezpieczeństw zagrażających *nadętej* odmianie polskiej fantasy — i przestrogi przed nimi?

Jacka Piekary *Smoki Haldoru* znam w całości; lektura przeznaczonego do „Almanachu” fragmentu tej powieści (wybranego moim zdaniem trafnie) upewniła mnie w powziętym przy pierwszej lekturze przekonaniu, iż bardzo jest ten utwór typowy dla rodzącej się w Polsce (w pół wieku po Tolkienie!) baśni fantastycznej. Rzecz bowiem w tym, żeby ta baśń nie była prostym, mechanicznym naśladownictwem, epigońską kalką fantasy zachodniej, lecz żeby się w jakiejś przynajmniej

mierze zdobyła na własny wyraz, na jakąś odrębność artystyczną. Motyw tematyczny smoczy akurat taką możliwość otwierał (ja jeszcze w dzieciństwie przeżywałem spacer po wawelskiej smoczej jamie), stwarzał możliwości sięgnięcia po mitologię rodzimą i jakiegoś jej artystycznego *ogrania*. Właśnie: los artystyczny fantasy zawisł chyba od poczucia humoru jej autorów, od ich umiejętności pastiszowo-parodystycznych i stylizatorskich. To może być dobra zabawa, *igraszka uczonego dowcipu*, rozsmakowanego w nieograniczonych właściwie możliwościach odniesień i implikacji literackich zawartych w przebogatych złożach motywów fantastycznych w tradycji, folklorze i piśmiennictwie literacko wysublimowanym.

Niestety, odnoszę wrażenie, że autor *Smoków Haldoru* jeszcze sobie tych możliwości artystycznych, zawartych w baśni fantastycznej, nie uświadamia. Rzecz napisana jest z młodzieńczą powagą, co prowadzi do naiwnej dosłowności tej wizji artystycznej — i ze wzruszającą dbałością o wypreparowanie jej z jakichkolwiek uzależnień i odniesień kulturowo-obyczajowych (pejzaż, sytuacje powieściowe, obyczajowość, a nawet nazwiska bohaterów są całkowicie sztuczne, wyabstrahowane z jakiegokolwiek rzeczywistości historycznej i społecznej, jakby stworzone przez pozbawiony pamięci komputer).

Odbiera to utworowi Piekary z założenia tę atrakcyjność, która wynika zawsze z zabiegów związanych z rozszyfrowaniem literackiego kodu, uchwyceniem zawartych w nim odniesień, aluzji, uwikłań. Wydaje mi się to pomysłem z gruntu fałszywym, aliterackim w istocie, i stąd utwór pozostawia mnie obojętnym, a nawet chwilami nuży lub wręcz irytuje dosłownością, z jaką autor zdaje się traktować i przedstawiać czytelnikowi fabularne zawężenia i spiętrzenia.

A może to osąd niesprawiedliwy i może na moim stosunku do fantasy ciąży profesjonalne znudzenie literaturą, niezdolność do spontanicznych wrzuseń i przeżyć wywołanych przez fabułę *samą w sobie*. Z pewnością więc warto poddać próbę powieściową Piekary osądowi czytelniczemu — młody w Polsce gatunek fantasy musi zyskać własne doświadczenia, rozwijać się poprzez ich gromadzenie. A Piekara bez wątplenia predestynowany jest do prowadzenia w tym zakresie prac pionierskich: dysponuje inwencją pisarską i wyraźnie odczuwalną pasją, które — wzbogacone doświadczeniem — mogą zapewnić mu w przyszłości pełny literacki sukces.

Nowele satyryczne przynoszą czytelnikowi wyraźną ulgę po historiozoficzno-moralistycznych wzlotach młodej fantasy. Zasada tych nowel, ogólnie biorąc, wywodzi się z klasycznego już opowiadania Sławomira Mrożka, kontrastującego kosmonautów i inne zjawiska epoki kosmicznej ze strzygami i krasnoludkami, które sikają do mleka powodując jego kwaśnienie.

Ryszarda Holzera *Wrzucić monetę* to zabawna anegdotka nowelistyczna — o wielopiętrowej strukturze czasowej — będąca swoistą satyrą na kryzysowe niedostatki ograniczające możliwości korzystania ze *stymulatorów wyobraźni* kosmicznej w świecie, do którego dopiero się zbliżamy, a który — poza nowymi możliwościami technicznymi — oferować nam będzie — według autora — te same w istocie zmartwienia, które nas trapią i dziś. Gorzki jest więc ten żart, zręcznie rozegrany pod względem literackim. *Józefiak*, *story* zaś tegoż autora, to równie zabawna, dowcipnie napisana miniaturka, oparta niemal bezpośrednio na mrożkowskiej zasadzie przeciwstawienia prymitywizmu pijackiego rytmowi życia wielkoświatowego i zwidzeniom *futureologicznym*. Uderza sprawność stylistyczna autora, jego ostre poczucie humoru nieskłonne do mitologizowania czy też schlebiana ani bohaterom, ani czytelnikowi.

Podobny kierunek poszukiwań literackich i zbliżoną postawę wyrażają trzy przedstawione utwory Grzegorza Babuli; w odróżnieniu od Holzera, ciąży on jednak ku rozwiniętym formom nowelistycznym, odbiega od anegdotycznej lapidarności. Niestety, prowadzi to niekiedy do pewnego przegadania. Najręczniejsze pod względem kompozycyjnym (i zarazem myślowym: sugeruje zakłętą krąg niemożności naszego cywilizacyjnego upośledzenia) jest *Rondo*. Na drugim miejscu postawiłbym *Resocjalizację*, protestującą przeciw uroszczeniom różnych mądrali do ostatecznej racji i przekornie broniącą samorodnej wynalazczości i zdrowego ludowego rozsądku (oczywiście w tonacji groteski fantastycznej, nie dosłownie!). Natomiast *Zawód: archanioł* wydaje mi się nowelą słabszą, naciągniętą, ilustrującą dość płaski koncept satyryczny.

Dość zręczne, a nawet finezyjne miniaturki psychologiczno-obyczajowe Marcina Herynga *Donosy na wuja Karola* przeczytałem z przyjemnością, lubię ten typ ironii skierowanej przeciw współczesnemu kołtuństwu. Nie mogę tylko dociec przyczyny, dla której włączono je do „Almanachu” poświęconego fantasy — czyżby dla szczypty absurdałnego humoru albo też dla borgesowskiego tropu wiodącego do El Matussima w jednej z miniatur? Ale niewątpliwie utwory te należą

do najudatniejszych pod względem literackim w całym tomie.

Oba utwory Emmy Popik: *Dziedzina* i *Ekstaza* pozostawiły mnie dość obojętnym (by nie powiedzieć: znudzonym). W pierwszym alegoryczna wizja samozatrąty cywilizacji, z pogłosami czapkowskiej *Inwazji jaszczurów*, wydaje mi się dość mętna; w drugim dylemat bohaterki poddającej się *badaniu duszoznawczemu* przez dziwną maszynę unicestwiającą najsilniejsze ludzkie doznania, włącznie z miłością, i nie mogącej się zdecydować, czy wrócić do punktu wyjścia, czy pozostać w stworzonym przez ową maszynę świecie *nie nazwanym głębszym niż wyobraźnia*, wydaje mi się dość egzaltowany i razi sztucznością. Jak sędzę, autorce braknie umiejętności narracyjnych zdolnych narzucić wyobraźni czytelnika jej wizję; opowiadania pisane są językiem skonwencjonalizowanym, banalnym, pozbawionym wszelkiego piętna indywidualności.

„Almanach” zamyka się tekstami znacznie bardziej interesującymi. Impresja Rafała Ziemkiewicza *Trzy sekundy* jest skondensowanym zapisem strumienia świadomości bohatera, wpisanym w pewien rytm czasowy w sposób frapujący literaturę awangardową od początku stulecia: jak mianowicie utrwalić trwanie procesu myślowego (łącznie z podświadomością) w rytmie czasu linearnego tak, by odbieranie wyrażonych w treści przeżyć trwało tyle, ile zajęły one bohaterowi. Ale ta zręczna wprawka pisarska wiąże się z tematyką „Almanachu” tylko poprzez usytuowanie narratora w Hałglandzie!

Ryba dzieciństwa Jerzego Ignaciuka to świetne studium lęków i urazów dzieciństwa, zmetaforyzowanych i określających dojrzały już świat wewnętrzny bohatera. A dalej następuje kapitalny rozdział *Sodomy* Jacka Krakowskiego zatytułowany *Opowieść o lecie*. Po jego ponownej lekturze powróciłem myślami do powieści — i skłonny jestem przypisać jej bardzo istotne znaczenie artystyczne w pisarstwie polskim jako odważnego aktu ośmielania wyobraźni i poszerzania zakresu doświadczeń dotychczas w naszym piśmiennictwie nie wypowiedzianych, podnoszenia poprzeczki językowej dezynwoltury. Właśnie w kontekście „Almanachu” proza Krakowskiego rośnie w znaczenie.

Pewnie zamknięcie „Almanachu” utworami Ignaciuka i Krakowskiego jest najcelniejszą z możliwych konkluzji artystycznych: wskazaniem celu (a w każdym razie orientacji artystycznej), ku któremu kierować się powinny ambicje młodej polskiej fantastyki.